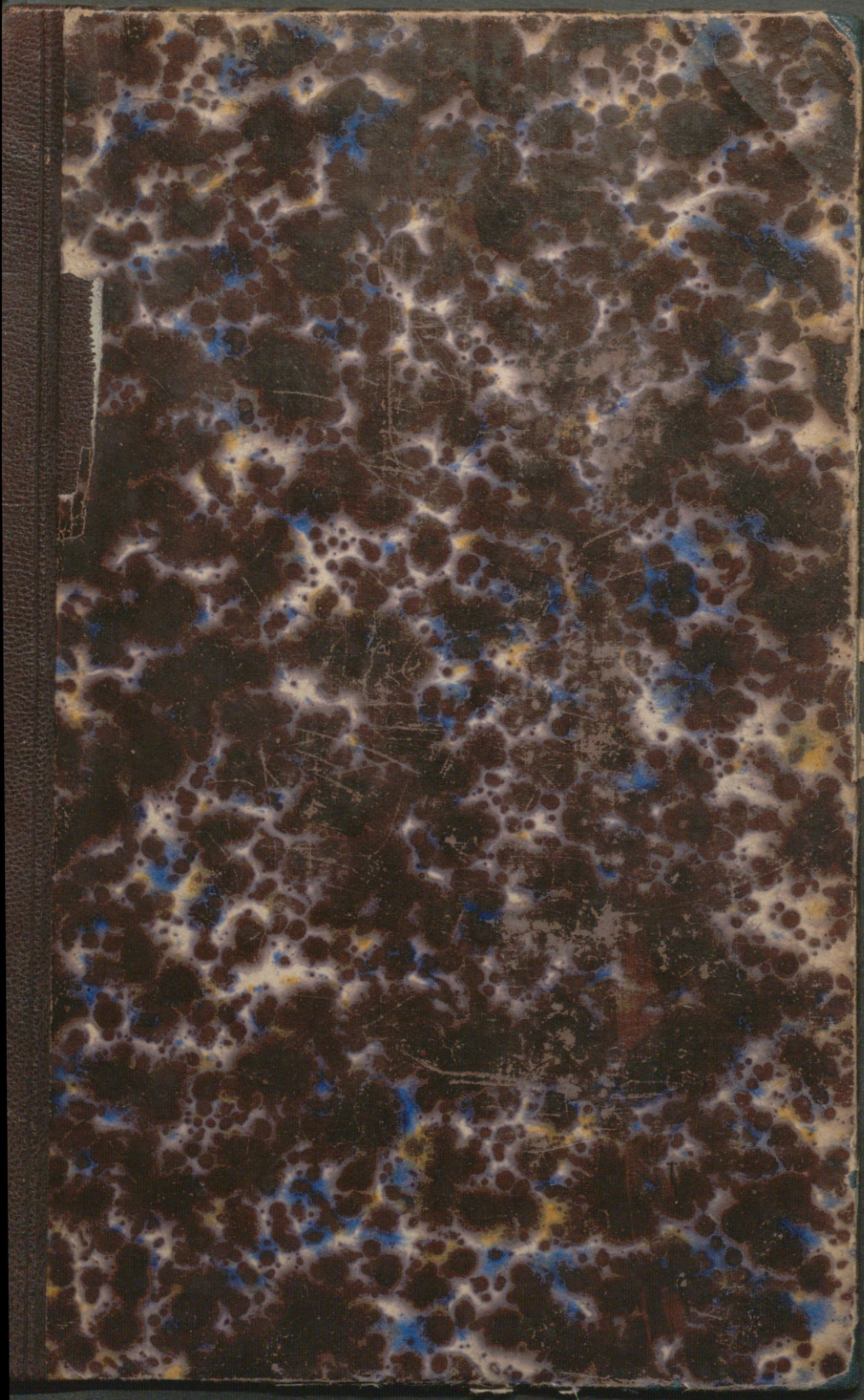


Grey Scale #13

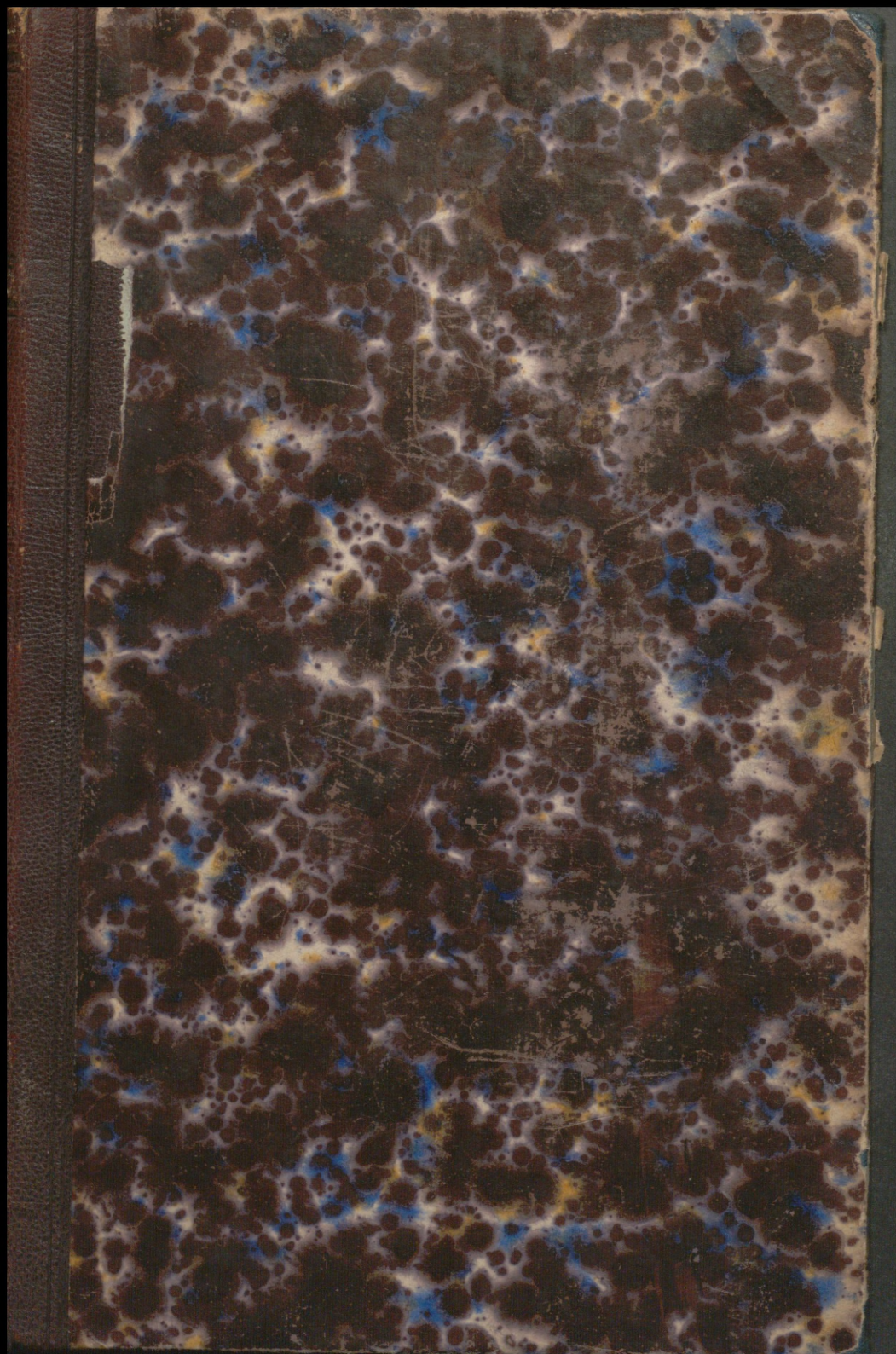


A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13





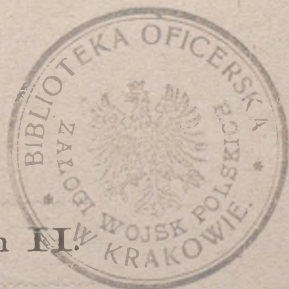
10805/II.

DZIEŁA
LUCYANA SIEMIĘŃSKIEGO.

10805/II
okop do
36900/2

DZIEŁA
LUCYANA SIEMIĘŃSKIEGO

VARIA.—ROZTRZĄSANIA I POGLĄDY LITERACKIE.



Tom II.

WARSZAWA.

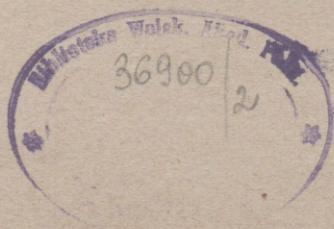
NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA UNGRA,
przy ulicy Nowolipki, № 3.

1881.

8761

Дозволено Цензурою.
Варшава, 17 Сентября 1880 года.

~~692/11~~



XIII.

KAZIMIERZ PUŁASKI

W AMERYCE.

Kongres Zjednoczonych Stanów północnej Ameryki, po szczęśliwie ukończonej wojnie o niepodległość, uchwalił był pomnik dla Pułaskiego poległego pod Savannah, lecz ten nie przyszedł do skutku. Przysłowie: „Passato il pericolo, gobatto il santo,” sprawdza się nie tylko na pojedynczych osobach, lecz i na narodach. W szczęściu zapomina się, kto był w nieszczęściu przyjacielem. W wiele lat później Lafayette w swojej przejażdżce tryumfальной po Zjednoczonych Stanach, położył był w Savannah kamień węgielny na pomnik dla Pułaskiego, a obywatele Stanu Georgii wzniesli go następnie swoim kosztem. Zdawało się jednak, że pod pomnikiem powinny spoczywać zwłoki bohatera, szukano więc i znaleziono na dawnym pobojowisku jakieś kości, które miały reprezentować relikwie dzielnego obrońcy swobód amerykańskich.

Okoliczność ta obudziła niemało wątpliwości, a zarazem i chęć dochodzenia prawdy. Zapytano podań i dokumentów prywatnych, i z tych okazało się, że Pułaski śmiertelnym ugodzony postrzałem w pachwinę, przeniesiony był na okręt, gdzie ducha oddał, i obyczajem morskim ciało jego zatopiono w morzu.

Ocean stał się jego grobem — miejsce godne człowieka wslawionego na jednej i drugiej półkuli.

Szczegół ten pobudził Amerykanów, że rzucili się do wydobywania na jaw wszystkich wspomnień, jakie się mogły tak w prywatnych jak publicznych aktach znajdować. Temu też winniśmy, że z pamięcią bohatera, odświeżoną na drugiej półkuli, i dla naszej historii przybywa piękna karta.

Pierwszy ten emigrant polski świetnie rozpoczął szereg tułactwa, i razem z Kościuszką, z którym jednocześnie poświęcał krew w obronie niepodległości, dał jakby program szczytnego posłannictwa dla następców, pokazując im, w jakich warunkach służąc obcej sprawie, można służyć ojczyźnie.

Sława, jaką się okryli na polu walki, ich szlachetny i czysty charakter, jakim się wyróżniali od tłumy awanturników przybyłych dla robienia karyery, spadła na naród, którego byli synami, i że tak powiem, utarowała dla następnego tułactwa drogę do serc tych kolonistów, niebardzo łatwych do otwierania się, w skutek czego sympatya dla Polski przeszła tam w żywą tradycyę.

Jak zaś pamięć Pułaskiego i Kościuszki szanowana jest w Ameryce, przekonują pisma poniżej umieszczone, a będące wiernym wyrazem opinii popularnej, która, choć źle wymawia te dwa nazwiska, ale mimo to otacza je uwielbieniem.

Nie ma też prawie Amerykanina, któryby o Pułaskim i Kościuszcze nie wiedział choć tyle, że pierwszy za wolność jego ojczyzny dał życie, drugi szczęśliwszy walczył za nią i może niejednym pomysłem przyczynił się do zwycięstwa.

Podając różne pisma dotyczące się działań Pułaskiego podczas jego pobytu w Stanach Zjednoczonych, pisma, które skrzętnie zgromadził pan P..., jeden z osiadłych tam rodaków naszych, mamy tём samém w pewnym zakresie uzupełnioną jego biografię.

Dotąd bowiem wiedzieliśmy, że Kazimierz Pułaski dowodził jazdą i śmierć znalazł w bitwie pod miastem Savannah — zresztą nie więcej.

To zaś, co opowiadał o jego zamorskich przygodach pamiętnik Macieja Rogowskiego, nie wzbudza tyle ufności,

zeby humorystyczne opowiadania konfederata przyjąć można za historyczny dokument. Między innymi, okoliczności towarzyszące śmierci bohatera, są zbyt ogólnikowe u Rogowskiego, który, jako nieodstępny towarzysz, powinien się być interesować najdrobniejszym szczegółem; przeciwnie u amerykańskich pisarzy, opierających na wiarogodnych dokumentach swoje podania, znajdujemy wszędzie dokładność, a nawet nazwisko tego Polaka, co był przybocznym adjutantem Pułaskiego i świadkiem jego zgonu na okręcie „Wasp.” Nazwisko to, lubo może niedobrze wyczytane (Sieniński lub Suski), zawsze nie pozwala domyślać się Rogowskiego, chociaż ten, jak wyraźnie daje poznać w swoich pamiętnikach, ciągle miał być najbliższym Pułaskiego boku.

Nie chcąc przesądzać, lecz podług wszelkiego prawdopodobieństwa, Gaśzyński mając zamiar dać nam wiadomość o sprawach Kazimierza Pułaskiego na drugiej półkuli, pilnie studyował amerykańskich pisarzy opisujących wojnę o niepodległość, a zebrawszy z nich wzmianki o naszym konfederacie, nadał temu formę pamiętnika. W wielu też punktach zgadza się z biografistą Sparks'em, mianowicie co do ruchów i bitew armii, i właśnie ta wierność w trzymaniu się źródeł sprawia, że pamiętnik Rogowskiego uważany bywa za autentyk wygładzony stylem autorskim.

Jeżeli w ogóle historia tego partyzanta, tak znanienietego, znana nam jest tylko z ułomków, to jest z relacyj stoczonych bitew,—to od proklamacyi wydanéj w Częstochowie na d. 25 czerwca 1772 roku, i wyniesienia się za granicę urywa się wątek, i dopiero w kilka lat później widzimy go figurującego w wojnie osad Ameryki północnej, wojnie zwracającéj na siebie uwagę całego świata. Była ona bowiem jakby przedmową do wielkiéj rewolucyi francuzkiéj, która do starego społeczeństwa, wyrosłego na kilkunastowiekowych tradycyach, aplikowała racjonalizm kolonialny.

Co przez ten czas robił? gdzie się obracał Pułaski? nie ma dokumentnéj pewności; są tylko naponknienia, że opuściwszy ojezyczne, złączył się z generalnością konfederacką, która wyemigrowawszy, przebywała w Braunxie, ztamtąd zaś miał się udać do Tureczyzny, gdzie wielu rozbitków konfederackich znalazło przytuliek. Francya popiera-

jąca Barszczan, lubo odstąpiła od tej polityki ze zmianą ministeryum Choiseul'a, nie cofnęła swoich sympatyj dla tej sprawy. Hrabia Saint-Priest poseł francuzki w Stambule opiekował się konfederatami, a Pułaskiego wyszczególniał.

Gdy więc wybuchło powstanie w koloniach amerykańskich przeciw Anglii, a Francya znalazła się naturalną protektorką tej rewolucyi przychodzącej jej na rękę, bo zrobioną przeciw jej najzaciętszej rywalce, zwróciły się oczy rządu na Pułaskiego, który zyskawszy słuszną sławę zwołanego partyzanta, wybornie nadawał się do rodzaju tej wojny, jaka zajęła się w północnej Ameryce.

Łatwo też przyszło posłowi francuzkiemu hr. Saint-Priest'owi wpłynąć na Pułaskiego znudzonego bezczynnością i trawionego tęsknotą, a niechęcego czy niemogącego zdawać się na łaskę Stanisława Augusta, namówić do przyjęcia służby w koloniach. Nie wiem, czy Radziwiłł Panie Kochanku, jak się domyśla Rogowski w swych pamiętnikach, ale najpewniej sam rząd francuzki dostarczył mu funduszu na tę podróż, témbardziej, że użycie Polaka mniej kompromitowało rząd francuzki, niechęć się jeszcze skompromitować, niż posyłanie własnych oficerów. Dość, że Pułaski w r. 1777 opuścił Stambuł i przybył do Marsylii, zkąd pisał list do ministra francuzkiego, oczekując dalszych jego rozporządzeń. Ztamtąd zapewne udał się do Paryża i zetknął się z Beniaminem Franklinem, któremu przedstawił się osobiście, kiedy tenże z wielkimi pochwałami pisał za nim do kongresu i do Waszyngtona i szczególnie polecał jako niepospolitych zdolności oficera.

W tymże roku, w lecie, dostał się do Filadelfii i wstąpił jako ochotnik w szeregi, w czym, jak powiada Sparks, poszedł za przykładem Lafayette'a. W pierwszej akcji pokazał czém był, i zrobiono go generałem, dowódcą całej jazdy powstańczej, składającej się z dwóch półków.

Resztę znajdzie czytelnik z całą ścisłością opowiedzianą przez Jared'a Sparks'a, który ze wszystkich nowszych poszukiwań o Pułaskim skorzystał, aby go z prawdziwą a tak piękną stroną przedstawić.

Wprost z Ameryki od Pułaskiego jeden tylko znany doszedł nas dokument. Przytacza go Jul. Bartoszewicz (w Encyk. Pow.).

Jest to list własnoręczny Kazimierza pisany do siostry (zapewne Walewskiej) pod datą 24 lutego 1778 roku z Trentonu.

Oto brzmienie tego cennego dokumentu:

„Dość wiedzieć będziesz o mnie kochana siostro, że zdrowie moje jest w całości, powodzenie zaś rozmaite, jak w czasie wojny. Ja tu komenderuję całą kawaleryą; w różnych byłem atakach dość pomyślnie; bawię tu długo nie myślę. Obyczaje tutejsze nie mogą się zgadzać z moim humorem, do tego i strata jest próżna czasu w tej służbie; nie dobrze czynić nie można. Lecz tu są bardzo zazdrośni; zgoła wszystko przeciwnie. Jednak jeszcze przyszłej kampanii bawić tu będę; dalej, jeśli będzie można, handlować zaczęę, co tu jest najużyteczniejsze. Dług Marynis et Essange przypominam; jeśli będzie co mi posłać przez jego ręce, mnie dojdzie. Adieu. Imci do nóg upadam i całej klaniam familii.

„Pułaski Gener. de Cavalerie des Etats-Unis

„de l'Amerique au Camp,—jest mon adresse; il faut l'écrire en Anglais: To comte Pulaski Gener.

„of Cavalery by Un. S. of America.”

Tych kilka dorywczo rzuconych wyrazów maluje położenie polskiego szlacheica, bojownika za wiarę i wolność, pośród tej handlarskiej ludności, która nie umiejąc się wznieść do jego wysokości, trapi go zazdrością, plotkami i intrygą. I czegoż mu zazdroszczą? oto tego rycerskiego animuszu, tej krwi, której za pieniądze nie dostanie, kiedy się nie wyssało ję z mlekiem.

Jego heroizm, zapal, duch ofiary, szlachetne serca porwy, wszystko to musiało się łamać, jak srebrna fala, o te granity rachunkowości zimnej, egoistycznej, drobnostkowej. Dusza bohatera barskiego stygła w tych lodach, przedstawiała wierzyc we wszystkie swoje świętości, i złamana nakoniec, zaczęła kapitulować z przekonaniem, że w nowym świecie niemożna już żyć z pamięcią przeszłości, że trzeba zostać nowym człowiekiem, przemysłowcem,

handlarzem, jak drudzy, jak wszyscy. Zgon rycerski na polu bitwy, uratował go od tój twardej konieczności, tak wstrętnój charakterowi szlachcica polskiego, jeszcze tój miary co Pułaski. Dzisiejsi Amerykanie inaczej go sądzą, i nie dziw; wówczas nie mieli przeszłości, dziś ją mają, a choć ta nie sięga dalej nad zakres lat dziewięćdziesięciu, dumni są, że w swojej Walhalli mogą postawić posąg naszego konfederata.

Zacznijmy od dokumentu wyświecającego szczegóły bitwy pod Savannah i zgonu Pułaskiego. Posłuż nam do tego list p. James'a Lynah'a, obywatela południowej Karoliny, pisany do wydawcy dziennika „Herald” wychodzącego w Filadelfii pod d. 27 stycznia 1853 roku.

„Panie! W dzienniku twoim, a mianowicie w numerze z 1-go stycznia, czytałem ustęp przedrukowany z „Nowin z Savannah” (Savannah News), a podający szczegóły wynalezienia zwłok tego polskiego bohatera. Ponieważ jest to ciekawy przedmiot w historii rewolucyi amerykańskiej, potrzeba przeto dokładność tego faktu ustalić, a drogą ścisłego i uczciwego badania usunąć z niego wszelką wątpliwość.

„W tym tylko celu, nie zaś w chęci zadość uczynienia śmiesznej próżności, podaję czytelnikom twoim, jako rzecz otrzymaną od innych, wszystko co odnośnie do tego przedmiotu znajduje się w mój wiadomości. Dziad mój dr. James Lynah z Charlestonu, będąc już w podeszłym wieku, mawiał mi często, iż wyjmował kulę, która zadała Pułaskiemu śmiertelną ranę. Operacyę tę uskutecznił na polu, niedaleko od granic Savannah, przy pomocy mego ojca, który za młodu znajdował się przy nim jako podlekarcz, i wiernego niewolnika imieniem Guy. Była to kula żelazna formy podłużnej (obecnie znajduje się w mojem posiadaniu) i prawdopodobnie pochodziła od wystrzału jednej z angielskich galer, które przyszły na obronę miasta. Kula ta ugodziła w bliskości pachwiny, i wyjęto ją po nader trudnej operacyi, którą Pułaski wytrzymał z zadziwiającą odwagą. Rana była niemal rozpaczliwa, wszelako dziad mój miał, iż hr. Pułaski mógł być uleczoney, gdyby tylko się był zgodził pozostać pod jego dozorem i dać się nieść na no-

szach za armią amerykańską. Hrabia Pułaski atoli sprzeciwił się tej propozycji, obawiał się bowiem wpaść w ręce Anglików, gdyż jak mniemał, rząd angielski byłby go w takim razie odesłał do Rossyi — państwa, którego on był przedtém nieprzyjacielem, i którego postępowanie właśnie zmusiło go wyjść z Polski na tulaczkę. Wolał raczej ponieść śmierć i oddać się pod opiekę floty francuzkiej, znajdującej się wówczas pod dowództwem d'Estaing. Natychmiast tedy przeniesiono go na okręt, gdzie też i umarł w przejeździe około Charlestonu, a ciało jego spuszczone w głąb morza.

„Na poparcie mego opowiadania mam teraz przed sobą z datą 22 kwietnia 1779 r. rozkaz podpisany przez sławnego gubernatora południowej Kanady John'a Rutledge'a, w którym dr. James Lynah mianuje się „głównym lekarzem w półku lekkich dragonów półkownika Daniela Horry.” Półk ten był przy oblężeniu Savannah. Mam także bardzo eiekawy przypisek noszący datę 22 czerwca 1779 r. z polecenia hr. Pułaskiego pisany przez jego adjutanta do dr. James'a Lynah'a z podziękowaniem doktorowi Lynah'owi, za jego starania koło chorego hrabi. Rozkaz ten udowadnia, że dziad mój był w tej armii lekarzem, a pomieniony przypisek adjutanta stwierdza, że był pod Savannah w jego regimencie, jako też że on i hr. Pułaski byli przyjaciółmi i towarzyszami broni.

„Kula razem z powyższemi dokumentami dostała się w moje posiadanie, jako najstarszego w swój linii; przechowałem też ją jako pamiątkę bardzo ciekawą, lecz rzadko wspominałem o tém, albowiem pamiątki tego rodzaju niezawsze tak bywają szanowane, jak na to zasługują. Jednakże wyżej wspomniany artykuł „Nowin z Savannah” odświeżył moją pamięć, i po długim wahanii zdecydowałem się niniejsze opowiadanie, jakiegokolwiek ono jest wartości, podać wiadomości publicznej, w nadziei, że może się znaleźć coś na poparcie tych twierdzeń. Jakoż dzięki grzeczności jednego z moich przyjaciół, byłem w tém mieście (Filadelfii) zaprowadzony do pewnej bogatej księgarni, gdzie miałem szczęście znaleźć książeczkę pod tytułem: „Pułaski niesłusznie obwiniony przed sądem Johnson'a.



Szkie z życia i korespondencyi generał-majora Nataniela Greene'a." Dziełko to wydane w Baltimorze w r. 1824, napisane było przez jednego z oficerów Pułaskiego, poważnego i znakomitego żołnierza, który służąc w jego legii, był naocznym świadkiem opisywanych przez siebie wypadków, który o wiele przeżył swego naczelnika, lecz nigdy go nie zapomniał. Następujący wyjątek ze str. 29 tej książeczki, potwierdzając główne punkta z historyi mojego dziada, może przekonać o rzetelności powyższego opowiadania: „Szturm na Savannah miał być przypuszczony po prawej stronie angielskich linii. Dwie kolumny, francuzka i amerykańska, otrzymały rozkaz jednoczesnego atakowania jednej z nieprzyjacielskich redut. W odwodzie pod dowództwem hrabiego Pułaskiego znajdowała się cała jazda amerykańska i francuzka. Gdyby reduta, jak się spodziewano na pewno, była zdobyta i droga otwarta, nieustraszony ten wódz, na czele złączonych oddziałów konnicy, miał z szablą w ręku dotrzeć do placu i rozsiać popłoch i zamieszanie między załogą.

„D'Estaing osobiście prowadził korpus do ataku. Nie chcąc obchodzić bagna i pewny, że grunt będzie dość twardy, kazał iść prosto. Nieprzyjaciel atoli był przez szpiegów zawiadomiony o całym planie. Znał on dobrze, na jakie punkta zamierzano napaść, i kierunek, w jakim mieli postępować oblegający.

„Dla tego, z kąd tylko było można ściągnąć, zgromadził wszystkie swe siły na te punkta, i przy pierwszym alarmie odkrył okropny zabójczy ogień. Pułaski pragnąc się dowiedzieć, kiedy na niego przyjdzie kolój, postanowił sam iść naprzód.

„Ustawił więc w bezpiecznym miejscu swą kawaleryę i dla towarzyszenia sobie przywołał jednego z kapitanów owój legii, który dotąd jeszcze żyje, chociaż już jest w bardzo podeszłym wieku. Uszedłszy dość niewielką przestrzeń, usłyszeli na bagnie huk nieprzyjacielskich bateryj.

„D'Estaing sam był ciężko ranny; Pułaski widząc, jak fatalnie taka klęska działa zwykle na umysły francuzkich żołnierzy, pośpieszył na widownię nieładu i rozlewu krwi,

chcąc swą przytomnością dodać im serca. W chwili atoli gdy pędził w wir bitwy, otrzymał postrzał w górną część prawej pachwiny, a oficer mu towarzyszący wkrótce potem został raniony kulą muszkietową w odwrocie. Sprzymierzone wojska zaniechały tedy swego przedsięwzięcia względem Savannah. Amerykanie i Francuzi, jako świadkowie męstwa i zapału, które okazali jedni i drudzy podczas walki, nie myśleli wcale oskarżać się o przyczynę smutnych rezultatów bitwy i rozstali się w zupełnej harmonii. D'Estaing swój oddział i artylleryę wsadził na okręty, Pułaskiego zaś z jego rannym oficerem przywieziono na pokład „Wasp'a,” brygu Zjednoczonych Stanów, udającego się do Charlestonu. Kilka dni zatrzymano się na rzece Savannah, i podczas tego najbieglejszy lekarz floty francuzkiej był zatrudniony około Pułaskiego.

„Niepodobna jednak było powstrzymać ropienia się, w skutek czego niebawem ukazała się gangrena. W chwili właśnie gdy „Wasp” opuszczał rzekę, Pułaski skonał, a ciało jego tak szybko zaczęło się psuć, że jego oficer, lubo z boleścią, zmuszony był oddać na wodny pogrzeb wszystko, co się na ziemi zostało z jego ukochanego i czezonego dowódcy.”

Autor opowiada dalej o pogrzebowych honorach, jakie Pułaskiemu wyprawiły w Charlestonie korporacye i wojsko, o processyi, podczas której pięknego konia, na którym siedział Pułaski, gdy otrzymał śmiertelny postrzał, prowadzono w całym bojowym rynsztunku, a która się zakończyła „w kościele serdeczną mową wygłoszoną przez wojskowego kapelana.”

„Należy pamiętać, że to wszystko pochodzi z ust starego, powszechnie poważanego żołnierza, który od początku do końca był naocznym świadkiem całej tej smutnej historyi; lepsze świadectwo trudno było znaleźć.

„Spodziewam się po panu, że powody, które mię skłoniły do napisania kilku tych słów, będą ocenione z ich właściwej strony, jako mające na celu zapobieżenie meżebnym pomyłkom. Celem każdego badania w historyi, jak i w innych naukach, ma być prawda, i obowiązkiem każdego obywatela jest dopomódz do jój należytego wyświe-

cenia i rozpowszechnienia, jak skoro się ona znajduje w związku z historią każdego kraju. U nas szczególniej należy na to pamiętać w sprawach dotyczących naszej wojny rewolucyjnej. Pochwalam więc serdecznie patryotyczne usiłowania Georgijczyka, mające na celu udowodnić identyczność zwłok sławnego Pulaskiego, którego imię takie sprawia wrażenie na gorącym sercu naszych południowych ludów, jak może żadne inne. On i William Waszyngton, którzy wspólnie poniżyli dumę Tarlstona w bitwie pod Cowpenssem, byli naszymi wielkimi wojownikami i najlepszymi na całym południu kawalerzystami.

„We wszystkich podaniach, które nas doszły z ust tych, co widzieli w owych dniach Pulaskiego, tak Murzynów jak i białych, był on istnym nosobieniem władzy, energii i wdzięku, gdy siedział na koniu. Jak u dawnych paladynów, romantyczna waleczność jego zdawała się graniczyć z bajecznością i wprawiała w podziw wszystkich widzów; jego cierpienia za ukochaną ojezynchę Polskę, o której myśl była ciągłą boleścią jego duszy, utrata mienia, wygnanie i sposób śmierci, wszystko to razem jeszcze powiększa melancholijny urok, który towarzyszy jego pamięci. Jego imię jest przysłowiem u mieszkańców Savannah, gdzie wdzięczność za jego zasługi okazują przy każdej sposobności przez powtarzanie i przekazywanie potomności drogiego nazwiska. Cześć ludziom, których wspomniałomyślnie dusze umieją czeić waleczność tego, który umarł za sprawę konstytucyjnej wolności!

„Proszę przyjąć etc.

„James Lynah, w połud. Karolinie.”

Rodak nasz p. P., oddający się zawodowi inżynierskiemu w Stanach Zjednoczonych, a gorliwy poszukiwacz pięknych wspomnień ojezystych, przeczytawszy powyższy artykuł w „Heraldzie,” wystosował natychmiast list do p. Lynah'a, w którym naponknął mu o szczegółach tyczących się życia Pulaskiego w Polsce, a oraz wybadywał go, azali czego więcéj nie wie o naszym konfederacie nad to, co

w powyższem zamieścił piśmie. Na ten list otrzymał w jakiś czas następującą odpowiedź:

„Filadelfia, 28 kwietnia 1854.

„Panie! Otrzymałem wczoraj zajmujący list pański z dnia 25 b. m. i wdzięczny mu jestem za wiadomość, że moje uwagi o bohaterskim ziomku pańskim Pułaskim, zamieszczone w „Heraldzie,” zadowolily pana.

„Część listu pańskiego, która dotyczy związków rodzinnych Pułaskiego, jest zupełną dla mnie nowością, i po raz pierwszy słyszę chrzestne jego imię. Jakkolwiek żaden tytuł szlachestwa, choćby nie wiedzieć jak wysoki, nie może dodać blasku charakterowi znakomitego ziomka pańskiego, jednak historia Ameryki mówi, że gen. Waszyngton i inni nazywali go hrabią Pułaskim, i z tym tytułem przejdzie do potomności.

„Żałuję, że nie jest w mojej mocy dać panu jakąkolwiek informację o jego zawodzie w tym kraju. Znajomość z nim mojego dziada była krótka, zaczęła ona się w Charlestonie w południowej Karolinie, a skończyła przy oblężeniu Savannah, gdzie Pułaski otrzymał śmiertelną ranę.

„Uwagi moje w „Heraldzie” zaczerpnięte były z dziennika wychodzącego w Savannah, który mówi, że zwłoki Pułaskiego znaleziono świeżo w pobliżu miasta. Jest to w bezpośredniej sprzeczności z twierdzeniem mego dziada i oficera kawaleryi, towarzysza Pułaskiego, którzy obaj zgadzają się, że Pułaski umarł na okręcie i pogrzebany został w morzu.

„O fackie tym najmniejszej nie mam wątpliwości.

„Nazwisko oficera kawaleryi jest Bentalou, Paweł Bentalou. Mówi on o sobie, że przybył do kraju naszego z Francyi w r. 1776, że wkrótce potem zabrał znajomość z Pułaskim, że na wiosnę 1778 r. Pułaski otrzymawszy dowództwo niezależnego legionu, oddał mu komendę pierwszego szwadronu lekkich dragonów legii. Bentalou pozostał już z nim razem aż do wypadku jego, podczas oblężenia Savannah, gdzie sam był ranny. Był na tym samym okręcie z Pułaskim, gdzie tenże umarł, i widział jak zwłoki jego spuszczone w morze. Nie bardziej nie wyjaśnia

faktu, niż przedświadczenie, że Bentalou był człowiekiem honorowym i godnym wiary. Zapewniono mnie z najlepszego źródła, że był człowiekiem, któremu wierzyć można. Po wojnie rewolucyjnej osiedlił on się w Baltimorze, ożenił się tam i służył jako dystryktowy marszałek federalny. Powaga jego jest przeto niewątpliwa we wszystkiem, co powiada o Pułaskim i o szeregółach jego śmierci.

„Książka, którą Bentalou ogłosił, a o której wspomniałem, nosi tytuł: „Pułaski usprawiedliwiony z niedopuszczalnego zarzutu dotkniętego w szkicach sędziego Johnson'a o życiu i korespondencyach generał-majora Nataniela Greene'a.”

„Zarzut, o ile sobie przypominam, był następujący: że przez zaniechanie lub nieuwagę w bitwie pod Grementownem, będąc na zewnętrznym posterunku, Pułaski nie przyczynił się do powodzenia oręża amerykańskiego.

„Znalazłem tę książkę w publicznej księgarni u nas. Jeżeli pan jęj potrzebujesz, bardzo mi będzie miło dostarczyć mu jęj. Może poszukawszy ściślej, spotkać się pan będziesz mógł z nią w której księgarni w Nowym Yorku. Ma ona formę broszury.

„Nazwisko adjutanta na kartce przesłanej memu dziadowi jest prawie nieczytelne, i nikt nie zdołał odcyfrować go, lecz wydaje się podobnym: Sinnicki lub Siński. Gdybyś pan przybył kiedy do naszego miasta i zapytał się mnie, z przyjemnością pokazałbym panu to pismo. Kartka jest bardzo krótka: dziękuje mojemu dziadowi w imieniu hrabiego za butelkę wina, w bardzo niedokładnej angielszczyźnie. Nosi ona datę 26 czerwca 1779. Obłężenie Savannah czyli raczej szturm do Savannah, odbył się w październiku tego samego roku, nniemam, że 9 października. Pułaski musiał przeto umrzeć w tym samym miesiącu. Kończę, żalując, że tak mało mogę donieść panu, i dziękując za jego uprzejme względy.

„Z poważaniem uniżony sługa

„Jakób Lynah.”

Okoliczności nie pozwoliły rodakowi naszemu zjechać się z panem Lynah'em, aby wyczytać ów nieczytelny podpis adjutanta Polaka, na onej karteczce przechowywanej z innymi relikwiami, które wszakże redukują się do kuli żelaznej i broszury Bentalou. Zawsze szlachetna to dusza eo umie cenić taką pamiątkę.

Wszakże najwięcej ma dla nas interesu portret historyczny Pułaskiego, skreślony piórem amerykańskiego historyka p. Jared'a Sparks'a (*American Biography*), który dołączam poniżej. Nie bierze on go wprawdzie w pierwszym okresie jego życia, kiedy z garstką konfederatów przez lat cztery przebiegał od Litwy do Wielkopolski, już to napadając na stanowiska rossyjskie i zadając im dotkliwie klęski, już ze zmianą fortuny idąc w rozsypkę, aby się znowu zebrać na siły i stawić czoło przeciwnikowi, lecz maluje go w chwili, gdy stanął na ziemi amerykańskiej, gdzie także mając do czynienia z niesfornością ruchawki, potrafił przecieżyć uorganizować oddział jazdy, dający się we znaki nieprzyjacielowi, a zasłaniający nieraz wojsko powstańcze od zupełnego rozbicia. Waszyngton bardzo go cenił i wysokim swoim umysłem odgadywał te przymioty, które cechowały polskiego bohatera, łączącego obok szlachetności i niezrównanej odwagi porywezość i obraźliwość, łatwo przechodzące w zniechęcenie, ilekroć małoduszna i nikczemna zawiść posagową tę postać osnuwała pajęczą siecią. Charakter Pułaskiego występuje w wizerunku Sparks'a w ryśach nader szczęśliwie schwyconych, a tém samém dopełnia tego, czego historycznemu portretowi konfederata nie dostawało. Oto jest zajmujące opowiadanie Sparks'a, cenny nabytek dla naszych dziejów przed stu laty, których widownią nie była tylko sama Polska w swoich granicach:

Dr. Franklin będący podówczas w Paryżu, pisał do generała Waszyngtona w tych słowach: „Pułaski, Polak, oficer znany całej Europie z męztwa i wytrwałości w obronie swobód swojej ojezyny przeciw trzem wielkim mocarstwom: Rosyi, Austrii i Prusom, chce mieć zaszczyt złożyć los swój w twoje ręce. Dwór tutejszy zachęca go i popiera ego podróż w przekonaniu, że nam wielkie oddać może usługi.” W innym liście mówi: „Pułaski poczytywany jest

za jednego z najdzielniejszych oficerów w Europie.⁷ Z takiem poleceniem nie mogło go ominąć gorące przyjęcie ze strony głównodowodzącego i kongresu. Przybył do Filadelfii w lecie 1777 r., i połączył się z armią z razu jako ochotnik, naśladując pod tym względem przykład Lafayette'a.

Doświadczenie jego i powodzenia głównie odnosiły się do kawaleryi, i w tym rodzaju służby pragnął być użytym. Waszyngton polecał go do téj służby w liście swym do kongresu: „Mąż ten, pisze on, równie jak my, bronił swobód i niepodległości swojej ojezyny i poświęcił majątek dla szlachetnego celu swego. Ztąd wywodzi on tytuł swój do poszanowania, które powinno przemawiać za nim, o ile dobro służby na to zezwala.” W końcu dodaje: „Chociaż kawalerya nietyle wymaga dzielnego oficera ile piechota, mąż prawdziwie zdolny, doświadczony i świątły może nam w tym fachu być niezmiernie użytecznym.”

List ten był pisany na kilka dni przed bitwą pod Brendywinem, gdzie Pulaski, równie jak Lafayette, pierwszy raz miał wstąpić w szranki w obronie wolności amerykańskiej. Jako ochotnik i bez komendy, przeznaczony był do boku gen. Waszyngtona. Dopiero po ukończeniu akeyi, zażądawszy dowództwa nad gwardyą przyboczną generała, zbliżył się nagle na strzał pistoletowy do nieprzyjaciela i zreknoskowawszy jego ruchy, wrócił i złożył rapport, że usiłuje odciąć odwrot, a mianowicie zabrać bagaże armii. Wtedy upoważniono go do zebrania takiej siły rozproszonego wojska, jaką tylko znajdzie pod ręką, i użycia jój według własnego planu, z czego wywiązał się w sposób tak nagły i świetny, iż oddając swém męstwem i rozważą ważną przysługę odwrotowi armii, usprawiedliwił sławę, jaką mu świat przyznał. We cztery dni potém kongres oddał mu dowództwo nad kawaleryą z rangą generała brygady. Nieprzyjaciel znajdował się na gościńcu lancasterskim około 23 mil od Filadelfii. Zamiarem było generała Waszyngtona, maszerując w tym kierunku, wydać bitwę generałowi angielskiemu, gdziekolwiek go spotka. Pulaski był wtedy na czele kawaleryi, lecz liczba jój była w armii za szczupłą i używana być musiała do rekonesansów, do obserwowania przednich posterunków nieprzyjacielskich i utrzymywania

komunikacyi. Armia odebrała rozkaz zatrzymania się dla odpoczynku pod karczma² Warren. Półkownik Bentalou następujące o tém opowiada szczegóły: „Pułaski zamierzając oczyścić okolicę i zrobić rekonesans, uderzył w pełnym marszu z wielkim naszym podziwem na nieprzyjaciela i na całą jego armię. Szarżując na awangardę, powstrzymał on na chwilę pochód nieprzyjacielski i w całym pędzie udał się do głównej kwatery znajdującej się na folwarku. Zażądał widzenia się z naczelnym wodzem. Powiedziano mu, że się z nim widzieć nie może, gdyż właśnie odbywa się rada wojenna. Pułaski zaczął się niecierpliwić. Na powstałą ztąd wrzawę wyszedł Waszyngton z adjutantem swym Hamilton'em, który dobrze mówił po francuzku. Nie spodziewana wiadomość, jaką przyniósł Pułaski, przeraziła generała. Półkownik Hamilton nieostrożnie czynił Pułaskiemu uwagę, że się może myli i swoich bierze za nieprzyjaciela. Uwaga Hamilton'a była naturalną, gdyż Pułaski jako cudzoziemiec mógł być w błąd ten popaść. Obraziło to jednak Pułaskiego, który gwałtownym wybuchnął gniewem. Waszyngton zbadawszy rzecz, pochwalił jego gorliwość, lecz dodał, że Hamilton nie mógł mieć zamiaru obrażania go, i w końcu zapytał Pułaskiego: „Cóż nam WPan radzisz uczynić w takim razie?” Pułaski odpowiedział, iż mniema, że oddział piechoty, złożony z około 300 ludzi razem z kawaleryą jaką rozporządza, mógłby o tyle opóźnić zbliżenie się nieprzyjaciela, iżby się przygotować można na jego przyjęcie. Oddział został natychmiast odkomenderowany pod dowództwem generała brygady Scott'a, i cała armia w największym pośpiechu zaczęła formować linię. Burza, która właśnie powstała, rozdzieliła armię w chwili, gdy przednie straże zaczęły się zacięcie ucierać. Wszystko to mogę poświadczyć, byłem bowiem z Pułaskim od pierwszego ujrzenia nieprzyjaciela aż do końca opisanego tu wypadku.”

W bitwie pod Germantownem, która nastąpiła w kilka dni później, brał on udział, na jaki zezwalała jego komenda. Jeden z pisarzy czyni mu zarzut przy tej sposobności, że będąc na przodzie armii maszerującej przeciw liniom nieprzyjacielskim, oddalił się w nocy od posterunku. Żaden inny pisarz nie wspomniał jednak o tej okoliczności. We czter-

dzieści lat dopiero podniesiono ją, a ponieważ całém swém życiem dowiódł Pulaski, że jedynym jego błędem wojskowym, jeżeli miał jaki, była zbyt duża nagłość w napadzie na nieprzyjaciela, zdaje się niesprawiedliwém utrzymywać choćby na chwilę to podejrzenie, témbardziej, że poległa tylko na domysłach i pogłosce. Kawalerya była tak rozdrobniona towarzysząc rozmaitym oddziałom armii w marszu i pełniąc inną służbę, że podczas bitwy nie mogła być wprowadzona ryczałtowo w akcyę pod swym dowódcą, nad czém ten głęboko ubolewał.

Gdy się armia cofnęła z pola do Valey-Farge, kawalerya stała w Trentonie dla dostarczenia furazu, i tam Pulaski miał główną kwaterę. Nim opuścił obóz, złożył on memoryał generałowi Waszyngtonowi, wyjaśniający stan kawaleryi i potrzebę postawienia jej na lepszej stopie. „Gdy będziemy mieli przewagę w kawaleryi, mówi nieprzyjaciel nie będzie śmiał rozciągać sił swoich, z czego wyniknie, że zamiast działać odpornie, znajdziemy niejedną sposobność działania zaczepnie i niszczenia nieprzyjaciela stopniowo, gdy przeciwnie, jeżeli nieprzyjaciel zwiększy swą kawaleryę, nie będzie mogła się zebrać, i tym sposobem odwrot nasz mógłby być odcięty, bagaże zabrane, główni oficerowie wzięci w niewolę, i mnóstwo innych fatalnych dla nas okoliczności. Bądź pewien, generale! że dobro służby jest ciągłym mojem usiłowaniem, lecz słaby stan korpusu, jakim dowodzę, czyni niemożliwym położenie wszelkiej wymaganej służby. Reputacya moja jako cudzoziemca w waszym kraju jest narażona, a najmniejszy wypadek wystarczy, aby mnie spotwarzyć; nie mogę przecież stawiać wszystkiego na grę, co jest najdroższém w życiu.”

Za przybyciem Pulaskiego do Trentonu, niezbyt zachęcające otworzyły się dla niego widoki. Píše on ztamtąd: „Nie było ani porcy siana w mieście; z trudnością tylko schronić mogliśmy głowy pod dachy. Udałem się do władz miejscowych, aby zarządziły tworzenie magazynów. Tymczasem jednak konie trzeba było żywić. Musiałem przeto podzielić kawaleryę na małe cząstki i porozysłać ją w promieniu dwumilowym od miasta, nim furaz i kwatery należące będzie można.” Píše on dalej: „Pragnę urządzić

kawalerję i uczynić ją w przyszłej kampanii bardziej użyteczną. Do jej terażniejszego stanu przyczyniło się głównie, że często przyłączana była do orszaku generała i innych oficerów na rozmaite posługi, a konie zostawały na łasce dragonów." Ze zwykłą swą energią poświęcał on się reformie jazdy i wprowadzał regularną normę ćwiczeń i karności. Półkownik Kowatsch, który był oficerem w służbie pruskiej i wielce doświadczonym instruktorem kawalerji, wziął na siebie bezpośrednio to zadanie.

Gorliwość dowódcy kawalerji wkrótce wynagrodzono przysposobieniem jazdy do akeyi. Armia w Valley-Forge zagrożona była głodem, gdyż okolica na kilka mil około Filadelfji, niepokoiona była przez furazujące oddziały nieprzyjaciela, który zabierał wszystko, cokolwiek było do jego użytku. Generał Waszyngton postanowił położyć tamę tym grabieżom, a zarazem o ile można zmniejszyć niedostatek własnego swego wojska. Generał Wayne otrzymał rozkaz z oddziałem swym oczyścić w tym celu okolicę. Miał on zabierać bydło, konie i zapasy, bez których obejść się mogli mieszkańcy dając im bony z przyrzeczeniem, że je kwatermistrz we właściwym czasie zapłaci. Pułaski miał się z częścią dragonów połączyć z generałem Wayne'm. Oba oddziały razem nadeszły do Nowego-Jerseyu naprzeciwko Filadelfji. Trzech tysięczny korpus angielski wysłany był wzdłuż rzeki Delawary, aby je otoczyć i napaść w nocy w Haddonfieldzie, lecz zamach ten odwrócony został czujnością Wayne'a. W odwrocie swym korpus ten był atakowany i trapiiony przez Amerykanów, którzy nacierali z bliska na jego tylną straż, waleząc zacięcie z jego posterunkami, mianowicie gdy się gotował do przebycia na powrót rzeki. Pułaski na czele swojej licznej kawalerji, przezorny i ostrożny szukał nieobronnej strony nieprzyjaciela i uderzał na niego niejednokrotnie z zapalem i skutecznie. Koń był pod nim ranny, lecz jego nieustraszonosc i męstwo było takie, że mu zjednały gorącą pochwałę generała Wayne'a w raporcie do naczelnie dowodzącego generała.

Po pięciu miesiącach doświadczenia, jakkolwiek zostając na czele kawalerji, przekonał on się, że nie jest to posada odpowiadająca jego oczekiwaniu, na której mógłby

odegrać rolę wyrównywającą jego nadziejom i chęciom. Natura służby była tego rodzaju, że wojsko musiało być ciągle rozdrabiane na małe cząstki, odległe jedne od drugich, oddawane pod rozkazy dowódców rozmaitych dywizyj, tak, że niepodobna było działać według ogólnego systemu, ani skutecznie na żadnym prawie punkcie. Należyto oficerowie różnych półków, działający dotąd niepodległe, niełatwo ulegali rozkazom przełożonego, szczególnie cudzoziemca nierozumiejącego ich języka, przełożonego, którego pojęcia o karności, szyku i manewrach, różniły się od tego wszystkiego, do czego dotąd byli przywykli. Te okoliczności spowodowały niejaki niezadowolony ciąg zimy w Trentonie, chociaż się formalne zażalenia nie pojawiły przeciw dowódcy.

Pułaski widząc te trudności, a nie chcąc być ich przyczyną, przekonany że im zaradzić nie zdoła, zrzekł się własnowolnie dowództwa i wrócił do głównej armii w Valley-Forge około połowy marca 1778 r. Pełen zapału dla sprawy i pragnąc być użytym w sposób taki, aby wiadomości i doświadczenie jego mogły być wyzyskane jak najkorzystniej, zaproponował generałowi Waszyngtonowi utworzenie korpusu niepodległego, któryby pod jego bezpośrednim zostawał dowództwem. Korpus ten miał się składać z kawaleryi uzbrojonej w lance i lekkiej piechoty.

Waszyngton pochwalił plan i polecił go kongresowi. Mówi on w swym liście: „Męstwo i czynna gorliwość Pułaskiego w każdej okoliczności wielki przyniosły mu zaszczyt. Rozumie się, że pragnie zatrzymać rangę swą generała brygady, i mniemam, iż daje nam do tego prawo jego charakter i bezinteresowność jego obecna.” Z tym listem przybył Pułaski sam do Yorktownu, gdzie kongres zasiadał. Propozycja jego uprzejmię była przyjętą, i upoważniono go do zaciągnięcia i uekwipowania oddziału konnego złożonego z 68 jazdy i 200 piechoty według własnego jego projektu. Oddział ten nosił nazwę legii Pułaskiego. Uczyziono to na próbę, a jeżeli plan okaże się skutecznym, miano później zwiększyć liczbę ludzi. Normę legii niezależnej pierwszy wskazał Pułaski, co się okazało nadzwyczaj-

nie ważném w późniejszych działaniach wojennych, a przede wszystkim w kampanii.

Na ten wzór sformowały się legie Lee'go i Armand'a. Pułaskiemu pozwolono werbować swych nowo zaciężnych według systemu stałego ładu i wciągać jeńców i zbiegów wojskowych. Rękojmia podobnego środka była więcéj niż wątpliwa. Generał Waszyngton sprzeciwiał się temu usilnie na początku wojny i wpłynął na kongres, aby pod tym względem przeprowadził regulacyę. Czyż można zaufać jeńcowi, którego sympatye zwracają się naturalnie do nieprzyjaciela, a tém bardziéj zbiegowi, który zawsze gotów porzucić jedną służbę dla drugiey, jeżeli mu większą przynosi korzyść? Ponieważ jednak było wielu jeńców i zbiegów niemieckich, których nie mogło być interesem walczyć po stronie Anglików, mniemano, że użyci być mogą bez niebezpieczeństwa, i w chwili obecnej uczyniono wyjątek z ogólnego pravidła.

Ludzie zaciągani byli wszyscy na nowo umyślnie do téj legii. Pułaski wziął się z wielką wytrwałością i pilnością do owego zadania. Był on upoważniony do zaciągnięcia w każdéj prowincyi, lecz raz zaciągnięci liczeni byli za część kontyngensu, jaki każda prowincya, do której należeli, obowiązana była dostawić do armii łądowej. Powodzenie było świetniejsze niż mógł się spodziewać, gdyż żadnej nie używano zachęty, prócz téj, jaka zwykła jest wszystkim gałęziom służby w armii, a 6 października stan czynny legii doszedł do 330 ludzi, a zatém o 60 więcéj niż żądała pierwotna propozycya. Legia podzieliła się na 3 szwadrony kawaleryi i 3 kompanie piechoty.

W ciągu lata, kiedy Pułaski zajęty był zaciągnięciem i organizowaniem swojej legii, nie miał sposobności wprowadzenia jéj w akcyę, lecz w jesieni część legii należała do potyczki, która bez żadnego widocznego błędu ze strony dowódcy w rozłożeniu wojska niemniéj wypadła niefortunnie.

Port w Nowym-Jerseyu był miejscem zborném amerykańskich statków korsarskich, które często czyniły wycieczki i zdobywały okręty angielskie płynące wzdłuż brzegu i z Nowego-Yorku. Wyprawa wojsk angielskich wyru-

szyla morzem, wylądowała, zniszczyła owe statki, spaliła kilka domów i dopuściła się rabunku na mieszkańcach. Pułaski otrzymał rozkaz wymaszerowania z Trentonu ze swoją legią, parkiem artylleryi i częścią milicyi dla obrony tego punktu, lecz nim zdążył, Angliey zrobiwszy swoje, wrócili na pokłady okrętów. Pułaski rozłożył się obozem mieszcząc piechotę swęj legii pod wodzą podpółkownika Bosen'a na prawém, dragonów zaś i milicyę na lewém skrzydle.

Między oficerami legii był zbieg nazwiskiem Juliet, który niedawno porzucił służbę nieprzyjacielską, i zaciągawszy się do marynarki, na własne żądanie otrzymał podporządną rangę w jednęj z kompanij legii. Z niewiadomego powodu, słusznie czy niesłusznie, surowo obchodził się z nim Bosen, i to skłoniło go do szukania pierwszej lepszej sposobności do zemścić się. Ponieważ oddział obozował w zwyż wspomnianém miejscu w poblizu brzegu morskiego, człowiek ten opuścił z innymi obóz pod pozorem rybołówstwa, a gdy żaden z nich nie wrócił, sądzono, iż utonęli, gdyż trudno było przypuścić, aby zbieg tak rychło wracał do nieprzyjaciela. Lecz inaczej się stało. Znalazł on sposobność dostania się do okrętu nieprzyjacielskiego, skreślił tam jak najdokładniej położenie obozu, siłę jaką zawierał, i najlepszą drogę do ubieżenia go. Pod jego przewodnictwem wylądowała część wojska w nocy, zbliżając się ostrożnie do stanowiska, które zajmował Bosen, i o godzinie 3-ój z rana z szaloną gwałtownością rzuciła się na obóz. Zbiega widziano między najpierwszymi. Szukał on podpółkownika, wołając po nazwisku. Bosen padł przebity bagnetem. Inni doznali tego samego losu, nim zdołała się sformować piechota, gdyż nikomu nie dawano pardonu.

Na pierwszy alarm Pułaski pośpieszył na widownię walki ze swoją kawaleryą, i wyparł z pozycyi nieprzyjaciela, który uciekając w nieładzie przez most, powyjmował z niego dyle i tym sposobem przeszkodził ściganiu konnicy, część jednak piechoty przedarła się przez most i razila strzałami tylną straż jego. Wzięto wielu jeńców i więcéj jeszcze byłoby się dostało do niewoli, gdyby bagno będące w pośrodku nie było utrudniło ruchów kawaleryi. Strata

legii według rapportu Pułaskiego wynosiła około 40 ludzi w zabitych, rannych i zapodziaanych.

Napad nastąpił z nienacka, i zdaje się, że Bosen nie zachował takiej czujności, jakiej stanowisko jego względem nieprzyjaciela wymagało. Niepodobna jednak było w żadnym razie ustrzedz się zdrady, co dowodzi jasno, jak niepolitycznym jest krokiem zaciągać i używać do służby zbiegów.

Jesień zbliżała się do kresu, i legia Pułaskiego z innym wojskiem zajęła zimowe leże w Minisinku nad rzeką Delaware w południowo-zachodnim krańcu Nowego-Jerseyu. Straszna rzeź dokonana w Cherry-Valley i nieprzyjazna postawa Indyan w zachodniej stronie Nowego-Yorku, spowodowały umieszczenie wojska w tym odległym punkcie dla obrony granic. Kawalerya Pułaskiego była najprzód w Coles-Fort, lecz przeniósł ją w inny punkt w sąsiedztwie dla łatwiejszego furazowania i ściągania żywności.

Pułaski zdawał się nie być zadowolonym ze swego położenia w owym czasie. Może zakres władzy jego nie dorównywał jego oczekiwaniom, a może też mimowolna beczynność gnębiła jego umysł, rzucając czarny cień na przyszłość. Odsłonił on to niezadowolenie w obec naczelnego wodza oświadczeniem, iż pragnie rychło opuścić służbę, przytaczając za powód interesa prywatne wymagające powrotu jego do Europy. Waszyngton odpowiedział w sposób mogący złagodzić to niezadowolenie i zmienić porywczy krok Pułaskiego. „Zapewniam pana, rzekł on, że wysokie mam wyobrażenie o twoich zasługach i służbie, jak niemniej o zasadach, które wpłynęły na udział, jaki wzięłeś w sprawie naszego kraju. Bezinteresowna i nieznudzona gorliwość w służbie, daje ci prawo do szacunku obywateli Ameryki i zapewnia ci mój szacunek!” List ten tak schlebający jego ambicyi i tak zaszczytny dla jego zasad i czynów, wpłynął na zmianę postanowienia Pułaskiego. Legia pozostała w Minisinku blisko trzy miesiące.

Anglicy zajęli już Savannah i większą część Georgii, i bardzo było prawdopodobnym, że przyszła kampania odbędzie się z całą zaciętością w południowych Stanach. Już w sierpniu przewidując przyszłe wypadki i na żądanie de-

legatów Południowej Karoliny, kongres złożył w ręce generała Lincoln'a dowództwo w departamencie południowym. W tym samym czasie istniał zamiar wysłania legii Pułaskiego na południe, lecz odroczone go do początku lutego 1779 r. Wtedy to legia otrzymała rozkaz maszerowania do Południowej Karoliny i oddana była pod dowództwo generała Lincoln'a. Rozkaz ten wykonany był z jak największym pośpiechem.

Ażebym długi marsz mógł dokonać się z większą łatwością pod względem zaopatrzenia się w żywność i inne zapasy, jako też pod względem zaciągania ludzi, legia podzieloną była na dwie dywizye. Jedna, na której czele był Pułaski, maszerowała górnym gościńcem przez wnętrze kraju; druga tymczasem złożona z piechoty i małego oddziału konnicy, szła dolnym gościńcem po nad brzegiem morza. Dywizya ta zatrzymała się na krótki czas w Williamsburgu, przybywszy tam właśnie w chwili, gdy oddział nieprzyjacielski wylądował u Chesapeake. Pułaski, zbliżywszy się z drugą dywizją do Charlestonu, powziął wiadomość, że Anglicy wtargnęli z Georgii do Południowej Karoliny i maszerują ku stolicy. Wybrał on najlepszych swych ludzi i konie, i forsownemi marszami wkroczył do miasta d. 8 maja. We trzy dni później nadeciągnęła reszta legii, i tego samego dnia 900 żołnierzy angielskich z armii, będącej pod rozkazami generała Prevost'a, przeszło rzekę Ashley i dążyło do Charlestonu.

Pułaski nie czekając, aż nieprzyjaciel nadejgnie, wyruszył z miasta z legią i garstką konnych ochotników, i uderzył na przednie jego stráže. W zamiarze wciągnięcia go w zasadzkę ustawił piechotę w dolinie po za parapetem, a sam z konnicą swoją puścił się blisko milę naprzód tuż przed front lekkokonnego oddziału angielskiego, z którym się starł i żwawą stoczył potyczkę, nim nadeciągające posiłki nieprzyjacielskie zmusiły go do odwrotu. Jego zimna krew, męstwo i pogarda osobistego niebezpieczeństwa uderzyła wszystkich, a wzór owego nagłego i śmiałego napadu wielki miał wpływ na podniesienie ducha żołnierzy i wlanie ufności w niewyćwiczone wojsko zgromadzone w mieście. Piechota niecierpliwie pragnąca wziąć udział

w rozprawie, podeszła na wyższy punkt za parapetem, i tym sposobem plan zasadzki nie udał się. Półkownik Kowatsch poległ, padło kilkunastu żołnierzy z piechoty, inni zostali ranni i dostali się w niewolę.

Armia angielska pod Charlestonem wynosiła 3,600 ludzi; wojsko amerykańskie w mieście złożone z milicyi karolińskiej i dwóch półków lądowych, liczyło około 3,600 ludzi. Miasto wezwano do poddania się. Rzecz tę oddano pod rozważę gubernatora i rady; jeden i druga skłaniali się do kapitulacyi miasta pod jak najkorzystniejszymi warunkami. Generał Lincoln maszerował od strony Savannah z 4,000 ludzi, lecz nie można się jego było dość rychło spodziewać, aby dać mógł odsiecz, gdy tymczasem klęski oblężenia i szturm przerażały mieszkańców i władze cywilne.

Gdy szala decyzyi chwiała się, chyląc się na stronę kapitulacyi, Pułaski wszedł do sali radnej, zaklinał, aby nie powodowano się trwogą, i wyraził silne swe przekonanie, że miasto z wojskiem, jakie się w niem znajduje, pomimo utraconych już fortów, może się bronić i powstrzymać nieprzyjaciela, póki go generał Lincoln nie zmusi do odwrotu. Odważna ta przestroga dana przez oficera tak doświadczonego i tak uznanego talentu wojskowego, ożywiła nadzieję rady. Gorąco została ona popartą przez generała Moultrie'go i półkownika Johna Laurens'a, młodego człowieka, słynnego ze zdolności i męztwa, z patryotyzmu i wykształcenia umysłu, oraz niengiętości charakteru, oficera, który przed końcem wojny życie utracił w bitwie. Zjednoczone zdanie i gorliwe usiłowania tych oficerów ocaliły miasto od upokorzenia kapitulacyi. Odpowiedziano, że wszelkie rokowania zakończyły się. Generał Prevost cofnął się téj samej nocy za rzekę, lękając się zapewne, żeby generał Lincoln nie dał odsieczy miastu, nim on je siłą zdobędzie.

Ponieważ nie było pewności, jaki kierunek nieprzyjaciel obierze, Pułaski wyruszył natychmiast ze swoją kawalerją i częścią konnych ochotników na rekonessans. Dotarł on aż do mostu w Dorehesterze, gdzie chciał jak najrychlej dostać języka dla generała Moultrie'go w miejscu i Lincoln'a maszerującego z głębi kraju. Kiedy się to działo, generał Prevost przerzynał się pomiędzy wyspy, dając łatwy

przystęp jego łodziom i statkom, i unikał walki z przeważną siłą w razie, gdyby się Moultrie i Lincoln połączyli razem. Minąwszy wyspy Świętego Jakóba i Świętego Jana, bezpiecznym już był od starcia i pozostał tam przez trzy czy pięć tygodni. Wśród tych ruchów legia Pulaskiego nużyła jego armię na każdym punkcie, gdzie natrzeć na nią było można, i raz żwawą stoczył z nią utarczkę, w której dwóch jego oficerów poległo, lecz wkrótce połączył się z generałem Lincoln'em i działał pod jego rozkazami. Nieustannie używany był do rekonessansów, chociaż mocno chory na febrę. Miał on wylądować na wyspę Św. Jakóba pod dowództwem generała Moultrie'go, w czasie działań generała Lincoln'a pod Stono, lecz wylądowaniu temu i współdziałaniu przeszkodził brak czółen.

W początku lipca wrócił generał Prevost do Savannah, zostawiwszy oddział w Beauforcie pod pólkownikiem Maitland'em. Czynne działania ustały, i generał Lincoln zajął pozycję pod Sheldonem, w miejscu zdrowym w pobliżu Beaufortu. Pulaski wrócił do Charlestonu dla odzyskania zdrowia, które się zachwiało przez ciągle narażanie się w okolicy nizkiej i bagnistej, podczas gorącej pory roku.

W dniu 3 września doniesiono generałowi Lincoln'owi będącemu podówczas w Charlestonie, że hr. d'Estaing znajduje się przy brzegu ze znaczną flotą francuzką, gotową wspólnie z nim działać w odzyskaniu Savannah. Dnia następnego oficer francuzki przybył do miasta i ułożono plan działania. Półkownika Laurens'a wysłano z depeSZami do hr. d'Estaing. Wojska miały jak najspieszniej maszerować do Georgii, wojsko francuzkie zaś wylądować w Benleanie u ujścia rzeki Savannah i połączyć się w pobliżu Savannah.

W ciągu dni 6 przybył generał Lincoln z armią do Zubly o kilka mil przed Purysburgiem. Statek i jedyne czółno były całą siłą wodną, która musiała przeprowić wojsko przez rzekę Savannah. Nie mogły jeszcze nadpłynąć łodzie zamówione w Auguscie, ani nadciągnąć generał MacIntosh, którego oddział będący w tém mieście, miał się połączyć z całą armią. Wiadomém było, że posterunki nieprzyjacielskie znajdowały się w Ebenxerze na stronie przeciwniej, a nadzwyczajnie było rzeczą ważną rozpoznawać

z pewnością ich siłę i rozkład. Do tego celu użyto czółen. Każde z nich mogło najwięcej pomieścić trzech ludzi. Na jednym z takich czółen wyprawił Pułaski żołnierza z całym ryszunkiem, który trzymał za cugle konia płynącego obok czółna. Próba powiodła się, i w ten sposób 20 do 30 ludzi razem z końmi dostało się na ląd. Dowództwo oddziału dane było kapitanowi Bentalou'owi, który otrzymał rozkaz dotrzeć do nieprzyjaciela i dostarczyć języka. Prawie trzechemilowa droga poprzerynana była strumieniami tém trudniejszemi do przebycia, że trzeba było naprawiać kilka mostów. Wreszcie spostrzeżono dwie reduty, strzegące wnijscia, lecz opuszczone od niedawna. Była to szczęśliwa okoliczność dla awanturniczego wojska, gdyż inaczej byłoby odcięte, nie doczekawszy się posiłków. Kapitan Bentalou maszerował naprzód nienagabywany przez cały dzień następny; posterunki wszystkie były zwinięte i reduty opuszczone, gdyż nieprzyjaciel cofnął się po za linię Savannah. Późno wieczorem Bentalou zatrzymał się przed miastem. Około północy doszedł głos cichy komendy. Był to głos Pułaskiego, który przedarł się z resztą legii. Miejsce niedość było obszerne dla pomieszczenia takiej liczby, zwrócono się więc pierwszym gościńcem w prawo, który prowadził przez las, i obozowano na płaszczyźnie. Nazajutrz z rana otrzymał on wiadomość o wylądowaniu hr. Estaing'a i uprzejmy list od niego, w którym wyraża, „iż wiedząc, że Pułaski tam się znajduje, pewien był, iż pierwszy z nim się połączy.” Od tego czasu aż do połączenia się obu armij pod Savannah, co się stało we cztery dni później, legia używaną była bez przerwy. Trzeba było wyteżać nadzwyczajną czujność i przezorność, gdyż armie zbyt były odległe od siebie, aby się posiłkować. Pułaski zmienił kwaterę swoją co noc, trzymając się zwykle o 6—7 mil od miasta, i prowadząc lub wysyłając oddziały do ataku na pikiety nieprzyjacielskie. Niektóre z nich odcięto i brano jeńców. Pułaski spotkał hr. d' Estaing w marszu od miejsca wylądowania, i serdecznie przez niego był przyjęty. W końcu oba wojska zeszyły się razem w dniu 16 września, obsaczono miasto tegoż dnia; wojsko francuzkie zajmowało prawe, amerykańskie lewe skrzydło. Nie jest

zamiarem tego opowiadania podawać szczegóły oblężenia. Pułaski w swojej sferze działania w zupełności utrzymał sławę nabytą przeszłością swego zawodu, jako mąż wielkiego talentu wojskowego. Podczas oblężenia Lincoln otrzymał wiadomość, że część wojsk nieprzyjacielskich puściwszy się w górę rzeki Ogeehee wylądowała poniżej twierdzy. Pułaski wysłany został ze swoimi dragonami, aby na nich uderzyć. Wpadł on niespodziewanie na ich obóz, zabrał wielu jeńców i rozpuścił resztę, która szukała schronienia na pokładzie swoich okrętów.

Znużony oblężeniem i troskliwy o bezpieczeństwo floty, hr. d'Estaing postanowił w spóźnionej już porze przypuścić szturm do miasta. General Lincoln przystał na to, lecz niechętnie, gdyż była wszelka nadzieja, że za kilka dni miasto wzięte być może regularnymi approszami; hr. d'Estaing nie mógł się jednak oprzeć oficerom swojej marynarki. Stosownie do tego oznaczono miejsce szturm. Zaczęto sypać reduty w północnej stronie linii nieprzyjacielskich. W rozkazie dziennym następnie jest powiedziano: „Kawalerya pod rozkazami generała Pułaskiego postępować będzie równocześnie z picchotą w tyle po za lewą kolumną wojsk francuzkich, po przed kolumną lekkich półków amerykańskich, starać się będzie wtargnąć w linie nieprzyjacielskie między baterią na lewem skrzydle reduty Spring-Hill i najbliższą ku rzece.”

Szturm przypuszczono i szturmujący zostali odparci. Sierżant armii amerykańskiej zawiadomił generała angielskiego o wydanym rozkazie do szturm dość wcześnie, aby ten znając cały plan, mógł jak najstosowniej rozporządzić swemi siłami. Kolumny zbliżające się do redut, przyjęte były strasznym ogniem z baterij nieprzyjacielskich. Francuzka i amerykańska kolumna, każda na osobną miała uderzyć redutę. Podpółkownik Laurens zdobył parapet reduty pod rześystym ogniem. General Mac-Intosh przedzielał się odważnie do innej reduty. Kolumnę francuzką prowadził osobiście hr. d'Estaing. Dla skrócenia okrążającej drogi przekroczył wprost bagno i otrzymawszy dwie rany, odniesiony został z pola bitwy. Wojsko jego przeszło zasieki, lecz ogień był tak silny, że małe to wywarło wrażenie.

Kawalerya znajdowała się w aryergardzie przednich kolumn, lecz wśród zamętu, jaki się objawił we froncie, wśród ciemności sprawionój dymem, Pułaski nie był pewien, gdzie ma działać. Aby się objaśnić pod tym względem, postanowił poskoczyć naprzód aż w sam wir walki i wezwał kapitana Bentalou, aby mu towarzyszył. Zaledwie kilka kroków ujechali, posłyszeli wrzawę popłochu w pośród bagna, pochodzącą z kolumny francuzkiej. Chcąc wlać ducha w wojsko swą obecnością, ruszył pędem w to miejsce, otrzymał ranę w pachwinę od kuli muszkietowej i spadł z konia w pobliżu zasieków. Kapitan Bentalou również był ranny od kuli. Pułaski pozostał na placu, póki całe prawie wojsko nie ukończyło odwrotu. Wtedy kilku ludzi z jego półku wróciło i zaniósło go pod ogniem karabinów nieprzyjacielskich do obozu.

Po tém nieszczęśliwém usiłowaniu zaniechano dalszego działania przeciw Savannah. Wojsko francuzkie wróciło na okręty, a generał Lincoln pomaszcerował do Południowej Karoliny. Obaj dowódcy i obie armie rozeszły się w zupełnej harmonii, bez żadnych wzajemnych zarzutów z powodu tak mało zadawalającego powodzenia.

Ogień trwał tylko 55 minut, a według d-ra Ramsay'a strata Francuzów wynosiła w zabitych i rannych 637 a strata Amerykanów 264 ludzi. Jest to dowód męstwa, z jakim Amerykanie szli do szturm, i przeważnej siły, jaką generał angielski zebrał w punkcie ataku.

Pułaski i kapitan Bentalou przeniesieni zostali na pokład dwumasztowego okrętu Stanów Zjednoczonych „Wasp,” który się znajdował wśród floty francuzkiej. Statek pozostał kilka dni na rzece Savannah. Rany kapitana nie były niebezpieczne; najrzęczniejsi chirurdzy francuzcy udzielali wszelkiej możliwej pomocy Pułaskiemu. Sztuka jednak nie dopisała, gdyż rana była śmiertelna. Umarł on, gdy statek opuszczał ujście rzeki, i ciało jego złożono w wodnym grobie. Tak się zakończyło życie tego znakomitego wojownika zbyt wczesnie, bo w 32-gim roku.

„Wasp” zawinął do portu w Charlestonie z flagą u półmasztu. Ten sam sygnał powtórzyły wszystkie okrę-

ty w porcie i warownie, oraz baterye około miasta. Żalobna wiadomość o śmierci jego głębokie wywarła wrażenie na mieszkańcach, i wszystkie ich warstwy zjednoczyły się w okazaniu żalu i uczczeniu pamięci męża, który poświęcił życie w walecznej obronie ich sprawy. Gubernator i rada Stanu, oraz władze municypalne Charlestonu objawiły jednomyślną cześć wspomnieniu jego. Poświęcono dzień na uroczystość żalobną. Całun nosło trzech oficerów francuzkich i amerykańskich; po za nimi postępował koń, na którym Pułaski śmiertelną otrzymał ranę, z jego zbroją, rynsztunkiem i mundurem. Pełną wrażenia mowę powiedział kapelan armii.

Kongres uchwalił wzniesienie pomnika na pamiątkę Pułaskiego, obowiązując tém naród do spłacenia długu wdzięczności. Dług ten nigdy nie był spłacony. Uchwała pozostała w dziennikach, do których dostała się przed 65 laty, jako wskazówka zasług walecznego męża, oraz zapomnienia o niewdzięczności narodu. Fakt ten nie jest jednak odosobniony. Ku pamięci wielu innych oficerów, którzy położyli życie walcząc za ojczyznę, kongres zawołał tę samą nagrodę, i we wszystkich wypadkach, wyjąwszy bohaterskiego Montgomeryego, uchwała pozostaje dotąd jako płonny dokument, zaniebany, zapomniany, będący wyrzutem dla wspaniałomyślniej sympatii i ducha sprawiedliwości narodu. Ludzie prywatni szlachetniejszą odegrali rolę i przyczynili się do złagodzenia zarzutu, jaki spada na ich ojczyznę. Gdy Lafayette odwiedzał Savannah, podczas tryumfalnego swego przejazdu przez Stany Zjednoczone, położył z właściwą uroczystością kamienie węgielne pod dwa pomniki w tém mieście, jeden na pamiątkę generała Green'a, drugi dla Pułaskiego. Oba wzniesiono szczodrobliwością obywateli Georgii.

Wypadki z życia Pułaskiego po krótcie tu skreślone, dadzą czytelnikowi pogląd na jego wzniosły charakter wojaskowy.

Wśród poduszczeń skrajnego stronnictwa i zatargów wojny domowej, nigdy on się nie ważył z frakeyami, któ-

re ojczyznę jego nurtowały, ani też popadał w niezgodę z wojskowni swymi współziomkami. Żołnierze kochali go jak brata i znosili trudy niebezpieczeństwa, ilekroć ich zachęcał przykładem lub słowem. Posiadał on w wysokim stopniu siłę pozyskiwania i kierowania ludźmi, siłę rzadką, gdyż nietyle jest ona owocem wielkiego taktu, ile darem natury. Energiczny, czujny, nieznużony w dążeniu do swego celu, odważny, obfity w pomysły, zimny w niebezpieczeństwie, stanowczy i wytrwały, był on zawsze przygotowany do wypadków i zdolny spełnić swoje zamiary z jak najlepszym powodzeniem. Wierny swoim zasadom, był nieugięty w ich przeprowadzaniu. Gorąca miłość ojczyzny i jój swobód i nadzieja polepszenia jój doli, były sprężynami, które poruszały jego umysł, ożywiały zapał i wzmacniały ramię jego w bitwach, póki reszta nadziei nie została stłumiona w ciężkiej kolei wypadków.

Podczas krótkiego jego zawodu w Ameryce, dostrzegaliśmy tych samych rysów charakteru, tych samych niezachwianych zasad działania. Że pozyskał i zachował przyjaźń Waszyngtona, który nieraz publicznie podnosił jego talenta wojskowe, jego bezinteresowność i gorliwość, dostatecznym jest dowodem jego zasług jako oficera i charakteru jako człowieka. Czynność jego była nieustająca, a męstwo w każdej objawiało się okoliczności, ilekroć miał sposobność spotkania się z nieprzyjacielem. Poświęcił on się naszej sprawie jak własnej, harmonizowała ona bowiem z jego zasadami i wszelkimi popędami jego natury, sprawą wolności i praw ludzkich; w obronie ich utracił on życie, zyskując tym sposobem najwyższy ze wszystkich tytułów do pamięci i wdzięczności narodu.

Jużby na tym wizerunku można było poprzestać, tak się skończonym wydaje; jednakże nie będąc zbyt psutymi przez cudzoziemców dotykających się naszej historii, lub

naszych ludzi, czujemy się podniesieni na duchu, ilekroć doleci nas sympatyczne słowo od obcych. Takie też wrażenie robi poniższy obrazek Amerykanina, Jerzego Lipard'a, który poctycznym pendzlem skreślił postać Pułaskiego, można nawet powiedzieć, że mu pisany posąg postawił, tak uplastycznił ideał bohatera szlachcica polskiego.

„W bitwie pod Brandywine'm, po raz pierwszy Pułaski ukazał się w całej swojej aureoli, kiedy szarżując wpadł w najgorętszy wir walki; był on wojownikiem, którego dość było raz tylko widzieć i nie zapomnieć nigdy.

Na karym rosłym koniu, którego siła i piękność kształtów musiała uderzyć każdego, Pułaski licząc 5 stop wzrostu, z piersią szeroką i żelaznemi członkami, widny był z daleką w szarym obłoku bitwy.

Twarz jego nosząca wyraz nieszczęść Polski, była twarzą człowieka, który widział wiele, katastrof przecierpiał wiele.

Ocieniał ją nieruchomy jakiś wyraz melancholii. Cerej jej brązową ożywiało wielkie czarne oko, wargę czernił gęsty wąs; rześista broda ocieniała policzki, a włosy w kruczonych kędziarach spływały z pod wojskowego kaszkietu, obwiedzionego paskiem z błyszczącej stali.

Pałasz, który wisiał u jego boku, ukuty z hartownej stali z żelazną rękojeścią, sam tylko właściciel jego był w stanie podnieść.

Z tym rynsztunkiem wyjeżdżał do bitwy, mając za sobą hufiec z 300 ludzi opalonych od zwrotnikowego słońca lub zahartowanych śniegiem północnym, ze śladami wielu bitew na twarzach. Byli to po większej części Europejczycy, garstka Niemców, garstka Polaków, garstka zbiegów z armii angielskiej. Tacy to ludzie występowali do walki; dać się wziąć w niewolę Anglikom równało się śmierci lub szubienicy, dla tego bili się jak lwy; walczyć woleli raczej do ostatniego tchu, niż wymówić słowo: pardon!

Do szarży szli jak jeden człowiek, trzysta szabel błyszczało nad ich głowami w chmurze bojowego pyłu.

Napad ich na nieprzyjaciela odbywał się w przerażającym milczeniu bez jednego słowa, bez szeptu.

Słyszałeś tylko tętent koni, szczęk oręża, i nic więcej. Gdy się zwarli z Anglikami, rozlegał się łoskot jakby stu młotów bijących w gorące żelazo na kowadle. Widziałeś samego Pułaskiego w białym mundurze, a koń jego kary wspinał się, kiedy wstrzymując go ze zwróconą w bok głową mówił do swych żołnierzy:

— „Forwarts! Brudern! Forwarts!”

Mówił łamaną niemieczyzną, lecz rozumiało go owych trzystu ludzi z opalonymi twarzami, ranami i bliznami. Te słowa rzucały ich nawalą na nieprzyjaciela. Kilka zaledwie chwil słychać było chrzęst ich pałaszy, a ziemia okrywała się poległymi, gdyż żywi z przestachem uciekli z pola bitwy.

Podczas bitwy pod Brandywine'm hrabia był u zenitu swój chwały.

Mało on rozumiał po angielsku, gdy więc miał co powiedzieć, mówił ostrzem pałasza. Był to straszliwy człowiek, lecz Anglicy rychło nauczyli się go czytać i rozumieć.

Wszyscy na polu bitwy od Quaker-meching-house aż do wierzchołka Osbornes Hill, żołnierze nieprzyjacielscy widzieli zbliżającego się Pułaskiego i umieli imię jego na pamięć.

Ten biały mundur, ta twarz brązowa, ten koń kary z ognistemi oczyma i parszczącymi nozdrzami, znany był nieprzyjaciółom, drżeli gdy posłyszeli jego komendę:

— „Forwarts! Forwarts! Brudern, Forwarts!”

W odwrocie z Brandywine'u najstraszniejsi byli Polacy. W chwili gdy oddział Sulixan'a źle uzbrojony, nędznie żywny, w podartych mundurach, ustępował krok za krokiem przed zwyciężkim porządkiem Anglików, Pułaski na swym szatanie-rumaku, wyglądał jak geniusz bitwy.

Kaszkiet spadł mu z czoła. Odkryta jego głowa świeciła pod przypadkowym promieniem słońca, albo oblewała się szkarlatem od ognia działowego lub karabinowego.

Biały jego mundur poszarpany i poplamiony, od stop do głowy pokryty krwią i pyłem.

Jeszcze prawe jego ramię było wolne; jeszcze miał niemiłą śmierć między najemników angielskich, jeszcze słyszano głos jego chrapliwy i gromki, lecz silny rozkazem: — „Forwards! Brudern!”

Widział on dywizję Sullivan'a ustępującą z pola, widział Amerykanów rzucających swe juki w ucieczce.

Spoglądał ku południowi za Waszyngtonem, który z rezerwą pod Green'em śpieszył na pole walki, lecz naczelnika amerykańskiego nie było.

Pułaski trząsł się ze wściekłości.

Wpadł szalenie na bagnety nacierającego nieprzyjaciela, pałasz jego zmiatał ofiarę po ofercie nawet we froncie całej armii nieprzyjacielskiej, puścił się za uchodzącymi Amerykanami, zaklinał ich w łamaną, angielszczyznę, aby się zawrócili i raz jeszcze sił swych popróbowali, wołał chrapliwym głosem, że dzień jeszcze niestracony.

Słów jego nie rozumieli, lecz głos ten wibrował w ich żyłach.

Obraz ten widny w polu bitwy, wojownik przepalony szaleńcami, okryty krwią, wsparty na karku rumaka, gdy oczy jego zwracały się na błysk ognia i muskuły jego twarzy brązowej grały jak kłębujące węże, obraz ten, mówię, niejedno serce napelniał męstwem, wlewał siłę w niejedno zranione ramię, tak, że było walczyć gotowe.

Żołnierze zatrzymali się w odwrocie, zwrócili się, spojrzeli znów w twarz nieprzyjacielowi, i jak wilk w zapasach z psami, wpadli na kark Anglikom, i w rozpaczliwej szarży... ulegli.

Mało ci znają charakter Waszyngtona, co go zowią amerykańskim Fabiuszem, wzorem rozsądku i przezorności; bez iskry inicyatywy.

Fabiusz amerykański!... Jeżeli w rzymskim Fabiuszu pokażecie serce ogniste, żelazną siłę, duszę głodną czynu i działanie, które rzuca niewyćwiczoną garstkę na taką

armię jak angielska pod German-Townem lub zrywa się na hordy takie jak Hesi pod Trentonem, wtedy sławie Fabiusza dam prym nad Waszyngtonem.

Owo porównanie bohaterów naszych z barbarzyńskimi półbogami Rzymu zdradza tylko ubóstwo umysłu tych, którzy je stawiają.

Porównywać Brutusa, mordercę przyjaciół swoich, z Waszyngtonem, wyswobodzicielem ludu swego!! Co za żebractwo myśli! Nauczmy się raz być samymi sobą i znajmy naszych wielkich mężów takimi, jacy są, nie porównując ich z barbarzyńskimi wielkościami stariej Romy.

Uznajmy, że Waszyngton nie był negacyą, lecz z jednęj sztuki odlanym bohaterem, geniuszem.

Prawda ta najbardziej wyszła na jaw w bitwie pod Brandywine'm.

Przybył on na pole bitwy, ujrzał wojsko swe rozorane przez Anglików, słyszał imię własne wpośród krzyku kolumn, i nie bacząc na niebezpieczeństwo, wpadł między swoich żołnierzy.

W téj chwili Waszyngton w srogich znalazł się opałach.

W strasznój porażce odwrotu, Waszyngton wpadłszy w samo centrum walki, zamieszał się wśród nieprzyjaciół na szczycie wzgórza, w stronie południowo-zachodniej od Meeting-house, gdy tymczasem Pułaski zjawił się z uśmiechem tryumfu na ustach, aby raz zmierzyć się jeszcze z falangą czerwonych mundurów.

Waszyngton w straszném był niebezpieczeństwie, wojsko jego parte ku południowi, Anglicy coraz ciaśniej otaczali wzgórze i jego, gdy Pułaski na wzgórzu o kilkaset sążni odległém oganiał się hordzie Hanowerczyków.

Była to świetna zdobycz, ów pan Waszyngton wśród armii angielskiej!

Nagle zwrócił się Pułaski, oko jego dojrzało siwego rumaka i jego jeźdźca, rozwinął szeregi żołnierzy, na war-dze jego ocienionój wąsem pogardliwy zaigrał uśmiech, podniósł w górę pałasz... i wskazał nim jeźdźca na siwym rumaku.

Na znak ten, żelazny hufiec zwrócił się, i szary, silny, zwarty zastęp, ruszył doliną jak piorun z chmury—trzysta mieczów błysnęło w mdłym promieniu słońca, i Pułaski unosząc się całą wysokością postaci, z marszem na czole i dzikim wyrazem na ustach, pędził jak widmo, pędził, oczy utkwiał w siwego rumaka i jeźdźca, a hufiec jego miał tylko jedno spojrzenie, jedną wolę, jedno hasło: „Waszyngton!” Amerykańskiego wodza otoczyło w około wojsko angielskie, pewne już swojego łupu i w myśli już widzące trupią głowę Waszyngtona, zawisła na bramie Londynu.

Lecz cóż znaczy to drganie ziemi w dolinie?

Ów tętent kopyt końskich—cóż on zwiastuje?

Owo złowrogie milczenie i znów ten gwar bezsłowny, bezimienny, ów półkrzyk trwogi, pół hurra! co brzmi od strony żelaznego hutca, gdy poczuł swą zdobycz,—cóż to wszystko znaczy?

„Pułaski z nami!” popłoch armii angielskiej, to nasz sprzymierzeniec.

Jest już na placu z rycerskim hufcem. Chwila—i rzucił się na Anglików, którzy zgnieceni, zmieszani, umierający, zaścielają zieloną murawę, i minął wzgórze i Waszyngtona.

Jeszcze chwila, i hufiec zwrócił się na powrot tą samą drogą śmierci, którą przybył. Czerwoni żołnierze rozpierzchli, zbici, zgnieceni, uciekają ze wzgórze, gdy tymczasem hufiec żelazny oczyszcza przestrzeń na około Waszyngtona, okala go piersiami i stałą mieczów, echo jego imienia brzmi w powietrzu, i z oznakami radości żołnierze wprowadzają go pod zasłoną zastępów amerykańskich.”

„Pod Savannah ostatnia wybiła godzina dla Pułaskiego.

Widzę go jeszcze w zmroku nocy objężdżającego szaniec; kary koń jego wspina się, dwieście żołnierzy idzie w ślad za nim.

Prosto, nie spoglądając ani na prawo, ani na lewo, sunie naprzód, z okiem wpatrzoném w działa angielskie, z mieczem błyszczącym nad głową.

Po raz ostatni słyszano jego komendę: „Forwards, Brudern, Forwards!”

I ujrzeni karego konia, jak błyskawicą pomknąwszy osadził się depeąc przednimi nogami działo nieprzyjacielskie, a jeździec tymczasem wzniosł się na nim do całej wysokości swój postaci z twarzą opromienioną falą czerwonego światła.

Gdy blask ów zagaś, Pułaskiego już nie było! Znalezione go pod działem nieprzyjacielskiem, zabitego tą samą kulą, która konia jego zabiła—tak jest, znaleziono konia i jeźdźca zabitych; szlachetne oblicze wojownika świeciło wśród cieniów północy szklanemi oczyma.

Tak zakończył on w całej pełni swój chwaly. Zginął, zginął z silną nadzieją, że Ameryka będzie wolna... i nadzieja jego spełniła się..”

Artykuł ten napisany był z okoliczności znalezienia zwłok Pułaskiego; lecz gdy się okazało, że ciało jego znalazło grób w morzu, życzenie więc autora [co do sprowadzenia tych zwłok spełnić się nie może... Niechże przynajmniej szlachetne współczucie wiąże się z żywą pamięcią o bohaterze... Także okoliczności zgonu inne są w podaniu p. Lynah'a, a inne w artykule p. Sparks'a; pierwsze oparte na świadectwie naocznego świadka, zdaniem naszym mają więcéj powagi za sobą.

XIV.

KSIĄŻĘ KAROL DE LIGNE.

I.

Nie mię bardziej nie zadziwia w ludziach XVIII wieku, nad ową ich energię życia, dotrzymującą im kroku do najpóźniejszych lat, gdy przeciwnie w naszym pełno spotyka się ludzi, jeszcze młodych, a już złamanych, czy nasyconych życiem. Nie jedna, ale zapewne wiele przyczyn składa się na ten społeczneński fenomen, nad którym nie myślę się tutaj zastanawiać, zwłaszcza że mam wyłącznie mówić o człowieku, który doczekał się czterstwej starości, a przez ciąg długiego żywota skupiał w sobie wszystkie rysy charakteryzujące wiek XVIII, jeden z najruchliwszych, niemal awanturnicznych wieków. Wielki pan, żołnierz tehnący rycerską odwagą, i to w wojnach nie po siedm dni, lecz po tyleż lat trwających; dworak na monarszych pokojach, trochę dyplomata, ozdoba i uciecha salonów, wielki pogromca pleci pięknej, niewyczerpanej zalotności i niewyczerpanego dowcipu; poeta, pisarz porywający lekkością stylu, a traktujący nieraz najpoważniejsze i najwyższe przedmioty polityki, sztuki wojskowej, filozofii; bystry i trafny w poglądach, w słowie cięty i nigdy odpowiedzi niedłużny; zasadom i przekonaniom swoim wierny w największych nawet burzach i przewrotach rewolucyjnych:—

taki był książę Karol de Ligne, magnat belgijski a feldmarszałek austriacki.

Niegdyś dowcipy jego powtarzane w kołach towarzyskich, były korzenną zaprawą salonowej konwersacji i przelatywały one z ust do ust po stolicach europejskich. Dziś zapomniano o tych dowcipach, jak i o samej jego osobie. Nie dziwnego! Należał on bowiem do rządu ludzi, którzy tak zrosli się ze swoją epoką, że kiedy ta się oddali, i oni z nią giną w niepamięci.

A jednak żal byłoby zapomnieć o tym pięknym typie, w którym zlewały się więcej dobre i szlachetne niż płaskie i ujemne własności wieku, będącego ojcem dzisiejszości. Jest to bowiem ślicznie malowany portret w steku innych robionych przez partaczów, który ściera na siebie oczy widza, zwiedzającego galerię historycznych portretów ubiegłego stulecia.

W literaturze, jak wiemy, pociąga teraz przyjazny wiatr dla monografii żywotów, więc też zdarzają się często restauracje zapomnianych portretów, szczęśliwe i pożądane, jeżeli wizerunek wart tego, daremne i niepoczesne, jeżeli sztuka restauratora wysiła się odnowić to w pamięci, co na pamięć nie zasługuje, a tylko próżnej ciekawości dogadza.

Jedną z takich restauracyj nieco zapomnianego wizerunku wykonał hr. Thürheim; jest to żywot feldmarszałka Karola Józefa księcia de Ligne, zwanego „ostatnim kwiatem Wallonów” (*Feldmarschal Karl Joseph de Ligne, die „letzte Blume der Wallonen,” eine Lebensskizze von A. Grafen Thürheim—Wien 1877*).

Aczkolwiek osoba tego księcia więcej mogłaby interesować Belgię i Francję pod względem jego pism w języku francuskim, a pod względem zasług wojskowych Austrię, z tém wszystkiém była ona tak wmieszana w ogólną historję swojego czasu, że bynajmniej nie da się traktować obojętnie, choćbyśmy się zastawiali nawet wyłącznością naszych spraw i interesów domowych, albowiem książę de Ligne wcale nie był obojętną dla nas figurą, raz jako zaszczycony indygenatem polskim, potem jako szczerze interesujący się losem Rzeczypospolitej, a nareszcie jako związkiem krwi połączony z domami polskimi.

Wziąwszy to na uwagę, zamierzyłem podług zajmującej monografii hr. Thürheim'a, podać wybitniejsze rysy z życia księcia de Ligne i dopełnić je roztrząśnieniem tego memoriału, jaki o Polsce skreślił, w chwilach bardzo stanowczych, bo rozstrzygających jój hamletowski monolog: „Być albo nie być.”

*

*

*

Bardzo starożytny dom książąt de Ligne wywodzi swoje nazwisko od miasteczka Ligne w Hanagawii (*Hainaut, Hanagavensis comitatus*) prowincyi belgijskiej; gałęziami jego są świetne rody Arenberg'ów, Archott'ów, Chimay'ów i Barbanson'ów. Wszystkie najwyższe godności dworu hiszpańskiego i austriackiego sływały na tę rodzinę, której gniazdownem siedliskiem był zamek Belveil.

Pomijam świetny rodowód, ciągnący się przez całych siedm stuleci, a zatrzymuję się nad datą 23 maja 1735 r. jako będącą dniem przyjścia na świat w Brukselli Karola Józefa księcia de Ligne. Ojcem jego był książę Klaudyusz Lamorel de Ligne, feldmarszałek w służbie austriackiej, matką księżniczka Elżbieta z Salm'ów.

Ponieważ matka wcześniej go odumarła, ojciec zajął się wychowaniem syna i posprowadzał do niego kilku guwernerów duchownych i wojskowych z Francyi tak różniących się między sobą co do zdań religijnych, że z jedynymi, jak sam powiada, był molinista, a z drugimi jansenista, gdy zaś przyszło przystąpić czternastoletniemu chłopcu do pierwszej Kommunii, trzeba się było udać do miejscowego proboszcza, aby go nauczył katechizmu i przygotował do spowiedzi.

Niezdarnych tych nauczycieli odprawił ojciec, a dał mu za mentora światłego Jezuitę, de la Porte, który go nie odstąpił aż do chwili wejścia do wojska i ożenienia się. Uczeń tak mówi o tym mistrzu: „On to przyniósł z sobą i zaszczerpił we mnie tę miłość ludzi, nauki i światowej ogłady, które robiły cały mój urok, a kształcając zarazem serce moje i umysł, zarobił sobie na tém większą wdzięczność z méj strony, że w przekonaniu mojem, jemu jednemu

winien jestem, jeżeli ze mnie zrobił człowieka.” W rzeczy samej zasady i nauki księdza de la Porte musiały się głęboko zakorzenieć w tym żywym i wrażliwym charakterze, kiedy potrafiły się oprzeć wszystkim libertyńskim szaleństwom i namiętnym wyuzdaniom owego rozhukanego wieku.

Młody książę pod kierunkiem księdza de la Porte odbył klasyczne studia z korzyścią, a marząc ciągle o czynach rycerskich, z największym upodobaniem czytywał historję swoich dwóch ideałów, t. j. Karola XII i Kondesusa, których laury sen mu odbierały. Zgadzało się to z widokami ojca, przeznaczającego mu zawód wojskowy. Jakoż w siedemnastym roku życia wstąpił do pólku piechoty swego ojca w stopniu chorążego. Dzień ten, kiedy po raz pierwszy ubrał się w biały mundur z różowemi wyłogami, liczył on do najszcześniejszych chwil całego życia.

Pomimo oficerskiego stopnia dalej szły jego nauki, szczególnie w sztuce wojskowej tak co do teoryi jak praktyki, i to we wszystkich rodzajach broni. Pierwsze zaś wystąpienie jego na wielkim świecie było na dworze brukselskim, gdzie wielkorządcą był książę Karol lotaryński, szwagier Maryi Teresy. W wir hucznych zabaw porwany młody chorąży zbierać zaczął salonowe wawrzyny, i tu odbył tę pierwszą szkołę, która go usposobiła, że później brano go za wzór dobrego smaku, przyjemnej konwersacyi, dowcipu i elegancyi, kiedy rej wodził na salonach wersalskich lub paryzkich. Na wiosnę w roku 1755 pojechał do Wiednia, przedstawił się u dworu i brał udział we wszystkich wesołych uroczystościach i krotocwilach, wyprawianych na cesarskich zamkach w Luksemburgu, w Hezzen-dorfe, jak karuzele, strzelanie do tarczy i t. p. Tak więc dzieląc czas między poważne studia a rozrywki światowe, wyrabiał się na skońzonego człowieka. Gdy doszedł do dwudziestu lat, zaszły dwa ważne wypadki w jego życiu: dano mu kompanię piechoty i żonę. Zaledwie został kapitanem kompanii fizylierskiej, ojciec zaczął przemysłować jakby go ożenić. Nie pytając go bynajmniej o wybór serca, kazał mu pewnego dnia wsiąść z sobą do powozu i powiózł go z Brukselli prosto do Wiednia. „Nie wiedząc o niczem — opowiada sam książę de Ligne—zajechaliśmy do domu, gdzie pełno

było ładnych kobiet, tak zameżnych jak będących na wydaniu. Przy stole posadzono mnie obok najmłodszej panienki, a dopiero od moich służących dowiedziałem się, że w tym domu mają mię ożenić. Gdyśmy wstali od stołu, a jam w głowie zaczął nad tém rozmyślać, co się koło mnie działo, żadną miarą nie mogłem zgadnąć, która z tych kobiet, czy sama pani, czy ciotka, czy która z panienek była mi przeznaczona na żonę. Miałem rok dwudziesty, a moja malutka narzeczona niedawno skończyła piętnasty; dotąd nie mówiliśmy z sobą ani słowa. Takim a nie innym sposobem wstąpiłem w stan małżeński, chociaż utrzymują, że to najważniejszy krok w życiu.⁷ W końcu tak mówi o swojej żonie: „*Je la trouvai bouffone pendant quelques semaines et puis indifferente.* (Była dla mnie zabawną przez kilka tygodni, a potem obojętną).

Akt ślubny odbył się 6 sierpnia 1754 r. na zamku Feldsberg, rezydencyi książąt Lichtenstein'ów. Księżniczka Maryanna Franciszka z Lichtenstein'ów powiła mu trzech synów i cztery córki, a przeżywszy męża o siedm lat, umarła w późnej starości, bo w 82 roku życia.

*

*

*

Książę de Ligne niedługo używał spokoju przy boku młodej małżonki; wszystkie niemal państwa stanęły pod bronią przeciw królowi pruskiemu, a zaraz w następnym roku przyszło do wojny, która siedm lat trwała. Wypadek ten nappełnił serce nowożeńca niewypowiedzianą radością, bo otwierało się przed nim pole zaspokojenia namiętnej żądzdy sławy. Jak tylko półk noszący nazwę *księcia de Ligne* otrzymał rozkaz wymarszu do Czech północnych, młody kapitan pośpieszył z nim wesoło, jakby szedł na bal. Po dług jego własnych wyznań, powiada on, że w ciągu jednego miesiąca więcej wydawał niż miał rocznego dochodu od ojca, i dla tego musiał często gęsto od Żydków pożyczać na lichwę, aby swoim fantazyom pańskim dogodzić. Lekkomyślny, rozrzutny, ekscentryczny i szalenie odważny—oto czém się wtenczas odznaczał. Tak on się sam oskarża. Lecz rzeczywiście, pomimo że w gronie swoich wojskowych

kollegów lubił grać, pić, śmiać się i pustować, niemniej przełożeni jego musieli uznawać jego znajomość sztuki woj-skowej, a nadewszystko szaloną odwagę, dla której jak i dla dowcipu i nauki mieli mimowolny szacunek. Książę, chociaż niższy stopniem, imponował im swoją wyższością. Żołnierze przepadali za nim i na skinienie swego kapitana lecieli w ogień, a byli to jak on, wszystko Wallończycy, z których się cały półk składał. Pierwsza bitwa, gdzie pierwszy raz powąchał prochu, była pod Kolinem, dla austriackiego wojska bardzo pomyślna. Ktoby chciał bliżej zapoznać się z jego osobistém męstwem i przebiegiem różnych bitew szczęśliwych i nieszczęśliwych, staczanych w ciągu siedmioletniej wojny,—niech czyta jego dziennik, opisujący dokładnie i szczegółowo wszystkie potyczki i bitwy, w których brał udział. Dla skromnych ram tego życiorysu wystarczy, gdy powiem, że był w bitwie pod Wrocławiem, w niepomyślniej pod Lutolem, w świetnej pod Hochkirchem, gdzie Prusakom zabrano przeszło sto dział, pod Dreznem, nie licząc mnóstwa pomniejszych potyczek, w ja-kich przez ciąg dwóch lat się odznaczył.

Za te dzielne usługi mianowano go pólkownikiem i dowódcą półku. Zwyczaj nakazywał podziękować za awans cesarzowej Maryi Teressie. Gdy przed nią stanął młody pólkownik, rzekła do niego z uśmiechem: „Kochany mój pólkowniku, mianowałam cię dowódcą półku twego ojca, atoli uczyniłam to wbrew memu interesowi. W ostatniej bowiem kampanii dałeś mi wybrać cały batalion, a teraz zapewne dwa mi wybija. Na Boga! hamuj swój zapał. Dla państwa i dla mnie potrzebny jesteś!”

Pochlebne słowa monarchini miały wartość wieńca sławy na skroni dzielnego żołnierza. Inaczej odpowiedział mu własny ojciec, gdy mu zarapportował, że jest mianowany dowódcą półku: „Dosyć już dla mnie nieszczęścia mieć wpana synem, a cóż dopiero widzieć go dowódcą mego półku!” Te częste długie, które ojciec musiał płacić za syna, oziębily obopólny stosunek.

W nowej kampanii, rozpoczętej w roku 1759, mili-tarne przymioty księcia dały się poznać ze świetnej strony w bitwie pod Kunnersdorfem; następnie pod Maxenem, gdzie

wzięto do niewoli ośmnaście tysięcy Prusaków i dziewięciu generałów. Marya Teressa, czytając na liście nazwiska najwaleczniejszych oficerów, znalazła nazwisko de Ligne i wybrała go jako tego, który w jej imieniu miał zanieść wiadomość o świetnym zwycięstwie sprzymierzeńcowi Ludwikowi XV. Wybór był nader trafny, raz, że młody pólkownik jako Wallończyk, był na pół Francuzem, potem, że swoją elegancją, układem francuzkim, bystrym dowcipem, dworską manierą i wysokim urodzeniem odznaczał się między wszystkimi.

Ruszył tedy do Paryża. Jak tylko pokazał się na dworze wersalskim, od razu się podobał, a szczególniej płci pięknej; tyle było elegancyi w jego znalezieniu się, tyle swobody, a sposób wyrażania się w wyborniej francuzczyźnie tak gładki, tak pełny dowcipnych zwrotów, że i mężczyźni czuli się podbici. Ludwik XV przyjął wysłańca Maryi Teressy, otoczony gronem dworaków i reprezentantów obcych mocarstw, na ranném posłuchaniu, i zadał mu mnóstwo banalnych pytań, między innemi: czy tej zimy dużo ludzi umarło? jaki czas mają w Wiedniu: czy pogodę, czy słotę? i t. p. Stosując się do ctykiety, złożył książę wizyty wszystkim członkom królewskiej rodziny, a w końcu dał się zaprowadzić na dwór drugiej ówczesnej królowej, wszechwładnej markizy Pompadour, która mu jednym tehem wysypała stos politycznych, ministeryalnych i wojennych kombinacyj, a w końcu z prozopopeją dodała: „Patrz książę, co to my robimy dla Austryi: czy jeszczeście nie kontenci?”

— Przysięgam pani — odrzekł tymże tonem de Ligne — że o niczym nie wiem.

— A przecież my chcemy srebra stołowe sprzedać, aby waszą wojnę popierać — dodała Pompadour.

Pewnego dnia, francuzki minister wojny, marszałek Belle-Isle, rzekł do księcia ironicznym tonem: „Wy panowie Austryacy, zawsze spóźnacie się z waszemi zwycięstwami; w przeszłym roku w październiku, a w tym w listopadzie!”

Odciał się zaraz de Ligne, z przytykiem do kłesk, zadanych Francuzom pod Crefeldem i Mindenem przez wojska pruskie:—„Lepiej bić w zimie, niż w lecie być pobitym.”

Niewiele zbudowany tém, co widział i słyszał w Wersalu, książe wolał Paryż niż królewską rezydencję. Wesoła i rozbawiona stolica nęciła go urokiem tysiącznych uciech. Porobiwszy tam mnóstwo znajomości, postrzeżeń, szaleństw i długów, przepędził najprzyjemniejszą zimę; z powrotem zaczął o zamek Baudour, gdzie ojciec jego mieszkał, ale zimno przyjęty, pośpieszył do armii, stojącej wtenczas w pobliżu Drezna.

Wyprawa na Berlin, krwawa bitwa pod Turgawą, odsiecz oblężonej Świdnicy—oto były główne epizody, zamykające siedmioletnią wojnę, która zakończyła się pokojem hubertsbuskim 15 lutego 1763 roku.

* * *

Po zawartym pokoju, półkownik de Ligne wrócił ze swoim półkiem do Niderlandów. Okres piętnastu lat od skończenia siedmioletniej wojny do nowej wojny o sukcesję bawarskiego tronu (od 1763—1778) poświęcił on do godzeniu swojej skłonności do pracy literackiej, rozszerzeniu wiedzy naukowej, co miało dla niego wielki powab, odkąd schował szablę do pochew; obok tego nie zaniedbywał towarzyskich stosunków, robiąc znajomości nie tylko z przyjemnymi osobami płci obojęd, lecz wyszukując najznakomitszych mężów swojego czasu, aby z nimi przyjaźń zawiązać. Na tę właśnie porę przypadają jego podróże, odbyte do Włoch, do Szwajcaryi, do Francji i Niemiec, znajomość zrobiona z Russem, Wolterem, Fryderykiem II, Katarzyną i t. p. Najprzyjemniejsze damy, najznakomitsi uczeni ubiegali się, żeby sobie księcia pozyskać, tak bardzo lubiono i podziwiano jego trafny i wcale niepyłki sposób widzenia, objawiający się już w żartobliwej, niby lekkiej rozmowie, już w iskrach dowcipnych słówek. Bawiąc po różnych dworach, umiał on utrzymać godność wielkiego

pana, a nie przytém nie tracić z właściwego sobie uroczego humoru i żywości.

Wkrótce po wojnie po raz pierwszy zwiedził Ferney i cały tydzień gościł w domu Woltera, z którym wybornie się bawił, chociaż widział jego słabe strony, jak ową niewyczerpaną frazeologię, igraszki słów i niezmierną próżność. Pewnego razu chciał Wolter popisać się przed nim z głęboką polityką i zaczął się unosić nad konstytucją angielską, utrzymując, że w niej jest prawdziwe zbawienie. „Ależ pozwól pan—rzekł na to książę de Ligne—że główną podporą téj konstytucyi jest ocean, bez niego nie ostałaby się na długo.”

— Ocean! ocean! — powtarzał Wolter — zabieś mi klina w głowę; ocean daje mi do myślenia.

„Nie było nic komiczniejszego — powiada książę de Ligne—kiedy Wolter chciał grać rolę dziedzica swoich włości; do chłopów przychodzących do niego w lada interesie przemawiał jak do rzymskiej ambassady, lub jak do bohaterów z pod Troi. Miał chęć wszystko uszlachetniać; gdyby nawet przemawiał do kawałka sera, byłby go uszlachetnił.”

W późniejszym wieku, pisząc wspomnienie o patryarsze fernejskim, powiada książę de Ligne: „Gdybym podczas mego pobytu w Ferneyu był tak dobrym chrześcianinem jak teraz jestem, i nie tak młodym jak wtenczas byłem, szedłbym o zakład, że byłbym go pogodził z Chrystusem.”

Trzeba przyznać, że mimo całego podziwu dla geniuszu i dowcipu Woltera, jakim był przyjęty, książę de Ligne nigdy nie pochlebiał jego próżności, ani bił czołem przed jego filozoficzną mądrością. Wcale bowiem nie zgadzał się ze sposobem myślenia filozofów XVIII wieku. Dla tego też z jednej i drugiej strony panował między nimi, czy to w rozmowie, czy w korespondencyi, pewny takt dyplomatyczny; każdy z nich unikał czémkolwiek obrazić drugiego. Jeżeli de Ligne w listach do Woltera udaje, jakby miał do czynienia z najlepszym chrześcianinem, to znowu Wolter

w odpowiedziach swoich uważa go za skończonego filozofa. Obadwa widocznie grają w ciuciubabkę.

* * *

W r. 1764 otrzymał książę stopień generała-majora. W następnym zaszła śmierć cesarza Franciszka I, którego był wielkim ulubieńcem. Po nim nastąpił Józef II, któremu przez lat wiele służył z całą wiernością i poświęceniem się, chociaż bynajmniej nie podzielał jego politycznego idealizmu, ani gwałtownych reform, wprowadzanych bardzo nieszczęśliwie.

W r. 1766 śmierć zabrała mu ojca, po którym stał się panem ogromnej fortuny i innych, dziedzictwem spadających na niego godności, jak para Flandryi i granda hiszpańskiego.

Jako udzielny pan własnej woli, przytém bogaty i niepodległy, zwiedził rozmaite monarsze dwory, nie ubiegając się o żadne łaski i honory, lecz w tym jednym celu, aby z poznania ich korzystać dla własnej nauki, a przytém wesoło się bawić. Najczęściej zaglądał do Francyi i do Wersalu, gdzie najdłużej przebywać ubił na dworze Ludwika XVI, ożenionego z córką Maryi Teresy; niemniej przyciągał go Wiedeń, jako zostającego w służbie austryackiej. Właściwą jego rezydencją była Bruksella i rodzinny zamek Belveil, z kąd go wypędziła krwawa rewolucya francuzka r. 1794.

Pomijając te niezliczone znajomości z matadorami ówczesnej literatury i salonów, jakie porobił w ciągu wielokrotnego pobytu w Paryżu, przytoczę okoliczności dość oryginalne, towarzyszące poznaniu się z J. J. Russem, tym nienawidzącym ludzi dziwakiem.

Kiedy Russo powrócił z wygnania w r. 1770 i osiadł pod strychem przy ulicy Plâtrière, ułożył sobie książę odwiedzić go. Drapiąc się po wschodach na najwyższe piętro, sam nie wiedział z jakiej beczki ma zaczepić tego nieszczęśliwca, pociągającego i razem odpychającego od siebie. Zapukał więc do drzwi, zdając się na los szczęścia.

— Kto tam? zawołał Russo przykrym głosem.

— Daruj pan—odrzekł wchodzący książę—szukam tu pana Russa z Tuluzy, tego, który założył dziennik encyklopedyczny...

— Ja jestem Russo z Genewy, autor *Emila*—odrzekł filozof.

— Czy tak? a więc ów sławny botanik? rozumiem, te ogromne księgi są zapewne zielniki... więcej warte, niż wszystko, co teraz bazgrzą.

Russo uśmiechnął się; zwyczajna mu podejrzliwość została rozbrojoną, a raz zawiązana rozmowa coraz więcej ożywiała się. Dziki, nieprzystępny i zbyt czuły filozof zaczął mówić z zapalem, wywnętrzać się i oczarowywać nieznanego sobie gościa, a w końcu gdy ten pożegnał go i odchodził, odprowadził go do schodów i o nazwisko nie spytał.

Niezadługo potem dowiedział się de Ligne od osób wysoko położonych, że Russo ma być znowu prześladowany i wystawiony na różne sekatury. Napisał tedy w bardzo delikatnym tonie list do Russa, ofiarując mu gościnność w którymkolwiek zamku w swoich dobrach we Flandryi, gdzie będzie mógł używać wszelkich wygod i najswobodniej pisać. Z razu myślał Russo, że to jakiś podstęp, łapka na niego. Z tém wszystkiém namyślił się i przyszedł osobiście mu podziękować. „Zaledwie wierzyłem własnym oczom—pisze książę—gdym ujrzał Russa wchodzącego do pokoju. Zapewne Ludwik XVI nie miał tego uczucia próżności, kiedy przyjmował syamską ambasadę, jak ja kiedy przyjmowałem u siebie Russa.”

List pisany do Russa, o którym wspominałem wyżej, zrobił wrażenie w Paryżu, będąc ogłoszony po pismach. Zaczęto wielkiemu panu zazdrościć i przycinać, że będąc cudzoziemcem, proteguje francuzkich uczonych. Grimm w korespondencyi swojej żartował z tego listu. Tymczasem były w nim bardzo piękne strony charakteru wielkiego pana, ofiarującego opiekę prześladowanemu autorowi, gdy mówi: „Będziesz miał klucz od mojej biblioteki i wstęp do moich ogrodów; kiedy zechcesz możesz się ze mną widzieć, lub nie widzieć mię wcale. O ćwierć mili od mego

pałacu znajdziesz piękny dworek, należący do ciebie wyłącznie. Sadź tam drzewka, uprawiaj grządki, rób co ci się podoba... Jeżeli to mało dla twojej wolności, to mam inny kawałek ziemi, nienależący do nikogo; piękne tam niebo, powietrze zdrowe, a zakątek ten leży o czterdzieści mil od Paryża. Nie ma tam ani arcybiskupa, ani parlamentu. Są tylko stada najpiękniejszych w świecie baranów..."

„Podobnie jak Wpan nie lubię tronów ani wszechwładców; sam wprawdzie nie będziesz nad nikim panował, ale też nikt nie będzie panował nad tobą.”

List ten zupełnie napisany w duchu epoki, pełnej szumnych frazesów, sprzeciwiających się sposobowi myślenia piszącego. Albowiem książę de Ligne zawsze przywiązany był i wierny tronowi czy to Maryi Teresy, czy Józefa II, czy Ludwika XVI.

Tegoż roku we wrześniu Fryderyk II zjechał się z cesarzem Józefem w obozie pod Neustadtem na Morawie. Cesarzowi austriackiemu towarzyszył de Ligne.

Pewnego razu spytał go król pruski, czy ten list do Russa ogłoszony w dziennikach, był rzeczywiście przez niego pisany? — „Najjaśniejszy Panie! — odrzekł de Ligne — nie jestem tak sławny, aby się kto inny pod moje nazwisko podszywał.” Zręczna ta odpowiedź odnosiła się do innego listu, wystosowanego do J. J. Russa, a podpisanego: Fryderyk, król pruski. Albowiem list ten skomponował Horacy Walpole.

Przeprowadzenie ważnego procesu powołało księcia do Paryża i Wersalu; za wdaniem się Maryi Antoniny, wygrał ten proces o znaczne dobra we Francyi. Można powiedzieć, że odtąd stał się najbezinteresowniejszym powiernikiem młodej i pięknej królowej, która nie zawszę umiała dobrać sobie bezinteresownych przyjaciół i przyjaciółki. Z tego bowiem poufnego kółka królowej, jakie się zbierało w Trianonie, wyszły najpierwsze zjadliwe posądzania i potwarze, które nieszczęśliwą Maryę Antoninę aż do śmierci ścigały. Dość czytać pamiętniki księcia de Lauzun, barona Besenvala, brabi de Tilly, stających w jej obronie a uniewinniających ją na podstawie téj lekkiej moralności, którą sa-

mi wyznawali. Tacy obrońcy gorsi są od najzaciętszych nieprzyjaciół.

Dla tego też książę de Ligne najlepiej ocenił Maryę Antoninę, gdy napisał o niej: „Owa okrzyczana galanterya królowej była niczém inném, tylko głębokiém uczuciem przyjaźni dla jednej lub dwóch osób, i tą chętką tak naturalną w kobiecie i królowej, ażeby się wszystkim podobać, wszystkim ując dla siebie.”

II.

Małym, nieznańczącym epizodem w ciągu kilkunastoletniego pokoju była wojna o sukcesyę bawarskiego tronu. Zabawna to była wojna, w której ani jednej walnej nie stoczono bitwy, a bawiono się w rekonesansie i podjazdowe harc; dla tego tę wojnę nazywano żartobliwie: „kartoflaną” (*Kartoffelkrieg*). Książę de Ligne nie miał tu pola do popisania się ze swoim mężstwem.

Po zakończeniu tej wojny odebrał książę kilka listów od króla pruskiego, usilnie zapraszających go do Poczdamu. Pojechał więc tam razem z najstarszym synem Karolem, a było to w lecie roku 1780. Fryderyk przyjął go z zadziwiającą uprzejmością, bo kiedy chciał, umiał być bardzo słodkim i serdecznym. Ujrzawszy on dorosłego młodzieńca, którego książę przedstawił mu jako swego syna—zdziwił się, nie sądząc, aby sam będąc tak młodym, miał już takiego potomka.

— Najjaśniejszy Panie — odrzekł książę—on już od roku żonaty.

— Czy śmiem zapytać z kim?

— Z Polką, z księżniczką Massalską — odparł de Ligne.

— Czy podobna! z Massalską? a czy wiesz książę co dokazywała jej babka?

— Nie wiem Najjaśn. Panie.

— Dowiedz się, że podczas oblężenia Gdańska, sama strzelała z armat, a żołnierzom kazala strzelać i bronić się do upadłego, pomimo że jej partyzanci (to jest partyzanci

Leszczyńskiego) potracili głowy i już przemyśliwali o poddaniu się. Kobiety to niedocieczone istoty; raz są nadto silne, to znowu nadto słabe: do wszystkiego można ich użyć.

Z Berlina, gdzie książe de Ligne razem ze swoim synem codzień był zapraszany do królewskiego stołu, i spędzał czas na nigdy niewyczerpanych pogadankach: o sztukach pięknych, o wojskowości, literaturze, religii, filozofii, moralności, historii, prawodawstwie, zgoła o wszystkich rzeczach i niektórych innych,—wypadło mu odbyć podróż do Petersburga w interesie swojej synowej, której należało się od rządu rossyjskiego czterokroć sto tysięcy rubli. Na dworze carowej czekało go świetne przyjęcie. Przez sześć miesięcy przebytych w stolicy Semiramidy północnej (tak Katarzynę ochrzcieli encyklopedyści) rozsiał on wszystkie skarby bystrego dowcipu i umiał wesołość i życie wprowadzić w posępne i zimne mury carskiej rezydencji. Wyrywano go sobie i podziwiano oryginalność pomysłów, żywość wyobraźni i lekkość téj uroczej podbijającej każdego konwersacyi, utrzymanej w najlepszym tonie.

Przyjęcie musiało być upajające, kiedy zapomniał o właściwym celu podróży. Wstyd mu było osypanemu grzecznosciami Katarzyny, występować z osobistym interesem pieniężnym. Niektórzy, wiedząc w jakim interesie przyjechał do Petersburga i jak lekcewał pieniężny interes, domyślali się, że cesarz Józef II dał mu sekretne polecenie, aby zawiązał stosunek z Katarzyną i napomknął jój coś o zamianie Niderlandów za Bawaryę; ów zaś domysł przez to nabierał prawdopodobieństwa, że w sześć lat później nastąpił zjazd i widzenie się Katarzyny z cesarzem Józefem w Chersonie.

Osypany orderami, tytułami i kosztownymi upominkami, opuścił de Ligne północną stolicę i z powrotem obróciwszy drogę przez Polskę, bawił kilka tygodni na dworze króla Stanisława Augusta. Pomimo swojej admiracyi dla wielkości i geniuszu carowej, nieobojętne mu było położenie Polski. Zapewne wiele do tego przyczyniły się piękne i ujmujące Polki, które go zachwyciły i otworzyły mu oczy na smutny los kraju. W owym czasie sływały pięk-

nością i elegancją dwie księżniczki Radziwiłłówny, Ludwika i Aniela, których portrety skreślił lekkim piórem, malując i wdzięki ciała, i piękne przymioty charakteru prawdziwie niewieściego. Krótko mówiąc, ksiązę jak we wszystkich stolicach, témbardziej w warszawskim świecie, dawał ton w najwykwintniejszych salonach. W materjach politycznych, jako przybywającego z Petersburga i osypanego względami carowej, chwytano każde jego zdanie i podług tego układano sobie różne plany, niezawsze bezinteresowne. Między innymi stryj jego synowej, ksiązę Massalski, biskup wileński, zdeterminowany stronnik rosyjski, powieszony w lat kilkanaście przez pospólstwo podburzone przez agentów Kołłątajowskich, nie mógł sobie wybić z głowy, wiedząc jak de Ligne był przyjęty przez carową, jakimi osypany łaskami—że on niezawodnie zostanie królem polskim, byle tylko otrzymał indygenat. Cóż to za świetny los tak dla księcia de Ligne, jak i dla rodziny Massalskich, krwi związkim z nim połączonę! Po kilkakroć powtarzał to ksiądz biskup, i tak wyperswadował księciu, że aż nakoniec go skłonił do starania się o indygenat na sejmie, który się właśnie agitował. Wiele osób wpływowych z tego stronnictwa również napierało na niego, tak, że ksiązę na zgromadzeniu szlachty wystąpił z mową lacińską, która ogromne zyskała applauzy i utorowała mu drogę do otrzymania indygenatu, kiedy inni, co się równocześnie z nim o ten zaszczyt starali, przepadli z kretesem.

Ksiązę śmiał się w duchu; ale mimo tego mówił i agitował jako wielki zwolennik króla, dowodząc, że tylko w dobrem porozumieniu z Rosyą mogłaby Rzeczpospolita wzmocnić swoje siły i przeprowadzić wewnętrzne reformy. Króla, lubo bardzo szacował i podziwiał jego dyplomatyczną zręczność, niemniej nazywał „intrygantem,” jak wszystkich monarchów, których tron zależy od upakarzających warunków, to jest albo od woli potężniejszych sąsiadów, albo od własnych poddanych, zawsze gotowych do konfederacyi.

Takie zdanie o ówczesnym położeniu króla i Rzeczypospolitej wyniósł de Ligne z Warszawy. Znał on tak

politykę dworu petersburskiego, wiedeńskiego i berlińskiego, że dobrze widział czego się Polska może spodziewać, i dla tego radził nie zrywać z Rosyją, przekonany będąc, że mniejsze grozi niebezpieczeństwo od północnego niż od dwóch drugich sąsiadów. Pobyt kilkotygodniowy w Warszawie, stosunki z pierwszymi matadorami jeszcze go bardziej utwierdziły w tém przekonaniu; widział bowiem, że umysły przedniejszych panów olśnione wielkością Katarzyny, więcej polegały na jój łaskach, niż myślały o podźwignieniu Rzeczypospolitej własnymi jój siłami. Nie w tém dziwnego, ani uwłaczającego ich patryotyzmowi — szli oni za „duchem swojego czasu,” i jeżeli encyklopedyści stawiali na piedestale „Semiramidę północną” za wzór monarchiów, to ten i ów, acz w duszy szczerzy Polak, czułby się w oczach własnych upośledzonym, gdyby nie dotrzymał kroku ówczesnemu postępowi...

* * *

Pomijam kilka lat następnych, w ciągu których de Ligne przebywał to w Paryżu, to w Belgii, oddając się autorskim zajęciom lub innym czynnościom wojskowym i politycznym, te bowiem więcej obchodzą Belgię i Austryę.

Właśnie bawił na zamku Belveil, kiedy w roku 1786 już pod koniec powołał go cesarz Józef II do Wiednia, gdzie powierzył missyę oświadczenia dworowi petersburskiemu, że cesarz pragnie spotkać się z carową na brzegach Dniepru, w skutek czego uprasza o plan jój podróży. To wysłanie austryackiego generała nabrało pewnej dyplomatycznej barwy, — w rzeczy zaś samój utwierdzało w przekonaniu, że ksiączę de Ligne, używający wielkiej wziętości na dworze petersburskim, gdzie w sekretnej missyi zrównowazenia tam francuzkiego wpływu. Było więc zadaniem księcia, jak utrzymywano, osiągnąć cel dyplomatyczny, pokrywając go zręcznie kupletami, madrygałami i dowcipami, które umiały się podobać i oczarować, i tym sposobem ukryć grę swoją przed okiem innych dyplomatów i polityków. Atoli ta chytra i obłudna gra wcale nie zgadzała się z otwartym charak-

terom i zawsze wesołym humorem księcia. Utrzymują, nie wiem czy słusznie czy niesłusznie, że poseł francuzki hrabia Ségur, żyjący z nim na bardzo dobrej stopie, pewnego razu w podróży kazał zepsuć koło w powozie księcia, aby tym sposobem zaprosić go do swojej karety, i przy przenoszeniu rzeczy, zwędzić mu jego tekę z papierami, z których chciał się dowiedzieć o tajnych instrukcyach gabinetu austriackiego. Figiel ten dyplomatyczny w wielkim stylu miał się udać, z czego też potem chelpił się hr. Ségur, co słysząc de Ligne zanosił się od śmiechu.

Jak przed sześciu laty, tak i teraz książę z wielkiem odznaczeniem przyjęty był przez carową i przez wszechwładnego Potemkina, a otrzymawszy plan podróży Katarzyny do prowincyj południowych, wrócił z nim do Wiednia, aby go przedstawić cesarzowi. Tym sposobem nie był on obecny wyjazdowi carowej, i dopiero później przez Galicyę i Brody dojechał do Wiśniowca. Tak o tém pisze pani Mnischowa, żona marszałka koronnego, pod d. 14 marca 1787: „Król wyjechał dzisiejszego rana, a my myślimy jutro za nim podążyć. Zatrzymał się jednym dniem dłużej z powodu przybycia księcia de Ligne ojca z dwoma synami (Karolem i Ludwikiem) i panem hrabią Dillon'em. Są u nas od pozawczora i wyjeżdżają z nami, co podróż naszą jedną z najprzyjemniejszych uczyni. Książę de Ligne przez Brody tu się przerznął... Domyślać się łatwo, jak rozkoszne były kolacye króla od czasu przybycia księcia de Ligne, ile ucinków, ile dowcipnych słówek! Któregoś dnia, rozpowiadając o muzyce rogowej księcia Potemkina, złożonej z dwudziestu czterech muzykantów, z których każdy jeden tylko ton bierze—zdarzyło się, że Potemkin kazał grać téj muzyce w Peterhofie... ale nie było sposobu wykonać tego koncertu, z powodu że *sol* był zakatarzony, *fa* dostał febrę, *ut* wziął na przeczyszczenie... Nigdy jeszcze nie spotkała tyle wesołości, tyle wdzięku w dowcipie, co w towarzystwie księcia de Ligne. Nasze kolacyjki w tych obrzydłych karczmach żydowskich są niezmiernie wytworne i w najzupełniejszej sprzeczności z miejscowością... Zamknąwszy oczy, mogłoby się zdawać, że się jest w Paryżu.”

Taka była ta podróż przez Podole i Ukrainę do Kaniowa; de Ligne mijając Kaniów, prosto pośpieszył do Kijowa, gdzie już roztasowała się Katarzyna z całym swoim dworem.

Hrabia Ségur pisze w swoich pamiętnikach o jego zjawieniu się w Kijowie: „Nakoniec przybył nam książę de Ligne z Wiednia. Obecność jego ożywiła nas wszystkich i wszystko co już usypiało; on to pobudził do zabaw i rozpedził cienie ogarniających nas nudów. Od téj chwili zdawało się nam, że na raz zmiękła twarda zima, i że z jego powrotem wiosna powraca.”

Carowa podczas swego pobytu w Kijowie przyjmowała raz lub dwa razy na tydzień, wyprawiała bale lub koncerta, a książę de Ligne codziennie bywał zapraszany do jej stołu i na wieczorne posiedzenia, gdzie już nie przestrzegano surowej etykiety i najswobodniej mówiono o literaturze, lub grano w billard i loteryjkę. Książę był duszą tych wieczorków, wymyślał szarady, portrety, i zawsze wmieszał coś z polityki, lub wyciął prawdę, ubierając ją w wesoły żarcik. Umiał on być dworakiem z nawyknięcia, pochlebcą z okoliczności, filozofem z upodobania, a zawsze skłonny do dobrego z charakteru. Jako indygena Rzeczypospolitej Polskiej, czuł on się w obowiązku wsunąć życzliwe słówko czy dla króla, czy dla narodu, i nie obierając się na rzecznika interesów tego kraju, był nim przy każdej sposobności.

Napatrzył się on dosyć w Kijowie na polskich panów i ich żony, jak się ubiegali o wstęgi, perły i dyamenty, które hojnie rozsypywała Katarzyna.

Z naszej historyi i współczesnych pamiętników znany jest pobyt króla w Kaniowie i widzenie się jego z Katarzyną na wspaniale przybranym statku. Najlepszym, bo najbliższym świadkiem téj sceny była pani Mniszechowa, opisująca wszystko w listach do matki. I tak powiada: „Król wszedł sam do kajuty Jej Cesarskiej Mości, której drzwi dopiero w kilka minut potem, gdy się już tam oboje znajdowali, otwarte zostały. Cesarzowa ujrawszy mię, rzekła: „Niepodobna w pierwszym momencie nie być zaambarasowanym.” Odpowiedziałam natychmiast: „Amba-

ras, jaki w. cesarska mość postrzegasz w królu, nie może być jój przykry; przyczyną jego jest uczucie i wdzięczność...” Na to cesarzowa uściskała mię i dodała z wdziękiem: „Bardzo to miłe z waszój strony, że mnie zapewniacie o tych uczuciach króla; chciałabym na nie rachować...” Nastąpił potém obiad. Cesarzowa piła stojąc zdrowie królewskie; gdy zaś wstano od stołu, król spostrzegłszy łaskę cesarzowój, wziął ją od jednego z jój paziów i sam podał, cesarzowa odwróciwszy się zawołała, aby jój podano kapelus z królewski, i również mu go z rąk swoich podała, na co król odparł komplementem: „Winienem pani nakrycie głowy daleko nad to droższe...”

Książę de Ligne towarzyszył swemu cesarzowi, który dalszą drogę odprawiał Dnieprem razem z Katarzyną, mającą zwiedzić nowo nabytą prowincyę Taurycką, czyli Krym. W podróży tój dwoje tych potentatów układało plany wielkich odmian w świecie. Katarzyna roiła o nowych zwycięztwach nad Turkiem. Zatknać krzyż grecki na meczecie Św. Zofii w Stambule jeszcze było jój za mało, chciała ona zbudzić ze snu kilkunastu wieków starą Helladę z jój Likurgiem i Solonem. Wtórował jój de Ligne, rozplywając się nad Alcibiadesem, Peryklesem, Aspazją, a ona brała za dobrą monetę te poetyczne wyskoki czlowieka, skłaniającego się zawsze bardziej do rzeczywistości niż do podobnych urojeń. Sam Józef II, słysząc to, śmiał się w duchu; od dawna już bowiem wyleczył się z podobnych rojeń młodości.

Wśród tych rozkoszy krymskich i ambitnych marzeń, przybył do cesarza Józefa gabinetowy kurjer od Kaunitza, z doniesieniem o rozruchach wybuchłych w Niderlandach... co było wcale nieprzyjemną nowiną. Wypadło zatem pożegnać się i spieszyć do Wiednia. Przy czulém pożegnaniu się z Katarzyną w Kizykermeniu, cesarz jeszcze raz ponowił przyrzeczenie, że podług zawartych z nią układów, gdyby Turcy chcieli ją zaczepić, on jako sprzymierzeniec ofiaruje jój zbrojną pomoc.

*

*

*

Tryumfalny spacer carowej stępem, Dnieprem, do świeżo opanowanego Krymu, napelnił zdumieniem Europę i dał jej do myślenia. Mniemano, że Turkom zaimponuje ta podróż z nad zatoki Fińskiej na brzegi morza Czarnego; atoli inaczej się stało. Wysoka Porta, podbudzona przez Anglię i Prussy, kazała wsadzić do Siedmiu Wież rosyjskiego posła Bulhakowa, i pierwsza wydała manifest z wypowiedzeniem wojny Rossyi.

Ten wypadek na horyzoncie politycznym spowodował gabinet wiedeński wysłać feldmarszałka księcia de Ligne w charakterze wojskowo-politycznym do rosyjskiego obozu. Przebywał on tam aż do wzięcia Oczakowa, pisując bardzo zajmujące listy o tém, czego był naocznym świadkiem. Zbiór téj korespondencyi jest najciekawszym dziełem ze wszystkich jego pism. Portrety takiego Potemkina i innych generałów, jakie tam kreśli, genialnie są naszkicowane. Będąc w ciągłej zażyłości z tym wszechmočnym faworytem i wodzem armii operacyjnej, nie zaniedbuje on powiedzieć czasem dobrego słówka za Polską, zwłaszcza wiedząc, jak Potemkinowi uśmiecha się korona Jagiellonów. Pod pozorem zrobienia dywersyi Turkom, radził on mu darować Polakom czterdzieści tysięcy karabinów z fabryki tulskiej, byle stanęła konfederacya, opierająca się o Rosyę i Austryę. Wielu już naszych magnatów czekało na urzeczywistnienie tego projektu, mającego dać im siłę stłumienia stronnictwa pruskiego, które już zaczęło w Polsce podnosić głowę i zyskiwać na popularności, przez zawziętą opozycyę przeciw rosyjskiemu stronnictwu.

Prussy tak dobrze poprowadziły swój interes, że wszelki stosunek z Rosyą został zerwany, i przyszło do zbrojnego starcia, a chytry sprzymierzeniec zamiast dać obiecaną pomoc, cofnął się i tylko rękę wyciągnął po drugi zabór.

Przewidział to książę de Ligne, i tym panom naszym, którzy jeździli wtenczas do Jass, aby naradzić się z Potemkinem, udzielił był memoryału, ułożonego przezeń w sprawie polskiej. Memoryał ten w swoim czasie miał wielką doniosłość, bo jest w nim i zdrowy pogląd polityczny, i wiele wybornych przestróg polityczno-moralnych, na jakie

zdobędzie się tylko ten, co ma prawdziwe do kraju przywiązanie i powodzenia mu życzy.

Niektóre ważniejsze ustępy z tego memoriału podam na końcu. One będą dla nas dopełnieniem żywota tego niepospolitego cudzoziemca, który tak szlachetnie odplacił się za indygenat, ofiarowany mu przez stany koronne.

Przechodząc dalej do szczegółów biograficznych feldmarszałka, które już nie wiążą się z Polską, tyle powiem, że po wzięciu Oczakowa powołany był przez cesarza Józefa do armii austriackiej, operującej pod Białogrodem, i miał powierzoną sobie komendę korpusu.

Po skończonej kampanii przeciw Turkom, nastąpiła chwila, w której de Ligne popadł w niełaskę u cesarza Józefa. Dawniej, kiedy go raz cesarz pytał, co o nim mówią w Belgii? — de Ligne odpowiedział trochę dwuznacznie: „*On dit que Votre Majesté veut notre bien.*” A teraz kiedy wybuchły rozruchy w Niderlandach, i cesarz obawiał się utracić tę prowincję, przypomniał sobie tę odpowiedź księcia de Ligne i tak ją wytłumaczono, jakoby cesarz chce zabrać nasze dobra, nasze mienie. Dworacy i zausznicy umieli nastroić cesarza przeciw księciu, że mu wyraźnie okazał niełaskę — wszakże nie na długo. Józef II niebawem znalazł się na łożu śmierci; przyjąwszy ostatnie pomazanie, pytał on obecnej hrabiny Chancelos:

— Czy też kto choć jedną łzę po mnie uronił?

— Tak jest najjaśn. panie — odrzekła hrabina — widziałam księcia de Ligne całego we łzach.

— Nigdy nie myślałem, żem tyle wart, aby on po mnie płakał — odpowiedział cesarz wesoło i wkrótce ducha oddał.

Nieszczęścia rewolucyi francuskiej wkrótce boleśnie dotknęły księcia. Syn jego najstarszy książę Karol *) ożeniony z Massalską, a będący pułkownikiem w służbie austriackiej

(*) Żona księcia Karola, Massalska, córka Józefa, podskarbiego nadw. lit., rozwiodłszy się z mężem, wyszła za Wincentego Potockiego, podkomorzego kor. rezydującego w Brodach. Córka jej Sydonia, którą miała z Karolem de Ligne, wyszła za syna Wincentego, Franciszka,

kiój, poległ w Szampanii roku 1792. W półtora roku wojska zwyciężkiej Republiki zajęły Belgię, przez co cały swój majątek familijny utracił.

Utracił, a przywykł żyć po pańsku i hojną ręką rozdawać pieniądze, znalazł się w przykrém położeniu, które skończyło się dopiero z upadkiem Napoleona. Odtąd Austria stała się dla niego drugą ojczyzną, gdzie zaczawszy od Maryi Teresy, doznawał względów od wszystkich jej następców, umiejących cenić jego przywiązanie do tronu, waleczność w boju i przymioty szlachetnego charakteru.

W pobliżu Wiednia wybudował sobie willę na górze Leopolda, przytykającą do Kalenbergu, z kąd Sobieski nadsięgnął na odsiecz Wiednia. Stała willa księcia de Ligne z bramą, na której był jego herb, z dewizą: *Quo res cunque cadant, semper stat linea recta.*

W tém zaciszu wiele pracował piórem i drukował. Ogół pism jego wydanych w języku francuzkim wynosi razem trzydzieści cztery tomy.

Doczekał on jeszcze zjazdu monarchów na kongres i był świadkiem nieustannych zabaw i festynów. Bale dworskie i prywatne porywały w swój wir walczących królów, w ustawnych zalotach do będących w modzie piękności; powiedział też o nich: *Les souverains en vacances;* a o kongresie jeszcze dowcipniej się wyraził: *Les congrès danse, il ne marche pas.*

Wierny swoim skłonnościom, nieraz znajdując się w gronie mężów stanu, rzucił przychylnie słowo za Polską; czasami też złożył jaki epigram lub piosneczkę, ujmującą się za nieszczęśliwym narodem, którego on uważał się współobywatelem. Wszystko to, tak dowcipy, jak piosneczki obiegały po Wiedniu.

Z powodu zaziębienia się zapadł na zdrowiu, a czując swój koniec blizki, przyjął ostatnie Sakramenta, atoli

prezesa Heroldyi Królestwa Polsk. Karol de Ligne, zapisał jej w testamencie turecką szablę, darowaną sobie przez Potemkina, a przyjacielowi swemu ks. Józefowi Poniatowskiemu pałasz i szarfę, aby ich używał w bitwach.

do ostatniego telu przytomności umysłu nie stracił, i dowcipnem słówkiem świat zegnał, bo gdy go córka księżna Clary całowała w rękę, oblewając ją łzami, a inne osoby i domownicy szli za jój przykładem:

— Cóż chcecie odemnie?—rzekł umierający—przecież nie jestem relikwią, abyście mię tak całowali.

Był to ostatni słaby odblask tego lekkiego humoru, a bynajmniej nie obojętność religijna.

Książę oddał ducha dnia 13 grudnia 1814 r., licząc lat 80.

III.

Poznawszy choć w głównych zarysach żywot i charakter męża XVIII wieku, który ten wiek z najlepszej strony reprezentował, rozpatrzmyż się w tym memoryale, napisanym dla Polski i udzielonym rozmaitym panom polskim, jak księciu Antoniemu Czetwertyńskiemu kasztelanowi braclawskiemu, Massalskiemu biskupowi wileńskiemu i innym, którzy zaglądali do Elizabetgradu w roku 1788, kiedy w Warszawie agitował się sejm konfederacyjny pod laską Stanisława Małachowskiego. Dostał się on zapewne i do rąk Stanisława Augusta.

Niestosownem byłoby brać to pismo za akt poważnej polityki. Książę de Ligne nie bierze rzeczy tak bardzo na seryo, ale ją traktuje swoim sposobem, pół żartem, lekko, dowcipnie, nie zapominając o galanteryi dla płci pięknej, która u niego mieszała się w każdą sprawę; pomimo tego, są tam wyborne prawdy i zdrowe rady, osobliwie w chwili kiedy były pisane. Jest to rzeczywiście sytuacyjny artykuł.

Oto niektóre ustępy tego memoryalu.

„Któżby mógł nie kochać Polski, Polaków, a mianowicie Polek?” Od tego zaczyna i rozwodzi się nad przymiotami jednej i drugiej płci; chwali pobyt w Warszawie, nieustępującej w przyjemnościach, grzeczności towarzyskiej, gościnności, dobrym smakiem, wykształceniem i galanteryą najpierwszym stolicom.

Jest to wymowne świadectwo o stanie naszej kultury, oddane przez kogoś, co się znał na tém i przeżywał od

młodości w najwykwintniejszych i najwyższych towarzyskich sferach.

„Wielki to dla mnie zaszczyt,— mówi książę — żeście mię przyjęli na współobywatela waszego pięknego, wielkiego i wspaniałego narodu! Ta chwila, kiedym wśród oklasków jednogłośnych, za zezwoleniem wszystkich przyjmował indygenat na sejmie, nigdy nie wyjdzie z mojej pamięci i serca.

„Ponieważ całkiem do was należę, ośmielam się podać wam kilka uwag o stanie waszjéj ojczyzny. Gdyby Polska, zamiast graniczyć z trzema cesarstwami i jednym królestwem, była dokoła oblana oceanem, mogłaby być spokojną o siebie i o swoje prawa, o wiele rozumniejsze niż te, których używa owa sławna wyspa uważana za siedlisko samych mędrców; to pewna, że jéj (Anglii) konstytucya nigdyby się tak długo nie ostała bez morza, jak wasza trwająca dotąd. Jest to prawdziwy cud, ale bodaj czy mu nie przyjdzie koniec. Najdrobniejszy objaw parcyalności względem któregobądź z waszych sąsiadów pobudzi trzech innych do zniszczenia waszego bytu; bez walki między sobą, rzucają się na was, podziela między siebie— i ziemię waszą posiadają. Weale to co innego zostawać pod umiarkowanym wpływem postronnjéj potencji, a czuć dokuczliwy ciężar obcego panowania. To prawda, że Rossya od dawna przewagą swoją, położeniem geograficzném, wzięła was pod skrzydła podwójnego orła, który was dopóty osłania, póki go będziecie oszczędzali, ale jeśli go podrażnicie, poźrze was.

„Teraz, kiedyscie z nim na dobrej stopie, daje wam uczuć swoje szpony; nie jego w tém wina, lecz wasza. Pokątne kabaty, słabe porywy, opór zawsze niepotrzebny, a odnawiany rok rocznie, zmusiły Rossyę do energicznego działania, aby was ocalić od zupełnej ruiny, do jakiej was pchają stronnice duchy.

Jeżeli zdarzały się jakie nadużycia i gwałty(?), działo się to bez wiedzy imperatorowjéj, która tego nie lubi.

O najmniejsze nadużycie skarżcie się do Petersburga, potrafi ona powściągnąć swego posła lub generalów. Zresztą

generałów rossyjskich nie ma u was, bo wyszli z wojskiem.

„Pierwszy to raz od początku tego wieku nie widziecie u siebie po miastach i wioskach zielonych mundurów. Przypominacie sobie, jak car Piotr trochę siłą, trochę podstępem zredukował wasze wojsko do ośmnastu tysięcy.

„Często mówiła mi imperatorowa: „Co mię ma obchodzić jakaś tam kasztelanowa, że ma amanta w moim wojsku, albo że wojewodzina romansuje z posłem, albo że siostra jakiego starosty należy do przeciwnego mi stronnictwa? Cóż mię obchodzą te ich procesa, i po co chcą, abym się w nie mieszała? Czemu tak dobijają się o moje ordera? czy swoich nie mają? Czemu każdy przepada za moim Św. Andrzejem? Nieraz piszą mi: *Ta a ta rodzina nie jest przychylna Rossyi*—a ja na to: Otoż masz! Rossya opuszczona! Z miłością zwrócono się zapewne do Austrii lub Pruss,— i śmieję się z tego!”

„Czy wiecie panowie, jaki z tego wyprowadzam sens moralny? Oto, że nie trzeba wam biegać ani do Wiednia, ani do Berlina, ani do Petersburga. *Umiejcie być Polakami!* jedyne to łaska, o którą błagam.

„Wracając do Rossyi, przyznaję, że to mocarstwo więcej się wami zajmowało, niż dwa inne, które częściej będąc z sobą w niezgodzie, krzywem okiem patrzyły na północnego sąsiada. Jeżeli jedno lub drugie z tych mocarstw podbudza was przeciw Rossyi, stulcie uszy, bo robi to nie w waszym, lecz swoim interesie. Za cesarza Józefa ręczę wam i nawet przez niego upoważniony jestem do tego oświadczenia.

„Pokazywałem wam listy dotyczące się waszej sprawy. Fryderyk Wilhelm, jak mniemam, pan lojalny, będzie wam robił takie same obietnice, jeżeli się zechce jasno wytłumaczyć i dotrzyma słowa; chyba gdybyście chcieli kopać pod nim dołki, w takim przypadku nie obwiniając ministrów, bo sami siebie oszukując, zmusicie go do niebezpiecznych kroków.

„Nie lamentować wam nad pierwszym zaborem, raczej obawiać się nowego.

„Będąc świadkiem widzenia się waszego króla, tak miłego, tak zajmującego męża, z cesarzową Katarzyną, widziałem uświęconą zgodę i odnowioną dawną znajomość i przyjaźń, co wzmocniło węzły polityki.

„Kiedy Stanisław August w roku przeszłym zapytał cesarza Józefa: „Mogęz się spodziewać, że mi nie dacie umrzeć ze zmartwienia, odrywając znowu jaką część mego nieszczęśliwego królestwa?”—odrzekł cesarz: „Przyrzekam i ręczę za siebie, że ani jednego drzewka nie ruszę.”

— Rękę na to—rzekł król do leż wzruszony.

— Oto ją masz z dodatkiem: jakem szlachcie, dotrzymam.

„Mówilem już z wami panowie Polacy o tém, co mi wczoraj obiecał ksiązę Potemkin, że dla was sprowadzi czterdzieści tysięcy karabinów z Tuly. Dowód to, że Rossya się waszój zaczepki nie boi, ale chce wyjednać uszanowanie dla waszój militarnój postawy. Obowiązuje się przytém otrzymać zezwolenie na wystawienie armii stutysięcznej, jeżeli potraficie ją wystawić. Zanieście te wyrazy waszemu zacnemu narodowi, niech teraz rozmyśla nad środkami powrotu do dawnój swojój świetności, używając do tego mądrych postanowień, powolnych reform, za wspólną zgodą obywateli, aby urządzić się wewnątrznie.

„Trzeba wam zapomnieć o starych prywatnych niesnaskach, nieporozumieniach, i odpędzić od siebie podrzędnych intrygantów, którzy was klóca i potém się śmieją. Nareszcie wasze żony niech raczej starają się podobać wam, a nie bawić się polityką, którój nie rozumieją.

„Najważniejsza rzecz zrobić sobie króla, bo Stanisław, doznając od was przeciwiństw i obelg, nie jest nim.

„W dzisiejszym czasie nie można mieć malowanego króla. Patrzenie na Francję, którój król, zwołując zgromadzenie notablów, zamienił się w króla polskiego. Wy za to swojego zróbcie królem francuzkim, to jest, dajcie mu moc i powagę monarchy; przecież sejm zawsze może ukrócić jego władzę, gdyby jój nadużywał. Nie odbierajcie mu tylko władzy robienia dobrze.

„Sam król jeden tylko nie jest u was królem. Każdy szlachcic rzeczywistym jest królem względem swoich poddanych. Staniecie się bogatsi niż jesteście, jeżeli chłopom dacie wolność i zapomogę na początek, aby stworzyć małych dzierżawców, którzy właściwie stanowią bogactwo i ludność kraju. Nie jesteście zaprawdę ani republiką, ani królestwem. Republika u was zasadzała się na tém, że kilkaset osób kraj reprezentujących, mogło królowi gadać w oczy i to publicznie największe impertynencye, za co otrzymawszy od arbitrów przysłuchujących się na galeryi huczne oklaski, szli króla całować w rękę, przepraszać go i prosić o jakie starostwo. Jeśli im do smaku ta rola, niech grają ją dalej; trzeba tylko powiedzieć tym panom, aby spróbowali zaprowadzić sejmikowanie w swoich dobrach, i pozwolili sobie tak samo chłopom traktować, jak oni króla traktują w Warszawie. Niechybnie zmieniliby swój sposób obchodzenia się z królem...”

Tutaj powołuje się na swoje pisma, gdzie mówi o zarządzaniu kraju, o edukacji publicznej, o finansach, i radzi zaaplikować to do Polski; przedewszystkiem radzi zaprowadzić banki, aby wielkie rodziny nie upadały, a szlachta wydobyla się z rąk żydowskich.

„Podnosząc wielkich panów—mówi dalej—podnosi się majestat tronu. Potrzeba, aby panowie wspaniałością dworu imponowali niższemu warstwowi, ruchliwym i wzburzonym, i żeby wszystkie trzymać w karbach posłuszeństwa. Królowi tyle należy dać dochodu, aby mógł utrzymać dwór swój na świetnej stopie, a przytém zabronić wielkim panom jeżdżenia za granicę i robienia tam długów, jeżeli będą mogli w kraju znaleźć wszystkie przyjemności. Tym sposobem zostaną się w kraju te pieniądze, które szlachta tracić zwykła w Paryżu. Młody szlachcic jak tylko zgoli wąsy, rzuci kontusz i żupan, czuje się w obowiązku co tehu lecieć do Paryża i tam wydawać pieniądze na metresy, na krawca, perukarza, w domach gry, zresztą na chirurga i na policyę, z którą prawie zawsze ma do czynienia.”

Radzi wszystkim przebrać się w kontusze i żupany, nie chce tylko, aby głowy podgalać. Utworzenie znacznej armii uważa za dość łatwe. Każdy szlachcic, któryby nie

chciał służyć w wojsku, może się wykupić od tego obowiązku, dając za siebie w zastępstwie dwóch lub trzech ludzi. Półki powinny nazywać się od województw i nosić wojewódzkie barwy.

Armia powinna co rok na jeden miesiąc zbierać się w oznaczonym miejscu na popis.

Król, mając niekosztowne stutysięczne wojsko na swoje rozkazy, odejmie sejmom moc ciągłego sprzeciwiania się i będzie mógł robić coś dla dobra kraju. Z armią stutysięczną piechoty a z pięćdziesięciu tysiącami jazdy, można nie bać się sąsiadów, którzy niełatwo się porozumieją, aby znowu wasz kraj najechać. Oprócz regularnego wojska, wypada mieć pięćdziesiąt tysięcy milicyi rozłożonej w trzech wzmocnionych obozach: jeden od Galicyi, drugi od Białorusi, trzeci od Grudziąza. Dalej pragnie, żeby Warszawa była Atenami i Spartą. Jeżeli chce zostać ostatnią, rzecz łatwa, niech zachowa stare zwyczaje przypominające cnotliwe i surowe życie przodków. Do Aten już i teraz podobna przez świetne przymioty umysłu i przez lekkość. Ambassadorsów na zagraniczne dwory nie ma po co wysyłać. Dość poprzestać na trzech agentach dyplomatycznych; jednego trzymać w Wiedniu, drugiego w Petersburgu, trzeciego w Berlinie, a ci niech szybko donoszą o projektach ministrów, lub o intrygach przybywających z Polski. O inne dwory nie ma się co troszczyć Rzeczpospolita. Czy w Madrycie, czy w Lizbonie, nie wiedzą nawet, że jest jakaś Polska, a w Rzymie wiedzą o tyle, o ile idą tam polskie pieniądze za wyrabianie rozwodów.

„Nie chwalebę zręczności tych finansistów, co chcą właścicielom odebrać część ich majątków, aby skarb wzbogacić, jak równie i tych, co radzą zabrać dobra duchowne. Podług mnie najlepszy byłby sposób niekrzywdzący nikogo i nietrwożący sumień: wziąć na skarb wszystkie *exvota* i srebra z kościołów, a przytém nałożyć podatek na rzeczy zbytkowe.”

Książę de Ligne, jak widzimy, chce tu zastosować Józefińską praktykę, oburzającą pod obcym rządem, pod swoim własnym dającą się usprawiedliwić koniecznością.

Żydów radzi wygnać na step ukraiński, i zmusić ich do uprawiania roli, leżącej odłogiem, a jednocześnie staje w obronie nadań i przywilejów wielkim familiom, powiadając:

„Dziś potrzebniejsza w Polsce arystokracja, niż kiedykolwiek była; jej wpływ przyczynia się do podniesienia ludu, nie trzeba mu jednak mówić, że się chce jego dobra, ani mu dawać prawo upominania się o takową. Król dobry i ujmujący, łatwo pozyska serce narodu, byle zaczął działać sam od siebie. Niech zwiedza swoje prowincje i obmyśla gdzieby co zrobić należało. Lasy wytrzebione zasiewać, bić gościńce, kopać kanały, rzeki robić spławnikami, a zbudziłby się ruch handlowy, i złoto wchodziłoby do kraju za drzewo, len i zboże.

„Jeżeli to się ma udać, potrzeba, aby król jeszcze uciekał się do intrygi, ale już ostatni raz. Jego poprzednicy wszyscy intrygowali, najchęćniej bez wyższego celu. Zaprowadzony ład i porządek, rozsypywane dobrodziejstwa, orderzy, tytuły, zabawy, uroczystości dworskie i dworska galanterja, przeciągną na stronę królewską wszystkie kobiety, które w Polsce wiele znaczą, albowiem sprawy państwowe wiążą się tam z towarzyskimi. Wszakże dla żadnej z kobiet niepowinien mieć preferencyi. Wasz król za nadto uczciwie obchodził się z niemi, równie jak ze swoim królestwem. Kochał się na prawdę, i często w najlepszej wierze popełniał niewierności. Oto największy zarzut, jaki można mu zrobić. W ten sam sposób przerzucał się on do przeciwnego sobie stronnictwa, a swoje własne przez to osłabiał. Niech tylko przez jeden rok weźmie na kiel, a będzie szczęśliwy na całe życie.”

„Dalej ze zwykłą sobie lekkością mówi o tém, żeby hulaszce i wesołe życie, jakie szlachta prowadzi na prowincyi, przeniosło się do stolicy, gdzie łatwiej przyjdzie rozbudzić ducha narodowego, już to nakłaniając płeć piękną, aby się nie stroiła na modę francuzką, ani przybierała manier francuzkich; ich bowiem przyrodzony urok więcej wart, niż wdzięki pożyczone od panny Bertin i od Leonard'a, zwłaszcza że Polki nie potrzebują naśladować

nikogo. Są one w ogóle tak lekkie jak Francuzki, tak głębokie jak Angielki, niezłomne jak Moskiewki, a przebiegłe jak Włoszki, a kiedy chcą, umieją być przyjemniejsze od czterech powyższych typów.

Dalżej znowu daje osobliwą radę dla utrzymania czystości obyczajów w stolicy: „Ażeby przeszkodzić modnym fireykom robić nieszczęście małżeństw, a modnym paniom nieszczęście kraju przez prowadzenie miłosnych intryg, niemniej politycznych i towarzyskich, należałoby bez obrazy religii i przyzwoitości, ściągnąć do Polski greckie rodziny z Morei, Archipelagu, także z Kaukazu i Georgii, a piękności ich dziewic zrobią wrażenie, i młodzież żeniąc się z nimi, uchroni się od zepsucia, i wyda potomstwo zdrowe, godne waszego pięknego kraju.”

Łatwo domyślić się, że de Ligne wpadł na ten pomysł, patrząc, jak silne wrażenie robiła sławną pięknosci Greczynka, z którą ożenił się był generał Witt, a potem Szczęsny Potocki.

Z podobnych rysów, nie będących ogólnemi, lecz tylko przypadkowemi, układał on horoskop pomyślności dla nieszczęśliwego kraju, któremu, gdy chciał wejść na lepszą drogę, czasu nawet do poprawy wewnętrznego organizmu nie dano.

To znowu robi wyrzut z powodu czepiania się obcych dworów.

„Będzie rok temu, jak wielu z nas zapewniało cesarza Józefa II, że są najlepszymi Austryakami.

— „Dziękuję wpanom—odparł cesarz—i uwalniam was od tego; byle moi Galicyanie byli dobrymi Austryakami, to już dość dla mnie.

„Ciągłe wymawiacie Austryakom odsiecz Wiednia z r. 1683. Wdzięczni wam jesteśmy za tę pomoc, ani słowa; lecz gdyby u was lepiej znało historię, wiedzianoby, że dom austryacki dopomógł wam przeciw Szwedom, którzy pod Karolem Gustawem całą Polskę zajmowali.”

De Ligne powtarza ten argument mający za sobą tylko pozór historyczny, bo kiedy pomoc Sobieskiego była heroiczną i skuteczną, tedy wojska austryackie pod Hatz-

feldem stały nieczynnie, bo do stoczenia żadnej walnej bitwy nie dopomogły.

Argument ten przytacza dla tego, aby odjąć wszelką nadzieję spuszczenia się na pomoc Austrii; jakoż wyjaśnia to:

„Nikt ani myśli robić nowego zaboru, byleście nie odsuwali się od Rossyi (a jak się zdaje sposobicie się do tego kroku na wasze nieszczęście). Rossyi bowiem wiele zależy na spokojnym zachowaniu się Polski; ona tylko ma do czynienia z Turkami, którzy, jak sami możecie się przekonać, nie są w stanie oprzeć się jej potędze.

„To, czego się domagam w wewnętrznej zmianie waszego rządu, niepowinno Rossyi obrazić. Lecz jeżeli coś się zrobi, choćby małego, bez jej wiedzy, może pociągnąć fatalne dla was skutki.

„Nie należy wam w obecnym czasie oszczędzać próżności, a obawiać się zemsty. Gdyby imperatorowa Katarzyna chciała wam co złego wyrządzić, pewnieby mój cesarz nie stanął po waszej stronie, związany bowiem z nią przymierzem, dla was nie poświęciłby serdecznej zgody.

„Jeśliby zaś inne jakie mocarstwo przyrzekało wam swoją opiekę i chciało pozyskać dla siebie wasze serca, lub serca waszych kobiet, mówcie: *Timeo Danaos et dona ferentes*.

„Trzebaby być Turkiem, aby wydawać wojnę potencji, mogącej posłać sześćdziesiąt tysięcy kozaków i sto tysięcy piechoty na spustoszenie kraju. Wojna ta prędko się skończy. Ostrzegam was. Niech przeciwnicy Rossyi nie liczą u was na Szwedów, jeżeli ci wmieszają się do tej gry. Ostrożnie kochani współobywatele! unikajcie wszelkich pozorów i poprzestawajcie na tém co macie, a czém i tak nie uniciecie rządzić; zapomnijcie o dawniej poniesionych stratach, ażebyście nie stracili i reszty.

„Pokazywałem wam list, który pisałem był do waszego nieszczęśliwego króla bez królestwa.

— „Najjaśniejszy Panie — mówiłem mu — czy nie widzisz, jaka burza zbiera się nad tobą?

— „Widzę ją — odpowiedział — ale mojem staraniem będzie tak postawić konduktor, aby piorun gdzieindziej

uderzył." Mojem zdaniem rzecz to niełatwa. Daleko bezpieczniej, jeżeli czas jeszcze, rozpędzić gromadzące się chmury. Ty sam, mości książe Czetwertyński, pokazywałeś mi kilka listów ministra Herzberg'a do księcia Antoniego Sułkowskiego. Za daleko posunięta gorliwość lub gorliwość tych, co po nim następują, a duchem jego się przejmą, mogłaby dalej zaprowadzić, niż pan jego iść zamierza; a tak postrzeże się po niewczasie, że przyjął na siebie zobowiązania, w które go chytróść i podstęp wciągnęły, tak, że ani on, ani następcy jego nie domyśli się nawet kabały. — Cóż to szkodzi? powiedzą wasi zagorzalcy: będziemy wolni; zrzuciwszy z siebie jarzmo, obronimy się innemu, mając sobie obiecaną pomoc; choćby nas i oszukano, zginiemy z honorem.

„Odpowiedzcie im:—Co nie umrzecie, to nie umrzecie! tylko ci, co mają własny interes, zetrą was na miazgę, obojętni wyszydzą, a dzieci wasze przeklinać was będą.

— „Stańmy się niepodległymi, wszakże mieliśmy niegdyś niepodległość! powtarzają prawi, choć krótkowidzący patrioci,—lecz że dobra wiara przez nich tak mówi, chętnie uniewinniam ten zapal. Dość porównać waszą dawną potęgę, znaczniejszą o wiele niż potęga tych trzech sąsiadów, o których mowa." Lecz czasy się zmieniły... i tu przebiega de Ligne ważniejsze momenta naszej historyi, a wykazawszy, jak silna była Polska Jagiellonów i Batorego, zapytuje:

— „Gdzież są teraz wasze siły, gdzie wasi wielcy ludzie? Wróćmy do obecnej chwili. Nie pokazywałem wcale Roszjanom tych listów (pruskich Herzberg'a) pisanych do księcia Antoniego Sułkowskiego, alem je posłał memu cesarzowi (Józefowi II), który jako dobry sąsiad ostrzega was, abyście się mieli na baczności.

„Wolter powiedział: „Pan Bóg niepowinien na tém „cierpieć, jeżeli ksiądz popełni niedorzeczność." Imperatorowa niepowinna stracić waszój przyjaźni, przez to, że książe Potemkin bez pluder przyjmował w tych dniach kilku waszych magnatów w Elizabetgrodzie; ta jego golizna, obrażająca dla tych, którzy go nie znają, była właściwie oznaką poufałości. Przykro mi zaiste, że kilku znakomi-

tych Polaków nie było zaproszonych na obiad do imperatorowej, kiedy ta była w Kijowie; albo że żony, czy też metresy innych panów nie dostały od niej wstęgi orderu Św. Katarzyny, albo, że czyjaś tam fizygnomia nie przypadła jej do smaku—wartoż to dla wszystkich tych drobnotek ściągać nieszczęścia na ośm milionów mieszkańców?

„Ambassador Stackelberg, który mógł wam być bardzo zaszkodzić, zataił przed swoją monarchią wszystkie te nieprzyzwoite słowa i obelgi, jakieście na nią miotali na sejmie przeszłorocznym. Sam widziałem tych, co najwięcej krzyczeli, z jakim strachem jechali do Kijowa, z kąd potem wracali zadowoleni.

„Jest to w interesie trzech mocarstw dać wam tyle, iżbyście mogli tworzyć zaporę między niemi. Ale kto wie, czy interes prywatny kilku osób, albo jakieś okoliczności nie zapanują nad tym interesem ogólnym? To pewna, że Rossya ma ten własny interes, żeby nie dopuścić do nowego podziału waszego kraju. Ja sam często to utrzymuję w kole Rossyan. Dla Rossyi wystarcza, że ma wpływ na całą Rzeczpospolitą; gdyby zaś was podzielono, miałaby tylko na tę część kraju, któraby się dostała pod jej panowanie.

„Weźcie to sobie dobrze na rozum, koehani rodacy, i pamiętajcie, że ten wzgląd polityczny może was jedynie uchronić od nowego rozbioru, pokawałkowania, utraty nazwiska Polski. Mówię to wam prawie ze łzami. Już te obawy moje o los waszój ojczyzny złożyłem w ręce człowieka najszlachetniejszego, jakiego znam w świecie, a tym jest ksiązę Adam Czartoryski, z którym mię najczulsza przyjaźń od lat najmłodszych łączy. Świctne jego przymioty publiczne i towarzyskie, ów pański układ, uprzejmość, talenta, wspaniałość, wszystko to zasługuje, abyście mu ufali i wierzyli, tak samo, jak on moim słowom wierzy. Inny z waszych największych panów, wierzący w to, co mu sumienie mówi, Feliks Potocki, wpadłszy w podejrzenie na ostatnim sejmie o przychylnie usposobienie dla Rossyi, wzruszył mię prawie do łez, gdy pewnego razu w Niemirowie, dokąd przyjechał był od swego wojska, którego, jest prawdziwą opatrnością, na samą wzmiankę o projek-

towaném uzbrojeniu, rzekł do mnie: - Sprzedam cały ziemski majątek, sprzedam familijne klejnoty, sprzedam ostatnią koszulę, aby tylko nie dopuścić oderwania od Polski jednej piędzi ziemi.—

„Czemuż od lat trzydziestu, mówi de Ligne, mieliście oczy zwrócone tylko na Petersburg, z kąd przychodziły wam najważniejsze nowiny, a nikt nie wykrzykiwał na to, że to mocarstwo miesza się do spraw Rzeczypospolitéj? Warszawa była świetna, bawiła się pomimo ruskich armat i surowej miny generała Rumiancowa.

„Na tę uległość widokom petersburskiego gabinetu zzymali się tylko mowcy sejmikowi, nie szczędząc kommunalów i parodując Rzymian lub Anglików, co im jednało oklaski galeryi. Przyszedł wieczór, o mowach i mówcach nikt już nie myślał; hasano mazurka, lub kochano się w Moskalu.

„Jakiż szatan niezgody, pobudził was dzisiaj do nieubłaganj nienawiści przeciw Rossyi? Czyżbyście chcieli korzystać z tego, że Rossya prowadzi wojnę z Turkiem? Nie rachujecie na to; ta wojna może się tak prędko skończyć, jak się zaczęła, a wysłanych dwadzieścia tysięcy Rossyan przeciw waszj sześćdziesiąttysięcznej armii na papierze, to samo zrobi, co kilka tysięcy Rossyan dokazało z konfederacją barską.

„Wasi mówcy nie mają ani armat, ani talentu, ani pieniędzy. Między waszymi przywódcami zaraz na wstępie wybuchnie niezgoda. Ten, który przyrzekł pomagać, wyprze się was; wszyscy opuszczą, i obce wojska kraj zaleją.

„Zdaje mi się, że w tój chwili dość jestem wtajemniczony w sprawy Europy, a przytém znam charakter tych, co temi sprawami kierują; dla tego chcecie mi wierzyć i zaufać moim słowom.”

Na samym końcu memoriału powiada, że zamiana króla elekcyjnego na dziedzicznego nie da się tak łatwo przeprowadzić—natomiast radzi wybrać jeszcze za życia dziś panującego Stanisława rodzaj koadjutora, czy namiestnika, który powinien być raczj *despota* niż republikaninem, czyli mówiąc dzisiejszym językiem: liberałem. Można by tu podejrzewać autora memoriału, że miał na myśli

księcia Potemkina, któremu na prawdę marzyła się korona polska...

Dodaje jeszcze: „Jeżeli by ten wyraz: *despota*, raził wasze uszy, tedy pozwólcie mi, abym wam życzył znaleźć człowieka, któremu byście nadali wielką władzę militarną. Obowiązkiem jego będzie, choćby miał za to ściągnąć na siebie karę króla Dawida, zrobić spis całej ludności i przez konskrypcyę wystawić armię stutysięczną na sam początek.”

Pojmował to dobrze księżę de Ligne, że Rzeczpospolita bez siły orężnej, będzie tylko igraszką zachceń swoich sąsiadów, a wewnątrz ogniskiem wiecznych niezgód i zawichrzeń waleczących z sobą stronnictw.

Kończąc swój memoriał, jeszcze raz przypomina z naciskiem: „Siedźcie cicho, siedźcie cicho—bo jeżeli się ruszycie, zginiecie!”

* * *

Czytając ten memoriał, trudno nie przyznać jego autorowi szczerzej życzliwości, jaką był przejęty dla narodu, którego został obywatelem; atoli wyżej nad samą życzliwość trzeba uwzględnić bystry sąd umiającego przewidywać polityka. Znając on ducha gabinetów ówczesnych, łatwo mógł obrachować, że egzystencya Polski wisi na włosku; że z pierwszej sposobności, jaka się zdarzy, gabinety te nie omieszkają korzystać, aby polechtane łatwością zaborów, nie miały ich jeszcze raz, i raz jeszcze dokonać. Kombinując te różne rzeczywiste interesa dworów, z ich widokami, a naszą bezradnością upajającą się łatwo słowami, przyszedł do przekonania, że Polska tylko pod opieką Rosyi mogła używać pozornie udzielnego bytu.

Polityka Katarzyny, niekoniecznie dobrém okiem patrząca na wzrastającą potęgę pruską, zawsze gotową do nowych niekosztownych nabytków, miała stały zamiar bronięcia Rzeczypospolitęj od nowych podziałów, ma się rozumieć nie dla pięknych oczu naszych, lecz żeby nie dopuścić zbytznego wzmocnienia się któregośkolwiek sąsiada. Sam wpływ na państwo, odgraniczające Rosyję od Europy, więcęj dogadzał jej widokom niż samo zagarnięcie

onego pod bezpośrednią jej władzę, a zagarnięcie, które nie mogło się obejść bez ustąpienia czegoś dwom drugim współnikom. Ten wpływ na Rzeczpospolitą i utrzymanie się przy nim było, że tak powiem, jednym z najgłówniejszych zadań polityki Katarzyny od samego wstąpienia jej na tron i osadzenia na tronie polskim faworyta jej Stanisława Poniatowskiego. To, co jeszcze za Augusta III-go przygotowała fakeya Czartoryskich, otwierająca szeroki wpływ rossyjski na wewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej, Katarzyna bystrym umysłem schwyciła od razu, i praktykowała przez ciąg swego panowania. Wprawdzie odzywała się nieraz, że jeżeli król i naród nie będą z nią trzymali, tedy nie jej nie przeszkodzi dać wymazać imię Polski z karty geograficznej.

Ludzie polityczni wiedzieli o tém; w tym sensie mówił i Józef II, starający się o przymierze z Katarzyną: „Ja i król pruski drżymy obadwa, kto z nas będzie lepiej z imperatorową; tém więcej powinno zależeć na tém Polsce, aby nie zrywała z nią przyjaźni.” Król Stanisław August dobrze pojmował tę sytuację, ale jej nie rozumiała czy nie chciała zrozumieć opozycja, formująca się zaraz w początkach sejmu czteroletniego, która widząc króla w obozie rossyjskim, przeczuciła się do drugiego, jak trafnie mówi Kalinka: „jeszcze niebezpieczniejszego wroga, bo w obóz pruski. Opozycja, cisnąwszy Moskwie rękawicę, oddała się Prusakom namiętnie i prawie z dziecinną łatwością.”

Memoryał księcia de Ligne, wypłynął z najczystsze-
go źródła, i weale był na czasie, bo jeszcze można było nie wiązać się z Prusakiem, aby nie stać się narzędziem własnej zguby.

WIERSZOKLETA STARÉJ DATY.

Widziałem raz wizerunek mężczyzny czytającego z wyrazem zadowolenia i nieledwo tryumfu (a czytał zapewne swój utwór). Był to płód genialnego rysownika, Sokołowskiego, którego przed czterdziestu kilku laty wrywano sobie po salonach warszawskich, dla tych karykatur, co przecieź niemi nie były. Sokołowski bowiem chwycił tylko najprawdziwsze podobieństwo, lecz figurom swoim taki umiał nadawać układ, że najwyborniej charakteryzował tę śmieszność lub wadę, jakiej oryginał podlegał.

Wizerunek ten przedstawiał głośnego w swoim czasie oryginała—wierszokletę, Jaxę Marcinkowskiego.

Był to, można powiedzieć, ostatni w swoim rodzaju egzemplarz. Szkoła romantyczna zadała ostateczny cios podobnym figurom, że dziś ktoby chciał takiego Jaxę wynaleźć, musiałby go jak mamuta szukać w pokładach ziemi.

Romantyzm, jak wszelka nowość, przyniósł z sobą wiele śmieszności ciężących raczej na sumieniu naśladowniczej zgrai niż na mistrzach; z tém wszystkiém dał on pewną wstydlivość muzie poezyi, że się nie narzucała swojemi płodami, tak jak zwyczaj było u klasycznych wierszokletów, że byle co splotziwszy, zaraz szukali słuchaczów, którym gwałtem wbijali w uszy swoje wyroby. Przyczyna tej wstydlivości romantyków pochodziła w znacznej części

z tego, że więcej zaczęto snuć z siebie, spowiadać się duszą, a że wszelka spowiedź lubi otaczać się tajemnicą, więc co kto napisał, w tajemnicy raczej chował, niż głośno trąbił. Klasyk mając do czynienia z gotowemi już konwenyonalnemi formami, nie miał tego skrupułu; przeciwnie, na wygłoszeniu z pewną dosadą i pompą zakładał powodzenie swego wiersza lub prozy.

Znajdą się wprawdzie i między romantykami nieubłagani nudziarze, męczący cię po parę godzin jakim poematem lub fantastyczną dramą, lecz zawsze akt czytania odbywa się za poprzedniem porozumieniem się ze słuchaczem, i to z klauzulą, żeby nie było innych natrętnych świadków... Dawniej daty rymotwórca nie pytał nigdy o pozwolenie, ale napadał, czy w domu, czy na ulicy, czy w kościele, czy w łóżku, wszędzie gdzie spotkał, i dobywając z kieszeni szpargał po szpargale, ciemnizył całemi godzinami, a nierównie bywał straszniejszy, jeżeli z pamięci sypnął ci z tysiąc par aleksandrynow. Pismo mogło się kiedyś skończyć, ale pamięć bywała u niektórych niewyczerpana i nieprędko kończyła się.

Przed wielu laty poznałem jeden z takich egzemplarzy w Ż.... Miał on śliczną córkę, dowcipną i dosyć zalotną, której niepodobna było widzieć, żeby zostać obojętnym widzem. Owoż, gdy mię ojciec zaprosił na herbatę, cieszyłem się w duchu, że będę mógł swobodny dać polot strzelistym affektom. Ale jakże srodze się zawiodłem! Przy herbacie mój amfitryon wszczął rzecz o wierszach; wtenczas bowiem nie gadano jeszcze o poezyi, a postrzegłszy, że ten przedmiot nie jest mi obcy, brnął coraz dalej, w końcu wyznał, że mam przed sobą autora epopei w dwunastu pieśniach, i że manuskrypt złożył Towarzystwu Przyjaciół Nauk w Warszawie, lecz nie wie, co się z nim stało...

Podzielałem jego strapienie, ale on nie chcąc mnie przyprowadzać do nieutulonego żalu, dalejże recytować swoją „Józefadę”... Poemat ten opiewał bohaterskie czyny księcia Józefa... Z razu myślałem, że z końcem herbaty wszystko się skończy, i że będę mógł affekta moje zwrócić wreszcie do panny, ale gdzie tam! Tyran mój coraz moc-

niej się rozpałał, i już nie ustępy, ale całe deklamował pieśni. Kilka razy na dobre przerywałem mu wciągając w rozmowę jego córkę, ale ledwo zawiązała się konwersacya, on tymczasem zażył tabaki, odsapnął i znówu:— „Jeszcze posłuchaj rejteradę z Moskwy.... Berezynę.... Bitwę pod Lipskiem...” — ale nim utopił swego bohatera... panna od dawna zasnęła w rogu sofy, i ja kiwałem się na krześle jak furman przebywający mazowieckie piaski; nie wiem co mię zbudziło, lecz kiedy się ocknął, poeta skończył widać epopeję, i chodząc wielkimi krokami po pokoju, deklamował Odeę do Boga... Świece się dopalały, jam spojrział na zegarek... za kwadrans północ! Pochwyciwszy kapelus, pożegnałem gospodarza, który na odchodnym poczęstował mię jeszcze półtuzinem epigrammatów... Moja piękność spała w najlepsze... O Argusie! pomyślałem odchodząc,—cała starożytność mogłaby ci zazdrościć; gdzie ty czuwasz, nie przydadzą się na nic miłosne fortele i sidła!

Ostatni tego rodzaju egzemplarz, pan Jaxa, będąc najczystszej krwi kawalerem, nie bawił się wprawdzie w Argusa, lecz przybierał rolę niczém niepozybtego natręta. Pamiętam, jak raz, a byłem wtenczas studentem, przyszedł w przedobiednięj godzinie z wizytą do naszego profesora, a że ten uczył polskiej literatury, więc tém samém przyszedł do kolegi w Apollinie. Pan professor i pani professorowa przyjęli go bardzo grzecznie. Po tyralierce zwykłych komplementów zaraz zatoczył Marcinkowski swoją literacką baterję, i wyjmując z różnych kieszeni zwitek po zwitku, rozpoczął czytanie swoich płodów na całej linii.... Do naszego pokoju dolatywały wybitnie głoszone rymy, słuchaliśmy jakiś czas cierpliwie, lecz cierpliwość przebrała się, psy głodu szarpiące jelita nasze podobnie jak greckich Eumenid, w niebogłosy dopominały się obiadu, professor spoglądał na zegar i siedział jak na szpilkach, professorowa niespokojne rzucała wejrzenie na drzwi prowadzące do naszej stancyi. Nakoniec wzięła stanowczą decyzję i wpadła do kuchni; dorozumieliśmy się, że zadysponowała jakiś nadzwyczajny dodatek, w czém zbiegający lokaj do piwnicy, jeszcze nas bardziej utwierdził. „Pewnie ten gość będzie na obiedzie!” I nie zawiódł nas instynkt

po chwili zawołano do obiadu, i pan Jaxa podając rękę pani profesorowej, zasiadł w naszym gronie, nie dając się apetytem żadnemu z nas prześcignąć. Tym sposobem zdobywał on sobie obiady, zadając najoczywistszy fałsz tym, co utrzymują, że poezya chleba nie daje... Jest to tylko osobiste wspomnienie, grające nader małą rolę w steku anegdot, żartów, mistyfikacyj, krotocwil wyprawianych kosztem tego wszędobylskiego wierszoklety, który przez kilka lat służył za cel tak klasycznych, jak romantycznych strzałów dowcipu.

Żebyśmy chcieli zwyczajem biografów opowiedzieć pochodzenie jego, rok urodzenia, wychowanie, wpływy działające na umysł i serce, nie mógłbym żadną miarą tego uczynić; albowiem Jaxa należąc do całkiem minionej epoki, ma cechę jakby jakiegoś mitu, którego początek gubi się we mgłach. Tyle wiem, że go wydała Wołyńska gubernia, co nawet dla potomności przechowało się w jednym wierszu Fr. Morawskiego, opiewającym w heroicznych spadkach jak:

„Pędzi z wołyńskich krajów Marcinkowski dzielny.”

A i to jeszcze za dokument służy, że Koźnian (Kajetan) w pamiętnikach swoich opowiada poznanie się z nim w Annopolu, w domu księcia Jabłonowskiego. Pan Jaxa był wtenczas w kwiecie młodości, wielki szarman w gronie dam, z którymi jeśli nie wywijał hołubców w mazurku, to im czytywał swoje wiersze; one zaś przez wdzięczność w oczy parskały mu śmiechem.

Zazwyczaj przyjechawszy do jakiego domu, gdy wszystkich porządnie rymami wynudził, a często swoją figurą pretensjonalną ubawił, jechał do drugiego, i tam jakiś czas przesiedziawszy, przenosił się znowu gdzieindziej. Domy te uchodziły w jego rozumieniu za sprzyjające literaturze ojczyściej. W istocie zaś wszędzie go z wesołą twarzą witano, jako wyborny materyał do różnych fars i pustot. Dojeżdżał on i do Porycka; uczony Tadeusz Czacki prędko poznał się na nim, i żałując rozpróżnionego młodzieńca, chciał go czém pożytecznym zatrudnić. „Włóczyś się po całym Wołyniu, rzekł raz do niego; zamiast co masz pisać

wierszydła, lepiej policz mi szkółki wyższe i niższe po wsiach i miasteczkach, i spisz je dla mnie." Marcinkowski wziął to za urząd wizytatora szkół, i wszędzie się potem chełpił z tego dowodu zaufania uczonego męża.

Ale czasem też i Czacki namozoliwszy się przy pracy, lubił zabawić się tą pocieszną figurą. Pewnego razu pani Czacka ułożyła zagadkę historyczną, którą chciała przedstawić w obrazach. Marcinkowski właśnie znajdował się w Poryeku. Czacki w dobrym humorze rzekł do niego: „Chciałbym zrobić niespodziankę żonie i gościom i pokazać się w jednym obrazie, do czego ty mi dopomożesz.” — „Gotów jestem na usługi pana hrabiego,” odrzekł Marcinkowski. Czacki więc bierze na siebie rolę Anchizesa, a Marcinkowskiego robi Eneaszem wynoszącym ojca z palącej się Troi, i usiadłszy na barki wierszoklety tak go przycisnął swoim ciężarem, że ten prawie na czworakach wszedł do salonu. Na ten widok rozległy się grzmiące oklaski, i wszyscy jednogłośnie zawołali: „Zgadujemy co to przedstawia: to wjazd Pana Jezusa do Jerozolimy!...” Poznał się przecież Marcinkowski na tym żarcie, i tak się rozdał, że jakiś czas nie zaważał o Poryek.

Czy skutkiem własnego zarozumienia, czy też wbity w to zarozumienie przez jakiego figlarza, dość, że Wołyń widział za ciasnym dla swojej sławy i postanowił dać się poznać na większym świecie. Za tytuł do zrobienia sobie znajomości z literatami miał mu posłużyć „Gorset,” poemat pełny niedorzecznych conceptów, dość tłusty, a przytém nudny na zabój. Przepisawszy go na czysto, zabrał z sobą i ruszył do Królestwa, a że po drodze miał znajome osoby, więc zatrzymał się u jednej damy w Radomskim, i tak ją podszedł czy znużył czytaniem swoich wierszy, że ta chcąc się go pozbyć, pozwoliła mu na przypisanie sobie nieszczęsnego „Gorsetu.” Jakoż z dedykacją tą wydał go w Warszawie 1818 r.

Pod tarczą tego utworu, którym zwykle ładował kieszonki i gwałtem wtykał każdemu do kogo się tylko zbliżył, wpadł najprzód do hrabiego Jana Tarnowskiego spokrewnionego z Czackim, i prezentując się mu jako powszechnie znany literat, prosił o zaznajomienie ze wszystkimi lite-

ratami stolicy, a oraz wprowadzenie do znakomitych domów.

Niepomału zakłopotał się Tarnowski, zwłaszcza po przeczytaniu „Gorsetu,” ale darmo! grzeczny pan dał słowo, trudno się było już cofnąć.

Obwiał go tedy Tarnowski: zaprezentował w domu generała Wincentego Krasińskiego, rady stanu Koźmiana, zapoznał z Franciszkiem Morawskim, Osińskim, Dmochowskim i innymi. Marcinkowski udawał wciąż zawołanego literata, mieszał się do rozpraw i sporów, i niemiłosiernie wtórował klasykom w wojnie z romantykami, posuwając zarozumiałość swoją aż do przedrwiwania pierwszych płodów tej muzy, do czego go szczególniejsz Osiński podbudzał, śmiejąc się w duchu z Arystarcha, co nawet w rozumieniu klasyków gorzej pisał niż ci nowatorowie. Za tą zarozumiałością przyszła prędko kara. Jaxa z tytułu Wołynianina pragnął przedewszystkiem wejść w ściślejszą zażyłość z generałem Morawskim, którego żona była Wołynianką; wiadomo jak dowcipnym i żartobliwym był generał. On też jednym rzutem oka oceniwszy indywidualum, odkrył w niem nieprzebraną kopalnię wszystkich tych śmieszności, co mają źródło w niewiomości i głupstwie połączone z próżnością, pyszałstwem i zarozumiałością.

Marcinkowski raz popadłszy w te szpony, już się z nich nie mógł wydobyć; długi czas tak w Warszawie, jak w Lublinie służył za wybora przyprawę do żartów. Mniemając on, że natrafił na dobrodusznego brata w Apolinie, zaczął się generałowi zwierzać ze wszystkich swoich autorskich sekretów; ten zaś, póki wszystkiego nie wypompał z biednej mózgownicy, słuchał potulnie i cierpliwie. Dopiero nazbierawszy funduszu, którego mu Marcinkowski dostarczył, napisał satyrę na niepowołanych bazgrańców niesmacznych wierszy pod tytułem: „Nowy Parnas,” i odczytał ten wesoły utwór na zebraniu u generała Krasińskiego. Słuchał Marcinkowski z pewną wyższością, uśmiechał się na imiona wyliczanych wierszokletów, lecz gdy między napastnikami Parnasu usłyszał i siebie wymienionym, skoczył jak oparzony, do żywego dotknięty epitetem „dzielny.” Uspakajano go, że ten epitet jest pochwałą, ale nie dał się

przekonać, i w końcu chcąc ukarać całe towarzystwo, pogroził wierszowanym odwetem i zaprzestał bywać u Krasieńskiego. Natomiast teatr swych wizyt przeniósł do domu państwa Mokronowskich i do instytutu Kanoniczek, i tam to wierszami swemi, to tańcami, to niewinnemi grammi, które dla zabawy panien wymyślał, zarabiał na pośmiewisko i żarty. Czterdziestoletniego wychowanka Parnasu, wprowadzano na młynki, na walce, menuety i na rozmaite w grach towarzyskich zasadzki, póki się nim nie znużono, jak natrętem wdzierającym się o każdą dnia godzinie. Spowszedniawszy tam, nawiedzał inne domy znajome, a mianowicie rady stanu Koźmiana, gdzie spostrzeżono jego niedostatek i uprzejmie zaproszono na obiady. Pewnego razu, kiedy spodziewano się go na obiad, litościwe kobiety wymówiły sobie, żeby z niego nie żartowano, bo już niektórzy z literatów ostrzyli sobie na niego zęby. Ale Marcinkowski sam dał powód, wszczynając materję o literaturze i żaląc się na Morawskiego za ów epitet „dzielny.”

— „Rozumiem co się znaczy, dodał on dumnie wstrząsając głową: zazdroszczą mi i starają się przeszkadzać méj reputacyi zdobytej tylu dziełami. Przecież mając takie zasługi, należy mi się raczej szacunek niż prześladowanie.”

Słyszając to Osiński, rzekł do niego: „Ja ci się okażę prawdziwym przyjacielem, i powiem ci prawdę, z jakiego powodu narażasz się na pośmiewisko u ludzi światłych...”

— „Proszę—odparł zaciekawiony Marcinkowski, będą wdzięczny za szczerość.”

— „Oto piszesz nedorzeczne wiersze, odrzekł Osiński; rzekniéj się manii rymoklectwa, a nikt z ciebie żartować nie będzie.”

Na te słowa jak piorunem rażony Jaxa zemdlął. Trzeba było trzeźwić go wódką kolońską. Gdy przyszedł do siebie, zaczął ręce łamać, i wyszedłszy do drugiego pokoju wyrzekać na Osińskiego: „Co ten lichy i zazdrosny pisarek prócz siebie nie pozwala nikomu wierszy pisać?! Cóż on zrobił? Ja w jednym miesiącu więcej napisałem, niż on przez całe życie!” Uspokojono go jednak, i dotrwał do koń-

ea obiadu, a na wety rozdał obecnym gościom bilety prenumeracyjne na mający wyjść Zbiór jego poezyj.

Zapewne tęsknota po dobrym stole, bo był sławny z apetytu, zaprowadziła go znowu do domu generała Kraśńskiego, właśnie wtedy, kiedy przyjechał znany z dowcipu i dobrego humoru Gustaw Olizar. Na obiadach, na których punktualnie bywał Mokronowski, opowiadał o nim tysiące najzabawniejszych anegdot, co całą kompanię pobudzało do wesołości i nieraz najkomiczniejsze zdarzały się sceny, jeżeli Marcinkowski, czy wypierając się, czy przyznając do owych o nim anegdot, jeszcze obfitszego do żartów dostarczał żywiołu. Wtenczas to urodziła się pod dowcipnem piórem Olizara „Jaxyada,” poemat bohaterski, i od-tąd zaczęła się prawdziwa kampania żartów literackich z muzy i osoby Marcinkowskiego, dopóki nareszcie nie wyjechał ze stolicy. Dokąd więc przeniósł swój warsztat? Oto do Lublina. Morawski stojący z brygadą swoją w tém mieście, wmówił w niego, iż Lublin lepiej potrafi go ocenić niż niewdzięczna Warszawa; jakoż przyrzekł uprzedzić publiczność o jego talentach, a nadewszystko obiecał mu dać stół i stancję. Uszczęśliwiony otwierającą się karierą wyjechał do miasta, które od lubości bierze swoje nazwisko.

Zaledwie stanął w Lublinie, otoczony zaraz był uwielbieniami i pochwałami przygotowanemi przez Morawskiego, i uwierzył w nie. Nie było nic śmieszniejszego nad przejeżdżanie się Jaxy po Lublinie kareta generała; co chwila wychylał się z okna i z zadowoloną twarzą obdźwiał ukłoniemi przechodzących. Gdziekolwiek pojechał z wizytą, czytywał swoje wiersze wielbiące wdzięki tamecznych pań i panien, a tak rozkołysany wziął się do dzieła większych rozmiarów i napisał poemat: „Pobył w Lublinie,” który wydrukował i rozwoził po znajomych. Mając zwyczaj w dobieraniu rymów i nieraz sensu radzić się generała, przyjmował za dobrą monetę wszystkie śmieszności, które on mu podsuwał. I tak chcąc opisać kościół Ś. Michała założony przez Leszka Czarnego, męczył się dobraniem rymu do wyrazu: mury, i napisał z pokrzywdzeniem historii: Leszek wtóry. Morawski zganiał mu to, utrzymując, że to za wielka

licencya, i radził w przybliżonym kolorze napisać: Leszek Bury, co też i zrobił. W opisie tym pozwolił sobie całemi nazwiskami wymieniać znajome osoby, jak między innymi:

Zbliża się ku mnie postać grecka,—
Co widzę? panna Umieniecka!

Można sobie wyobrazić, jaką ta nowość furorę robiła w prowincjonalnym mieście, gdzie wszyscy się znali.

W podobnym rodzaju były wszystkie jego madrygały do płei pięknej. Czterowiersz do Gruszczeni ofiarował pani, której nazwisko brzmiało podobnie:

Pani! jakże się miło z twym nazwiskiem pieścić!
Gdybyś w niem pozwoliła jedno zet umieścić,
Urósłby z tego owoc luby i soczysty,
Nie szatanby nim kusił, ale anioł czysty.

W ten mniej więcej szczęśliwy sposób szarmantował Jaxa płeć piękną, która często stawiała w obronie nieszczęśliwego wierszopisa.

Długo byłoby opisywać najkomiczniejsze mistyfikacje wyprawiane z Marcinkowskim. Nareszcie gdy tenże często się kłopotał o przedmiot, powiadając, że wielki czuje w sobie zapal do pisania, ale mu przedmiotu brakuje, Morawski radził mu popróbować dramatycznej sławy i napisać coś dla lubelskiego teatru. Marcinkowski rad z podanej sobie myśli, postanowił dla okazania wdzięczności swojej Lublinianom za uprzejme przyjęcie, wziąć za przedmiot do komedyi Rzeczpospolitą Babińską, która właśnie najlepiej nadawała się do wyszydzenia śmieszności i przywar tój prowincyi, jak to robił jowialny Pszonka, założyciel tój satyrycznej republiki.

Morawski w liście do generała Krasińskiego taką daje dowcipną relację z tego przedstawienia:

„Zbiegliśmy się już na czwartą na teatr, on (Jaxa) od trzeciej był na paradyzie i nie wiedział, że go widzimy. Pełno było, i wszyscy cieszyli się z głupstwa, które ich uraczyć miało. Szeptano po łóżach, parterze, że tchórz wykpiony będzie. Podnosi się kurtyna, lecz jak na koło miodem smarowane na pszczelniku, brawo na całym parterze,

i wtenczas widzimy, jak sam Jaxa dawał brawo. Słowo uczciwości, prawda! Włókl się potem cały 1-szy akt przez trzy kwadranse, w którym o tém jedném zawsze była rozmowa, że wystraszymy tchórza. Kończy się pierwszy akt nudnie trochę. Żadnego oklasku; poeta zaalarmowany; śmiano się jednak z kilku rubasznych conceptów utopionych w nudnej gadaninie, i to go pocieszało. Podnosi się zasłona raz drugi. Tchórz, o którym mowa była w całym pierwszym akcie, tu się dopiero pokazuje, chociaż bawi ciągle w Babinie. Szemrzą po parterze, że szlachcica kontuszowego, z poczciwych dawnych czasów, wystrychnął na śmiech i wzgardę; lecz przypomniawszy sobie, że to płód Jaxowskiéj głowy, słuchają cierpliwie jak dyabeł w balladzie (Odyńca). Kobiety zmówione w pierwszym akcie, napędzają więc stracha tchórzowi, który wyskakuje oknem i chowa się w konopie. Znachodzą go tam, wyciągają i robią Buńczuczynym Babińskim, a na znak téj godności dają mu buńczuk, u którego wisiał cały zdechły tchórz, za którym Jaxa jak waryat latał po całym Lublinie, aby go znaleźć. Owoż ów Kierdej Dziusa, czyli bohater-tchórz, bierze go bez żadnej ceremonii, całuje (na honor) trzy razy w ogon. Odbierają mu pannę, czemu on ani się dziwi, ani nawet słowa nie mówi do końca sztuki, tylko wciąż całuje buńczuk, skacze, tańczy z nim, i... zasłona spada! Tu dopiero cały parter i łoże wrzasną: „Autor! autor!” Widzieliśmy, że Jaxa także gębę miał szeroko otwartą, co kazało się domyślać że z całej piersi wywoływał autora... Występuje na scenę aktor i oświadcza, że autorem sztuki jest Wielmożny Kajetan z Jaxów Marcinkowski, autor pism wielu! Brawo zagrzmiało po całym parterze, i Jaxa się pokazał, i nuż emablować od łoży do łoży i zbierać pochwały! Ja w tém wszystkiém zawsze tę myśl miałem, że generał pewno przyjedziesz na tę sztukę i że gdzieś siedzisz ukryty. Straszylem go tém, i dla tego aż na paradyz uciekł. Nazajutrz po całym Lublinie wizyty, wszędzie oklaski i chwala, której serdecznie wierzył, aż nareszcie przychodzi do prezesa (był nim Łukowiecki), który go wykpał, że starego szlachcica na hanswurstą wykierował, i że sztuki przedstawiać zabrania. Jaxa myśląc, że coś bardzo liberalnego napisał,

prosi o wytknięcie miejsce mających polityczną alluzję, ale mu wprost odpowiadają, że to nie polityka, ale głupstwo temu winne. Przerabia więc na nowo, i nie wiem co z tego wypadnie. Wszystkie familie dotąd żyjące w okolicy Lublina pokładł do sztuki, jako to: Gałęzowskich, Dłuskich, Sobieszczańskich, Wybranowskich, Finków, i już ich teraz wymazuje i nad nowemi łamie głowę... Teraz mi mówił, że zamysła tłómaczyć Odę do Boga z Dierzawina. Co za przelot od Babina! jaka niespokojność imaginacyi!"

Po tym tryumfie na scenie, zaczęło być Marcinkowskiemu za ciasno w Lublinie: „Co stolica, to nie prowincjonalny kurnik”—zapewne pomyślał sobie, i niebawem wyruszył na żniwo nowych laurów, których nawet po drodze, jadąc rzemiennym dyszlem, nie zaniedbał zbierać.

O jego przyjeździe do Warszawy tak pisze Koźmian w korespondencji z Morawskim:

„Jest tu znowu Marcinkowski, śmieszniejszy niż był. W Puławach czytał księżnię swoją dedykację i poemat „Rzeki.” Powiada, że płakała, że manuskrypt złożyła w świątyni Sybilli w złotój szkatule, że księżna wirtemberska zachwyciona pięknością, porwała prenumeratę. Wszystko to rozpowiadał u Krasińskiego z wielką dumą i ukontentowaniem z siebie samego. Potem pobiegł do Glücksberga przyspieszać drukowanie. Za kilka minut wpada z rozezochnym włosom, łamie ręce, przeklina zazdrosnych jego sławie. Pytamy się, o co idzie? rozumieliśmy bowiem, że go kto wybił... A on na to: „Rzeki zginęły! Zginęły Rzeki! ktoś wykradł manuskrypt!” Ztąd posądzenia to na ciebie, to na Krasińskiego. Wypieramy się, dajemy słowo, że nie o tój sprawie nie wiemy, a on nie wierzy, wciąż wyrzeka: „Moja sława! mój honor! co powie publiczność?! Posądzi mię, żem ją oszukał, wybrawszy prenumeratę na dzieło, które nie egzystuje!..” Perswadujemy mu, że to jego własna wina, że pozwolił muzom jak kozom z bitego gościńca uskoczyć w bok; może wyskoczyły oknem? To go wprawia w nową wściekłość, leci do Glücksberga... Hałas na dziedzińcu, ledwie się nie biją. Niebo, piekło wyzywa, grozi pomstą, pozwami, i już pyta o najbliższego adwokata... Wtém zecer wyciąga gdzieś z kupy papierów zasmolony manuskrypt i rzuca mu pod nogi. Jaxa ulagó-

dzony, uśmiecha się do ukochanego dziecka... lecz Glücksberg występuje groźnie na scenę i zaczyna go brać z góry. Jaxa tuli kapelusz na uszy i zmyka..." Morawski znowu wypytuje o niego pisząc z Lublina do Warszawy: „Lublin, ja, Leszek Bury i parkan, wszyscy tęsknimy po nim. Cóż on robi? może na Łysą Górę wyjechał? Mogę o nim i o sobie powiedzieć: Nec tecum possum vivere, nec sine te!"

Kiedy Jaxa wydał na świat poemat swój „Rzeki," Morawski pisał do przyjaciół swych warszawskich, Koźmiana, Krasińskiego, między którymi a nim ciągle utrzymywała się bardzo zajmująca korespondencya literacka; w każdym liście, jak sól dla smaku potrawy, musiał się znaleźć jaki koncept na Marcinkowskiego. Owoż w jednym liście powiada: „Powiedz mi, czy to Jaxidło zupełnie oszalało? Wieżę kruświcką słupem nazywa! Nigdyby tego w Lublinie nie napisał; tu może bylibyśmy z niej służbę wieków zrobili, dla tego, że stoi przy jeziorze, lub też murowaną szatę czasu, dla tego, że tak stara, lub nakoniec komin do piekieł, którym Popiel za swoje grzechy wyleciał do Tartaru. Tu byłby Jaxa prawdziwszy, a tak jak teraz, jest ni to, ni owo. Namawiajcież go niech przyjdzie tu nabrać sił nowych; tu jego Hipokrena. Nie wiem czy wiesz, że przyszła mi myśl parodyować „Mazepę" Byrona. Pamiętasz, że tego tam do konia przywiązali, który z nim bez wytchnienia tyle dni i nocy leciał na Ukrainę. Czyżby Feb rozniewany na Jaxę za głupie wiersze, nie mógł go podobnie do osła przywiązać, któryby z nim latał, a Jaxa wierszami by ryczał, lecąc przez Podole, Lublin, Warszawę i wszystkie rzeki i bagna?

„Początek tego poematu byłby taki:

„Muzo! ożyw pierś moją swém bożkiem natchnieniem,
Jaxa moim rycerzem, epopeja pieniem.

Jak ów w rymach Byrona dzielny koń Mazepy
Leciał z nim bez wytchnienia w ukraińskie stępy,
Lub ów Żyd, co od wieków bez spoczynku lata,
I jeszcze ma się błąkać do skończenia świata,—
Tak nasz Jaxa na ośle ruszywszy z Parnasu,
Czterdzieści lat już prawie pędzi bez popasu!

Jakieś лихо go niesie po różnych przygodach,
 Wali klusem po lądzie, cwałuje po wodach...
 Takię ja to podróży chcę opiewać dzieje,
 Jeśli mi kto dobrego szampana naleje;
 Jeśli Molle i Kiszki złym rymom przebaczą,
 A dyabli Szaniawskiego choć raz porwać raczą!
 Mogłem ja wprawdzie codzien czytając kuryera,
 Innego moim rymom obrać bohatera;
 Mogłem nawet przedziwne ułożyć poema,
 Jedno z Baszy Janiny, drugie z Angulema.
 Ale na cóż uwielbiać oklepaną sławę?
 Sprzykrzyły się już światu te wawrzyny krwawe,
 Wreszcie nie są to dla mnie rycerze bez braku,
 A Jaxa jakoś lepij przypadł mi do smaku," i t. d.

Mnóstwo w podobnym rodzaju krążyło wierszyków
 o Marcinkowskim, lub też w jego imieniu pisanych; naj-
 więcej bawił się niemi żartobliwy humor Morawskiego.
 Innego razu, gdy Jaxa do Lublina zawitał, a często się uwi-
 jał między tém miastem a Warszawą, taką podaje o nim
 anegdotę list Morawskiego:

„Jaxa pisze na mnie komedycę pod tytułem: „Teraż-
 niejsza przyjaźń.” Dowiedział się w teatrze, że epigraf na
 satyrze Znawców nie jest Krasickiego, ale Naruszewicza.
 (Morawski zwykle podsuswał mu podobne epigrafy i umyśl-
 nie mylił co do autora, z którego były wyjęte, co po wy-
 drukowaniu wprawiało Jaxę w ogromną rozpacz). Rzucił
 się z parteru jak szalony, trzy ławice obalił i kilku widzów.
 Spotykamy go wychodzącego z teatru, pytamy się o przy-
 czynę pomieszania. Przeklina mnie, siebie i losy, leci jak
 waryat do sklepów i księgarni, gdzie dał swoich Znawców
 na sprzedaż; puka, dobija się w noce... Patrol nadchodzi,
 myśli, że złodziej i zabiera do kozy. Przeprowadzają na
 odwach, szczęściem że go oficer znalazł i wypuścił. Nazajutrz
 z ranną zorzą wstał i wszędzie, gdzie tylko były egzem-
 plarze, podpisał na epigrafie: Krasicki, wymazywał, ale i to
 dało powód do nowych żartów. Już nie wie nieborak co ma
 robić, i gdyby nie święcone, nie miałby żadnej pociechy...”

Nad Marcinkowskim znęcali się często młodzi pisarze
 po pisemkach warszawskich; owoż Morawski ujmując się

za swoim protegowanym, odpowiadał w jego imieniu. W jednym z takich wierszów bardzo dowcipnie zachowany jest ton Marcinkowskiego, w jakim zwykle wynosił swoje zasługi na Parnasie:

„Panie Godebski,
Wiersz twój jest kiepski,
Lepiej młodziku
Nóć kukuryku.
Ja piszę wiersze
Nie jak ty pierwsze,
Mnie muza pieści
Już lat czterdzieści.
Jeszcześ był w jajku,
Mały hultajku,
Gdym w Parnas wkroczył
I już przeskoczył
W sztuce Apolla,
Kiszkę i Molla (*).
Kijów mię głosił,
Na ręku nosił,
Karmił i poił,
A gdym się stroił
W wieniec wołyński,
Płakał Feliński! (*)
Cożeś ty zrobił,
Byś się ozdobił
Laurem poety?
Gdzież twe Gorsety?
Ty piszesz drwinki,
Ja Upominki;
Ty mód żurnale,
Ja Rzeki wałę.
Sypią się tomy,
A świat łakomy

(*) Kiszka Zgierski i Mell, wierszokleci wileńscy.

(*) Feliński, autor „Barbary.“

Na moje Treny,
 Znawce, Ireny,
 Pszonki, Pobyty,
 Stoi jak wryty
 Nad każdą kartą
 Z gębą otwartą.
 Prawda, że wielu
 Ma mię na celu
 I drwi potężnie;
 Lecz czemuż mężnie
 Nie znieść pocisku,
 Zwłaszcza dla zysku?
 Przy darze Feba
 Rozum mieć trzeba.
 Moja intrata
 Prenumerata.
 Wreszcie mój panie,
 U nich śniadanie,
 Obiad, wieczerze;
 A ja ci szczerze
 Powiem po prostu:
 Nie lubię postu.
 W straszném zawzięciu
 Jem za dziesięciu i t. d."

Kawalek ten może mieć nawet wartość dla dzisiejszych bibliografów spisujących skrupulatnie wszystkie plody wszystkich bez wyjątku autorów, mieści bowiem tytuły dzieł przez Marcinkowskiego wydanych, lubo nie wiem dokładnie, czyli autor nie opuścił czego, co mogłoby należeć do wielkich rzadkości.

Tymczasem póki Jaxę przyjmowano po domach i bawiono się nim, póki rozbierano bilety prenumeracyjne na jego liczne dzieła, póty żywot jego dość wesolo upływał; lecz po kilku latach téj farsy znudzono się nim, i zapewne niewszędzie byli mu radzi, i niezawsze przyjmowano bilety, aby w zamian ofiarować gotówkę...

Bieda, ta nieodmienna przyjaciółka literatów wszelkiego gatunku od początku świata, musiała i do niego czę-

sto zaglądać i zapewne złość swoją wyrzucić najprzód na jego garderobie... O puszczenie się zewnętrzne, czasem i twarz blada, przeciągnięta, świadcząca o skurczonym żołądku, dały do zrozumienia jego znajomym, których kosztem swoim rozrywał, że stan literackiej kieszeni musi być oplakany....

Morawski, któremu dowcip nie odbierał dobrego serca, tak w jednym liście odzywa się: „Żona moja dowiedziała się, że Jaxa znajduje się w potrzebie, i chciałaby mu dopomóc. Powinniśmy mu co obmyślić, bo przecież z tą rolą nie może zostać na całe życie.”

W innym znowu liście do gen. Krasińskiego:

„Jaxa, drogi Jaxa, podobno chory i prawie tak nędzny jak jego wiersze. Niech się generał dowie czy to prawda, bo przecież nie można go opuścić. W Wielkopolsce, na Szlązku nawet mówiono mi o nim. Zastanawiałem się, jak rymy jego mogły go tak głośnym uczynić, i wytłomaczyłem sobie to temi wierszami, które niegdyś tam zrobiłem:

Sława, co życie nasze przedłuża za grobem,
Szczególnym dzieła ludzkie rozgłasza sposobem,
Z dwóch stron sobie przeciwnych dwie trąby przytyka.
Jedną głosi Byrona, a drugą Jaxika...”

To pewna, że dla zrobienia sobie popularności potrzeba albo geniuszu, albo ogromnej porcy głupstwa. Miłość własna Jaxy mogła się czuć zadowoloną, kiedy imię jego nabrało takiego rozgłosu; ale cóż? sława ta wiatrem nadziana, nie karmiła głodnego i wiele potrzebującego żołądka.

Z ustanowieniem kuratoryi nad szkołami, otworzyło się wiele posad na inspektorów czyli dozorców prowadzenia się uczniów. Marcinkowski chcąc sobie los zapewnić, podał się na tę posadę. Generalny kurator, kasztelan Okselewicz, byłby za nie nie dał mu miejsca, jako człowiekowi będącemu celem tyłu żarcików, ale wstawili się za nim tak generał Krasiński, jak Koźmian, przekładając, że to uczciwy człowiek, że byle mu zakazać wiersze pisać, będzie dzieci pilnował lepić niż każdy inny, a z siebie nie da żadnego zgorszenia; zresztą można go posłać daleko od Warszawy, gdzie jeszcze sława jego śmieszności nie doszła. Generalny kurator zgodził się na to, a Marcinkowskiemu powiedziano,

że miejsce otrzyma, tylko potrzebuje zaprezentować się kuratorowi.

W kilka dni potem przychodzi do Koźmiana ogromnie zmartwiony i zdziwiony, że mu kurator przyrzekł miejsce, lecz pod warunkiem, żeby wierszy nie pisał. „Wolę z głodu umrzeć, niż zrzec się tego, czém sobie w kraju reputacyę i niejaką sławę zrobiłem.” Koźmian reflektuje go tłómacząc, że zapewne kuratorowi idzie o to, aby pisanie wierszy nie odrywało go od ważnych obowiązków urzędowania; zresztą może je pisać i chować do teki, byle nie ogłaszać drukiem. Nareszcie po długich staraniach w Komissyi Oświecenia, Marcinkowski został mianowany inspektorem w Płocku. Koźmian interesujący się szczerze losem biedaka przywołał go i oznajmił mu pomyslną nowinę. Lecz on wpadając w największą rozpacz, zawołał: „Jak to? ja tylko inspektorem? ja co pół wieku strawiłem na przysługach literaturze, a inni co pióra nie zmaczali, kuratorami zostają! To już jest krzywda, której sobie wyrządzić nie dam!”— Koźmian tak dobrze nakładł mu w głowę, tak zbił jego przesadzone pretensye, że nareszcie przyjął podany sobie nieczywy kawałek chleba i ruszył do Płocka. Morawski jak tylko wiadomość ta doszła do niego, zaraz pisał do generała Krasińskiego:

„Jaxa ma więc urząd! Cieszę się.

„Mówią, że po téj wieści rozszerzonej w Płocku
 Tak się ciemno zrobiło jakby o północku,
 Szatan rymów, na czarnym przeleciał ogierze,
 Sowy huczeć zaczęły, piszczeć nietoperze,
 A widmo Bielawskiego (*) uwieńczone chwastem,
 Rycząc wiersze Gorsetu, bujało nad miastem.
 Zdumiał się Kobyliński (**) na ten przestrach płocki,
 W dwa tysiące żołnierza wystąpił Cichocki,
 A Prażmowski, co wszystkich do skrucy zagrzewał,
 Niezmiernie cienkim głosem *miserere* śpiewał.

(*) Autor komedyi: „Natręty.“

(**) Prezes płocki.

„Widzę ja tu w tém okropną intrygę Cichockiego (*), i dla tego go w wierszu umieściłem. Wydarł mi to, na com pracował. Ja to dałem do Rzeki myśl pierwszą, ja mu poddałem żwiry i bawełny. Hos ego versiculos feci, tulit alter honores. Sic von, non vobis....”

Oddalił się Marcinkowski od Warszawy, tego ogniska żartów z jego muzy; w Płocku opiekował się nim prezes Kobyliński i starał się dla niego zjednać u zwierzchności szkolnej dobrą opinię. Zdetronizowany poeta poddawał się dobrym radom i wcale przyzwoicie sprawiał się na urzędzie. Ale niepohamowana chęć rymoklectwa przemogła; zdawałoby się, że krew w jego żyłach płynęła rymami, pisał więc znowu rozmaite banialuki, opisywał Płock, zabawy, panny, czytywał po domach swoje utwory, między innymi pocieszną ramotę pod tytułem: „Echo,” gdzie umieścił o jednej pannie kochającej się w oficerze następujące dwa wiersze:

A co to téj pannie na sercu doliga?

Echo nie dosłyszało i mówi: Szeliga.

Nakoniec, gdy mu brakło przedmiotu, opisywał Żydów i Żydówki płockie, a jadąc do Warszawy przez Miłosną i blizkie wioski zwane Mamki, zrobił z téj okolicy kraj miłosny, w rubasznych, dwuznacznych i swawolnych wierszach, które, wstępując po różnych dworach, czytywał Jednakowoż zwierzchność nie brała mu tego za grzech nieodpuszczony, i szczęśliwie dosiedział na swoim urzędzie aż do r. 1831, w tym bowiem roku paraliż naruszył mu pół głowy. Przyjechał do Warszawy, a czując się bardzo chorym, oddał się w kurację do szpitala Siostr Miłosierdzia, gdzie wkrótce umarł, w czém miałby niejakie podobieństwo z Klonowiczem, Kamoensem, Gilbert'em, Hegezypem Moreau i innymi poetami, co niepojęci przez współczesnych, poumierali w szpitalnej nędzy. Szczęściem współcześni nie będą mieli Jaxy na sumieniu; owszem opiekowali się nim lepiej niż niejednym, co więcej miał talentu, choć może nie zasługi, bo czyż nie wypadaloby policzyć mu za za-

(*) Cichocki był generałem brygady.

sługę, że śmiesznościami swemi budził także dowcipy i w dobry humor wprawiał zebranych na pogadankę literatów? Przyznam się, że wesołe koncepta, ożywiona jowialnością rozmowa, szermierki językowe, gdzie jeden tnie, a drugi się odcina, bez zadawania krwawych i bolesnych ran, stokrój są nieszkodliwsze i przyjemniejsze niż posiedzenia nieporośłych sensatów gadających górnym stylem o przeznaczeniach ludzkości, lub o tém, co Pan Bóg myślał kiedy świat stwarzał. Pierwsze może sobie być głupstwem, pustotą, ale nie ma pretensyi uchodzić za mądrość platońską; w drugim przypadku pod maską arcy poważnej i nudnej gadaniny stylem filozoficznym, najeźściwiej ukrywa się jeszcze gorsze głupstwo, bo z pretensyą do głębokiego rozumu i nauki.

XVI.

NIEWIASTA HOMERYCZNA.

Trzeba wiele zuchwałości z méj strony, ażeby się odważyć mówić o niewieście z czasów bohaterskiej Grecyi, i to w obec takiej bieżącej kwestyi, jak wyzwolenie niewiasty, podniesione w imię postępu i namiętnie wyzyskiwane już nie wiem na czyją korzyść, lecz zapewne nie na korzyść téj płci, która, jeżeliby zmieniła swoją naturę i dotychczasowy stosunek do drugiejj połowy rodzaju ludzkiego, poniosłaby szwank nielada. Na szczęście, niewiasta, której wizerunek mam skreślić, nie należy do „zacofanych ultra montanek,” a jeżeli rzeczywiście jest zacofana o jaki trzy tysiące lat, to tém korzystniejj wydaćby się powinna obok niéj dzisiejsza niewiasta w postępie lub postępowca, jeżeli to lepiej dogadza.

Jest jeszcze druga okoliczność niemniejj niepokojąca od pierwszéjj, a ta jest, że wypadnie mi zacząć o starego Homera, tego męczennika grammatykarzy i wszystkich gimnazjów, jakie są na kuli ziemskiej od stworzenia świata homerycznego.

W skutek tego niezasłużonego męczeństwa, zmęczyła się wyobraźnia nasza i ochłodziła dla starego pieśniarza—przedstawiając sobie jego utwory na podobieństwo ruin przywalonych grubym pokładem ziemi, na którejj porosły ogromne drzewa, pobudowały się nowe osady, i tylko zamierzehłe podanie powiada, że tu niegdyś coś było,—ale co? kogoż to obchodzi?

Tak jest, był pieśniarz zamierzchłych wieków, wyborny opowiadacz, który w świat puścił wiele ciekawych rzeczy, o jakichbyśmy nigdy nie wiedzieli bez niego; był, że użyję tego anachronicznego porównania, jakiś niby Walter-Skott bohaterskiej Grecyi, któremu żal się zrobiło po pięknej i czerstwej przeszłości usuwającej się przed nim, więc zatrzymał ją na krawędzi nowo tworzących się stosunków, i pędzłem słowa obraz jej i fizyognomię zachował dla następnych pokoleń. Rozumowanie jego musiało być bardzo proste: „Widziałem tyle wielkich i szlachetnych zdarzeń i ludzi, że żalby mi było nie przekazać ich moim potomkom, którzy jeśliby zasklepili się w sobie, znaleźliby skuteczne lekarstwo we wspomnieniu, jak to in illo tempore bywało.”

Owoż nie w kronikarskich zapiskach, lecz w pieśni ogarniającej najrozleglejsze stosunki życia, tak jak się odbijały w wyobraźni największego poety, rozmiłowanego w przeszłości bohaterskiej, którą znał i tęsknił po niej, zamyka się wszystko, co wiedzieć możemy o heroicznym wieku Hellady.

Jak dla poznania odpowiedniej epoki dalszego Oryentu, jedynym źródłem jest Biblia i księgi wedyeczne, tak dla Grecyi jeden tylko jest Homer, nie tyle w Illiadzie opiewającej obozowiska i bitwy, ile w Odyssei, romansie pełnym przygód na lądzie i morzu, a co lepsza, wtajemniczającym nas w życie domowe, w stosunki powszednie, zwyczaje i obyczaje.

Idąc za tym promiennym przewodnikiem, wciśnię się w tłum pancernych Achiwów i majestatycznych Achajek, przesuwający się na tej szerokiej arenie czarownych wysp, zatok morskich, cienistych i tajemniczych pieczar, okrętów kołatanych burzami, krwawych bitew, zgiełkliwych biesiad i cichych ginecejów, gdzie zawsze furezy wrzeczono, lub suwa się tkackie czółenka, — i z tego to wiru wyprowadzę jedną postać niewieścią, piękną jak najwykończony posąg, niemal bohaterkę powieści, idealny typ greckiej matrony—Penelope. Wyobrażenie o jej wysokiej doskonałości przetrwało tysiączne przemiany wiar i obyczajów; a co najlepszy dowód, że dziś jeszcze, choć plemię greckie

tak się przerodziło, nie ma na wyspach Jońskich rodziny żeby choć jedna córka nie nosiła miana Penelopy, tak jak u nas, w każdej rodzinie znajdzie się imię Marya, tego bożkiego ideału niewiasty chrześcijańskiej.

Aczkolwiek przedmiot tego studjum każe się ograniczyć na jedną postaci, niepodobna jednak nie spojrzeć i na inne niewieście wizerunki homerycznej galeryi. Każda z nich czémś wabi; w tój majestatyczna godność i szlachetność, w tamtój wdzięk czarujący pełny harmonii, w innėj wyzywająca zalotność, w owėj dziewicza naiwność jeszcze silniejsze robiąca wrażenie.

Ktoby chciał mierzyć niewiastę homeryczną na stopę kobiet późniejszej ucywilizowanej Grecyi, kiedy rej wodziły hetery, mocnoby się pomylił. Niewiasta czasów bohaterkich nie jest ani niewolnicą, ani sługą, jak to się stało późniejszym zwyczajem, kiedy przez Jonię wpływ Oryentu oświadczył Grecyą. W czasach opiewanych przez Homera bierze ona udział we wszystkich towarzyskich stosunkach, każe się szanować i zajmuje miejsce obok małżonka, który radzi się jój w ważnych zdarzeniach, zdaje na nią wszechwładny zarząd domu i uważa ją za coś więcej niż za zwykłą domownicę, potrzebną do pielegnowania dzieci, dozorowania sług, rozporządzania spiżarnią i myślącą jedynie o nakarmieniu tych olbrzymich apetytów. Wprawdzie robi na to wszystko, ale obok tego objawia zdanie swoje otwarcie, gromi, nawet nakazuje uległość; zgoła, żyje życiem pełnem i jest duszą rodziny. Zapewne, nie jest to ideał niewiasty chrześcijańskiej, pełnej ducha ofiary, ale zawsze istota wyższa nad pospolitość, majestatycznie piękna, dobrym serca natchnieniem posłuszna, umiejąca się litować, a nawet w samėj zbrodni okazująca charakter niezwykłej miary, — jaką jest, taką się być wyznaje i nie ma chęci uchodzić za lepszą.

Tak pojmuje Homer niewiastę, biorąc ją w ogóle z najwyższej warstwy społeczeństwa. Każda z nich jest królową, lub żoną małego władcy, jeżeli nie bogińką lub samém bóstwem. Atoli obok tych wspaniałych postaci, nie gardzi prostą służebną i niewolnicą, robiąc z nich przesliczne typy przywiązania do swych panów, wierności nie-

poszlakowanej, gotowości poświęcenia za nich choćby życia. Stosunek to był czysto patryarchalny.

Najzdrowsze i najszczytniejsze wyobrażenia epoki składały się na wytworzenie tych pięknych postaci niewieścich.

Taką jest Helena, Kirke, Kalipso, Arete, Nauzykaa, Eurykleja. Każda w swoim rodzaju odmienna od drugiej; każda z rzeczywistości wzięta, a pod ręką sztukmistrza przeobrażająca się w ideał piękności. Zdawałoby się, że owa sławna Helena, na którą cała Grecya płakała, że przez nią tyle dusz poszło do Erebu, której ród przeklinają ojcowie i matki, powinna nie znaleźć łaski u poety. A jednak tak nie jest: wyprowadza on ją w tak uroczystych koryn-
rach na scenę, z taką miłością patrzy na nią, jakby chciał zatrzeć przykre o nią wspomnienie, i wybryk, którego następstwem był dziesięcioletni bój, poczytać raczej za fatalne losów zrządzenie niż za przewierstwo mężowi. Ludzie źle o nią mówią, przeklinają ją, — ale poeta olśniony jej pięknnością, ma tylko pochwały, zapomina o wszystkim i maluje co widzi przed sobą. Piękność robiła ją podobną do bogiń nieśmiertelnych — on też nie śmiał grzebać w jej przeszłości, kiedy i sam małżonek Menelaos spuścił grubą zasłonę. Wszystko zatarte, jakby nigdy nie zaszło. Taką widzimy Helenę w godowej sali pałacu Menelaosa:

„Weszła Helena z wonnej wychodząc świetlicy,
Jak Artemida zbrojna w pęki strzał pierzaste;
Zaraz z wspaniałem krzesłem podbiegła Andraste,
Alkipa jej kobierzec miękki podesłała,
Filo koszyczek nosła... moteczków w nim pełno,
A na wierzchu kądziółka z fiołkową wełną;
Helena tam usiadłszy, wsparła stopy obie
Na podnożku...”

Po tym majestatycznym wejściu, pierwsza rozpoczyna rozmowę z małżonkiem, i wręcz zapytuje go, jacy to goście przybyli do zamku? Niewolnica nie śmiałaby tak pytać, ani się mieszać do ogólnej rozmowy, jak ona to robi z całą swobodą dzisiejszej wielkiej pani lub monarchini.

Homer wszędzie wyraża się ze czcią dla niewiasty, — w czém różni się od późniejszych poetów, a i od najbliższego sobie Hezydoda, mówiącego ze wzgardą i lekceważeniem o płci tej. Szczególnie raz lub dwa oburza się na ród niewieści z powodu zbrodni Klitemnestry, morderczyni własnego męża, lecz mówi to przez usta Agamemnona:

„Nie wiem, czy obrzydliwsze na świecie jest zwierzę
Nad kobietę, gdy w taką zbrodnię się ubierze,
Jak w ową, na małżonku własnym dokonaną.
Jam marzył, że gdy wrócę, radość niespodzianą
Sprawię dzieciom, czeladce — wszystko mię powita!
Alić ta przeniewiercza, zbrodniarka kobieta,
Nietylko sama siebie, lecz rodzaj niewieści
Zbечеześciła, te nawet, co warte są cześci.”

W wiekach bohaterskich niewiasta nie mogła być niższa od mężczyzny, i stała też z nim harmonijnie na równi. Później, kiedy ten wielki prąd przeminał, spotykamy także kobietę obok bohaterów nowej epoki. Przy Peryklesie stoi Aspazya, wyrób demokracji ateńskiej. Matrona, matka rodziny ustępuje miejsca heterze.

Ażeby lepiej pojąć kreacye starożytnego aoidy, trzeba się niekiedy przenieść w bliższe nas czasy; żeby zrozumieć śliczną Nauzykaa, warto przypatrzeć się Zosi w „Panu Tadeuszu.” I w jednej i drugiej niezrównany urok prostoty. Zosia bosemi nóżkami wybiega do sadu karmić domowe ptactwo; Nauzykaa, królewska panienska, otoczona gronem dziewcząt, udaje się do pralni nad morzem, i tam pierwszy raz widzi ją Odysseusz. Tu Tadeuszek zachwyca się Zosią spłoszoną w rannym negliżu; serce pięknej Feaczki zajęło się od razu nieznanym, — i serce Zosi zapewne głośniej zabiło, coby mogło dowodzić, że ten rodzaj zakochania się tak dobrze dziś, jak i przed wiekami był znany. Nauzykaa nie robi z tego tajemnicy, z pełnych prostoty słów jej można się domyślić, że w serce jej wcisnął się niepokój. Powiada też do nieznanego sobie rozbitka, którego bierze pod swoją opiekę, że przed samem miastem trzeba im rozłączyć się z sobą, — bo

„...u gminu nietrudno o baśnie,
 I widząc nas, zły język mógłby mówić właśnie:
 „Jakiś obok Nauzyki przybyłec się kręci!
 Zkąd go wzięła? Oj! z tego coś się nam wyświęci.
 Czy nie okręt zapędzon do brzegu tu jaki
 Nam go przyniósł? Wszak goście u nas rzadkie ptaki.
 Pewniój to z górnych niebios zeszedł na wezwanie
 Modłów jój z bogów który, i przy niej zostanie.
 Najpewniój, że gdzieś sama jeździła daleko,
 I znalazła małżonka, bo wiemy jak lekko
 Waży sobie zaloty feackich paniątek.”

Jeszcze raz spotykamy się z nią, gdy Odys ma odpłynąć do Itaki. Nauzykaa ukazuje się we drzwiach jaśniejąca pięknoscia, długo wpatruje się w odjeżdżającego i prosi, żeby o niej nie zapominał... Stary piewca umiał czytać w sercu kobiety jak w otwartój księdze; źle mówić, bo zapewne książek nie czytywał, prócz jednéj, księgi życia i natury...

Jakże różna od niej namiętna, samolubna Kalipso, co pochwyciwszy swoją ofiarę, nie chce jój puścić od siebie! przyrzeka dać nieśmiertelność i wieczną młodość; dziwi się, jak można tęsknić do prostéj śmiertelniczki, jak Penelopa, posiadając serce bogini wiecznie młodéj i pięknej... Poeta nie ma innego sposobu wydobycia bohatera ze szponów namiętnéj bogini, tylko uciec się do interweneyi olimpijskiéj.

Czarodziejka Kirke to znowu inny rodzaj zalotnéj kobiety. Obojętna, nawet okrutna dla mężczyzn, staje się uległą i przywiązaną, odkąd w kochanku swoim poczuła pana, który umiał jój zaimponować.

Kalipso i Kirke to uosobione typy rozkoszy, jak Helena jest typem piękności, którój nie może się nic oprzeć, Arete typem poważnéj matrony prowadzącéj rząd domu.

Niepodobna nie pokochać nawet i téj staréj piastunki Euryklei, tak pełnéj serca, tak wiernéj i przywiązanéj do swoich panów. Rywalizuje ona z czulością matki, posuwając ją aż do słabości względem swego wychowanka. Nietylko w heroicznych czasach Grecyi, lecz i u nas, przyrostek ten

do rodziny, piastunka, odgrywał zawsze niemłą rolę w domowym dramacie.

Ten stosunek niewolnika do pana jest u Homera czysto patryarchalny; charakter niewolnictwa zaciera się tam zupełnie we wzajemnym przywiązaniu i miłości. Były to zapewne wyjątki, ale dające kamerton obyczajom. Rzeczywistość niezawsze musiała dostarczać takich wzorów sług przywiązanych jak Eurykleja lub pastuch Eumej, i panów tak dobrych jak Odysseusz i Penelopa; inaczej nie byłby poeta wyrzekł tych wielkich słów tchnących głęboką prawdą:

„Bóg wszechmocny obdziera człowieka z połowy
Cnój poceziwości, odkąd wkłada nań okowy.”

W rozmaitych stosunkach, jakie stary pieśniarz ukazał nam między jedną płcią a drugą, daje się postrzegać pewna gładkość, wdzięk i niemal grzeczność, ale w formie tak prostej, że nasza cywilizowana konwencyonalność wydaje się nader wymuszoną.

Przebiegłszy w krótkim rzucie oka epizodyczne wizerunki niewiast homerycznych, wypada zatrzymać się nieco dłużej nad Penelopą, tym bohaterskim ideałem małżonki czystej i wiernej, odważnej i roztropnej niewiasty, — a to tém więcej, że poeta obrawszy ją sobie za główną postać, wymodelował ją staranniej niż inne, przeprowadził przez różne próby życia, aby tém zupełniej oddać mógł charakter, nie opuścił jęj do samego końca, kiedy inne porzucił w toku opowieści.

Legenda, zapewne dorobiona później na daném tle, opowiada, że kiedy Odysseusz pojął był Penelopę, oboje puścili się w drogę do jego domu w Itace. Wtenczas to ojciec młodej oblubienicy, stary Ikarios, nie mogąc przeczyścić w sobie żalu i tęsknoty po ukochanej córce, powlókł się za odchodzącą parą, a dogoniwszy, na wszystko zaklinał zięcia, aby mu nie zabierał córki. Młody bohater widział się między młotem a kowadłem; z jednej strony brała go litość na widok łez starca, z drugiej ciągnęła miłość ku pięknej żonie. Zatrzymał się tedy w miejscu, gdzie się rozchodziły dwie drogi, i rzekł do swojej oblubienicy: „Wybieraj za kim chcesz iść: czy za mną, czy za ojcem?” Pe-

nelopa nie nie odpowiedziała, tylko spuściwszy na twarz zasłonę, podała rękę Odyssovi.

Para ta, jak widzimy, połączyła się swobodnym serca wyborem.

Rys ten, choć później dodany, a może luźny odłamek Odyssei, dziwnie przypada do całości i rzuca urocze światło na tę młodą małżonkę idącą za pociągiem własnego serca. Zwykle bowiem w owych czasach nie pytano się o skłonność: rękę dziewicy otrzymywał zwykle ten, który najwięcej sztuk wołów lub baranów dostarczył za nią rodzicom; im powabniejszy był przedmiot, tém i hojniejsze wiano.

W skutek tego zwyczaju, córkom będącym na wydaniu, nadawano epitet „mnożycielek obory.”

Młodziutką musiała być Penelopa, kiedy z Telemachem u piersi żegnała małżonka odpływającego z wyprawą wodzów achajskich pod Ilion; a jeżeli po dwudziestu latach wzbudzała takie zapęły w młodzieży, że na jęj widok stali w zdumieniu—jakaż to piękność musiała być nadzwyczajna!

Żywot opuszczonej żony upływał przez pierwszych lat kilkanaście cicho i samotnie na zamku męzowskim. Nikt nie śmiał niepokoić żony bohatera walczącego pod murami Troi. Lecz odkąd wszyscy wodzowie wyprawy powrócili do domu, a jeden Odyss nie wracał i nie było o nim żadnej wiadomości gdzie się podziewa—opuszczona wdowa i niewdowa, stała się przedmiotem starań licznych zalotników, którzy dom jęj najechali, przepędzając w nim dni na biesiadach, grach, tańcach, śpiewach, a na noc odchodząc do swych mieszkań.

Prawdziwy zajazd konkurentów, po za którym święciło się co innego: jeden bowiem tylko mógł w końcu posiadać jęj rękę, inni czyhali na rozdrapanie majątku Odysa. Ztąd też liczba ochotników wzrosła niesłychanie.

„Z Dulichionu pięćdziesiąt i dwóch dziarskiej młodzi,
I sześciu pacholików, co koło nich chodzi;
Z Samos dwudziestu czterech; z Zakintu leśnego

Dwudziestu masz Achajców; dodajmy do tego
Dwunastu Itakanów—wszystko kwiat młodzieży.

Piękne oczy Penelopy służyły za pozór; w rzeczywistości szło o zgładzenie Telemacha, jedyne go spadkobiercy spuścizny po Odyssie, i podzielenie się majątkiem. Sami zalotnicy nie tają się z tém, lubo dla pokrywania zamiarów zawsze u nich ręka Penelopy na pierwszym miejscu. Miłość pokrywała grę namiętności politycznych, jak gościnność była pokrywką najazdu.

Gościnność ta praktykowała się na wielką skalę, kiedy codziennie od lat wielu taki tłum napępiał godową izbę zamku Odysseusza. Tryb życia mniej więcej był taki:

Co rano, dziewczki dworskie uprzątały izbę na przyjęcie zalotnych gości. Jedne rozniecały ogień, a ugie skrapiały wodą podłogę, zamiatały i purpurowemi ko biercami nakrywały siedzenie; inne wycierały stoliki gąbkami, czyściły kraterę i kruża; inne nosiły wodę z krynicy. Później nieco przychodziła służba panów zalotników, która pomagała rąbać drwa na kuchnię; pastuchy z różnych folwarków dostawali bydło, kozy i barany na biesiadę codzienną. Nakoniec zjawiali się sami mołojcy, kwiat achajskich paniczów. Każdy z nich miał swoje krzesło, na którym składał płaszcz; poczem na dziedzińcu zarzynano bydłętą, dając coś bogom na ofiarę i przysmażając delikatniejsze trzewia na węglach. Po téj przekąsce, zastępującój śniadanie, wino już zmieszane z wodą w wielkich krużach, nalewał podczaszy w puhary i rozdawał między biesiadników. Z kolei, całe grono szło się bawić grą w kamyki, lub ciskać kręgiem do mety. Gdy ta zabawa odbywała się na dziedzińcu, w godowej wielkiej izbie przyspasabiano ucztę. Ogromne ćwierci pieczonego na roznach mięsa krajano w kawały i stawiano w kopiastych misach na stolikach; w koszach leżały pszeniczne chleby. Wezwani do stołu biesiadnicy zajmowali swoje miejsca; keryksowie leli im wodę na ręce, które umywszy, rzucali się gołemi rękami na jadło.

Po skończonym obiedzie, podochoceni gęstemi libayami, wzywali obecnego aojdę (pieśniarza), aby przy dźwięku formingi śpiewał im ulubione pieśni.

Taki był od lat wielu porządek dzienny w zamku Odysa. Sama pani nie brała nigdy udziału w tych biesiadach i zebraniach: zamknięta z gronem swych służebnic w górnych komnatach, leżących nad wielką izbą godową, przędła lub tkła na krosnach wielki ten całun, który miał służyć do przykrycia zwłok starego Laertes, ojca jęj męża, na przypadek jego śmierci. Tę tkaniną broniła się ona przez kilka lat natręctwu zalotników, powiadając, że wtedy dopiero pomyśli o oddaniu ręki jednemu z licznęj drużyny starających się, gdy skończy swoją robotę. Był to dowcipny wybieg, albowiem

„Próła to czasu nocy, co utkała z rana.”

Podstęp wydał się jednak; zdradziła ją jedna z pokojówek będąca z zalotnikami w porozumieniu. Ci zatem upatrzawszy sposobną porę, wpadli w nocy do gineceju i schwytali Penelopę na gorącym uczynku, kiedy próła to, co we dnie utkała.

Jedyna to gwałtowniejsza scena między piękną kobietą a zgrają dobijających się o posiadanie jęj ręki. Żadnemu nie przychodzi na myśl dopuścić się przemocy na osobie słabęj i bezbronnęj niewiasty. Zdaje mi się, że poeta nie bez intencji chciał odsłonić tę piękną stronę bohaterkiego obyczaju, przejętego czcią i uszanowaniem dla kobiety, co zbiega się z najpiękniejszą epoką średniowiecznego rycerstwa. Rzeczywistość mogła być inną w tym szorstkim i krwawym wieku, ale szlachetniejsze uczucie nie było mu obce.

Nasza polska Penelopa, sławna u kronikarzy Małgorzata z Zębocina, chroni się na wieżę kościelną i wytrzymuje oblężenie swoich zalotników. Jest to naga rzeczywistość; rozpasana namiętność technie najdzikszém barbarzyństwem, a mimo tego myśl chrześcijańska, która podniosła godność niewiasty, unosi się nad sumieniami i panuje, jak w starożytnęj Helladzie unosiła się pieśń Homera.

Penelopa, jak nadmienilem, pomimo, że zalotnicy byli codziennymi jęj gośćmi, miewała w rzadkich tylko przy-padkach styczność z nimi. Były to jakby dwa nieprzyja-cielskie obozy, wstrzymujące się od starcia, lecz prowadzą-ce między sobą wojnę zasadzek i fortelów.

Poeta pierwszy raz wprowadza Penelopę na scenę, i daje nam ją poznać z najsympatyczniejszej strony, pod koniec hucznej biesiady, kiedy godowa izba rozlega się od śmiechów i krzyków podochoconych gości, a na raz aojda ich, Femios, przy dźwięku formingi zawodzi pieśń o smutnym powrocie Achiwów z pod Troi. Pieśń ta w sprzeczności z wesołym nastrojeniem, uciszyła hałaśliwe usposobienie godowników. Cisza zapanowała, a słowa żalostnej pieśni dostawały się do górnych komnat Penelopy, aby zakrwawić jęj serce. Bohaterowie wrócili z wyprawy—a jęj Odyssej nie wrócił! Cóż boleśnniejszego dla oczekującej lat tyle małżonki nad to przypomnienie?! Każde słowo tęg pieśni to jak pchnięcie miecza. Szczęście powrotu, powitanie przez żonę, dzieci, domowników, okrytego sławą bohatera—to nowa gorycz dla serca i tak przepelnionego goryczą. Zasłania uszy, aby słów nie słyszeć, — ale sama żalostna nota ściga ją wszędzie. Wytrzymać dłużej nie ma sposobu. Schodzi więc na dół, staje w progu izby biesiadnej opromieniona całym majestatem godności niewieścięj.

Na lica zapuściła z głów namiotkę cienkę,
Z lewęg i prawęg miała służebną panienkę,
I do bozkiego piewcy rzekła, płacząc rzewnie:
„Femio! ty innych pieśni umiesz więcęj pewnie,
Co ludzi, bogów sławią, a u piewców słyną—
Więc jedną z takich śpiewaj...

...Tęg nie chcę tylko pieśni jednęj,
Taką boleścią serce rozdziera mnie biednęj,
Już i tak udęczonej tym płaczem ustawnym
Po małżonku w Helladzie i na Argos sławnym.”

W romansach naszych dość często spotyka się podobny początek. Nerwowa dama w buduarze swoim nie może znośić jakieg sonaty egzercytującego się w blizkiem są-

siedztwie koncertysty na fortepianie, co daje powód do zawiązania z nim znajomości i do odrysowania charakteru pięknej damy, bardzo nerwowej skutkiem jakiej nieszczęśliwej namiętności, która zostawiła w sercu wielkie spustoszenie...

Homeryczna Penelopa wcale nie jest nerwowa, lecz czuła i nieszczęśliwa. Dzień i noc płacze i tęskni po mężu; wszystkie jęj myśli biegną tylko za nim—dość cierpi, a tu jeszcze dręczą ją słowami pieśni. Jeżeli w smutku swym nie szuka pociechy, to znowu nie chce poddać się rozpacz. Rozpacz zabija, a ona potrzebuje żyć, żeby do czekać się wracającego męża. Mamy tu więc do czynienia z prawdziwym charakterem, a nie z nerwami.

W każdym razie wprowadzenie Penelopy na scenę należy do tych wielkich piękności, które choć wyzyskiwane tylokrotnie, nie przestają i po tysiącach lat należeć do najszcześniejszych kreacyj. Poeta zrobił ją od razu interesującą; właśnie dla tego, żeby ten interes utrzymać, nie pokazuje jęj często, a tylko wtenczas do działania pobudza, ilekroć coś ją dotknie z najdelikatniejszej strony serca. Mogą zuchwali goście rozpościerać się w jęj domu, rozkazywać nieswoim sługom, marnotrawić dobytek, wypijać wino, rozpustę plodzić: ona jakby o tém wiedzieć nie chciała, oporu nie stawia, z rezygnacją poddaje się przemocy. Ale niechże zranią jęj uczucie jakim wybrykiem przekraczającym granice ludzkości, zjawia się natychmiast, gromi i protestuje.

W takim charakterze widzimy ją występującą po raz drugi, gdy Odysseusz wróciwszy już do do Itaki, wszedł do swego zamku przebrany za żebraka, i niepoznany od nikogo zbierał okruchy ze stołu biesiadujących mołojców i był przez jednego z nich skrzywdzony. Aninój cisnął na niego stolkiem i trafił w ramię. Wiadomość o téj krzywdzie zadanj żebrakowi, który nie przestał być gościem domu, doszła do uszu Penelopy.

Postępek ten wzburzył ją, i natychmiast zeszyła z górnych komnat, a stanąwszy jak zwykle w progu, już nie do zalotników, lecz wprost do syna zwróciła się:

„Synu mój! coś twój umysł i wola się chwycie!
Małym będąc, robileś większe mi nadzieje,
A teraz, kiedyś podrósł, wyrósł na młodziana,
I każdy w tobie widzi całą głębię pana,
Że i obcy się dziwią twój dziarskiej postaci,—
Czemuż zdrowy rozsądek u ciebie nie płaci?
Jakąż zgrozę spełniono tu, w twój obecności!
Tyżes dał sponiewierać jednego z twych gości?
Jak to? Gość, który w domu naszym się znachodzi,
Obelgi miałby doznać? O! to nie uchodzi:
Na ciebie hańba spadnie, ludzie tobą wzgardzą.”

Znać tu ten pani domu i matki; kobieta miękka, rozmarzona, nigdy się nie zdobędzie na tyle energii. Zamknąć się, wyszywać na krosnach i płakać—to mało; to tylko sposób zachowania się stosowny do położenia, ale nie charakter bohaterskiej matrony, a właśnie z tej strony chciał ją przedstawić poeta, i taką się nam odsłania w powyższej scenie. Nie do sprawców ekscesu odzywa się ona, lecz karci własnego syna, przypominając mu, jaki jest święty obowiązek pana domu.

Gościnność była tym obowiązkiem świętym, religijnym. Gość wchodzący w progi mieszkania, choćby w postaci największego nędzarza, mógł być Bogiem, zstępującym z niebios, aby doświadczać ludzi—czy zachowują cnoty lub je gwałcą. „Gość w domu—Bóg w domu,” odwieczne przysłowie i u nas znane, dałoby się wyprowadzić z tego starożytnego wyobrażenia o świętym obowiązku gościnności.

Wzburzenie Penelopy pochodziło w pewnej części z naruszenia świętego prawa, a w części z tajemnego poczucia, które ją może ostrzegło, że ten żebrak skrzywdzony ma jakąś styczność z osobą drogiego małżonka. Miała więc podwójną pobudkę ujęcia się za skrzywdzonym.

Co zaś do szanowania gościnności—jest to najpiękniejsza strona obyczajów w tym szorstkim i krwawym wieku. Nikt nawet nie śmie pytać o nazwisko wchodzącego w dom gościa, dopóki go nie przyjmie i nie nakarmi. Mądrość starożytna dziwnie tu się zbiega z miłosierdziem chrześcijańskim. Śty Jan Złotousty mówi w tym samym sensie:

„Ubóstwo ma w sobie coś świętego: skrzydzić ubogiego, jedno jest co skrzywdzić bożkiego posłannika; ugaszczać i przytulać ubogich — jest przyjmować Boga w swym domu.”

Kodeks moralności u starożytnych przechowywał się raczej w obyczaju niż w przepisach. W dzisiejszym świecie przeciwnie: na wszystko są najwyborniejsze przepisy i traktaty moralne — atoli w obyczaju nie ma żadnej reguły.

Wypadałoby niemal przejść całą Odysseję, aby we wszystkich odcieniach i momentach odmalować wewnętrzne życie Odysowego zamku, oddanego na łup zuchwałych gości, i pochwytać te rozmaite sceny, na których tle tém świetniej odbija: śliczna i wspaniała postać Penelopy; jój niezachwiana wierność małżeńska; jój tęsknota niczém nieutulona, bo nawet sen, który ulgę przynosi, dla niej ma tylko strapienie; wreszcie miłość macierzyńska dla syna, nie zaślepiona i słaba, a jednak ulegająca mu, bo w synu tym chciałaby widzieć pana domu, godnego następcę po wielkim ojcu.

Na tę walkę, jaką musi staczać z sobą, na te niebezpieczeństwa i pokusy, jakie ją otaczają, nie wystarczyłby sam heroizm cnoty, boby jój nie obronił. Czegoż tu więcej potrzeba, żeby wyjść z téj gry obronną ręką? A wyjść musi... Poeta dał jój wysoki przymiot roztropności, téj roztropności, której nie trzeba brać za jedno z oschłością serca, jak to romantyczna szkoła starała się wmówić, żeby rozbudzić namiętności i zrobić je jedynym regulatorem życia. Łącząc zatem w sobie roztropność z uczciwością, zrobił ją godną nazywać się żoną bohatera, od którego jest ona wyższą nawet pod tym względem, a tém samém więcej wartą niż on, bo jój roztropność wolna jest od przymieszki szalbierstwa i chytrości, której nigdy Odys się nie pozbywa, nawet w chwilach, kiedy okoliczność wymaga być otwartym i niepodejrzliwym.

Skutkiem tego przymiotu roztropności, umie Penelopa w niektórych trudnych położeniach przemawiać do swoich zalotników w sposób tak podbijający, jak potrafi kobieta, jeżeli posiada dar podobania się, a chce zrzęcznie wyminąć

jaką drażliwą kwestyę. Uczciwa ta kokietera zdaje się być przyrodzoną własnością kobiety; tak dobrze bowiem znana była u starożytnych, jak i dziś w naszym wykwiętym społeczeństwie bywa praktykowaną, czasem z potrzeby, często z miłości sztuki dla sztuki.

W każdym razie Penelopa wcale nie ma tój zachmurzonej, niekontentej z siebie i z drugich dzikięj cnoty purytańskiej, któraby ją pozbawiła naturalnego uroku. Przeciwnie, nigdzie ona nie popisuje się ze swoją cnotą wierności, z tём wszystkiём czujesz, że nie jęj nie sprowadzi z tēj drogi. Gdyby nie ta niczём nieutulona tęsknota po małżonku, która zwarzyła jęj kwiat życia w samém rozwinięciu, byłaby to wesola, czarująca istota, coś niby w rodzaju Kirki, tylko niezłośliwa i niemściwa.

Z jakimże to wdziękiem wstydlivości i szczerości odpowiada ona jednemu z zalotników, Eurymachowi, który ujrzawszy ją jaśniejącą urokiem nadanym jęj przez Atenę, woła w zachwyceniu:

„Gdzie znaleźć równą tobie krasawicę,

Coby ci kształtem, wzrostem rozumem sprostała?!”

Pochwała ta wyrzeczona w obec tłumu młodzieży, przejętęj tём samém uwielbieniem dla jęj osoby i piękności, nie miesza jęj bynajmniej; nie rumieni się nawet, tylko z największym spokojem, nie sobie z tego nie robiąc, trafną odpowiedzią odwraca umysły, i daje do zrozumienia żeby nie widziano w nięj kobiety zasługującej na hołdy młodzieży, lecz raczej istotę nieszczęśliwą, opuszczoną, której bogowie odjęli wszystko, a zostawili ły i smutek po zapodzianym mężu. W odpowiedzi danęj Eurymachowi najlepiej się odmalowała:

„Eurymachu! mnie bóztwa wdzięków mych i krasy
Pozbawiły od dawna, jeszcze w owe czasy,
Gdy z Argami małżonek mój poszedł pod Troję...
Niechby wrócił, mnie nędzną wziął pod skrzydła swoje,
Dopierożbym jaśniała sławą męj piękności!
Teraz jęcę, na ciągle wydana przykrości,
Odkąd on mię na brzegu, przed samém rozstaniem,
Wziął za rękę i słowa te rzekł z pożegnaniem:

„Nie wszyscy ci pancerni męże, droga żono!
Którzy idą na Ilion, powrócą się pono,
Bo i Trojańce w boju dzielnie—jak słyszałem—
Robią kopią, miotają z łuków celnym strzałem,
Toż lotnym toczą koniem, a dziarskie to zwiérzę
Zwykło dawać zwycięztwo w chwiejnym bitwy wirze.
Przeto nie wiem, czy Bóg mię ztamtąd przyprowadzi,
Czy tam zginę? Więc głowa twoja niech tu radzi:
W domu miejże o ojcu, o matce staranie,
Jak dotąd; a tém więcéj, jeśli mię nie stanie.
Gdy zaś syn nasz dojrzeje, wyjdzie na człowieka,
Idź za mąż; twoja nad nim skończy się opieka.”

W tém melancholiczném wynurzeniu się, nie ma ani komedyi, ani dyplomacyi. Czyż przed chwilą, nim zeszała do izby pełnej biesiadujących gości, nie nastawała na nią wierna służebnica, aby przyoblekła się w piękniejsze szaty i natarła się wonnemi maściami, co ona wręcz odrzuciła, mówiąc: „Nie radź mi tego! Bogowie dawno mię odczyli dbać o płci mojej ozdoby. Odkąd męża mego nie stało, ani już myślę o urodzie mojej.” — I to samo słowo w słowo powtarza w zgromadzeniu młodzieży, co przed chwilą mówiła w poufnej rozmowie.

Penelopa nie dbając o to, o czém zwykle najwięcéj lubi pamiętać piękna kobieta, a co u niej jest skutkiem prawdziwej zalety serca — powinna by zrazić dobijających się o jej rękę zalotników, odebrać im wszelką otuchę, a może i pobudzić do zemsty... Instynkt ostrzega ją, a może i wrodzona roztropność, że byłoby niebezpiecznie doprowadzać rzeczy do téj ostateczności. Téj reguły trzyma się ona od samego początku. Widzieliśmy, jak umiała zręcznie podejść natrętnych dziewosłębów tą swoją tkaniną, którą próła czasu nocy, aby nigdy nie skończyć, a teraz gdy wybieg został wykryty, wcale nie ma zamiaru ich drażnić, lecz tylko przewrócić i wyczekiwać z oddaniem ręki.

Dla tego w dalszym ciągu rozmowy z Eurymachem, ucieka się do potężnej broni zalotności, i utyskując na

współczesną młodzież, zaniedbującą obowiązków dziewosłębstwa, powiada, że nic jęj bardziej nie boli niż:

Ten zwyczaj niebywały między zalotniki.

Dawniej bowiem, ktokolwiek się dobijał o rękę uczciwej niewiasty, zacnego domu córy, wysadzał się na podarunki; rodziców zjednywał pięknem bydełkiem i trzodami owiec, a narzeczoną bogatemi upominkami; nikt jednak nie śmiał niszczyć i objadać domu swęj bogdanki.

Była to nawiasem rzucona przymówka i gorzki wyrzut, a przytęm zręcznie zrobiona nadzieja, że kto najhojniejszy upominek u nóg jęj złoży, może być pewien, że ją otrzyma. Dziś nas to razi; lecz był to powszechny, stary obyczaj, tak w Grecyi jak gdzie indziej, że pan młody, za tyle a tyle sztuk bydła lub owiec, za takie a takie podarki dla panny młodej, kupował sobie żonę. Zwyczaj ten do dziś praktykuje się u wielu plemion na Wschodzie.

Ten rodzaj zalotnej dyplomacyi, która wręcz nie odmawia, a jednak nie przyrzeka, zupełnie odpowiada charakterowi Penelopy. Roztropność jest jęj doradczynią. Wie ona z kim ma do czynienia; zalotnicy to ludzie możni i zuchwali, sama więc cnota i dobrodusznosc są za słabe, aby odeprzeć i pokonać mogły przemoc rozpartą w jęj własnym domu; cała jęj zatęm obrona w wybiegach, w zręcznym obudzaniu współzawodnictwa, w stawianiu coraz nowych przeszkód w tęj gonitwie o rękę. Nie bez przyczyny zaraz potęm stawia im ostateczny warunek, który ma stanowczo rozstrzygnąć, kto ją posiędzie: „Oto przyniosę wam—mówiła—łuk po Odyssie; który z was go napnie i strzałą przesyje dwanaście w rząd postawionych toporów, tego żoną zostanę.”

Kobieta homeryczna, podobnie jak dama tajemnych myśli w czasach szwaleryi, kiedy w turniejach kopie dla nięj kruszono, stawia się jako wyższa nagroda heroicznęj dzielności. Gdyby Penelopa nie była częms więcej niż kobietą piękną, uczciwą i prostą, nie pozostałoby jęj nic innego na owe barbarzyńskie wieki, tylko oddać się niewolniczo któremu z zalotników, zrobić się powolnem narzędziem woli nowego pana; lecz wychowanęj w szko-

le sławnego z przebiegłości Odyssa, pozostają jeszcze inne środki obrony: w krytycznym położeniu wywija się ze zręcznością, dowcipnym fortelem wystawia na próbę swoich załotników, aby żaden nie ośmielił się targnąć na to, co każdy miał nadzieję otrzymać.

Niedarmo epitet „roztropnej” towarzyszy jej ilekroć nazwie ją poeta.

Nie jednak nie przeszkadza jej rozporządzać swą ręką, — nie, tylko ta niezłomna miłość dla małżonka, którą nazwałbym heroiczną. Najskrupulatniejsze sumienie nie mogłoby jej wyrzucać przewierzenia się. Syn dorósł, już kilka razy dowiódł, że umie być panem w domu; dał sobie nawet radę w niedawno odbytej podróży do Sparty i Pylosu, gdzie był zamach uknuty na jego życie, — zgoła, wyszedł z pod opieki macierzyńskiej. Zresztą sam Odyss żegnając się z nią przed dwudziestu laty, czyż nie zostawił ustnego testamentu na przypadek swój śmierci?

Ona sama przed chwilą powtórzyła jego słowa:

„Gdy zaś syn nasz dorośnie, wyjdzie na człowieka,
Idź za mąż—twoja nad nim skończy się opieka.”

Warto się zastanowić nad temi słowami, tak są prawdziwe, tak szczerze z naturą zgodne.

Rycerz chrześcijański w przededniu bitwy nieinaczęj mówiłby lub pisał do swojej młodziutkiej żony, którą w domu zostawił: Wychowaj dzieci, a potem idź za mąż!

Kochając ją, po cóżby miał przykuwać ją na zawsze do samego wspomnienia, i z po za grobu ciężyc na niej samolubnym zakazem, żeby wdową została do śmierci? Cnota chrześcijańska ma to do siebie, że podnosi człowieka, ale go nie wyczołwiecza; nakłada na niego obowiązek, lecz do poświęceń się nie zmusza. Homeryczny bohater nie jest w tym przypadku niższy od chrześcijanina, a o całe niebo wyższy od owego notaryusza dni naszych, który złożony śmiertelną chorobą, w ostatniem pożegnaniu z młodą małżonką, wyciska na niej przysięgę, że nigdy za mąż nie pójdzie. Nie wiem, czy obawa niedotrzymania przysięgi, czy chorobliwe postanowienie połączenia się z duchem małżonka i oszczędzenia mu tortur zazdrości na tamtym świe-

cie, dość, że ledwie ciało nieboszczyka ostygło — ona odebrała sobie życie strzałem z rewolweru...

Może kto nazwie to czynem bohatersko-romansowym; ale w każdym przypadku nie nazwałby go ani homerycznym, ani tém mniej chrześcijańskim.

Lecz od tych chorobliwych heroizmów, zwróćmy się lepiej do Penelopy. Położenie jój było rozpaczliwe. Dowcipem i wybiegami mogła się jakiś czas ratować i odwłóczyć ostateczne postanowienie; wie ona dobrze co ją czeka, i mówi o tém z przerażeniem:

„Idzie noc, a z nią wstrętne czeka mię wesele.”

Dwadzieścia lat tęsknego oczekiwania na powrot małżonka, nieustanny nacisk to od starających się młodzieńców, to od własnej rodziny, nareszcie wzgląd na syna, którego majątek niszczyła zgraja pasibrzuchów tytułem ubiegania się o jój rękę; wszystko to zmuszało ją do wyboru męża i łamało tę heroiczną stałość, którą doprowadziła do ostatecznych granic.

Więcej ani mógł, ani chciał żądać od niej poeta.

Na bardzo podobnym temacie osnuł znakomity dzisiejszy angielski poeta Tennyson powieść: „Enoch Arden” (*). Osoby wchodzące w nią, lubo wzięte są z gminu małej portowej miejsciny w Anglii, nie ustępują jednak w niczem bohaterstwu Odyssa i Penelopy; różnica leży tylko w charakterach i okolicznościach.

Nad brzegiem morza bawi się troje dzieci: Ancia, ładna dziewczynka, i dwóch chłopczyków, którzy wyścigają się w usługach dla Ancii i odgadują jój myśli. Choć to nie rodzeństwo, jednak zawsze schodząca się trójka, wyrosła i dojrzała w tym stosunku wzajemnej skłonności. Pokazało się z latami, że jeden z tych chłopczyków, Enoch Arden, wyrobił sobie charakter energiczny i przewodzący; drugi, Filip, był miękki i poddający się: więc choć obadwaj równą miłością kochali Ancię, Enoch został jój mężem. Tęższy duch ma zawsze moc przyciągającą.

(*) Piękny jój przekład na nasz język winniśmy Stanisławowi Koźmianowi, znanemu tłumaczowi Szekspira.

Enoch, ubogi wyrobnik, trudnił się rybactwem i z wielką biedą zarabiał na utrzymanie domu, co go srodze martwiło: raz że Anicia nie opływała we wszystko, potem że chciał los dzieciom zapewnić. Widząc, że mu rybactwo niewiele przynosi, umyślił szukać szczęścia na szerokim świecie. Właśnie trafiło się korzystne miejsce na okręcie płynącym do Chin; Enoch przyjął je w nadziei powrócenia bogatym. Odradzała mu Anicia, przekładając ubóstwo byle razem, nad spodziewane zyski okupione długiem rozłączeniem; Enoch nie dał się zmiękczyć, a posprzedawawszy swoje rybackie przybory, zabezpieczył żonie utrzymanie na czas trwania podróży i odpłynął.

Lata mijały po latach, Enoch nie wracał... Fundusz zostawiony żonie i dzieciom prędko zniknął; do cichój ich izdebki oknami spoglądała nędza; trzeba było ciężko zarabiać, aby zarobić na życie, a cóż dopiero żeby dzieci podrastające posyłać do szkoły lub wyuczyć jakiego rzemiosła! Nieszczęśliwa Anicia byłaby zapewne upadła pod brzemieniem niedoli.

Ale czuwała nad opuszczoną Opatrzność; narzędziem jój Filip, ów drugi towarzysz jój zabaw dziecięcych. Kochał on zawsze Anicię cichą miłością, a że był wcale zamożny, cały swój dowcip na to obracał, aby sierocój kobiecie przykre położenie osłodzić. Przychodziła więc pomoc nie wiedzieć z kąd, jakby z nieba spadała. Anicia mogła się domyślać, lecz Filip nie przyznawał się. Stosunek ten trwał długie lata. Enoch nie wracał, nikt o nim nie wiedział; zapewne nie było go już na świecie. Anicię wszyscy uważali za wdowę, i ona uważała się za taką, a i Filip nie myślał inaczej, bo z razu nieśmiało, lecz coraz częściej zaczął się przymawiać o jój rękę. Nie było na to argumentu; zgadzała się, lecz podobnie jak Penelopa, odkładała ślub za rok, potem za kilka miesięcy; nareszcie, żeby się ostatecznie upewnić, czy mąż żyje lub nie, poradziła się, zwyczajem protestantów, Biblii, a oprócz tego miała sen, w którym Enocha widziała pod palmą w blasku słonecznych promieni i pomyślała: „On już w niebie...” i zgodziła się pójść za Filipa.

Wśród oceanu, na bezludnej wysepce, żył człowiek wyrzucony falą z rozbitego okrętu, który z Chin wracał do Europy. Człowiek ten znalazł się w położeniu znanego nam z lat dziecięcych Robinsona Kruzo'e'go, i jak on [długie lata wyczekiwał na żagiel, lecz wszystkie go mijaly. Nareszcie upragniony statek przybył do wyspy i zabrał z sobą robotka. Nieznajomy ów, na pół zdziczały i prawie mówić nieumiejący, przybył do owęj portowęj miejsciny, o któręj była mowa na początku tęg powieści. Nikt go nie znał, i on nie pytał o nikogo, tylko rad przysłuchywał się opowiadaniom swojęj gadatliwęj gospodynii...

Zdarzyło się pewnego wieczoru, że ów nieznajomy skradając się po za drzewa i płoty, jakby unikał świadków, stanął przed ładnym dworkiem i długo patrzył w okna oświecone jesiennym ogniem kominka... Cóż tam ujrzał, że twarz sobie zakrył i zalał się łzami?...

Tajemnica wyszła dopiero na łożu śmierci... Ów nieznajomy majtek, umierając wyznał kim jest: był to Enoch Arden. Widział on szczęście Anci, widział dzieci swoje, dla których Filip był czulym ojcem, i z miłości dla nich — choć jedno jego słowo mogło jak piorun uderzyć i wszystko zburzyć — skazał się na milczenie do grobu...

Otoż i koniec tęg pięknej powieści, która nas przeniosła w nowożytnę wieki.

Zachodzi teraz pytanie, jakby w podobnym przypadku zachował się był homeryczny bohater? Odpowiedź niełatwa; ale wzięwszy na uwagę ówczesne charaktery, obyczaje i wybrażenia, nigdy podobno nie poświęciłby swoich najdroższych uczuć, a najmnieję zemsty, dla szczęścia Anci i dzieci.

Ten rys delikatnego sentymentu należy wyłącznie do chrześcijańskięj cywilizacyi, któręj bohaterstwo stoi raczej na walkach i tryumfach wewnętrznych z sobą samym, niż na świetnych czynach siły i odwagi, jak u starożytnych.

Z tego, co się dotąd powiedziało, można już jak mniemam, zrobić sobie niejakię pojęcie o charakterze Penelopy. W każdym razie nie byłoby stosownie sądzić ją podług dzisiejszęj kobiety, miarkować w chwili rozwiązującej się katastrofy.

Ktoby myślał, że ona na wiadomość samą o powracającym małżonku wybuchnie gwałtowném wzruszeniem, rozplynie się we łzach lub nawet zemdleje—zawiódłby się. Scena ta u Homera bardzo jest spokojna, i wlecze się tak pomalu, że dzisiejszy czytelnik przywykły do piorunujących efektów w romansach i dramatach, zżyma się z niecierpliwości i gotówby heroinę nazwać lalką bez uczucia.

Tymczasem ten wzór najdelikatniejszej i najwierniejszej żony, nie przestaje być takim, chociaż jest niepodobny do nowożytnych heroin czułościowych, wyobraźnią namiętnych, a ztąd skłonnych do uniesień bez granic. Penelopa w najgwałtowniejszej scenie, kiedy nikt nie wziąłby ję za złe rzucenia się z krzykiem i łzami na widok Odysseusza — zachowuje się jak posąg z marmuru, niemy i zimny.

Przypatrzmy się bliżej ję, warto temu studyum chwilkę poświęcić. Wiemy już, że zwykła przebywać zamknięta w swoim gineceju, i tylko w rzadkich okolicznościach pokazywać się gościom codziennym. Nic też nie wie, ani sobie wyobraża, co się tam dzieje w wielkiej izbie na dole; a właśnie odbyła się tam okropna scena.

Odysseusz, który już wrócił po dwudziestu latach błądzenia po świecie, teraz przebrany w łachmany żebracze dał się poznać synowi i dwóm wiernym pastuchom, a wsparty ich pomocą, wykonał w tęg chwili najstraszniejszą zemstę na zalotnikach. Wszyscy co do jednego najazd swój przypłacili życiem. Po skończonej rzezi, trupy powynoszono, krew zmyto, izbę wykadzono siarką, a zwycięzki Odysseusz przywołuje Eurykleję, starą piastunkę, i posyła ją z wezwaniem do żony, aby przyszła. Penelopa właśnie zażywała najprzyjemniejszego snu, gdy Eurykleja stanęła u ję głów, i budząc ją rzekła: „Zbieraj się! twój mąż już wrócił—wszyscy gachowie wymordowani.”

Penelopa nie daje wiary ję doniesieniu i strofuje ją, że śmiała przerwać sen smaczny, jakiego dawno nie miała.

— Ależ córko moja! ten żebrak, z którym rozmawiałś, to był twój mąż: Odysseusz już wrócił.

Zrywa się z łoża Penelopa, ale poczytuje za bajkę, aby jeden człowiek odważył się porwać i pokonać taki zastęp mężów.

— Zapewne to nie Odyss—rzekła—lecz który z bogów przyszedł i śmiercią ukarał zalotników:

...Mój Odyss, gdzieś w stronie dalekiej,
Stracił drogę powrotu, i zgasł już na wieki!

Eurykleja stara się przekonać, że ten żebrak to jej mąż, a za dowód przytacza, że myjąc go, widziała u niego bliźnię na nodze, którą mu niegdyś zadał dzik w górach Parnasu; poznała go po tej bliźnie, lecz on jej milezcę przykazał.

Skłania to po części Penelopę:

Więc zejść ja do syna, widzieć martwe zwłoki
Gachów, i poznać tego, co spełnił wyroki.

Schodzi więc do wielkiej izby, i widzi tam Odyseja, jak w żebraczym odzieniu siedzi pod ścianą, oświetlony blaskiem ogniska; lecz nie idzie do niego, tylko siada pod drugą ścianą naprzeciw i w milczeniu wpatruje się wewnątrz: raz dostrzega niejaki podobieństwo, to znowu nie wierzy, aby prawdziwy Odysej mógł się ukrywać pod tym łachmanem.

Obecny tej scenie Telemach niecierpliwi się, jak zwykle młoda krew, lub jak dzisiejszy czytelnik, który się czego innego spodziewa, i oburzony tą obojętnością matki, mówi:

„Matko! niedobra matko! serce twoje z głazu,—
Czemuś nie szła do ojca mojego od razu,
Lecz się boczysz i o nie nie pytasz go, matko?
Drugiej takiej małżonki w świecie znaleźć rzadko,
Coby tak upoczywie stroniła od męża,
Gdy ten bied tyle przeżył, trudów przezwycięża,
I po latach dwudziestu do domu powraca.
Nikt się u ciebie, matko, serca nie domaca.”

Myślałby kto, że już nie wytrzyma dłużej ukłóta tą gorzką przymówką; bynajmniej. Niewzruszona jak przedtém, odpowiada z całym spokojem, że jeszcze nie ma przekonania, czy ten nieznany gość mężem jój, lub nie? ale są przecieź pewne znaki, po których go pozna.

Widocznie jedna myśl ją zaprzęta, żeby się nie stać ofiarą podstępu, nie być oszukaną.

Na te jój słowa uśmiechnął się Odyssej, a mając na głowie pilniejsze sprawy, każe wyprawiać płasy i śpiewy, aby huczną wesołością pokryć tragiczną scenę świeżo dokonaną na zamku. W sali, gdzie przed chwilą zabijano się na śmierć, gdzie krew strugami się lała, bal ma się odbyć. Romantycy mają się za wynalazców podobnych okropności, ale i w tém uprzedził ich Homer. Z tą różnicą, że zbywa to kilku rysami, ale się z okropnością nie pieści.

Kiedy zamek rozlega się muzyką i tańcem, Odyssej udaje się do łaźni, tam przywdziewa wspaniałe szaty, i opromieniony pięknością z laski Ateny, wraca do sali i zajmuje dawne siedzenie.

Penelopa i na ten widok milczy.

Tknęło to Odysseja; robi jój te same wyrzuty co pierwszy Telemach:

Dziwna z ciebie niewiasta! Bóztwa tobie dały
Odmienne niż u pleci twój serce, bo ze skały.

Penelopa jeszcze się trzyma w swém postanowieniu, choć słowa Odysseja powinny ją były rozbroić. Byłażby to w istocie tak zimna, tak nieczuła kobieta, pozbawiona owęj „domyślności serca,” o której mówią nasze romanse? Nie sądzmy przedwcześnie. Snadź tknęły ją wyrzuty męża, bo odpowiada na nie:

Ni mię pycha, ni wzgarda trzyma w oddaleniu.
Postać męża wryta mocno w mém wspomnieniu;
Wiem przecieź jak wyglądał, i widzę go prawie
Ztąd odpływającego na wioślaněj nawie.

Wyraziwszy tak niepewność swoją co do osoby nieznanego gościa, podchwytuje jego ostatnie słowa i mówi

do Euryklei: Wynieście z sypialnej komory dla niego łoże, które niegdyś Odyszej własną ręką wyciosał.

— Któż to śmiał, woła oburzony Odyszej, ruszyć to łoże, które własną ręką wyciosałem w małżeńskiej komnacie? Kto śmiał, kiedy nawet człowiek nadzwyczajną obdarzony siłą nie potrafiłby tego dokazać?

Gdyż jedną w niem przeszkodę zamknąłem był tajną,
Kiedym sam wyciosywał to łoże przedziwne.
W dziedzińcu stało wielkie drzewo tam, oliwne,
Grube jak filar jaki, rozłogie i cienne.
Jam w koło oliwnika wzniosł ściany kamienne,
Dach zasklepił, drzwi wprawił z silnych tramów zbite,
I na naszą sypialnię przeznaczył tę klitę.
Potém ściąwszy koronę drzewa gęstolistą,
Sam pień aż do korzenia ociosałem czysto,
Zrównałem ostrzem miedném gładko i pionowo;
A więc noga do łoża była już gotową—
W której świdrem na wylot wykręciwszy dziury,
Wygładziłem łożnicę wspaniałej struktury,
Zdobiać ją w kość słoniową, toż srebrem i złotem
Wreszcie krasnych rzemieni obciążając spletem.
Oto masz znak dokładny—lecz nie wiem doprawdy,
Czy moje łoże stoi tam, gdzie stało zawdy?
Czy też je kto poruszył? gwoli przeniesienia,
Odrąbał pniak oliwny spodem od korzenia?

Otoż wyszła na jaw tajemnica wiadoma tylko obojgu małżonkom i jednej, doświadczonej wierności, służebnicy...

Słyszac te szczegóły tak dokładnie opowiedziane, posąg z marmuru ożywia się, pada w ramiona Odysseja, tuli go do serca i mówi:

„Nie miej mi tego za złe, tyś przecię, mój drogi,
Zawsze sływał mądrością... Bogów wyrok srogi
Dotrącił nas i rozdzielił; dni młodych wesele
Nie przeciągło się w starość dla nas, w tym rozdziele
Niechże cię gniew nie zjima, ani rozżalenie,
Żem cię nie powitała na pierwsze wejście;

Bo nie mogłam obawy wybić sobie z głowy,
 Że może przyjsć ktokolwiek, i chytremi słowy
 Zwieść mię,—tyle oszustów włóczy się po świecie!”

Bojaźń, żeby się nie stać ofiarą podstępny, paraliżowała ją przy powitaniu z mężem. Homer widocznie miał na myśli uzbroić enotę niewiasty w roztropaną a nawet podejrzliwą ostrożność, tak samo jak swego bohatera zrobił chytrze podejrzliwym i przebiegłym.

Był to rys ówczesnych obyczajów, a właściwie charakteru greckiego. Kiedy więc nastąpiło poznanie się małżonków i tożsamość osoby Odysseja przestała być wątpliwą, wraca naturalny stosunek między nimi, dwa serca kochające się biją jedno przy drugim:

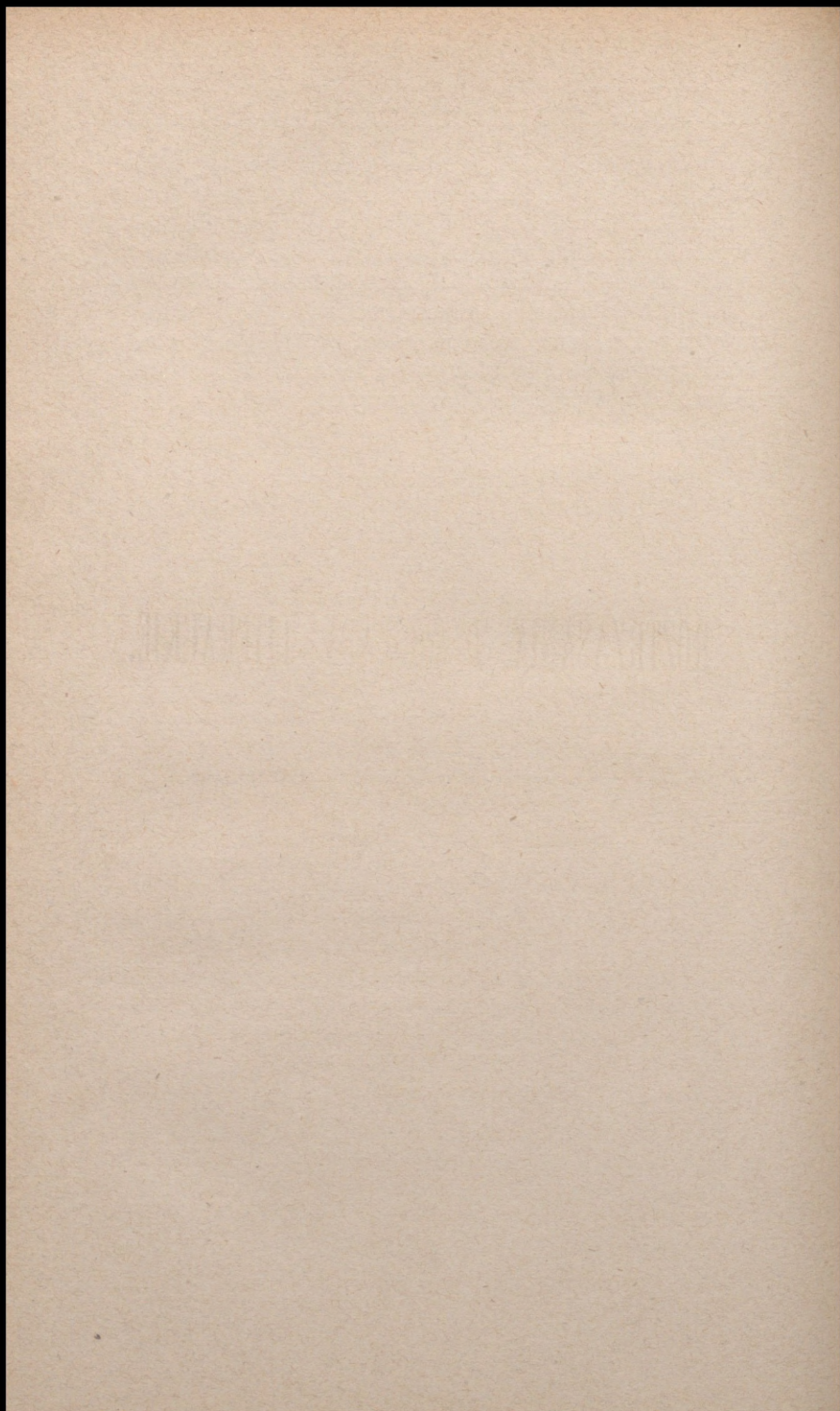
I w sercu Odysseja wezbrały tęsknice,
 Placząc, w objęciach trzymał drogą połowicę.
 A jak żeglarze ziemi cieszą się widokiem,
 Których okręt Posejdon na morzu szerokiem
 Burzą i balwanami roztrząsał na szczyty,
 Więc owi co przez wzdęte przedrą się odmcęty
 Ku lądowi, słonawém obwalani błotem,
 Jakże radośnie na brzeg wyskakują potem!
 Z taką radością męża powitała żona,
 Dwojgiem śnieżystych ramion garnąc go do łona...

Takie jest poznanie się i powitanie małżonków home-
 rycznych po dwudziestoletniém niewidzeniu się.

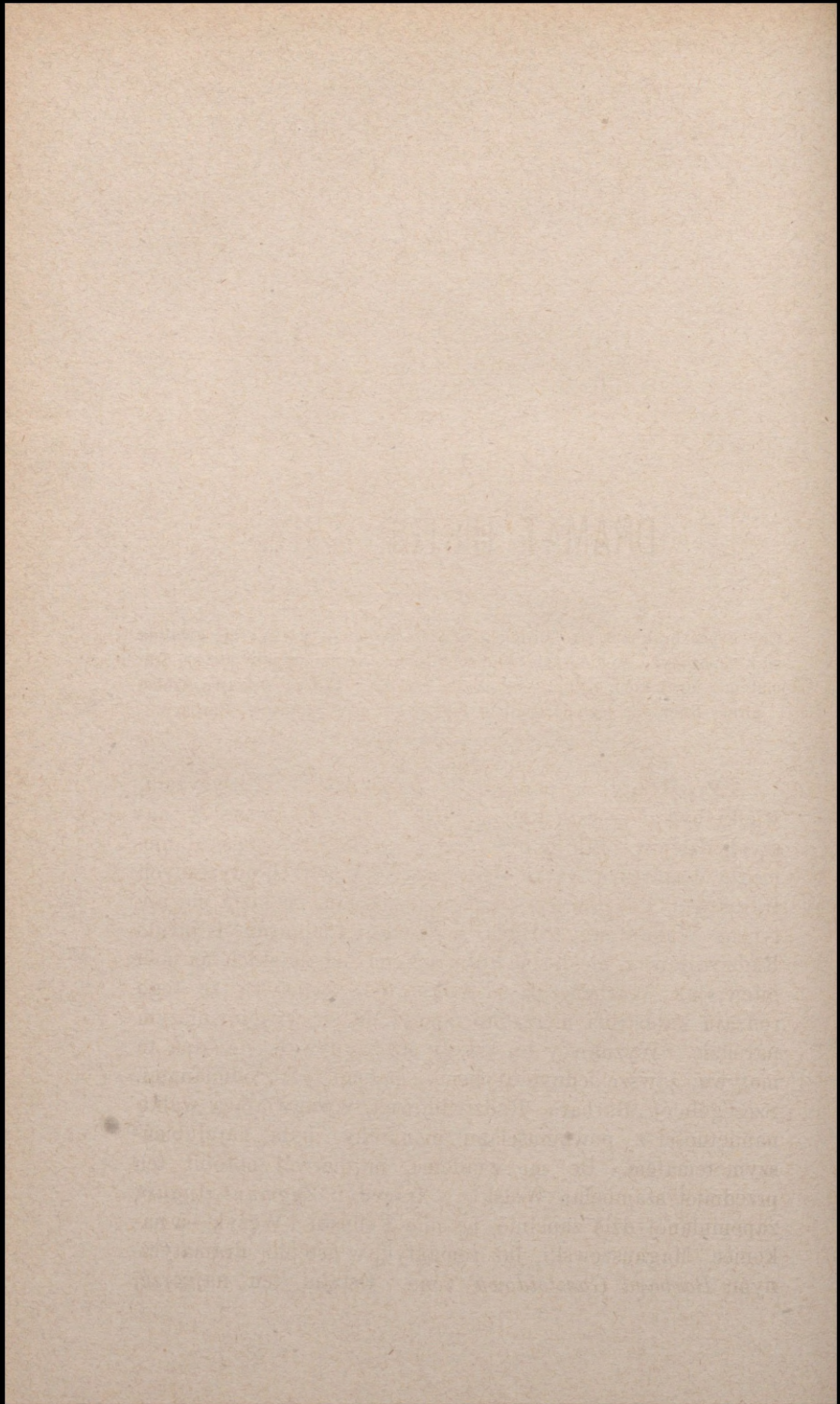
Miłość i wierność małżeńska objawia się tu w naj-
 szlachetniejszych rysach majestatycznej powagi. Dzisiejszy
 nasz smak żądałby więcej wybuchów czułości, a mniej
 rozwagi i panowania nad sobą, szczególniej w kobiecie.

W podobnych scenach trafiających się często w ro-
 mansach i dramatach naszych, jakiż to ekspens wzruszenia,
 łez, mdłości i wykrzykników! Homer za tém nie gonil: jemu
 szło tylko o to, aby ze spokojem prawdy wystawić tkliwą
 wierność małżonki, przywiązanie takie równe, a niedające
 się niczém zachwiać i z drogi sprowadzić. W każdym razie
 charakter Penelopy wymodelowany krojem nowożytnym,

czyli robiąc z niej kobietę nerwową z roznamiętnioną wyobraźnią, nigdyby podobno nie wytrzymał dwudziestoletniej próby... Dzisiejsza Penelopa daje zbyt wiele przewagi sercu i wyobraźni nad roztropnością będącą stróżem obowiązku, i przeto trudno jej uniknąć sidła jakiego fałszywego Odysseja. U starożytnej Penelopy serce z roztropnością było zawsze w równowadze; temu trzeba przypisać, że typ homerycznej niewiasty, pomimo tylu wieków, nie zestarzał się i do dziś nie przestał być pięknym i prawdziwym.



ROZTRZĄSANIA I POGLĄDY LITERACKIE.



I.

DRAMAT HISTORYCZNY.

~~~~~

Czy u nas brak katastrof tragicznych? Rodzaj historyczny nie zwalnia od kompozycji. Romantyzm zburzył formy. Luźne obrazki nie są dramatem. Brak kompozycji w Barbarze Odyńca. Naśladownictwo Szekspira. Ruch nie jest działaniem. Przegląd sześciu aktów Barbary.

## I.

Przed laty, za panowania francuzkiego klassycyzmu, wielki bywał zawsze kłopot o katastrofy tragiczne z naszych dziejów. Nie a nie niekrwawa historia polska nie mogła dostarczyć wątku stosownego do potrzeb ówczesnych tragików. Po długim dopiero szukaniu, znalazła się mityczna Wanda, wzgardzona małżonka Ludgarda i otruta Radziwiłłówna, nie licząc kilku śmierci bohaterskich na polu bitew, jak Warneńczyk i Żółkiewski, zwłaszcza że tego rodzaju katastrofa nierzadko spotykała się w wojowniczym narodzie. Wyznawcy tej szkoły wyczerpywali do dna te motywy, zawsze jednym trybem, z małemi tylko odmianami. Szczególniej Barbara Radziwiłłówna, wystawiająca walkę namiętności z powinnościami monarchy, była najulubieńszym tematem. Ile mi wiadomo, najpierw obrobił ten przedmiot szambelan Wolski, w tragedji: *Zygmunt August*, zapomnianej dziś zupełnie; po nim Feliński i Wężyk—a nakoniec Magnuszewski, już romantyk, w ustępie dramatycznej: *Barbara Gasztoldowa żona*. Ostatni ten najgorzej

się przysłużył Barbarze, zrobił z niej bowiem polityczną zalotnicę, zupełnie na krój balzakowskich heroin. Szkoła ta z bardzo małą odmianą te same cuda wyprawiała z historią naszą co i francuzki klassycyzm,—a może nawet i gorzej, bo ostatni zamrażał tylko w formach sztywnych drgające prawdą życia i uczuciem postaci i wyrazy historii, kiedy pierwszy bez żadnego względu przykrawał je do swojej idei, często bardzo fałszywej. Idee w pancierzach, kontuszach, perukach, robronach, bywają zazwyczaj marynetkami, a raczej znakami algebraicznymi, które mają zawsze służyć do dowodzenia czegoś. Dwie te szkoły miały się ostatecznie z prawdą życia, jedna pod względem formy, druga pod względem ducha. Być w zgodzie z prawdą w formie i duchu, należy do najwyższych zadań twórczości artystycznej, a tém samém odpowiada wymaganiom narodu, który chce, aby w tworach literatury znajdował najgłębsze i najrzeczywistsze odbicie się swego charakteru i jestestwa.

Dla tych to przyczyn widzimy dzisiaj rodzaj historyczny czy to w eposie, czy w dramacie lub romansie, zupełnie inaczej traktowany niż dawniej. Poeta nie może poprzestać na samém pochwyceniu jakiej katastrofy na tronie, na kilku brzmiących nazwiskach, któremi chrzei swego wynalazku figury, najczęściej bez żadnego stempla jak pieniądź zdawkowy; nie pozwala sobie również podsuwać im myśli dzisiejszej, lub dążności świeżo wymarzonej,—lecz natomiast stara się zbadać charaktery osób zgodnie z tém co o nich przekazała historia, znać obyczaj panujący i fizjognomię owego wieku; a co najgłówniejsza, i bez czego nie uda się żadna kompozycja historyczna—winien być wtajemniczony we wszystkie skrytości ducha i serca swego narodu.

Najprzepyszniejszy twór romantyzmu, *Wallenrod*—niczém nie grzeszył, okrom jedném, że zrodził nietylko myśl fałszywą, niechrześcijańską, ale i obcą narodowi. Złotolity płaszcz poetycznej fantazyi nie jest nawet w stanie pokryć tej nędzy byrońskiej rozpaczy.

Wpływy obcych wyobrażeń i uczuć przeciskały się do nas pod najzłudniejszymi formami i znachodziły mir — bo sami byliśmy z sobą w rozterce. Dojrzałość pojęć wtenczas

dochodzi do właściwego kresu, kiedy naród umie oceniać i cześć pożytek lub szkodliwość podawanych sobie pokarmów, aby je strawić mógł i krwi dobrej sobie przysporzył; przeciwnie kiedy się chwyta lada nowości, dla tego, że pozornie ponętna i drażniąca ciekawość, dowodzi, iż nie rozmyślał nad sobą, że się nie poznał wewnętrznie, nakoniec że zapomniał czém był i nie wie dokąd ma iść. Myśli jego jak wiatr pustyni, i droga też pustynna.

Jest widoczna dążność w tworcach nowój literatury do zgłębnienia i poznania tój przeszłości historycznej, która ma terażniejszości przyświecać,—dążność o tyle dobra i zbawienna, o ile nie mieszają się do sądów i widoków o tój przeszłości dzisiejsze z obczyzny przyniesione systemata i pojęcia.

Wydobyć wielkie prawdy ducha z osób i zdarzeń dawno przebrzmiałych, i podać je w formie najwłaściwszej, jedno jest, co znaleźć język, którym najrozumiałej przemówić można do duszy narodu. Utwór taki silny prawdą i uczuciem, najzupełniej może się obejść bez dzisiejszej podszewki, którą w staroświeckim stroju nazywano fałszem.

Zapewne, wiele dziś i potrzeb i form towarzyskich całkiem innego jest kroju niż dawniej;—ale tu nie o nich mowa, tylko o tych ważniejszych sprawach, co się dzieją między ziemią a niebem, co dają grunt społeczeństwu, co je prowadzą i wychowują, i podług których naród winien być sądzony. Byłże on chrześcijański lub pogański w swym historycznym żywocie? Jeśli się pierwszego charakteru nie zaparł do ostatniej godziny — przystałoż uciekać się do pogańskich zaklęć i środków mających przywrócić zdrowie? Przeciwnie, siły odmładzające dadzą się tylko wyciągnąć z tych samych ziarn wielkiego chrześcijańskiego posiewu, z którego wystrzeliło już raz wspaniałe drzewo; uprawa może być inna, lecz ziarno i grunt nie potrzebują odmiany.

Literatura, wyrażająca te myśli i te dążenia, staje się jedynie narodową; odbiegająca zaś od nich, lub wręcz im przeciwna, zawsze trącić będzie obczyzną, pomimo że dźwięki zachowa rodzinne. Utwory piśmiennictwa najlepiej też ocenić się dają przez wykazanie mniejszej lub większej

ilości zawartego w nich rodzinnego pierwiastku, który niekoniecznie mieści się w samym przedmiocie i jego zewnętrznych przyborach. Częstokroć z bardzo na pozór polskiej szaty wygląda dusza niepolska. Grzech ten cięży szczególnie na większej części powieściowej naszej literatury, umiejaczej pątrzeć tylko w strony ujemne, a nie w żywotność, zapuszczając się w subtelności analizy, a niezwracając uwagi na siły twórcze narodu. Są to niby lekarze, co wypukują w ciele zarody wszystkich chorób, nazywają je, pokazują naocznie skutki rozwinięcia się każdej, — ale zresztą nie nic robią, aby żywotność wzbudzić, której źródło w siłach ducha, nie zaś w mniej lub więcej nadwreżonym ustroju. Po duchu zatém, nie zaś po szacie poznajemy kto nasz, kto cudzy.

Krótkie to objaśnienie zdało mi się potrzebném, mającemu mówić o nowszym utworze Odyńca: *Barbara Radziwiłłówna*. Jest to poema dramatyczne z prologiem, w sześciu aktach; a zatém nie dramat w ścisłym znaczeniu arystotelicznych wymagań, które po koniec świata należeć będą do najsprawiedliwszych, choć przez niewolnicze stosowanie się do ich litery podano je w dyskredyt. Trudno jest autorowi zrobić zarzut z obranej formy, tém więcej, że we wstępie sam się z niego tłómaczy, mówiąc: „Celem moim było nie z historyi napisać poezyę dramat; lecz raczj za pomocą poezyi w formie dramatycznej, pewną historyczną — nie śmiem mówić epokę, lecz chwilę w duchowej jój prawdzie przedstawić, i psychicznie niejako objaśnić.” Nie przeczę, zamiar ten przeprowadzony przez cały utwór, zamyka wrota innym wymaganiom, i każe się sądzić jakim jest. Wszelako byłoby wiele do pomówienia o samym zamiarze, czyli planie dzieła, mianowicie z tego względu, że wszelkie sceny oderwane, obrazy luźne, przeciwne są jedności, która od początku świata należała i należeć będzie do głównych warunków doskonałego utworu. Jedność w całości, a w jedności harmonia, ma ten osobliwy a tajemny przymiot, że się daje ogarnąć, że czytelnik lub widz dopiero czuje się zaspokojonym, kiedy myślą panuje nad ograniczonym ogółem, kiedy się mu wiążą cząstki w całość, kiedy z konieczności wypływają następstwa, kiedy nakoniec

sam odgaduje ideę poety z pochodzenia wypadków i z działania charakterów.

Czemuż odłamki rąk, nóg, goleni, torsów chociażby wyszły z pod dłota najslawniejszych rzeźbiarzy starożytności, nigdy nie zrobią tego wrażenia co skończony posąg? Artysta wprawdzie zna się na nich, uczy się z nich sztuki swojej, ale nie poprzestaje na samą rękę, nogach, czole lub barkach Napoleona, tylko jeżeli ma robić, to skończy posąg bohatera.

W utworach poezji—taka dzisiejsza estetyka—wymawiają się nowatorowie poróżnieni z formami dawnymi, że im nie idzie o formę, architektonikę i organizm, tylko o ideę czyli ducha utworu; byle ją na wierzech wysadzić, przy każdej sposobności potrącić, to już mniejsza czy się cząstki logicznie i naturalnie trzymają z sobą, czy jeden wypadek jest następnego matką, — kiedy górująca idea ma to wszystko związać, zeszyć i zesztukować. Nowoczesna estetyka przyszła do tych wygodnych rezultatów, że się obchodzi bez doskonałej formy, jak gdyby forma była czem innym niż wcieleniem idei, jak gdyby skończona całość w jedności i harmonii organicznej, nie była wynikiem głęboko pojętej, uczutej i przetrawionej myśli artysty? W utworach dzisiejszych aż nadto widać tę rewolucję zrywającą z warunkami kompozycji. Miasto epepei mamy gawędę, miasto dramatu obrazki i sceny, miasto liryki prozaiczny dydaktyzm.

Ztąd, o ile cząstki i szczegóły bywają misternie wyrobione, o tyle ujęcie ich w całość bywa zaniedbane, rozwleczone, trudne do ogarnięcia. Historyczność tak wszystkim zajęła w głowę, że ten i ów artysta, zamiast z rysów jakiego zdarzenia stworzyć jeden charakterystyczny obraz, woli dawać długi szereg obrazków, z których dopiero widz lub czytelnik ma sobie całość urobić. Takie wyłamanie się od obowiązków tworzenia w jedności i harmonii, wcale nie mówi na korzyść dzisiejszych zdolności kreacyjnych. Patrząc na historię Syna Marnotrawnego we dwunastu obrazkach, daleko mniej doznamy wewnętrznej rozkoszy, niż gdyby nam w jednej scenie pokazano powrót Marnotrawnika w dom ojcowski. Artysta w twarzy i po-

staci syna zamknąłby całą jego przeszłość — i to wystarczyłoby do odgadnięcia tej przeszłości daleko wymowniej niż cały szereg scen, łatwo dających się pojąć kiedy patrzymy na skutek.

Uwagi te stosują się o tyle do autora *Barbary* że ten należąc do pierwszego rzędu pisarzy, powinien już był odstąpić od romantycznego wybryku, co z razu był zaprotestował przeciw całej mądrości wieków, i co pogruchotał wszystkie formy, aby żadnej nie stworzyć. Wielka tradycya sztuki ma swoje prawa zasługujące na uszanowanie, tém więcéj, że duch nowożytnéj poezyi nie traci, ale owszem zyskuje, jeżeli się im poddaje.

Mówiąc dawniej o *Felicycie* tegoż autora (\*), pominąłem warunki kompozycyi; sztuka ze swojemi wymaganiami zdała mi się być profanacyą tych świętości, jakie przedstawił wielki obraz Męczenników Kartagińskich. Uważałem nawet, że te względy światowe nie miały co robić tam, gdzie rzecz sama odbywa się w wyżynach ducha, gdzie słowa miały znaczenie modlitwy, a działanie szło krok w krok za tradycyą kościoła.

Lecz co się usprawiedliwiałoby w *Felicycie*, nie może być usprawiedliwieniem w historycznym dramacie *Barbary*, bo czytając go żałujemy, że się ciągnie co chwila przerywa, że znikają osoby, które nas zaczęły zajmować, a zjawiają się nowe, z którymi dopiero trzeba robić znajomość; że przyszedłszy wreszcie do końca, nie czujemy się zaspokojeni. Obrazki mignęły jak fantasmagorya, a o losy głównych aktorów dramatu dopiero dziejów pytać należy. Sama idea, choćby najwznioslejsza i najprawdziwsza, nie jest dostatecznym cementem do związania w całość rozproszonych cząstek, co choć mają wartość cennych pereł i dyamentów, tylko w ścisłym połączeniu i układzie mogą stać się królewską ozdobą.

Kto takimi materyałami rozporządzał jak autor *Barbary*, kto z nich myśl wydobyl tak szczytną, kto bohater-

---

(\*) Zobacz Kilka rysów ze społeczeństwa i literatury.

kę swoją podniósł do wysokości Jadwigi i kazał jęj dopełnić przez miłość dzieła połączenia Korony z Litwą zaczętego przez *pokorę i wiarę*, temu nie wypadalo obierać luźnej i do niczego nieobowiązującej formy obrazków dramatycznych. Cóż wynikło z tego systematu? Oto brak ciągle utrzymującego się interesu, brak charakterów przeprowadzonych od początku do końca ze wszystkimi konsekwencyami, brak żelaznych konieczności, z któremi podjęta walka odkrywa głębokie strony serca i ducha; a jednak wszystko to znajduje się pełnemi garściami rozsypane w tym poemacie dramatycznym, grzeszącym raczej nawalem niż ubóstwem barw, sytuacji, cieniowań i ustępów mających dopełniać całość, niebędącą całością. Podług mnie, obranie tego rodzaju formy, co nie jest ani dramatem, ani poematem, a chce być jednym i drugim wbrew naturze rzeczy, pochodzi z zapomnienia, czy lekceważenia tych własności, jakie każdemu rodzajowi literatury przystożą. Historia ma inne warunki kompozyeyi niż poezya; pierwsza gromadzi wypadki ze ścisłą dokładnością i opowiada je jak się stały; druga zbiera rysy charakterystyczniejsze, idealizuje, tłómaczy psychicznie zaglądnając w tajemnice serca ludzkiego. Dokładność dat, kolei, jakimi szły zdarzenia, mniej obchodzi poezye, chyba że sobie weźmie za cel rymować historye, w którym to przypadku przestaje być sobą. Słowem historyczność wprowadzona do naszej poezyi rozsiadła się w nięj tak udzielnie, że mało co zostawia dla twórczości, dla wyobraźni, dla kunsztu. Poeta skrupowawszy się wymaganiami historycznej dokładności, musi posługiwać się postaciami, jakich mu kronika dostarcza, chociażby takowe nie miały za sobą nic innego tylko brzmiące historyczne imię. Nareszcie patrząc w roztoczony przed sobą szeroki obraz jakiego zdarzenia, rozmiłowuje się w nim od początku do końca, od szczegółu do szczegółu, każde słowo zdaje mu się ważnem, każda osoba zasługującą na uwagę, z czego wynika, iż kompozyeya jego staje się mniej ścisniętą, przetrawioną, a więcj uległą tym własnościom, jakie historycznemu opowiadaniu przystożą. Przed laty francuz Vitel udrama-

tyzował w ten sposób śmierć Henryka Walezyusza, Barrykady i inne ustępy z historii Ligi. Założyciel tego rodzaju kompozycji mało znalazł w swoim kraju naśladowców, i sam już poszedł w zapomnienie. W *Barbarze Radziwiłłównie* Odyńca postrzegam tę samą drogę, i nie przestanę ubolewać, dla czego mogąc stworzyć w ścisłym znaczeniu dramat, coby podniósł do nieznanej wysokości naszą scenę, wołał napisać książkowy poemat. Przedmowa, jaką zagaił do panów krytyków, aby *Barbary* nie sądzili podług wymagań sztuki dramatycznej, niepotrzebna jest — nikt bowiem nie będzie szukał tam dramatu, gdzie widoczna intencya, aby go nie było; to jednak nie przeszkadza, żeby każdy biorący do ręki tę książkę, nie pomyślał sobie: Ileż tu piękności straconych! ile postaci skazanych na milczenie! niejedna z tych scen, które myśl w cichości przebiega, o ileżby zolbrzymiała w żywém przedstawieniu i o ile silniejsze wycisnęłaby na widzach niż na czytelnikach wrażenie! Niech sobie romantycy co chcą mówią, niech formom uznanym nadają najdziwniejsze przeznaczenie, przecięż nie potrafią przekonać, żeby dramat miał jaki inny cel niż deski teatralne. Mamy na to romans, i to romans historyczny, który naturą swoją tak zbliża się do historii; w jego ramy wszystko da się pomieścić, jak w bigos staropolski wszystkie rodzaje mięsiwa,—formie tylko dramatycznej, nie odpowiada inny cel, krom gra sceniczna. Książek i dobrych i złych mamy podostatkiem do czytania—lecz sztuk teatralnych godnych przedstawienia aż nado mało. Ta szczerza troska o scenę pobudziła mię, żem z téj strony zaczepnie natarł na *Barbarę*, żem nie uwzględnił z razu intencji autora, tak, jak słusznie wymaga jego niepospolitej piękności utwór—wszelako wołałem na wstępie wypowiedzieć mój żal, uskarżyć się na to nadużycie dramatu, które idąc z góry ośmiela poczynających do lekceważenia tradycyj po mistrzach odziedziczonych, i coraz bardziej oddala od nas nadzieję doczekania się dramatów przeznaczonych na scenę; wołałem wystąpić jak przeciwnik tego rodzaju nowości, aby z pełną miłością powitać *Barbarę* przedstawiającą się nam w czystym świetle praw-

dy historycznej i cenniejszej od niej prawdy serca ludzkiego, podniesionej do wysokości ofiary łączącej dwa narody—przez miłość.

Poeta wierny planowi, który go o tyle obowiązywał, że nie wypadalo mu pominąć żadnej sceny, żadnej intrygi, żadnego objawu opinii przychylniej lub nieprzychylniej ożenieniu się Zygmunta Augusta z Radziwiłłówną, ukazuje nam Barbarę w chwili samotnego wygnania na zamku dubińskim, i prowadzi przez wszystkie burze publiczne i domowe aż do szczęśliwego zakończenia piotrkowskiego sejmku, który mimo hałasów na króla za dowolność w obraniu żony, pogodził naród z panem, a Barbarze dał koronę, mającą niebawem zamienić się w biały wieniec grobowych lilij. Katastrofa otrucia Barbary z rozkazu Bony szczęśliwie wyminęta; raz, że historia nie udowodniła tej zbrodni powtórę, że poeta wolał ją zrobić ofiarą tych nienawiści i swarów, do jakich dało powód wyniesienie na tron Jagiełłów poddanki. Miłość odniosła tryumf, lecz płaszcz królewski nakrył ją całunem. Nieszczęściami struta dusza i złamane ciało nie wytrzymało pierwszych chwil ustalonego szczęścia. Barbara przemyka się jak złoty promień usmierzający walkę wzburzonych żywiołów. W tych słowach możnaby zamknąć treść książki—lecz aby poznać rozmaitość scen, barwę wieku, wyobrażenia i namiętności, typy i charaktery historyczne, trzeba krok w krok iść za poetą i przypatrzeć się każdemu z tych kilkunastu obrazów.

Poemat rozpoczyna się prologiem. W Wilnie na odgłos dzwonów, zbierają się mieszkańcy i pytają: „Kto umarł?”— „Król nie żyje!—wczoraj posłaniec przybiegł z tą wieścią do królewicza.” Z tego wszczyna się rzecz o tajnym jego małżeństwie z Radziwiłłówną, które nie podoba się wielu panom litewskim, szczególniejszemu kasztelanowi trockiemu Chodkiewiczowi. Tymczasem z bram zamku wyjeżdżają trzy dworskie kolebki—dokąd zmierzają? zapewne jadą do Dubinek po Barbarę. W tej pierwszej scenie zrećnie rzucił poeta całe tło, na którym ma się odegrać smutna historia żony Zygmunta Augusta, jako to: nienawiści panów przeciw wyniesionemu tak wysoko domowi Radziwiłłów, intrygi Bony, która nie umie się cofać przed żadną zbrod-

nią, jeżeli ją ma doprowadzić do celu, i przyjazd jakiegoś tajemniczego Włocha przysłanego przez Bonę.... Niedobre wróżby ogarniają serca szczęśliwych ze swęj młodej królowej Litwinów. Czart, widać, zaczął już sztuki swoje...

W następnej scenie przenosi nas poeta do zamku Dubinek, dokąd August, po zawarciu tajemnych ślubów z Barbarą, posłał ją na mieszkanie. Życie tęj pani płynie jak w klasztornej ciszy; skromnie ubrana, poświęca się tylko czynkom miłosierdnym, pielęgnując i pocieszając ubogie wieśniactwo. Miłość osładza jęj tę posępne chwile wygnania, choć otaczający ją dworzanie nudzą się na zabój; nawet jowialny Dowojna, jęj pierwszy dworzanie i lekarz, niezawsze bywa dowcipny i wesoły, i niezawsze umie lekami swemi rozpedzić cierpienia Barbary. Niespokojna o swego pana i małżonka, z którym nie widziała się od pięciu miesięcy, niespokojniejsza, że sen tęj nocy napędził jakies przeczucia złowrogie, chciałaby usłyszeć słowo pociechy od swego brata podczaszego Radziwiłła... Tu przychodzi wielkiej piękności scena, odsłaniająca charakter Barbary zahartowany w cierpieniach. Podczaszy przywykły traktować ją lekko jak ładną, zakochaną, a może i prózną dziewczeczkę, z podziwieniem odkrywa w jęj mężną niewiastę, pojmującą wysokie powołanie królowej, acz pełną trwóg o przyszłość tego związku zawartego bez wiedzy i pozwolenia stanów.

Drzę, by tam w Polsce króla nie zmuszono,  
Wybierać między żoną a koroną,—

powiada Barbara; na co podczaszy:

Król przeniewierstwa pewno nie wybierze.

Barbara znająca charakter męża, tęp więcej trwoży się, że nie dopuszcza, aby jęj wiarę złamał; lecz z drugiej strony:

Miałbyż więc dla mnie z Jagiellów ostatni  
Dwóch wielkich ludów zrywać węzeł bratni,  
Co spoił pierwszy? co święta Jadwiga,  
Krzyżową serca kupiła ofiarą?

Co Bóg uświęcił pokojem i wiarą?...

O jakby straszny był sąd nad Barbarą!  
Lecz wzór mój ona! Jój siła mnie dźwiga,  
Ona mi będzie przed obliczem bożem  
Moją patronką i Aniołem Stróżem;  
I w niój nadzieja, że zjedna u Nieba,  
Że gdy czas przyjdzie, a ofiary trzeba,  
Spełnić ją zdoła moja własna wola,  
Nie wstręt narodu i nie przymus króla.  
Aż grób mój rzeknie światu: „Godna była  
Serca Jagiełły i krwi Radziwiłła.”

W tych słowach odmalowany charakter bohaterki, a raczej jest to jój manifest wypowiedziany przed sobą i Bogiem w chwili wstąpienia na stopnie tronu... Dotrzymuje go też wiernie do końca, zwyciężając siłą miłości burze, jakie przeciw niój powstawały na sejmach i zjazdach. Taką to wzniosłą myśl wlał poeta w tę uroczą postać—historia nie zada mu kłamstwa, nie powie, że zidealizował, bo same fakta wyraźnie świadczą, że początkowe krzyki na króla, wzniecone na sejmie piotrkowskim przez intrygi Bony i fakcyę nowatorów protestanckich, uspokoiły się potém nie groźbą zamykającą usta, nie tyrańskimi sposobami monarchy, ale snadź samym urokiem tój miłości wielkiej i cichój na tronie. Jak Augusta, tak i poddanych serca podbiła Barbara.

W dalszym ciągu prologu udramatyzował poeta humory panów litewskich, szczutych do buntu przez wysłańców Bony. Jednych oburzało małżeństwo królewskie z tój przyczyny, że przez to wyniósł się dom Radziwiłłów, już obudzający zawiść pierwszeństwem, jakie miał na Litwie; drugich ciągnęła chętka oderwania się od Korony, w obawie tój równości szlacheckiej, co wiała ztamtąd i co mogła ukrócić butę kniazów możnowładnych. Wszystkie te atoli chmury przeszły bez piorunów; bo kiedy Zygmunt August zwołał senat do Wilna i przedstawił mu swoją małżonkę, żaden głos nie śmiał się odezwać z przeciwném zdaniem. Litwa to jego dziedzictwo—tu nie było jeszcze woli narodu... Jednogłośnie też okrzyknięto Barbarę w. księżną li-

tewską -- krom kilku, którzy nie mając sposobu dogodzić swęj nienawiści, gotowali się wystąpić z oppozycyą na sejmie koronnym... Odgaduje to Barbara przecuciem, gdy mówi do małżonka:

„O! nie o Wilno jam drżała, lecz Kraków...”

Alić Zygmunt i w tém ją uspakaja:

Ty nie znasz Polaków.

O nichby iście powiedzieć w tym razie:

Nie tak lęw straszny, jak zda się w obrazie.

Gniew ich zaprawdę—to lęw; lecz zawziętość

Rozbraja lada wzruszenie lub świętość.

Rad ich burzliwość—to fala hucząca,

Lecz ją uśmierza lada promień słońca.

Umysł, to istny firmament ich ziemi,

Lada wiatr—mgli się, chmurami się ciemi,

Szumi, grzmi, błyska—i nagle się zmienia;

Czekasz piorunów—masz lży rozrzewnienia.

Duch wzdęty pychą, przez miłość się zniża

U stopni tronu, lub przed znakiem krzyża.

Tak, że dłoń króla, by karcić wzniesiona,

Musi ich tylko przytulić do łona.

Doskonale w tych wierszach skreślił poeta ten charakter narodu, żywy, zrywający się, lecz topniejący na pierwszy czyn miłości. Niektórzy radziby to nazwać brakiem charakteru, nie znajdując gdzie pomieścić zemsty i nieugiętej zawziętości, co nie gardzi nawet zbrodniami, aby zamiar osiągnąć. Darmo! różnemi przymiotami poobdziałał Pan Bóg narody,—naszemu dał miłość, którą go prowadzić można; uczucie to najbardziej chrześcijańskie przynosi tylko najwyższy zaszczyt narodowi, który je umiał w sobie do takiej wysokości wyrobić. Że mu się nie powodziło w świecie, to inna kategoria. Czyż i pomiędzy ludźmi najenotliwsi, najsilniej miłujący bywają szczęśliwi? a mimo tego nikt temi przymiotami nie gardzi, chociaż pomyślność ziemska najczęściiej nie bywa ich udziałem; zresztą, o ile wiem nie wynaleziono dotąd lepszego programu, ani dla władców, ani dla rządzonych, gdy ani prawa, ani siła, nie dają tych rękojmi co obopólna miłość i zaufanie.

Chociaż taki ideał króla i królowej przeprowadza poeta w swym dramacie, jednakowoż nie zrywa z rzeczywistością; owszem pozostaje jej ściśle wiernym, bo historia mówi to samo przez usta najznamienitszego historyka Mikołaja Malinowskiego, który w ten sposób pojmuje ducha rządów ostatniego Jagiellona: „Zygmunt August, którego treścią charakteru była miłość, a znamięm rozumu umiarkowanie, za główne prawidło królewskiego zawodu poczytał utrzymywanie lekką a zręczną ręką równowagi między władzą królewską a prawami narodu. Głęboko pojąwszy przyrodzony jego charakter, widział on, że bezwzględny rozwój siły rozjątrzyć go tylko i znarowić można. Wyrozumiałością, trafną zwłoką stanowczej odpowiedzi, beznamietnem przyjmowaniem choćby najdalej posuniętych żądań, umiał on najzawilsze okoliczności rozwiązywać, najgwałtowniejsze wzburzenie umysłów koić i najdalej rozstrzelone wymagania kojarzyć.” Król umiejący sterować nawą Rzeczypospolitej po falach swobód szlacheckich, wśród szkopułów herezji godzących na Kościół, przez wiry tych wątpliwości, jakie nowe doktryny wyrabiały w sercach po prostu wierzących, król taki nie znał i nie wyznawał innej zasady, tylko zasadę chrześcijańskiej miłości, i był też chrześcijańskim panem w pełnem tego słowa znaczeniu. Śliczną tę postać Zygmunta, opromienioną miłością ku Radziwiłłównie, będącej symbolem serdecznej spójni Litwy z Koroną, przedstawia poeta na tle buty i swawoli szlacheckiej, co zakosztowawszy owoców reformy, coraz mniej czuła się ścieśnioną przez te węzły moralne, w jakich ją utrzymywała władza Rzymu; naprężony stosunek nie zrywa się jednak ani mimo intryg Bony, ni zachceń i nienawiści możnowładców. Serca kochanków na tronie podbijają serca milionów,—a chociaż jedno ma pęknąć w tak ciężkiej próbie, zostaje ta myśl pociechy wewnętrznej, że Niebo mile przyjęło tę ofiarę, gdy w lat niewiele wynagrodziło narodowi ostateczną i trwałą unią Litwy z Koroną... Poeta nie szukał tu katastrofy tragicznej, co się zazwyczaj kończy bez nadziei.

Ślicznie on pojął tragedję w duchu czysto chrześcijańskim, polskim... Śmierć u niego nie wstrząsa i nie przeraża

rozpaczą; jest raczej ofiarą, okupem blizkiej pomyślności, blizkiego zwycięstwa prawdy... Ależ nie wybiegajmy po za kres toku zdarzeń! Dopiero prolog. Królewscy kochankowie jeszcze na Litwie w pierwszych uniesieniach związku niepotrzebującego być już tajonym w obec współzionków.

Pan i dziedzic Litwy ogłasza wolę swą poddanym, i skroń Barbary uwieńcza mitrą wielkiej księżny litewskiej... Lecz to dopiero drobna cząstka tryumfu... Król elekt w obec wolnych głosów koronnych, ma się usprawiedliwić ze swego postępku... A tu już wrą namiętności, którym ten krok może posłużyć za pretekst; a tu Bona z kreaturami swemi — istna Makbetowska czarownica, warzy w kotle trucizny, któremi ma napoić serca obywateli, lub dostać się choć jedną kropelką w serce nienawistnej synowej...

Całe sześć aktów dramatu poświęcił poeta na odmalowanie tego historycznego kartonu.

## II.

Autor *Barbary*, wierny historycznemu tokowi zdarzeń, zmuszony był zamknąć w prologu pierwsze sceny miłosno-politycznego dramatu, dla tego, że ich widownią była Litwa, że w nich mógł pochwycić charakter rozmaitych stronnictw to przychylnych ożenieniu się Zygmunta Augusta, to wręcz im przeciwnych, bądź z osobistych pobudek, bądź z miłości do tej prowincyi, której autonomię chcieli obronić potomkowie starych udzielných linij książęcych, trwożni o własne prerogatywy. Przewidując bowiem ściślejsze zlanie się Litwy z Koroną przez ten związek króla z Radziwiłłówną, drżeli o swoją przewagę, która prędzej lub później musiałaby się skruszyć o koronną równość i braterstwo szlacheckie.

Cały ten obraz z natury swojej tworzy kontrast ze scenami, jakie ożenienie się Augusta wywoła w stanach koronnych. Na Litwie Zygmunt ogłasza swój akt i wolę, i senat uchyla czoło przed dziedzicznym kniazem Litwy. W Polsce czeka go długa walka z sejmem, z sena

tem, urozmaicona pobudkami i intrygami matki zawziętej na to małżeństwo, i panów heretyckich pragnących władzę najwyższą osłabić, aby swoim błędem zapewnić bezkarności swobodę.

Na sześć też aktów podzielił autor swój dramat nie dla tego, żeby natura głównego przedmiotu wymagała tej podziałki, lecz że chciał nam pokazać usposobienie umysłów i koloryt namiętności w narodzie, objawiające się na różnych punktach, to w Łukowie, to w Krakowie, na piotrkowskim sejmie, w obozie gomolińskim, na placach publicznych, w komnatach zamkowych, w dworkach szlacheckich, między senatorami, duchowieństwem, szlachtą, żołnierstwem, mieszczaństwem i prostym gminem. Ażeby oddać co każdy myślał i mówił, co robić zamierzał, jak się burzono, odgrażano, knowano, potrzebował co chwila zmieniać scenę i wprowadzać nowe osoby, które skończywszy swą rolę, znikają bezpowrotnie. Wprawdzie w tym steku przewijających się obrazków wraca często postać królewskich kochanków Augusta i Barbary, wiąże w pewną całość te rozstrzelone grupy i utrzymuje jaki taki interes,—ale czytelnik, który sili się pochwycić wątek i pilnuje głównych aktorów, doznaje co chwila zawodu, bo zawsze nowy nasuwa się przedmiot, a poprzednią scenę zacierając w pamięci ciągle przeszkadza złożeniu się w jedno tych rysów, z których chcielibyśmy złożyć pełny charakter.

Jest coś wielce męczącego, gorączkowego w każdym utworze wykonanym bez dobrze obmyślanego planu, a raczej z takim planem, co zakreślony na wielką skalę, tworzy masę różnorodnych zlepków, a żadnej całości nie tworzy. Nie to bowiem jest wielkie i wspaniałe, co się z wielu cząstek do siebie nieprzystających składa, ale to, co ujęte w harmonijne proporce, pozwala się od razu ogarnąć i sprawić nam pociechę przy rozważaniu tych wszystkich kombinacyj i sprężyn, jakie miał artysta na usługi, gdy wykonywał dzieło swoje, w szczegółach misterne, a w całości jakby jednym strumieniem roztopionej lawy odlane.

Wspominałem na samym wstępie, że w *Barbarze* ani mowy nie ma o tém, że to kalejdoskop obrazków połączonych wprawdzie myślą bardzo piękną, ale nie prądem

akeyi dramatycznej — co jest taką pomocą dla dramatu, jak umarłemu kadzidło, a i autorowi nie może służyć za wymówkę, bo cóż nam do jego pięknej myśli, kiedy jej nie widzimy upostacionej, ożywionej działaniem i w ścisły organizm ujętej?

Rzeczywiście, mając zamiar dać sprawę z tego poematu dramatycznego o Barbarze, uczulbym się w niemałym kłopotcie, gdybym chciał wykazywać motywa i konieczności, w moc których główne osoby działają, następnie gdybym chciał z działania sądzić o dobrze lub źle postawionych charakterach; byłaby to bowiem nielada trudność w tym poemacie dramatycznym, któremu poeta pozwalając się toczyć potokiem historii, robi go nie od kracznej swój woli, ale od porządku kronikarskiego zawisłym. Nieszczęśliwy wpływ źle pojętego romantyzmu, a mianowicie nieuzasadnione rozmiłowanie się w historycznych dramatach Szekspira, które niczém inném nie są, jak mówi trafnie Crabbe, tylko poetycznie przyozdabianą kroniką, bez środka ciężkości i bez ostatecznego celu,—wszystko to przyczyniło się do zmarnowania przedmiotu, a głównie do znizienia wartości stylu przesłicznych scen, jakie poeta hojną ręką w swojej *Barbarze* rozsypał. Kto chce z historii zrobić dramat, niech bierze wzór z greckich tragików, z nowszych z Szyllera, a przekona się, jak tam silnie skoncentrowany żywioł dramatyczny, jak idea historyczna przeziara w działaniu. Dzisiejsza to dopiero pretensya odstąpiła od tych nieśmiertelnych wzorów, gdy zaczęto komponować dramata, gdzie duch wieków bywa niewidomym bohaterem, a wojny i wielkie sprawy narodów gubią się w ogromach mass.

Skoro utwór jaki nadaje sobie nazwę dramatu, musi koniecznie mieć punkt środkowy, to jest los osoby, około której ma się wszystko obracać; bo te szamotania się mass, te objawy ich opinij i wyobrażeń, te katastrofy ludów wcale nie są dramatycznej natury. Dramat nie może ani przywiązywać się do toku historii, ani go samowolnie zrywać, raczej linię, po której się toczy akcyja, powinien zgnać w obręcz, i wszystkie promienie skupić w środkowej jedności. Cała więc w tém sztuka, aby w losach osoby odzwierciedlał się los świata.

Czasby już pamiętać, że nie tak nie zaszkodziło sztuce dramatycznej w naszej epoce, jak z jednej strony niewolnicze gonienie za trojaką jednością, a z drugiej puszczenie się na Szekspirowskie bezbrzeżne wertepy bez gwiazdy jego geniuszu. W pierwszych warunkach powstawały często zimne, bezduszne posągi; w drugim przypadku kompozycje bez jedności działania i utrzymanego do końca interesu. Goethe w burzliwym okresie swój młodości napisał tym krojem *Goetza von Berlichingen*, i utwór jego pełny średnio-wiecznego kolorytu, pełny życia w scenach pojedynczych, staje się nudnym, bo uwaga czytelnika lub widza rozstrze-la się na mnóstwo cząstek.

Rozszerzyłem się nad tą pogardą prawideł i nad tym rodzajem literatury z nieprawego łoża, co się nazywa poematem dramatycznym, aby wskazać piszącym, jak uchybiają swoim wrodzonym talentom przez oddalanie się od prawdziwych wzorów. Chęć zrobienia się oryginalnym przez odrzucenie prawideł nie daje jeszcze oryginalności, ale zawsze ułatwia spłodzenie dzieła nieskrępowanego rozumem i zgodnem z tajemnicą sztuki wymaganiami. Co większa, przebiegając myślą całą naszą literaturę dramatyczną, spostrzegam częściej brak kompozycji niż jój dostatek, co podług mnie ubliża wiele zdolnościom twórczym narodu, pokazującym niepospolitą misterność w wykonaniu scen pojedynczych, w szkicowaniu postaci i charakterów, lecz oraz składającym świadectwo nieudolności w przeprowadzeniu planu z tą jednością i harmonią organiczną, bez jakiej dzieło nie może się nazwać doskonałym i zupełnym.

Pragnąc jednak o ile można streścić sześć aktów Barbary, tak zawitych, tak często ogołoconych z interesu dramatycznego, poszukam główniejszego wątku i jak z nią Aryadny przejdę te labirynty scen, często dobrze pomysłanych, pięknych nawet w oderwaniu, lecz przeszkadzających co moment pochodowi akcji dramatycznej, jak te wody, lasy, góry, które uciekająca czarodziejka rzuca za sobą, aby przeszkodzić pogoni.

Pierwszy akt otwiera Bona w rozmowie ze swoim powiernikiem Papagodą, zdającym jój sprawę z poselstwa na Litwę mającego na celu poruszyć umysły panów przeciw

małżeństwu jej syna z Barbarą; drugie posłuchanie ma Gracyani, także wysłaniec do panów wielkopolskich. Są to podrzędne narzędzia intrygi prowadzonej przez Bonę. Lecz oto w trzeciej scenie widzimy samego Kmitę, głowę partyi przeciwniej hetmanowi Tarnowskiemu, wicherzyciela z potrzeby, bo w długach po uszy, biorącego cekiny od Bony, aby w sejmie przeprowadzić rozwód z Barbarą, lub bezkrólewie ogłosić. Jakby odwrotną stronę medalu ukazuje nam poeta rozmowę więcej w rodzaju sokratycznym niż dramatyczną, Tarnowskiego hetmana z kanclerzem Maciejowskim. Pięknych tu myśli mnogo; wywnętrzenie się dusz szlachetnych pokazuje, jacy to zaeni obywatele i jak dobrze radzą o zdrowiu Rzeczypospolitej, z tém wszystkiém do rzeczy to nie należą; dopiero przy końcu długiej pogadanki natrącają coś o wielkopolskich intrygach Górki i prymasa, oraz o Kmicie, który zasilony pieniędzmi Bony użyje pretekstu zaślubienia Barbary przez króla, aby w kraju wzniecić zamieszanie. Następnie znowu oglądamy Bonę, która z zapalem prowadząc dzieło nienawiści, udaje się do Praksedy czarownicy i tam każe sobie wróżyć i gotować filtry na zgubę Barbary. Scena ta przypominająca Makbetowskie czarownice intencją, prócz apokaliptycznego języka, tyle nam tylko powiada, że Bona skłania starego Ożoga obietnicą skarbów na zgubę Radziwiłłówny.

Idź! idź! ufam w lekach twoich,  
 Idź ją spotkać na granicy.  
 Rób jak zechcesz—tylko zrób!  
 Zięć, skarb, zamek—za jej grób.

Tym zięciem—bo trzeba wiedzieć, że Prakseda ma córkę Marynę—będzie zapewne Papagoda, który przeczuwając, że stara ma pieniądze, balamuci Marynę. Autor chce go nam wystawić jako ekstrakt intryganta włoskiego à la signor Macchiavelli. Wprawdzie późniejsza historia uczy, że nieźle swoje interesa pokierował, kiedy w urzędzie faworyta Bony zostając do jej śmierci, zabrał po niej znaczne pieniądze i kosztowności, ale cóż nam do tego, co pisze Warszewicki lub inni kronikarze? Papagoda miga się tyl-

ko i znika jak zły duch, a cały ten romans z Maryną zawadza tylko w całości.

W drugim akcie odbywa się w katedrze krakowskiej ceremonia pogrzebu zmarłego Zygmunta Starego, a tłum różnego rodzaju rozmawia o dziennych sprawach publicznych. W jednym głosie daje się słyszeć ów program, a raczej myśl, którą w prologu objawiła już Barbara, że chce dopełnić dzieła Jadwigi. Jest na ratuszu książka do nabożeństwa po królowej Jadwidze, jeden z obywateli radzi ją ofiarować nowej pani, bo, jak mówi:

Przez nią w jój myśli stać będzie Jadwiga.  
Śladem dusz wielkich, duch się łączniej dźwiga.  
I któż wie, żali ich wspólne modlitwy,  
Ich, dwóch pań naszych, w Niebie i na tronie,  
Jak niegdyś cieniów bałwochalczej Litwy,  
Z głów i z sere pychy nie ruszą w Koronie?  
Tam czyn Jadwigi, tu byłby Barbary.

Z pewnym naciskiem powtarzane te słowa zakreślają rolę młodej królowej, zwłaszcza że sama pragnie być taką; w jaki zaś sposób wykona to przedsięwzięcie? zobaczymy w rozwinięciu jój działania, które zarazem da miarę, jak dalece poeta wywiązał się z założenia.

W uroczystej scenie widzimy Augusta odbierającego hołdy ziem i księztw lennych w obec zgromadzonego senatu. Kanclerz ks. Maciejowski tłumaczy myśli królewskie zachęcając do miłości i zgody.

Przychyłne umysły, Tarnowskiego i innych dygnitarzy koronnych, kupią się obok tronu, i przyrzekają bronić małżeństwa królewskiego przeciw intrygom Bony i zamachom burzycieli. Kontrast przedstawia obraz uczyty w domu Kmity. Tłum zgromadzonej szlachty wypróżnia kielichy, które nalewa piwnica Kmity zasycona cekinami Bony, i tu odzywają się głosy wsadzające na tron to samego gospodarza, to innego jakiego oratora, co umiał podbić sobie rozzuchwalone animusze; zgoła, prerogatywa wolnej elekeyi przedstawiona w całej nagości. Dalszém dopełnieniem jest podobna scena w domu Górki, z tą różnicą, że tu występu-

je duch reformacyi, zbuntowany przeciw wszelkiej władzy, nawet władzy Kościoła. Te dwa stronnictwa łączą się za pośrednictwem Kmity, który przy zbliżającym się sejmie piotrkowskim taką podaje radę:

Więc czas, by z mocy praw i obyczaju,  
Wici na rokosz rozesłać po kraju,  
By szlachta wszędzie zbrojna i gotowa  
Czekała od nas na hasło z Piotrkowa.  
Tak wspólną siłą złe chyba wyżeniem:  
Sejm będzie głosem, a naród ramieniem.

W trzecim akcie przenosimy się do Łukowa na pogranicze Litwy. Barbara tu wstępuje na ziemie koronne modłami i spowiedzią przygotowując się do téj drogi krzyżowój, o jakiej ostrzega ją przeczucie:

Przecz mi tak straszny ten wyraz: królowa?  
Zda się, że złota urna pogrzebowa  
Stoi przedemną!

Brat jój podczaszy Radziwiłł przedstawia dawną jój przyjaciółkę Mielecką przeznaczoną na panię dworu królowej; jest to powiernica, przed którą wywnętrza się Barbara w długich rozmowach najczęściej bez żadnego znaczenia i interesu dramatycznego; też wartość ma znowu przez Mielecką przedstawiona jój Dosia Podlodowska, narzeczona Jana Kochanowskiego, którego także autor wprowadza, pomnażając tylko zamęt licznych epizodów. Cały akt w Łukowie tę tylko ma ważność w toku głównego działania, że Prakseda z córką swoją Maryną wysłana przez Bonę dla zadania jakiegoś filtru Barbarze, jest pochwycona przez przybocznych dworzan. Maryna jednak wyrывa się z rąk pacholków i rzuca się do nóg Barbary, wzywając jój opieki, przyczem oddając jój fiaszeczkę z trucizną, woła:

Śmierć, śmierć! tobie przeznaczona!  
Przez matkę moją przysyła ją Bona...  
Lecz nie otwieraj—sama woń zabije...

W następnym akcie przenosimy się do Radomia, gdzie dworzanie rozmawiają tajemniczo o tym zamachu na stru-

cie Barbary, przewidując, że sejm spostrzeższy jaka ręka kieruje intrygami, przestanie nastawać na zerwanie małżeństwa. W podobnym duchu jest i rozmowa Zygmunta Augusta z Radziwiłłem marszałkiem. Król ubolewa nad przyjęciem, jakie go spotyka przy wstąpieniu na tron—nie mógł bowiem przeczuwać:

Że go tak spotka matka i ojczyzna!...  
Od ziomków rokosz, od matki trucizna,  
Lub gorsze od niej czary!...

Ale ten zamach otrucia puszcza w niepamięć—gorzej boli rokosz, bo:

Gdzież znajdę siłę być ojcem dla kraju,  
Gdy kraj goryczą zatruje me serce?

Szczytne to uczucie, ta obawa monarchy przewidującego, że może przestać kochać swój naród. Lecz rokosz da się pokonać dzielnym ramieniem hetmana, zwycięstwo na buntownikami niewątpliwe.

Lecz jak tę ofiarę  
Zniesie jój serce?—Ach! ty znasz Barbarę!  
Ten duch niebieski, co miłością żyje!  
Kropla krwi dla niej—ona ją zabije.

W tej walce, gdy po jednej stronie zna konieczność ukarania buntowniczych umysłów, a pod drugiej przewiduje, że toby zabiło Barbarę, gdyby o nią przyszło przelać krew poddanych, woli rzec się korony na rzecz szczęśliwszego monarchy. Wtém wchodzi Barbara blada i cierpiąca. W pierwszym słowie wyznaje, jakie jest położenie rzeczy. Sejm się zbiera—rokoszanie stoją w polu i gotują się na bój, gdyby król zerwał z narodem. A główną przyczyną—ona. Cóż na to radzić? pyta August:

Ciebie opuścić? cześć skazać? ślub zdradzić?

Nie! tej rady nie usłyszy z ust małżonki. Król pozmazaniec z władzą wziętą od Boga, powinien zwyciężyć—tylko ją trwoży, żeby dla niej nie zapomniał o swojej po-

winności. Waleząc bowiem z wolą narodu, idzie nie o wzgląd osobisty dla niej, o stratę szczęścia upatrzonego w jej osobie, ale o to, by król nie dał sobie wydrzeć praw człowieka. Dla tego prawdą niech łamię fałsz, zapomni o sobie i ufa w Bogu.

Czyń tak we wszystkiem, jakby mnie nie było.  
Strzeż się chcieć opór skłaniać po twój woli,  
Pochlebstwem pysze, potuchą swawoli,  
Złotem, lub łaski królewskiej nadzieją;  
Żli się tém wzmogą, a dobrzy zachwieją.

Jutro należy do Boga. Dla tego, gdyby na nią niespodziewanie zawołał głos boży, gdyby śmierć na nią przyszła, zabrania mu sprawców dochodzić. Dotąd bowiem ukrywała tajemnicę, lecz ją wyjawia:

W sercu mojem  
Krew, czuję z dawna, wre trawiącym zdrojem  
I śmierć mi wróży...

Tym sposobem przygotowuje Barbara małżonka swego do zniesienia ciosu, a zarazem daje mu radę trzymać się drogi prawdy, a resztę zdać na Boga. W scenie tej chciał poeta urzeczywistnić ten ideał wielkiej miłości chrześcijańskiej, który w duchu poślubiła Barbara biorąca sobie za wzór Jadwigę, ten ideał pokory, poddający się woli narodu dla szczęścia i połączenia dwóch ludów. Uczucia i myśli wyrażone tu, aczkolwiek pełne szczytnej głębokości, są jednak natury więcej dydaktycznej. Nigdzie nie widzimy Barbary w działaniu; cokolwiek się dzieje, dochodzi ją tylko z posłuchu, z wieści. Sama nie styka się ani z Boną, ani z rokoszanami—więc przypuściwszy, że troskliwy małżonek zakazał był nie a nie nie donosić jej o tém, co się działo w koło niej, zostałyby usunięta przyczyna jej zmartwień i śmierć z cierpienia. Jest to wadliwa strona tego poematu dramatycznego, że wszystkie osoby mówią o tém, co się gdzieś stało, cieszą się lub smucą, wyprawdzają ztąd wnioski, filozofują nad faktem—a same postawione są po za obrębem działania jak maryonетки, przez

które gada ukryty poeta. A przecież mało znani przedmiotów równie nadających się do dramatu, jak Barbara Radziwiłłówna, żywił tak obfity, że tylko w nim wybierać, gruppować, rzucać światła większe lub mniejsze, aby obraz wydał się w całej pełni, skończony i robiący wrażenie niezapomnianego uroku, bijącego od dwóch cudnych postaci historycznych: Augusta i Barbary. Autor w tém zblądził, że te postaci XVI-go wieku na to niby wywołał z kronik, aby pod ich tarczą mógł być ze swemi pomysłami o władzy, o obowiązkach panujących, i z całym zapasem pojęć o monarchii chrześcijańskiej, rozszerzyć się i wyśpowiadać, dla zbudowania współczesnych czytelników, czego za złe brać mu nie można pod względem obywatelskiego, użytecznego celu, jaki chciał osiągnąć w swém dziele, ale rzecz uważając z punktu kreacyi poetycznej, znajduję, że nie dość wlał życia w te cienie z grobów królewskich wywołane, że ani Augusta, ani Barbary tak nie wskrzesił, aby te dwie postaci unosiły się nad nami w towarzystwie Grażyny, Maryi, Alfa, Aldony i tylu innych bożyszcz poetycznego nieba.

Lecz wracajmy do wątku, pomijając dwie jeszcze sceny obozowe: chorągwi pancernych stojących przy królu, i pospolitego ruszenia rokoszan. Pokazują one usposobienie umysłów i sposób widzenia każdej partyi: historycznie, sama tu prawda; tylko tak można sobie wyobrazić tłumy obradujące, prowadzone przez wprawnych krzykaczy i oratorów—ale to daje koloryt, nie zaś ruch i interes główniej rzeczy.

W piątym akcie jesteśmy w Piotrkowie. Sejm się zaczął. Barbara zamieszkuje Bugaj, zamek w pobliżu miasta, dokąd przynoszą jęj wieści wcale pocieszające, bo pierwsza sessya w senacie przeszła bardzo pomyślnie; jest także nadzieja, że i w poselskiej izbie

Przeważy zgoda i cześć majestatu.

Lecz z drugtej strony niepokojące nowiny nadeszły od granic kraju. Tatar napadł Ukrainę; król wzywa do dobrowolnych ofiar. Barbara podobna w tém do wszyst-

kich naszych niewiast obywaterek, składa na potrzeby kraju kosztowności z domu ojców wyniesione w spadku, i dodaje:

To u stop tronu oddaję ojezyźnie,  
Nim ona w zamian—o! i w rychłej dobie  
Włoży koronę—na mój herb na grobie.

Barbara za nadto często mówi o swojej śmierci—oswaja z nią czytelnika, który tak przygotowany, choć ten cios uderzy na prawdę, mniej będzie czuł jego okropność. Zwłaszcza w powyższym miejscu niestosowność tego odezwania się tém mocniej razi, gdy wiadomości pomyślnie nadchodzą z sejmu, a lubo się umyśły burzą, odgrają, Barbara nie zostaje z niemi w styczności. Autor widocznie odjął jęj wszelką sposobność pokazania się w takim charakterze, jaki miał intencję jęj nadać.

Tymczasem w izbie poselskiej zabiera się na straszną burzę. Przywódcy dali sobie hasło: *Rozwód albo bezkrólewie!* Marszałek donosi zgromadzonym posłom o najściu granic przez Odrę i wzywa do obrony, lecz przeciwne głosy za nic mają to odległe niebezpieczeństwo, bo widzą bliższe w zamachu króla na swobody szlacheckie:

Tatarska strzała Polski nie zabije,  
A gorsza strzała, niż co Tatar złupi,  
Gdy nam król jarzmo natłoczy na szyję,  
A od rozumu odsądzą biskupi.

Próżne perswazye prawych obywateli! Wichrzyciele zagłuszają ich hasłem: *Rozwód albo bezkrólewie!*

W gospodzie Radziwiłła zgromadzają się posłowie litewscy, ci właśnie co wyjechali z Litwy, aby razem z kornonymi protestować przeciw małżeństwu z Barbarą. Jeden z nich zapalony przeciwnik, opowiada jak ujrzał przypadkiem królową, a widząc ją smutną i zmienioną, uczuł żal, że przeciw nięj śmiał szermować językiem. Umyśły ich zaczynają się skłaniać ku królowi. Tarnowski w krótkiej rozmowie z Radziwiłłem objawia energiczne postanowienie, że póki językiem szermują panowie sejmowi, póty nie miesza się w tę sprawę.

Lecz pierwsza ręka, co się przeciw króla  
Porwie do miecza—na moim sztandarze  
Zatknięta, drugim los zdrajców ukaże.

Między te sceny wciska się ustęp Papagody z Marynką; intrygant ten przyrzeka żenić się z nią, zwłaszcza że zabrali Praksedzie szkatułę ze złotem. Autor chciał w nim odmalować przybysza nienawidzącego kraju, w którym się zbagacił, i łotra niecofającego się przed żadną zbrodnią.

Ustęp ten nie a nie nie interesuje, a wiele przeszkadza, zwłaszcza że uwaga zwrócona na sprawę sejmową.

W izbie senatorskiej Zygmunt August zasiada w majestacie i przez usta kanclerza odpowiada na *laudum* posłów stanu rycerskiego. W odpowiedź przychodzi znana z historii mowa Boratyńskiego, jest i ukłęknięcie przed tronem, i zakłęcie na obowiązki panującego. Król z energią broni swoich praw jako człowiek, broni Sakramentu. Prymas przeciwny mu, ogłasza jako jest mocen rozwiązać śluby królewskie, a grzech jego rozdać na podział między naród. Starcia się zdań idą coraz żywiej, król dzielnie stoi przy swoich prawach, lecz kiedy tłum ciągle krzyczy: Rozwód albo bezkrólewie!—widząc, że inne argumenta odpadają jak groch od ściany, powiada:

Milsza mi moja wiara, moja dusza,  
Niżeli wszystkie królestwa na świecie...

To jakby abdykacya! Tarnowski powstrzymuje go i nie każe zważać na wrzaski czerni szlacheckiej. Wyraz *czerni* rzucony wzgardliwie oburza szlachtę, zgiełk się wzmacnia, wyrzuty z jednej i drugiej strony i rwanie się do szabel. Król opuszcza zgiełkliwe zgromadzenie. Rozdrażnienie przywódców buntu dochodzi do szczytu—rękawica rokoszu rzucona na stopnie tronu. W szóstym akcie Barbara zapewne choć niepotrzebnie uwiadomiona o tém co zaszło w senacie, w monologu lirycznym stacza ostatnią walkę z sobą. Dziś powinna umrzeć, bo jutro może będzie za późno, kiedy rokoszanie wystąpią do boju.

Dziś tamą może być moja mogiła.

Flaszeczka dana jój przez Marynę, nasuwa myśl otrucia się — lecz to poszept szatana — ciska flaszkę, a postrzegłszy książkę, na której modliła się Jadwiga, woła:

Ty kieruj mą czynność,  
 Ty ucz co wybierać:  
 Co grzech? co powinność?  
 Czy żyć? czy umierać?

Ucieczka ta do Boga i do wspomnienia świątobliwej żony Jagiełły uspakaja ją — w pokorze poddaje się woli Najwyższej:

O przebacz mi Boże!  
 Jam grzech mój uznała.  
 Daj cierpieć w pokorze,  
 Co chcesz bym cierpiała.

Męczarnia ducha wyczerpuje jój siły — omdlewa — trzęwią ją, i powraca do życia, jednakowoż obecni mało tuszą o jój zdrowiu.

Rokoszanie gotują się do czynnego wystąpienia. W gospodzie Kmity i Górki wszystko sposobi się do wyjazdu; za chwilę błysną miecze dobyte braci przeciw braciom. Tu przychodzi prawdziwie dramatyczna scena, kiedy żona Kmity Herburtówna przyjeżdża do niego niespodzianie, i jako mężna chrześcijańska niewiasta wstrzymuje od czynu piętnującego go mianem zdrajcy ojezyny. Kmita waha się, ale kość już rzucona, niepodobna się cofnąć! Na szczęście przychodzą listy przejęte przez partycę królewską, w których odkryte są konszachty Bony z Kmitą i poniżające pobudki, które go przywiodły do podniesienia rokoszu przeciw królowi. Odtąd partya buntownicza czuje się złamaną. Pani Kmitowa ułatwia pojednanie ze skłonnym do zgody królem. Umysły miękną i składają broń, zwyciężone miłością.

Niechaj świat widzi, jak w nas, bez oręża,  
 Wolność praw broni, a miłość zwycięża...

W ostatniej scenie Barbara uwiadomiona o pomyślnym rzeczy obrocie, uczuwa wewnętrzną radość, że ona jest tą ofiarą, co przebłagała Nieba, — lecz:

„Kwiatu, co grad złamie, nie wskrzesi już słońce.”

W przeczuciu blizkiego zgonu powiada do otaczających:

„Duch mój przed Bogiem błagać będzie za nią”

[(za Polską),

„By grób mój wnukom wieczną był przestroga,

„Że godząc w króla, pierś ojczyzny rania,

„I że ojczyznę, jak mnie zabić mogą.”

Oto jest treść tego poematu dramatycznego, o którym można powiedzieć, że w częściach oderwanych obfituje w piękności pierwszego rzędu, w pomysły szczytne i głębokoko z ducha wysnute,—lecz co do całości rozstrzelonej, co do sytuacji niezem niemotywowanych, nosi znamię widocznego zaniedbania. O przeprowadzeniu charakterów i mowy nie ma, bo tu nie charaktery tworzą sytuację, ale sytuacja tworzy pewne odcienie usposobień umysłowych i sercowych. Jeden tylko prawdziwy dramatyczny i konsekwentny charakter, choć w cieniu postawiony, jest pani Kmitowej. Prawdziwie ewangeliczna i polska matrona, siłą ducha łamiąca pychę i swawolę swego małżonka. Ona głównie rozstrzyga zwycięstwo na stronę królewską. Postać ta wprawdzie nie jest czysto historyczna, jednakowoż należy do fikcyi poetycznej na tle historyi, dla tego udała się w pomysły i wykonaniu. Gdyby autor był trzymał się tego procederu w tworzeniu całego dramatu i nie tak niewolniczo pilnował litery kronik i dokumentów, — niezawodnie byłby z żywiołów poetycznego uczucia udatniejszą stworzył całość niż dzisiejsza jego *Barbara*, posiekana w kawałki jak *Tukaj*, z tą różnicą, że dla *Tukaja* był ratunek w zbawczém zaklęciu, kiedy *Barbara* zostaje zawsze mozaiką obrazków.

---

## II.

# DANTE I JEGO KOMEDYA.

Julian Korsak kilkanaście lat przekłada Dantego. Życie i charakter florenckiego wieszca. Kommentatorowie zaciemniają zamiast wyjaśniać. Podróż po trzech pieśniach Piekła, Czyśca i Raju. Bozka Komedyja—encyklopedia średnich wieków.

W chwilach kwitnącego u nas romantyzmu, Julian Korsak należał do plejady ówczesnych litewskich śpiewaków zdążających szybszym lub słabszym lotem za orlim mistrzem. Poezye jego używające wtedy pewnej wziętości, jako należące do szkoły, uрониły ją ze zmianą smaku i kierunku. On też uczulł to i zamilkł na wiele lat, aby dziś, po zgonie swoim odżyć w nieśmiertelnéj pieśni Dantego.

Kilkunastoletnia praca przekładu tego arcydzieła wychodzi teraz na widok publiczny. Tłómacz chcąc sobie zwolnić w trudnościach, odstąpił od *tercinów* oryginału, przez co mógł osiągnąć tę zrozumiałość, jaka nigdy nie jest zbyt uczynną w utworze noszącym odcisk odległych wieków niezrozumiałych dzisiejszemu pokoleniu. Jednak mimo tego zwolnienia, umiał być wiernym, a co większa, pozostać artystą, poetą. Nie jest to zatem jedno z tych tłumaczeń prozą lub białym wierszem, które porównałbym do figur woskowych, niemających żadnej wartości artystycznej, ale mogących mieć zasługę wierności... Znać tu, że niepospolity talent poetyczny w połączeniu z żelazną wolą i pracą, potrafił się wznieść na wysokość wzoru i wtajemniczyć po pięciuset latach w te same uczucia, jakie wielkiem sercem florenckiego wieszca miotaly, i oddał je jeśli nie ze świeżością i jasnością dziś niepodobną, to z mocą odpowiednią, nadewszystko zaś

w duchu oryginału, nie zacierając jego znamion, co sprawia, że tłumaczenie rymowe Korsaka jest o ile być może wierną, a razem poetyczną kopią Dantowskiej kreacji.

Literatura nasza zbogaca się od razu przez wpuszczenie tej wielkiej rzeki w sieć ojczystych strumieni.

Olbrzym poezyi, Dante, zstępuje między nas z cieniów średniowiecznych; dla uczoności dzisiejszej tajemniczy, niezgłębiony, nieogarniony, istna gotycka katedra, tworząca nieregularną a harmonijną całość. Pospolitość, dzika nieokrzesaność w częściach, niepotrzebne ozdoby, brzydota i okropność spotykane tu i owdzie, łączą się przecięż w dziwny obraz przemawiający taką potęgą prawdy, że każdego nią zwycięża. Kto wstąpi raz pod sklepienie olbrzymich łuków Bozkiej Komedyi, kto się zapuści w ten las kolumnbiegnących w nieskończone perspektywy, kto myślał pytać zechce tych powikłanych symbolów służących im za naczółki i fryzy, tego owionie cała groza tęsknic i przeczuć przywiązanych do nauki, za którą Chrystus dał się umęczyć na krzyżu. Nie sama tam lampa katolickiej wiary goreje przed ołtarzem i rozlewa łagodne, tajemnicze półświatło na wszystkie przedmioty—bo oto ze wszech zakątów, z ciemnych przepaści kościelnej nawy wysuwają się w greckich tunikach filozofowie starożytni, za nimi mędrce Wschodu, toż w mniszach kapturach aseeci i doktorowie, trzymający gorejące pochodnie, od których, gdzie bądź się posuną, rozświecają się arabeski i rzeźby po ścianach... Odgłos stapań tych mędrców rozlega się pod sklepieniami i złamaném echem wpada w głąb kaplic i nisz, a kiedy całym korowodem ściągną się w milczeniu w przybytek świętości, takie morze światła bije z ich pochodni, że olśniona żrenica razem z kolanem chyli się ku ziemi. Jak promieniejąca jest filozofia Dantowska, tak znowu piekielna potęga jego sądu, ilekroć występuje w urzędzie surowego karciciela swoich współczesnych; choralna uroczystość jego słowa zlewająca się z przepysznym rytmem, co jak grzmiące tony organów rodzi dreszcz w uchu i myśli czytelnika; groza namiętnej wzgardy i bólu szarpiącego serce poety, znachodzą równowagę w tklivości jego uczuć, a mianowicie w szczytném, niedoścignioném natchnieniu,

którem ogarnia widome i niewidome ogromy światów. Główną jego zaletą nie jest doskonała piękność całości, chociaż ślicznych ozdóbek tam nie brak; wartości poematu nie stanowi tam symbolizm mistyczny i allegorya poetyczna, chociaż były to żywioły ówczesnej poezyi; raczej genialność mieści się w nieskończonej różnorodności myśli i uczuć, widoków dotykających najwyższych prawd rodu ludzkiego, które podobne do promieni słonecznych wpadających przez kolorowe szyby gotyckiej katedry, łamią się i odbijają w kolosalnym wnętrzu troistego gmachu: Piekła, Czyśca i Nieba.

Nie było sztukmistrza, któryby podobnie jak Dante wszystkie wielkie pomysły kończącej się epoki umiał w swém dziele skupić i przedstawić, a zarazem taki potężny nadać kierunek współczesnym i przyszłym kolejom swój ojezyzny.

Jest on poetą wolności; nienawistna mu wszelka samowolna tyrania, czy od jednego czy od milionów pochodzi. Dobrowolny zwolennik i sługa prawa, szanuje je, byle niezłomność jego zaręczoną mu była czy przez lud czy przez panującego. Republikanin florencki silnie przywiązany do ludowych instytucyj swego miasta, będących wynikiem długiej pracy i przeobrażeń wewnętrznych, nie widzi dla nich niebezpieczeństwa w opiece monarchy chcącego szanować te przywileje, lecz przeciwnie lęka się ich upadku przez burzliwą pychę i prywatę demagogów podnoszących gorączkowe i zuchwałe głowy z łona gminu. Dante, Gwelf z urodzenia, zrywa z ludem i Papieżem pozornie sprzyjającym ludowi, odkąd przekonał się, że popierają szalone plany występnej samowoli; przechodzi zatem on, republikanin, do obozu arystokratycznych Gibelinów, gromadzących się pod chorągiew władzy cesarskiej, aby we włoskiej ojczyźnie wystąpić nie w charakterze ciemnych, lecz wybawców i obrońców zagrożonej wolności. Polityczna ta dwiistość w życiu Dantego daje się zupełnie usprawiedliwić i pogodzić, jeżeli dobrze zastanowimy się nad duchem owych wieków, niemających nic wspólnego z naszymi rewolucjami wydającymi najeźściwiej jeden tylko odcień: uciskających i uciśnionych. Ktoby dziś śmiało powstawać na Dantego

Gibelina, za to że Gwelfów odstąpił? Największy nowożytny liberala jeszczeby nie zrównał w bohaterstwie republikańskiemu Gibelinowi, chociażby nawet nie napisał traktatu o monarchii (de Monarchia) i nie złożył go jak Dante u stop Cezara. Szlachetny, prawy sposób myślenia jest rdzeniem Dantowskiego charakteru; nie zapierał się go on żadnym czynem, żadnym wierszem, żadnym słowem swoich rozliczonych pism.

Katolik głęboki, republikanin szczery, zarówno od stolicy rzymskiej, jak od ojczyznie miasta obłożony karnemi wyrokami, wycierając przez wiele lat twarde wschody tułactwa, potrzebował utulić zboliałe wielkie serce, znaleźć zadostojność za tyle krzywd, — i stworzył dzieło, w którym upokorzył swoich wrogów, nie tém, że ich postrzącał na dno piekieł, lecz że zajaśniał światu w całym majestacie geniuszu. Ubogi tułacz, nie miał zaciężnych hufców, aby stoczyć bój z prześladowcami—wołał ich okuść w brzęczące łańcuchy swoich tereinów i cisnąć jak wiązkę suchego chróstu do piekieł. Nie mogąc mieć udziału w zarządzie rodzinnj Florencyi—stanął jako odrodziciel mowy włoskiej, i takie wydobył tony, że dotąd podług nich urabia się język. Duch Dantego jak wiecznie ruchliwe morze: pracował za żywota, a i po śmierci jeszcze spocząć nie umie.

Przez lat dwadzieścia, do samego ostatka, jadł on gorzki chleb wygnania. Kiedy Florencya zamknawszy bramy przed nim, tylko pod krzywdzącemi warunkami pozwalała przyjąć go w swoje mury, wołał pukać do pałaców obcych mu panów, którzy wielkiego gościa przyjmowali z otwartemi ramionami. Nigdy w tułaczce nie zniżał się do roli dworaka pochlebcy, i porzucał takich gospodarzy, co nie umieli być jego przyjaciółmi. Niczego nie szukał i o nie nie prosił, tylko o przytułek; innym trefnisiom i pospolitym lutnistom zostawiał sławę dzienną i względy, kiedy sam w wytartj wełnianej tunice, z nasuniętym na głowę kapturem rzucał gdzie z kąta płomienne spojrzenia lecące w daleką przyszłość... Na wygnaniu ciosał on te olbrzymie kwadraty głazów, z których miała powstać świątynia Bozkiej Komedyi, mieszcząca w katakumbach tyle

trumien z zabalsamowanemi poezją ciałami, a nakryta kopułą o złotym krzyżu wskazującym drogę do nieba....

Geniusz najczęściej dojrzewa i doskonali się w nieszczęściu. Dante najwymowniejszym jest dowodem tój żalobnej prawdy, co się stała powagą w sztuce chrześcijańskiej. Czarny cień niedoli włókł się za nim przez cały bieg żywota; serce jego w męczarniach i bolach wyrzucając jak Wezuwiusz gorącą lawę, pokryło się rodzajną skorupą, na której mogła tylko rość taka poezya, jak tam wino *lachrimae Christi*. Miłość, co w początkach tyle cudnych sonetów i kancon mu natchnęła, zamarała w nim; w domowém ognisku nie znalazł szczęścia; małżonka nie towarzyszyła mu na wygnaniu, najbliżsi krewni zamienili się w nieprzyjaciół; ojczyzna, dla której tyle nocy nie dospał, wyrzekła się go jak zdrajcy. Zwyczajny duch byłby stokrotnie upadł pod ciosami takiej doli; Dante nie upadł, owszem wznosił się nad przeciwności czarnego losu i rzucił go sobie pod nogi.

Potrzeba długich wieków nim tak potężny geniusz dojrzeje; podobnie w lesie wiele generacyj drzew świętych lub zbutwiałych, sobą użyźnia ziemię, aby jedna latorośl na olbrzymiego dęba się wybrała. Bozka Komedia jest takim dębem; korzenie jój sięgają w najgłębszą przeszłość; ktoby ją chciał wykopać, musiałby od północy do południa przewrócić całą Italię, bo chociaż ziemia ta obfita w wielorakie skarby sztuki, nie ma nic kosztowniejszego nad *Bozką Komedję*.

Rozmiary tego przeglądu i siły moje nie wystarczają, aby posąg Dantego w całej wielkości wyrzeźbić. Im się bardziej wiekami oddalamy od niego, tём więcej on rośnie, tём silniej przyciąga umysły pragnące go pojąć i wytłómaczyć. Zaraz po jego zgonie właśni synowie komentarzem go objaśniają; na publicznych katedrach występują uczeni, robiąc zadaniem swój uczoności wyłożenie i komentowanie Bozkiej Komedyi. Trwa to nieustannie przez pięć wieków, aż powstała osobna biblioteka komentarzów, na co Wolter powstał dowcipnóm słowem, że właśnie dla tego mnóstwa objaśniaczy Dante stał się niezrozumiałym. Mojem zdaniem wszyscy ci, co w nim szukali wysokich natchnień

religii i poezyi, lepij na tém wyszli niż zwolennicy allegoryj, symbolu lub tajemnic gibelińskiej massoneryi, popadający w rozpacz, jak Ugo Foscolo, co po dziesięcioletniém badaniu, napisał te słowa: „Niezbrodzony las poezyi Dantowskiej, po pięciowiekowych szperaninach, stoi pogrążony w pierwotnej ciemności. Cudzoziemcy, którym się zdaje, że go rozumieją na słowo komentatorów, podobni są do tych podróżnych, co dla poznania jakiego kraju biorą ślepego przewodnika, i dając się mu prowadzić, wierzą jak w Ewangelię w słowa ciemnego *cicerone*.” Kto pilnie czyta Bożką Komedię, przekona się, iż owa ciemność i niezrozumiałość wywołująca żale komentatorów, ma swoją przyczynę w sposobach emblematycznych, w alluzyach do nieznanych stosunków i wyobrażeń, używanych nie tylko przez Dantego, ale i współczesnych mu, a nawet następnych pisarzy. Cała poezya włoska od początku dwunastego do końca XV-go stulecia głównie opiewa miłość platoniczną. Każdy z tych poetów ma panię swoich myśli, Laure, Fiammette, Beatrycę, która dziwną koniecznością umierać musi pierwój niż kochanek, która mu wyklada kurs teologii moralnej, platonizuje i zacieka się w subtelności mistyczne. Zazwyczaj idealna istota pojawia się tak Petrarce, jak Dantemu i Bokkacyuszowi w kościele, w czasie Wielkiego tygodnia. Nie widać nic rzeczywistego i żywego, coby różniło te wymarzone istoty od zwykłych śmiertelniczek. Poeta mówi do nich językiem pobożnej egzaltacyi, przedstawia je jako typy cnoty i szczęścia, a nie jak niewiasty żyjące. Gdy zaś przyjdzie zapytać historyi i dokumentów objaśniających szczegóły życia tych poetów, odkrywa się całkiem co innego. Obok téj Laury, Fiametty, Beatryczy znajdujemy inne kobiety wcale niesymboliczne, i często tak okropne jak Sokratesowa Xantypa, a to prowadzi do wniosku, iż była to moda ówczesnej poezyi, moda naśladowana z Dantego, który kochając od dzieciństwa piękną Beatrycę Portinari, zbożył ją potem i zrobił uosobieniem teologii.

Dodać tu jeszcze potrzeba wzgląd na stanowisko Dantego, jakie zajmował, i na okoliczności towarzyszące napisaniu Bożkiej Komedyi. Florencki wieszcz był najznamienitszą

i najwięcej wpływową figurą stronnictwa gibelńskiego, a wiadomo, że stolica rzymska doznała najpotężniejszego natarcia od Gibelinów występujących za prawami cesarstwa przeciw wpływom Papieżów. Poeta, jak wiadomo, przez lat dwadzieścia upornie popierał tę myśl, której nawet poświęcił osobne pismo: *De Monarchia*, gdzie dowodzi, że władza cesarzów rzymskich nie pochodzi od Papieża, lecz od samego Boga; że Papieże przywłaszczali sobie władzę doczesną, że nie mają żadnego prawa dawać i odbierać koron monarchom. Te same myśli i wyobrażenia, choć pod allegoryą, często przychodzą w Bozkiej Komedy i ćwiczą przenikliwość komentatorów. Otoż między innymi uczony Włoch Rosetti napisał przed trzydziestu laty klucz do symbolów i allegoryj Dantowskich. Powiada on, że tylko poezye gibelńskie noszą znamiona erotyczno-platoniczne, tworzące główną zawilść; gdy przeciwnie poezye gwelfickie używają języka jasnego; miłość tam nie gra żadnej roli, ani jako namiętność, ani jako zasada. Z tej różnicy wyciąga wniosek, że platoniczna miłość Gibelinów służyła tylko za pokrywkę namiętności politycznych. Podług niego stronnictwo to było rodzajem tajemnego stowarzyszenia porozumiewającego się osobnemi znakami. Kiedy chcieli być pojętymi od ogółu, pisali po łacinie; w przeciwnym razie używali włoskiego języka nastrzępiając go allegoryami. Ma to za sobą pewną słusność, gdyż dopiero Gibelinowie zaczęli pisać w mowie pospolitej ludu; a co osobliwsza, od razu wpadają w ton metafizyczno-mistyczny. Jąkająca się muza pierwotnej poezyi Piotra Delle Vigne, cesarza Fryderyka II, Gwidona Guinizellego równie jest tajemnicza, jak utwory Dantego. Wszyscy oni byli Gibelinami, podobnie jak współcześni mu: Gwido Cavalcanti, Lappo Gianni, Cina da Pistoja, Giglo Lelli, których niepodobna rozumieć biorąc ich literalnie. Mężowie ci bowiem przy całej swojej nauce i powadze, jaką nadawało im wysokie w kraju stanowisko, nie mogliby się bawić niedorzecznemi apostrofami do miłości, ani się otaczać jakąś mglistą atmosferą sentymentalnych rojeń, gdyby pod tém nie ukrywała się rzeczywistość, mocno obchodząca umysły całkiem rzeczom publicznym oddane. System uczonego Rossetti'ego dający się

trafnie w niektórych punktach zastosować, posunięty do ostateczności, robi z najpyszniejszych utworów poezji włoskiej jakiś stek samych formułek spiskowych, rebusów i szarad, i jeszcze bardziej zawikływa tekst, bo kusi czytelnika do odkrywania w każdym słowie czegoś innego niż się przedstawia w prostém znaczeniu.

Napomknąłem o tych usiłowaniach komentatorów, posuniętych do najwyższego dziwactwa, jak przed kilku laty dał do tego dowód niefortunny tłumacz Bozkiej Komedy, Francuz Aroux, który rozwijając dalej system p. Rossetti'ego, ogłosił Dantego heretykiem i bluźniercą, nie przebacząc nawet najniewinniejszemu ustępowi o Franciszce Rimini i kochanku jój Pawle Malatescie, i odkrywając w nim zupełnie co innego, niż się wydaje każdemu czytelnikowi biorącemu rzecz naturalnie i po prostu.

Dla tego radziłbym czytelnikom Bozkiej Komedy szukać w tym utworze wielkich myśli, prawd moralnych i obrazów obleczonej w najeudowniejszą szatę poezji, a nie tracić drogiego czasu w dociekaniu i rozwikływaniu ciemnych allegoryj i symbolów, z których w najszcześniejszym przypadku, niewiele się dowiadujemy; jest bowiem przywiązana pewna kara do zbytniego anatomizowania utworów poezji, — oto poezya ułatwia się w rękę naszych, i zostaje suchy szkielet niebogacący umysłu, niegrzejący serca. Przypomina mi to obchodzenie się tych uczonych archeologów, co pragnąc dojść chemicznego składu miedzi korynekiej, zapominają, że ich eksperyment ma się odbyć na arcydziele sztuki starożytnej. W najlepszym wypadku dojdą z jakich cząstek składa się materiał, ale któż wróci uszkodzony posąg?

Trzeba przejąć się dobrze tym pewnikiem, że zrozumienie poematów Dantego należy do największych trudności, jeżeli z cząstek będziemy chcieli dojść do całości; przeciwnie, idąc za zdrowym instynktem, za wrażeniem, jakie dusza odbiera, umysł nasz z łatwością ogarnia strukturę trzech pieśni, równie jak tłumaczy sobie głębokie pomysły, obrazy i najdziwniejsze fantazyje i kaprysy poety. Bijąc tedy czołem przed majestatem natchnionej prawdy przemawiającej z całości, przeskakujemy zawile, do innych

wieków należące drobnostki, i Dante staje w obec nas jako szczytny wieszcz, i w najgłówniejszych punktach zrozumiały.

Zamierzając w tój rozprawie ułatwić czytelnikom przystęp do Bozkiéj Komedyi, nie mógłbym wdawać się w rozliczne gałęzie, składające tę encyklopedyę średniowieczną, w którój co kto chce, wszystko znajdzie: literaturę, umiejętność, teologię, astronomię, stare i nowe wieki, umarłe i żyjące ludy; gdzie różnorodne formy potracają się: dramat, kazanie, satyra, epepeja, hymn; a ogół tworzy niezmierny karton, przedstawiający w głównych rysach: zapal religijny, namiętność polityczną, entuzyazm dla klasyków rzymskich, a wszystko powleczone kolorytem miłości mistycznej... Tyle też książek napisano wykładając to filozofię i teologię Dantego, to jego wyobrażenia kosmogoniczne, to politykę, to klassycyzm! Wielki ten bogacz karmił i długo karmić będzie zgłodniałych księgorobów, zadając im wieczne zagadki do rozwiązania.

Dla nas uniemam, gdzie komentatorstwo Dantowskie jeszcze się nie rozgałęziło, a gdzie czuć pewną świeżość usposobienia do godnego przyjęcia arcy-tworu podanego nam w ojczystéj mowie,—ważniejszą rzeczą jest skreślić treść trzech pieśni Bozkiéj Komedyi, treść w pobieżném czytaniu niezmiernie do pochwycenia trudną, z tego względu iż niektóre ustępy robiąc zbyt żywe i mocne na umyśle wrażenie, przeszkadzają niekiedy do ogarnięcia tój ogromnej i nieskończenie rozmaitéj kompozycyi, złożonej z wyobrażeń rozsianych w Biblii, w Homerze, Platonie, Arystotelesie, Wirgiliuszu, w Ewangelii, Apokalipsie, z tego, co się mieściło w ówczesnej literaturze prowensalskiéj, i z rzeczywistości zajmującej tak obszerne miejsce w duszy Gibelina.

Z czterech głównych żywiołów składa się wewnętrzne życie Dantego: z miłości, religii, polityki i umiejętności wypełniają one cały świat jego myśli i uczuć, z razu w osobnych traktatach, jak: Nowe życie (*vita nuova*), Biesiada (*convito*) i O Monarchii, powiązanych węzłem pojęć religijnych, następnie zlanych z sobą i przetopionych ogniem poezyi w Bozkiéj Komedyi. Wrząca massa świata ideałów,

pośród których żył, treść rzeczywistego świata, który go otaczał, wszystko to poeta wrzucił w jedną formę i jedną myślą ożywił, a dokonał tak piorunną siłą twórczości, że poemat ten policzono do najwznioślejszych płodów literatury średniowiecznej, a zarazem do rzędu najcudowniejszych objawień ludzkiego ducha.

Wstrzymując się od podziwu, będącego, że tak powiem na porządku dziennym, ilekroć się zaczepi o Dantego i jego Komedię, winienem rzucić ważne pytanie: Jaki jest zasadniczy pomysł Bożkiej Komedyi? Że to poemat allegoryczny, na to zgodzili się wszyscy, a głównie sam poeta w dedykacji pieśni o Raju do Cangrande. Biorąc zaś literalnie, jest to opis pielgrzymki poety po piekle, czyściu i niebie, z przedstawieniem stanu, w jakim zostają dusze, stosownie do grzechów i zasług w życiu doczesnym.

Za tą jednak treścią, łatwą do pochwycenia, właściwie czego innego szukać należy. Różni różnie starają się to tłumaczyć i przedstawić główny pomysł Bożkiej Komedyi. Sądzę jednak, że jak sam Dante wyraził się w dedykacji do Cangrande (*della Scala*), poemat ten jest allegoryczną historią duszy samego poety, opiewającą jego upadek, pokutę i pojednanie się, czyli wewnętrzną walkę, stoczoną ze swemi namiętnościami, w skutek czego oderwawszy się od ulud świata, wrócił do Boga i do poznania bożkich widoków względem ludzkości. Zastanawiając się nad kolejami życia poety, przychodzi się do przekonania, że w tém największém swém dziele, nic innego nie chciał, tylko myśl bożą ludziom objawić, aby w doczesnych stosunkach urządzili się podług niej, czyli żeby królestwo boże stanęło na ziemi. Cała Bożka Komedia tchnie tą myślą; państwo i kościół, dogmat polityczny i religijny, stają tam obok siebie i równoważą się, posilkują nawzajem, nie wyłączając negacyjnego stanowiska przeciw zepsuciu szerzącemu się między członkami władzy kościelnej. Naprawa doczesnych stosunków wiąże się u niego ze zbawieniem duszy w przyszłym życiu. Dążność ta splywa się z główną allegoryczną ideą poematu. Poeta ubierając w szaty poczci dzieje swęj duszy, pokazuje ludziom jak we zwierciadle cały zaświat, oprowadza ich po miejscach kary, pokuty i wiecznej

szczęśliwości, w czém nie ma innego celu, tylko żeby wzbudzić opamiętanie się i wskazać, jakimi drogami wrócić do Boga i do zbawienia. Dążność tę nieraz wypowiada on, a między innymi w trzydziestej pieśni Czyśca kładąc ją w usta przemawiającej do niego Beatryczy, która tak opisuje stan duszy jego:

Potém samo chcąc wszedł na drogi krzywe,  
Gonić dóbr ziemskich obrazy kłamliwe,  
Co swych obietnic dotrzymać nie mogą.  
Daremnie jego przez sny i natchnienia  
Chciałam odwołać w przeszłość mu tak błogą (\*),  
On spadł tak nisko! Z środków wyczerpionych  
Pozostał jeden *dla jego zbawienia*:  
Dać jemu poznać męki potępionych...

W podróży swój po zaświatach rozdaje poeta kary w piekle, pokuty w czyścu, nagrody w niebie, idąc w tém za wskazówką swoich religijnych i politycznych dogmatów, z których pierwsze uznane były powszechnie, a drugie on sam sobie stworzył na swoim stanowisku gibelińskim.

Pomysł odpadnięcia, odpokutowania i pojednania się z Panem Bogiem jest najszczytniejszym w duchu chrześcijańskim, a zarazem i najpoetyczniejszym. W każdym narodzie bywały kuszenia się o utwory w téj myśli, które mniej więcej wypadają szczęśliwie, lecz jeden tylko Dante otrzymał palmę. Trzeba było do tego tak silnej, męskiej, a oraz tak delikatnej duszy jak on; trzeba było dziwnego taktu, aby przez mistrzowskie dotknięcie, obecność i przeszłość, świat zmysłowy i nadzmysłowy, połączyć tak niewymuszenie z własną swoją osobą i z dziejami własnego serca. Bardzo mu tu były na rękę ówczesne legendy gminne o wizjach i o podróżach różnych Świętych i nieświętych na tamten świat odbytych. Forma ta popularna nastroczała się Dantemu, gdziekolwiek się obrócił, — wziął ją,

---

\*) Kiedy był niewinnym i kochającym.

a nalawszy skarbami poezyi, stał się prawdziwym jój wynalazcą.

To, co tu rzekłem, zmierzało do wyjaśnienia myśli głównej w Bozkiej Komedyi. Teraz, szczegółowiej przebiegnę każdą z trzech wielkich pieśni, aby pokazać, jaką kolejną rozwijała się myśl, i jakich żywiołów użył poeta.

Pierwsza pieśń złożona z trzydziestu czterech ustępów, nosi napis: *Piekło*, i jest najwięcej znajoma, bo najhistoryczniejsza, kiedy inne dwie, wprowadzając w świat nadziemskich cudów i wspaniałości, odstręczają czytelników nieusposobionych do pojmowania obrazów i języka mistycznej poezyi.

W sam Wielki piątek r. 1300, a w 1266-tą rocznicę śmierci Jezusa Chrystusa, Dante licząc lat trzydzieści pięć, jak sam powiada na wstępie:

Z prostego toru w naszych dni połowie  
Wszedłem w las ciemny. Jaka gęstwa dzika,  
Jakie w tym lesie okropne pustkowie,—  
Żyjący język tego nie wypowie.

Zabłąkany, wydostawszy się nakoniec z lasu, chciałby wdrapać się na pagórek, przez co daje do zrozumienia, że pragnie porzucić nieporządne życie, jakie wiódł od śmierci Beatryczy, i poświęcić się mądrości. Wtém troje dzikich zwierząt, pantera, lew i wilczyca, troje namiętności, zastępują mu drogę przeciwiąc się świątobliwemu postanowieniu. Dante gotów już cofnąć się przed nimi w głąb doliny, gdzie „mleczy słońce”—gdy oto ujrzał osobę „długim milczeniem ochrzypiałą.” Był to Wirgili. W słowach mantuańskiego wieszczą chciał Dante przedstawić poezję i nauki moralne, słowem mądrość humanitarną, za pomocą której uczymy się oceniać czyny ludzkie, podług praw sprawiedliwości i rozumu. Błaga zatem Wirgiliusza, aby mu dopomógł do wyjścia z niebezpiecznego lasu i z téj doliny grzechu, na co przystaje księżę rzymskich poetów. Idą więc razem, a w ciągu drogi Wirgiliusz opowiada mu, że to właśnie Beatrycza, królowa cnot, wstąpiwszy do ot-

chłani wskazała mu, ażeby Dantego wybawił z téj niebezpiecznej toni i nawrócił na prawą drogę żywota. Na te słowa w pocie krzepi się duch:

Jak chłodem nocy kwiatki pochylone,  
 Gdy ranek słońcem zaświta wesołem,  
 Ze słońcem swoją podnoszą koronę,  
 Tak i odwaga do mojego łona  
 Wstąpiła rzeźwo z strachu otrzewiona.  
 Aż odważony, w sobie wykrzyknąłem:  
 „O litościwa, troszcząca się o mnie!  
 O dobroczynna dusza twa bez skazy,  
 Co spełnia świętej (Beatryczy) tak szybko rozkazy!  
 Czuję jak we mnie od słów twoich żaru  
 Iskrzy się zapal pierwszego zamiaru,  
 Wspólna chęć nasza, w niej dotrwam niezłomnie.  
 Pójdę za tobą z sercem niezachwianem,  
 Tyś moim wodzem, i mistrzem, i panem!”

Tak tedy dwaj poeci, rozmawiając, kierują się ku bramie piekieł. Komuż nieznanym napis na niej, a mianowicie ostatni wiersz?

Wchodzący we mnie, zostawcie nadzieję!

Ażeby z łatwością towarzyszyć Dantemu w miejscach, które przebywa od téj bramy, aż do stopni tronu niebieskiego, gdzie ma znaleźć siłę doskonałego poznania i zgłębienie Boga, wypadaloby obeznać się wprzód z topograficznym położeniem i miejscowością piekieł, czyśca i raj. Trzeba bowiem wiedzieć, że twórca Bożkiej Komedyi tak jest ścisły i dokładny w płodach swojej wyobraźni, że wielu komentatorów zajmowało się osobną geografią tych trzech światów, zaopatrzoną w mapy jakby przy rzeczywistej podróży.

W owéj epoce, kiedy żył Dante, trzymano się wyłącznie systemu Ptolemeusza; on też nie odstępując od niego, uważa ziemię jako punkt środkowy i nieruchomy w ogromie wszechświata. Siedlisko piekieł umieszcza w środku

ziemi; nad ziemią wznosi się góra, która jest czyścem, na wierzchołku leży raj ziemski, z kąd wzlatając z planety na planetę, ze sfery na sferę, dostajemy się do Empireju.

Prowadzony przez Wirgila, zstępując florencki wieszcz do piekieł, zwiedza wszystkie dziewięć obwodów, które w miarę jak idą w głąb, coraz się zewężają na podobieństwo lejka. Oto jest porządek i kary, jakie w każdym obwodzie potępieni ponoszą:

W pierwszym obwodzie są otchłanie, gdzie był Wirgiliusz i inni starożytni poeci, gdzie zwykle przebywają dusze tych, co mieli cnoty za życia, ale nie otrzymali łaski chrztu św. Takim jest Hektor, Eneasz, Cezar, Brutus starszy, Lukrecya, Kornelia, potem sułtan Saladyn siedzący na uboczu, a dalej Sokrates, Plato, Cycero, Seneka moralista, Hippokrates, Awicena, Galien i Awerrhoes. W drugim obwodzie poeta osadza Minosa i przepyszuje go maluje:

Tam straszny Minos z czołem nasrożoném,  
Patrząc ponuro i zgrzytając wściekle,  
Bada i sędzi wchodzące grzeszniki,  
Wyroków swoich znak dając ogonem.  
Dusza, na której cięży grzechu plama,  
Gdy przed nim staje, spowiada się sama.  
A on głęboki znawca wagi grzechów,  
Wiedząc, gdzie miejsce zasłużyła w piekle,  
Ile się razy ogonem obwinie,  
O tyle szczebli, wśród szatańskich śmiechów,  
Dusza w dół spada w piekielne głąbinie.

Szczytna to komika, w tym sądzie pogańskiego bożka! Lecz idźmy dalej. Drugi ten obwód mieści potępionych za grzechy cielesne, i w nim poeta umieścił najwzdzięczniejsze, najtkliwsze malowidło, na jakie surowa i szorstka jego muza zdobyć się mogła—jest to postać Franciszki Rimini i Pawła jój kochanka.

W trzecim i czwartym obwodzie umieścił żarłoków, marnotrawców i skąpców; w piątym heretyków, karanych w osobnym grodzie zwanym Dité. Każdy z następujących

trzech obwodów ma trzy dzielnice, gdzie potępieni za najstraszniejsze zbrodnie ponoszą równie okropne kary. Ósmy obwód najbardziej zawikłany. Zawiera on dziesięć dolin, gdzie siedzą ci, co się stali winnymi symonii, również fałszywi prorocy, hypokryci, złodzieje, schizmatycy, w których liczbie Mahomet, również zdrajcy ojczyzny.

Ztamtąd oba poeci wchodzą w dziewiąty obwód podzielony na cztery części: Kaina, Antenora, gdzie hrabia Ugolino gryzie czaszkę arcybiskupa Rugierego, Ptolemeusza przeznaczoną dla niewdzięcznych, a nakoniec Judasza, gdzie siedzi Lucyfer, ściśnięty lodami i otoczony największymi zdrajcami. Przytaczam ten w olbrzymich rysach nakreślony wizerunek Lucyfera:

Król piekielnego państwa, jakby kawał  
Głazu, nad lody półpiersią wystawał;  
Jak wzrost mój dosyć ogromny, nie kłamię,  
Tak wielkie było jego jedno ramię.  
Zważ jaka całość mogła być niemała,  
Zastosowana do téj części ciała.

. . . . .  
Nieustającym swych skrzydeł trzepotem  
Wiał na trzy strony trzy wiatry z łoskotem,  
Od których marzły kocytowe lody.  
Sześcioro oczu miał, z tych każde oko  
Nie łzami, krwawą płakało posoką,  
Która spływała jak łza na trzy brody,  
I trzech grzeszników przeżuwał jak zwierzę,  
Każdego żuła osobna paszczęka,  
Jako cierlicia drze liane październice;  
Lecz ząb łagodniej kąsał, porównany  
Z szponami: takie zadawały rany,  
Zdało się skóra aż do kości pęka.  
„Duch, co największe bodaj cierpi męki,  
Którego wewnątrz czarnej paszczy głowa,  
A sam na zewnątrz niej nogami miota,—”  
Mistrz mówił: „oto Judasz Iskaryota!  
Dwaj, co głowami zwisają z paszczęki:  
Pierwszy, to Brutus! choć ból rzeczywisty

Szarpie go, jednak mileczy jak niemowa;  
Drugi, patrz dobrze, to Kassysusz barczysty.—  
Noc już powraca—teraz czas iść dalej,  
Bośmy już w piekle wszystko oglądali...

Na tém prawie kończy się pieśń o Piekle, będąca najpotężniejszym biczem na występki, zbrodnie i zdrady współczesne Dantemu. Kogo on tam osadził, tego nikt nie wyratuje, przynajmniej w opinii świata. Sąd poezyi straszniejszy stokroć niż sąd historyi.

---

Pieśń o piekle, zajmująca z powodu swych historycznych postaci, politycznych zastosowań i silnej życiem rzeczywistości, więcej zazwyczaj miewa czytelników niż następne dwie pieśni o *Czystcu i Raju*, bardziej spekulacyjne, zawikłane językiem teologii scholastycznej i mistycznego platonizmu; dla tych powodów nazywano je spoetyzowaną *Summą* Tomasza z Akwinu. Jednakże popularność pierwszej nie odejmuje wartości dwom drugim, które są szczytem najgłębszej poezyi chrześcijańskiej i średnio-wiecznej mądrości.

Widzieliśmy, jak Wirgili prowadząc Dantego przez wszystkie kręgi piekielnej otchłani, pokazywał mu stopniowo najróżnorodniejsze zbrodnie, w jakie popadł rodzaj ludzki, równie jak katusze i kary zachowane dla winowajców i zbrodniarzy. Skończywszy tę okropną podróż, mistrz i uczeń znaleźli się na odwrotnej stronie ziemi, w miejscu odpowiadającym okręgowi Judasza w piekle. Czystsze i pogodniejsze owionęło ich powietrze. Z tego to miejsca powiada Dante:

Ku drugiej osi gdy spojrzę na prawo,  
Samoczwart gwiazdy świeciły iskrawo,  
Jakie widziała pierwsza para ludzi.

Gwiazdy te miały być poznane w Europie dopiero w XV wieku, dla tego komentatorowie chcą widzieć w nich cztery

enoty kardynalne: roztropność, umiarkowanie, siłę woli i sprawiedliwość.

Cokolwiek bądź one znaczą, promienie tych czterech gwiazd padły na oblicze sędziwego starca stojącego przy Dantem—tym starcem był Katon Utyeki.

Powagą ruchów, sędziwością lica,  
 Poszanowaniem dziwném mię przeniknął,  
 Więcejby nie mógł syn czuć dla rodzica.  
 Broda mu długa, jak włos głowy biała,  
 Dwoistą miotłą na piersi spadała...

Poważna ta postać Rzymianina niezmiernie kłopotala komentatorów chcących wytlómaczyć, dla czego Dante mający sławę głębokiego teologa, zostawił Wirgila w otchłani, a Katona z niej wyprowadził i umieścił w miejscach tak blizkich Czyśca, bo zajmujących przestrzeń od bram piekielnych aż do stop góry, na której siedmiustopniowych piętrach umieszczony jest Czyściec. Zdaje się, i to najpewniejsza, że poeta chciał unieśmiertlić Katona za jego gorącą miłość wolności, a osłonić samobójstwo, chociaż jest grzechem śmiertelnym. Na tój zasadzie Cezara pomieścił w otchłani jako tego, co przygotował złoty wiek Augusta i monarchię, której Dante był wielbicielem. Brutusa zaś z Kassyuszem rzucił na pastwę Lucyperowi, mszcząc się za zabójstwo Cezara.

Uważając tedy *Bozką Komedję* jako ogromny obraz alegoryczny przedstawiający różne stopnie kar i oczyszczeń przez jakie przechodzi dusza ludzka wzięta w stanie pogańskiej niewiadomości, ażeby kolejno dostąpić i wtajemniczyć się w poznanie przedwiecznej mądrości i prawdziwego Boga, nie poczytamy za złe wieszczowi florenckiemu, że do pierwszego swego przewodnika Wirgila, przybrał jeszcze Katona, męża surowej moralności, co choć się dopuścił na sobie zbrodniczego czynu, jednakże ten czyn w swoim czasie uchodził za najwyższy szczyt enoty. Zresztą sekta stoików, do której należał Katon, może być uważana za jeden z tych odcieni filozoficznych wyobrażeń, co dopomagały ludziom do wyrzeczenia się pogaństwa, a przyjęcia wiary

Chrystusa. P. Champagny w historii rzymskich Cezarów nie bez zasady uważa system stoików za przygotowujący do nauki ewangelicznej. Można twierdzić śmiało, że Katon gra tu rolę inicjatora, zwłaszcza że powiada Wirgilemu w jaki sposób ma się Dante oczyścić do dalszej podróży w doskonalsze sfery:

Idź więc i wielkiem opasz go sitowiem,  
Brud mu zmyj z twarzy, aby jak przystoi,  
Wszedł za aniołem do rajskich podwoi.

Oczyszczają się więc w świętej wodzie i przebywają morze w łodzi napelnionej duszami, które pod przewodnictwem anioła idą szukać oczyszczenia. Wylądowawszy u stop góry czyścowej, spotykają nowo przybyte dusze, a między niemi Manfreda króla Sycylii i Anglii, które naszym podróżnym wskazują drogę wiodącą na tę niebotyczną górę.

Na niższym stoku tej góry spotykają się z duszami, które przez lenistwo zaniedbały pracować na zbawienie. Takim jest Casalla, co niegdyś uczył Dantego muzyki, takim Sordello poeta prowensalski, Henryk trzeci król angielski i inni. Cudownie skreślił tu poeta to lenistwo duchowe, które ludziom wzbrania dojść do doskonałości, chociaż czują ku niej wewnętrzny pociąg. Takim przedstawił Belakwę, któremu się nie chce iść dalej po zupełne oczyszczenie i woli w lenistwie leżeć pod górą...

„Belakwo! rzekłem: czy tu czekasz kogo?  
Czy moc dawnego trzyma cię nałogu,  
Że i tu tobie próżnować tak błogo?”  
On: „Iść pod górę nie braknie mi woli,  
Lecz do pokuty dojść mi nie pozwoli  
Anioł tam boży siedzący na progu.  
Za niebem tyle tu mi lat żyć trzeba,  
Ile tam w życiu przeżyłem bez nieba,  
Bo odkładałem lenistwem zatruty,  
Na kres ostatni żal mojej pokuty.

Chyba że serce, tam w łasce żyjące,  
Przyszle tu za mną modlitwy gorące:  
Bo tu daremny pacierz mego ducha,  
Lub jaki inny, gdy Niebo nie słucha.

Spotkanie się z Sordellem nasuwa Dantemu ten sławny ustęp, w którym narzeka na wewnętrzne niezgody i wojnę domową rodzinną Florencyi i całej Italii:

O Italio! kraju nieszczęśliwy!  
Łodzi bez steru, wśród burzy straszliwej!  
Z królowej morza i ozdoby ładu,  
Dziś niewolnico, gospodo nierządu!...

Dalej posuwa swoją ulubioną myśl o monarchii i razi swoją ojczyznę:

O! gdybyś dobrze czuła i pojęła,  
Czego ci trzeba, i co Bóg ci mówi,  
Sama Cezara za panabyś wzięła!

Wystawiwszy obraz szarpiących się stronnictw, jakież cudowny i szczytny potem zwrot robi, wołając:

O! Zbawicielu świata! coś na ziemi  
Umarł na krzyżu za nas! gdzie w tej porze  
Snaż od nas oczy odwróciłeś bozkie,  
Dla grzechów naszych? Czy też tylko może  
W przeznaczeń twoich głębi tajemniczej,  
Którą nie przesyć oczyma ludzkiemi,  
Dobro ze złego wywieść jest twym celem,  
Że tak dopuszczasz, aby kraje włoskie  
Gnietli tyrani!...

To były apostrofy do całej Italii, poczem osobno obraca się do rodzinną Florencyi i maluje nieśmiertelnemi rysami rządu demagogów miejskich. Co tu scharakteryzował, wiecznie powtarzać się będzie, ilekroć ludzie stojący u steru dadzą ować się namiętnościami czy religijnymi

czy politycznemi, czy socyalnemi, a raczėj kiedy ster wpadnie w ręce rozszalalego tłumu. Każdy tu wiersz jak rdzenny pocisk prosto leci do celu i wywraca potęgą prawdy...

Gdzieindziej czują sprawiedliwość w duszy,  
 Leez w czynach tylko, lub w radzie ją głoszą;  
 U ciebie (\*) wszysecy na ustach ją noszą,  
 Jeden drugiemu wciąż nią trąbi w uszy,  
 Gdziendziej stronią urzędów publicznych,  
 Niepewni swoich czy sił, czy przymiotów:  
 U ciebie każdy na najwyższe gotów;  
 Wszystko wie, umie, wszystkiego dokaże!  
 Byle miał głosy wyborców ulicznych!...

A znowu jak wybornie mówi o tych coraz nowych rozporządzeniach i prawach zbijających jedne drugie, co wszakże nie bywa zawsze niespokojnych republik wadą, ale i regularnych rządów wyzuwających się z zasad.

Ateny, Sparta, te starego świata  
 Prawodawczynie, cóż są obok z tobą,  
 Co tyle nowych praw tworzysz bez liku  
 I tak je cienko przedziesz w swojej radzie,  
 Że coś zaledwie sprzedła w październiku,  
 Jak nić pajęcza rwie się w listopadzie!  
 Przypomnij tylko na twoją zaletę,  
 Ileś to razy zmieniała w tym czasie  
 Prawa, zwyczaję, ubiór i monetę?  
 Sam twój rząd nowym wciąż jest—lub być zda się,  
 I jeśli jasno widzisz sama w sobie,  
 Zaprawdę jesteś jak ów blizki śmierci,  
 Co ulgi znaleźć nie może w chorobie,  
 W łożu swém tylko miota się i wierci...

Przytoczyłem obszerniejszy ten wyjątek, żeby zwrócić uwagę i na ducha poezyi Dantowskiej, i na szczęśliwy pełny

(\*) We Florencyi rozdartėj i zawichrzonėj stronnictwami.

mocy, dokładności i wdzięku przekład Korsaka, który prawdziwie odniósł zwycięstwo nad nieskończonemi trudnościami, a przytém naturalną łatwością czytelnika pociąga.

Dante po ciężkich przeprawach, snem zwyciężony, usypia i ma widzenie. Wkrótce za pośrednictwem jednej z niebianek, Łucyi, będącej symbolem bożkiej łaski, jest przeniesiony do bramy czyscowej. Na progu dyamentowym siedzi anioł z gołym mieczem. Idąc za radą Wirgila, Dante rzuca się odźwiernemu do nóg i prosi, aby go wpuścił. Anioł daje się uprosić, i na czole poety napisawszy końcem miecza siedm razy literę *P*, symbol siedmiu grzechów śmiertelnych, mający być zmazany przez aniołów w siedmiu kręgach czyscowych, — najprzód kluczem srebrnym *powagi i władzy*, potem kluczem złotym *nauki teologicznej*, otwiera bramę czyscową.

W pierwszym kręgu oczyszczają się dumni, w drugim zazdrośni, w trzecim leniwey. Tutaj Wirgiliusz w chwili odpoczynku, i aby zaspokoić niecierpliwą ciekawość Dantego, wyklada mu treść, istotę miłości.

„Zwróć ku mnie—mówił—przenikliwe oczy  
Twego rozumu, a ujrzysz błąd lepij  
Tych, co chcą drugich prowadzić, choć ślepi.  
Serce stworzone z skłonnością kochania  
W czém upodoba, za tém się ugania  
W chwili, gdy czuje pociąg podobania.  
Pojęcie nasze, co w lot wszystko łowi,  
Schwycony przedmiot przedstawia duchowi;  
W nim takim blaskiem ten przedmiot pozłaca,  
Że wprost ku niemu dusza się obraca,  
I gdy się wznosi doń z żywą skłonnością,  
Jest przyrodzoną ta skłonność miłością,  
Która przez rozkosz z wami się tak splata,  
I jako płomień, co w powietrzu wzłata,  
Spełniając ślepą swęj natury wolę,  
Gdzie się przepala dłużej w swym żywiole,  
Tak nakłoniona poddaje się dusza  
Żądzy, ten bodziec duchowy porusza  
Serce człowieka nieustanném biciem,

Nim rzecz kochana stanie się użyciem.  
Widzisz, jak prawdzie błąd kłamstwo zadaje,  
Twierdząc co dłużej zbijać niepotrzebna,  
Że każda miłość jest w sobie chwalebna,  
Treść jej, być może, dobrą mu się zdaje...  
Że воск jest dobry, czyś przyznać gotowy,  
Że dobrym każdy jest odcisk woskowy?"

Na to mu Dante powiada, że nową czuje wątpliwość,  
bo jeżeli miłość działa na nas z zewnętrznych przedmiotów,  
to dusza nie ma zasługi czy idzie prosto, czy krzywo.  
Mistrz przyrzeka mu to objaśnić, o ile rozumu na to starczy:

„Czekaj, aż dojdiesz sam do Beatrycy,  
Bo wiara klucz ma od tej tajemnicy,  
Każdy duch z treści swojej niewcielony,  
Różny od ciała, jednak z niem złączony,  
Zamknięty w sobie ma własność szczególną,  
Któręj nam uczuć i podnieść niewolno.  
Lecz się objawia przez skutki i czyny,  
Jak przez zielony liść życie rośliny;  
Człowiek nie wie z kądem się łącznie miłość,  
Jaka pociągów pierwszych jest pochyłość,  
Które podobnie są w nas jak we pszczole,  
Dla miodobrania latającej w pole;  
Ta pierwsza wola co skłonność prowadzi,  
Ni do pochwały jest, ni do zganienia.  
Więc gdyby wszystko wlać w tę areywolę,  
Macie wrodzony przymiot, który radzi,  
Który stać winien w progu przyzwolenia.  
Rozum jest gruntem, z kądem dla was wypływa  
Powód zasługi, zasługa prawdziwa,  
Podług, jak waszjęj panując krewkości  
Uprawia dobre albo złe skłonności.  
Mędrce zgłębiając treść rzeczy aż do dna  
Przyznali, że jest ta wolność przyrodna,  
I jako owoc swoich myśli kwiatu  
Księgę moralu zostawili światu.

Przypuścemy, miłość co iskrą z was błyska  
 Że z konieczności wynika ogniska,  
 Lecz w was jest władza co ją gdzie chce, kloni.  
 Szlachetny przymiot, który Beatryce  
 Zwie wolną wolą; jój ci tajemnicę  
 Ona rozwiąże, z tobą mówiąc o niej." (Pieśń 18 Czyśca).

W ostatnich tych wyrazach powyższego ustępu o miłości, poeta allegorycznie pokazał wyższość teologii nad filozofią. Jakoż Wirgili daje mu tylko to, co ma, światło rozumu, Beatrycze może dać dopiero światło wiary, klucz najwyższych tajemnic.

Po wypoczynku, Wirgili z Dantem wstępują w krąg piąty, gdzie w liczbie tych, co się oczyszczają ze skapstwa, spotykają Papieża Adryana V, Hugona Kapeta i poetę Stacjusza. W szóstym kręgu pokutują żarłocy, w siódmym zaś i ostatnim dusze oczyszczają się dopiero we właściwym ogniu czyścowym.

Trudno nie zwrócić uwagi na poetę Stacjusza, któremu Dante każe tu dziwną odgrywać rolę. Gdy bowiem nasi zaświatowi podróżni rozmawiają w najlepsze z rozmaitemi duszami, uczuwają nagle trzęsącą się górę i słyszą głosy śpiewające chwałę Panu. Zdziwiony tym fenomenem Dante, pragnie dowiedzieć się, co jest przyczyną przerażającego trzęsienia. Wirgili uspakaja go, lecz niecierpliwość Florentczyka niełatwo da się uspokoić, aż szczęściem jedna z dusz zbliża się do nich, i oznajmia im, że:

Góra ta z drzeniem wtenczas się porusza,  
 Gdy oczyszczona ze zmas wstaje dusza  
 I wzłata wyżej; głośno, potem ciszej,  
 Jój wniebowzięciu ten krzyk towarzyszy.

Tą duszą dającą objaśnienie był Stacjusz, autor *Tebaidy* i *Achilleidy*. Po takim wstępie do znajomości opowiada on swój żywot, dość sprzeczny z tém, co wiemy z historii: jako urodziwszy się w Tuluzie (właściwie urodził się w Neapolu) był powołany do Rzymu, gdzie po przeczytaniu *Poliona* eklogi Wirgiliuszowój, przyjął chrześcijaństwo, lecz przestraszony okropnością prześladowań Do-

micyanowych, nie miał dość odwagi przyznać się otwarcie do téj wiary; dla tego za tę małoduszność przez wiele wieków musiał pokutować w czyśćcu. Skończywszy teraz swoją pokutę, przyłącza się do Wirgila i Dantego i towarzyszy im przez ciąg dwunastu pieśni aż do przybycia Beatryczy. Ciekawy jest ustęp, w którym Dante zapytuje go, dlaczego cienie snujące się w czyśćcu, wyglądają tak wychudzone, chociaż nie podlegają głodowi? Na to śpiewak *Te-baidy* ma długą rozprawę, w której stara się wyłożyć swoją fizyologię metafizyczną o kształceniu się człowieka w żywocie macierzyńskim, potem kolejną przechodzi do formacji tkanki mózgowéj, do wyrabiania się w niej władz umysłowych i duchowych. Fizyologia trzymająca się wyłącznie dróg naturalizmu i analizy, za nadto wyłącznie zajmowała się dotąd samą materią człowieka. Być może, że ta jasnowidząca myśl wieszca florenckiego rozszerzy zakres pojęć fizyologicznych, a fizyologowie podnosząc się od analizy rozumującej do syntezy duchowéj, pogodzą jedno z drugim na korzyść téj ważnéj nauki.

Suchy ten traktat naukowy, ubarwił poeta cudownym językiem poezyi, a co najważniejsza, okazał wszechstronność swego geniuszu ogarniającego wszystkie gałęzie wiedzy, przeczuwającego nawet te umiejętności, o jakich za jego czasów nie wiedziano nawet.

Przebywszy wszystkie kręgi czyścowe, gdy na ostatni szczyt góry wstępowali, Wirgiliusz utkwivszy wzrok swój w towarzysza, tak mówił:

„Ogień mający czas i ogień wieczny  
Widziałeś synu. To kres ostateczny  
Drogi przebytéj z tobą tak przyjemnie,  
To punkt, za którym nie widzieć nie mogę.  
Aż tu mój rozum wskazywał ci drogę,  
Teraz sam musisz próbować sił własnych...  
Odtąd nie słuchaj mych rad i rozmowy,  
Masz wolnej woli sąd prosty i zdrowy:  
Byłby zaiste w tém błąd rozumowy,  
Gdybyś nie działał jak chce twoja wola;  
Więc koronuję cię na twego króla.”

To rzekłszy, znika Wirgili, a uczeń jego przechodzi pod opiekę Beatryczy. Uniesiony żądzą zwiedzenia ziemskiego raj, kieruje się ku rozkosznemu gajowi ukazującemu się w oddali; ale go wstrzymuje strumień Lety, nad którego brzegiem przechadza się śpiewając i zrywając kwiaty dama jakaś, mianem Matyllda, przez komentatorów poczytana za sławną hrabinę tokańską, mającą być symbolem życia czynnego. Matyllda zapytuje go, dla czego tak się zajmuje i dziwi wszystkiemu co tu widzi? i uspasabia go do ważniejszego zjawiska. Zjawiskiem tém jest bozka Beatrycze zstępująca z Empireju. Pani ta wyobrażająca życie kontemplacyjne i teologię, strofuje na wstępie poetę za nieroztropne postępowanie od chwili, kiedy ona zesłała ze świata, i wyrzuca mu obojętność na jęj rady dawane mu w troskliwości o jego duszne zbawienie. Poeta przyznaje się do winy, i nauczony przez Matyldę, zanurza się w strumieniu Lety, pije jego wodę i kładzie się do snu pod drzewem wiadomości złego i dobrego. Wyweczasowanemu i zbudzonemu Matyllda znowu przynosi rozkazy Beatryczy, i on jeszcze raz oczyściwszy się w wodach rzeki Ennoe (dobrej chęci), powiada kończąc pieśń o Czyścu:

„Wyszedłem z wody, przez jęj treści zdrowe  
Tak odnowiony, jak rośliny nowe,  
W gałązkach, liściach swoich odnowione;  
Gdy nie tu jeszcze koniec mojęj jazdy,  
Czystym i gotów wylecieć pod gwiazdy.”

Odtąd Dante wyłącznie pod przewodnictwem Beatryczy zwiedzić ma krainy niebieskie. Zobaczmyż w jak uroczystym, majestatycznym tonie trzecią pieśń otwiera:

Cześć, chwala Tego, który świat porusza,  
Nierówny rzuca blask w kole stworzenia;  
Byłem ja w niebie, gdzie się rozpromienia  
Blask ten najwięcej, i widziałem rzeczy,  
Których kto schodzi ztamtąd, nie powiada,  
Bo na to słowa nie ma głos człowieczy.  
Albowiem nasza zbliżając się dusza  
Do najdroższego swęj żądy przedmiotu

Tak w nim głęboko i cała zapada,  
Że pamięć traci nadzieję powrotu.  
Jednak z królestwa świętego zebrany  
Skarbiec piękności w ducha mego cieśni  
Od dzisiaj będzie treścią mojej pieśni.

Tu wzywa z całym klasycznym entuzjazmem Apollina, aby go natchnął, i ma tę wiarę, że stanie się godnym lauru, chociaż, jak mówi:

Dzisiaj tak rzadko kto uszczknąć się stara  
Laur na poety tryumf, lub Cezara...

Zwróciwszy potem wejrzenie na Beatrycę, uczuł się zdolnym w tych błogosławionych krainach do wykonania przedsięwzięć, jakichby nadaremnie kusił się na naszym padole...

Pod wodzą Wirgila przebył już ziemię (piekło), potem wodę, ogień, powietrze czyścowe; po tych dwóch próbach następuje trzecia pod opieką Beatryczy. Wzbijają się więc w powietrzne szlaki, aby dostać się do raju.

Mistyczni kochankowie w nadpowietrznej wędrówce spotykają się najpierw z księżycem, gdzie jest pobyt wszystkich dusz obojęd płci, co obrały stan dziewiczy. Beatryce tłumaczy swemu towarzyszowi teologiczne znaczenie *woli mieszanej i bezwzględnej*, utwierdzającej więcej lub mniej postanowienie ludzi poświęcających się stanowi zakonnemu. Z księżycą dostają się na inną planetę, to jest na Merkurego, gdzie rozmawiają z cesarzem Justynianem i Romeem ministrem Rajmunda Berengera—a potem ścigają wiekami i narodami historyczny polot rzymskiego orła Gibelinów i lilij francuzkich walczących z sobą o panowanie w Italii. Wspaniały to ustęp pełny szczytnego liryzmu i tych szerokich spojrzeń w życie narodów, w jakie obfituje Bozka Komedia więcej niż wszystkie razem wzięte starożytne i nowożytne utwory poezyi; tylko duch i treść powszechnego kościoła wznioślejsza i bardziej ogarniająca niż wszystko, na co się świat dotychczasowy mógł zdobyć, tylko taka potęga była w stanie sądzić, rozumieć wieki i ludy, i tysiące prawd i obrazów wydobyć snują-

cych, że tak powiem, całe bogactwo wewnętrznych skarbów człowieka i życia ludzkości...

W pieśni VII Beatrycza tłumaczy swemu kochankowi nieśmiertelność duszy i zmartwychwstanie. Koniec tego ustępu szczególnie; na zarzut bowiem Dantego: dla czego tyle rzeczy stworzonych przemija? Odpowiada Beatrycza, że to co przemija nie jest bezpośrednio stworzone przez Boga, lecz przez siły, jakich on udzielił gwiazdom:

Dusza wszech zwierząt i roślin, złożona  
Z władz rozmaitych, w swój skończonej sferze  
Iskrę i ruch swój od świętych gwiazd bierze.

Jedno tylko ciało ludzkie bezpośrednio stworzone w Adamie i Ewie, ożywione duszą nieśmiertelną, zmartwychwstanie w dzień sądu ostatecznego, aby się na wieczność z duszą połączyć.

Na trzeciej planecie *Wenerze*, poeta znajduje Karola Martela króla Franków, i prowensalskiego poetę Fulka z Marsylii. Po hymnie opisującym porządek, w jakim Bóg świat stwarzał, Beatrycza z Dantem dostają się na czwartą planetę, to jest *Słońce*, gdzie Św. Tomasz z Akwinu opowiada o życiu Św. Franciszka i Św. Dominika. Tych to dwóch książąt zesłała swój Oblubienicy (*kościółowi*) Opatrzność:

Aby do celu wiedli ją najprościej,  
Drogą miłości i drogą mądrości...

Obok tych światel kościoła ukazuje się Św. Augustyn i Boecyusz.

Na *Marsie*, piątą z kolei planetę, przebywają dusze tych, którzy waleczyli za prawdziwą wiarę. Widok rycerzy krzyżowych i bojowników Chrystusa tworzy blask podobny do gwiazdozbioru dróg mlecznych przecinających się w kształt krzyża, na którym poświęcił się Chrystus... Cudowny jest opis tego widzenia, a jaka malowniczość porównań!

Od stop do wierzchu krzyża po ramionach  
Ruchome światła to w ściśnionych gronach,  
To się rozpierzchłe mrówiły bez końca,

W starciu się iskrząc żywszemi blaskami:  
Tak widzim czasem w przyćmionėj świetlicy,  
Drobnych atomów latająca rzesza  
Prostemi, albo w zygzak liniami,  
Słoneczny promień gronami obwiesza,  
Gdy ten zabłądzi przez szczel okiennicy,  
Którą nas przemysł broni od gorąca,—  
Tworzą szmer wdzięczny temu słuchaczowi,  
Co jego nóty wyrażnić nie złowi,  
Taki na krzyżu lał się dźwięk uroczy  
Ze światel, jakie postrzegły me oczy,  
Który mą duszę przenikał zapalem,  
Chociaż ich hymnu sam nie rozumiałem.  
Czułem, że śpiewa wysokie pochwały,  
Bo w nim te słowa najwyraźniój brzmiały:  
„Wstań i zwyciężaj!...”

Ostatnie te wyrazy poeta stosuje do siebie i powiada, że nawet oczy jego Pani (Beatryczy) nie robiły na nim takiego wrażenia jak miłość pociągająca go do tego znaku zbawienia utworzonego z samych gwiazd... Wszakże zwyczajem swoim robi zaraz nagły przeskok i wyprowadza na scenę swego pradziada Katezagwida (Cacciaguida), który do niego odzywa się po łacinie, a następnie opowiada dzieje Florencyi i wywróża koleje życia swego prawnuka Dan-tego, malując jego tułactwo w znanych i często przytaczanych wierszach:

„Porzucisz drogie osoby i rzeczy,—  
Ten grot wygnania najsrożej kaleczy,—  
Poznasz jak gorzką zaprawiony solą  
Chleb cudzy, dany nie z gościnną wolą,  
Poznasz jak przykro —bodaj się nie rodzić!—  
Po cudzych wschodach wstępować i schodzić!  
A co najwięcej zgarbi twe ramiona,  
To ciżba głupia, z tobą potępiona.”

Gdy zaś poeta wynurza przed pradziadem swoim obawę, że te gorzkie prawdy, które w Bozkiej Komedyi powie-dzieć musiał o ludziach współczesnych, zjedną mu tyle

nieprzyjaciół, że już nigdzie nie znajdzie przytułku, ten go uspakaja i zachęca w tych słowach:

„...Kto swoim nieczyste  
Lub cudzym wstydem obciążył sumienie,  
Gorycz twój mowy poczuje, zaiste:  
Cale, nie kłamiąc, objaw twe widzenie  
Jak je widziałeś; przysłowie poucza:  
Niech się ten drapie tam, gdzie świerzb dokucza.  
Bo choć twa mowa z razu niesmak sprawi,  
Lecz za to pokarm żywotny zostawi  
Temu, kto dobrze ją w myśli przetrawi.  
Twój krzyk to zrobi co wiatr, który bierze  
Za cel swych szturmów co najwyższe wieże,  
Co piorun, bijąc w wyższe drzewo boru.”

Cały ten ustęp z Katezagwidem nosi piętno namiętne i groźne, właściwsze ażeby był pomieszczony w jakim obwodzie piekielnym, niż wśród promiennój pogody i majestatów raj; alie poeta uznał inaczej, bądź uniesiony kaprysem charakteru, bądź żeby artystyczny przedstawić kontrast roztaczając obraz krwawych rewolucyj florenckich u stopni krzyża, na którym Chrystus przebity... Najpewniej, wielki, niemylny instynkt doradził mu nie zapominać o swojej ojczyźnie, nawet w obec największych cudów zaświata; w krajach mistycznych widzeń jeszcze stopami dotykać się ziemi, do której jako żyjący, nie przestał należeć.

W niewyczerpanej téj fantazyi wszystko się znachodzi, wszystko usprawiedliwić się daje bezdennością oglądu...

W szóstém niebie na *Jowiszu*, dokąd podróżni nasi przybywają, pobyt jest tych, co sprawiedliwie rządili na ziemi; z nich to układa się gwiazdzisty napis: *Diligite justitiam qui judicatis terram*. Takimi są: Dawid, Ryfeusz, Trajan, Ezechiasz, Konstantyn i inni. Tu również Dante rozmawia z wielkim orłem z samych gwiazd utkannym. Ptak niebieski wystawiając bozkie miłosierdzie, które umieściło w oteblani takich pogan jak Homera, Wirgila, Saladyna, Awerrhoesa, tłómaczy jakim sposobem osoby niewyznające wiary chrześciańskiej, przecież w czasie pobytu

na ziemi umiały miłować sprawiedliwość, co sprawiło, że Pan Bóg łaskawym okiem dozwolił na ich odkupienie, jako niezatrutych jadem pogaństwa.

Nakoniec Dante z Beatryczą wznoszą się do siódmego nieba na gwiazdę *Saturna*, zamieszkaną przez dusze oddane życiu zakonnemu i duchowo-mistycznemu rozmyślanii: jak Ś. Benedykt, Ś. Piotr Damian. Ale nie znajdziesz nic uroczej wdzięcznego w całym poemacie nad mistyczne zaloty Dantego do Beatryczy w tych sferach najwyższej szczęśliwości:

Znów moje oczy, z niemi dusza cała  
Do mojej Pani obrócone były,  
Całą uwagą tylko w nią utkwily.  
Ona uroczu więcej się nie śmiała.  
„Gdybym uśmiechem błyszczącym za wiele  
Tu zaświeciła — rzekła Beatryce:—  
Spłonąłbyś cały na proch, jak Semele,  
Bo piękność moja w blask rośnie stopniami,  
Ile, coś widział w ciągu naszej jazdy  
Wstępujem dworca wiecznemi schodami;  
Gdybym ci blasku jej nie złagodziła,  
Tu wystawiona na jej błyskawice  
Takby zwietrzała twa śmiertelna siła,  
Jak liść piorunem okruszany z drzewa.  
Jużesmy przyszli aż do siódmej gwiazdy,  
Co pod Lwa piersią swe żary rozgrzewa,  
Które łagodząc z nim przyświeca ziemi.  
Myśl twoją ciskaj za oczyma twemi,  
A zrób zwierciadło z oczu dla obrazu,  
Co się w nich cały odbije od razu.”

Na to poeta:

O! ktoby wiedział, jak strzelistym okiem  
Błogosławionym pasłem się widokiem,  
W chwili, gdy wzrok mój oderwałem od niej,  
Przyzna, że trudno być posłusznym godniej  
Pani, co wagą łaski nad swym sługą  
Równoważyła jedną rozkosz drugą.

Prawdziwa to rozmowa Aniołów, jaką tylko wyobrażać sobie można w duchowym świecie. Kochanka powiada mu, że gdyby się do niego roześmiała, gdyby nie miarkowała ognia swych spojrzeń, toby go w proch spaliła, jak piorun... rozkazuje mu tedy patrzeć w otaczające go cuda—i on szczęście patrzenia w nią stawia na równi z rozkoszą spełniania jęj rozkazów. Ująłem powyższe wiersze umyślnie w tę prozę, aby lepiej zwrócić uwagę, na piękności Dantowskie, często mniej dostępne nieprzywykłym do jego sposobów wyrażania się, a do tego w tłumaczeniu, które z natury rzeczy zawsze szwankować musi na naturalności.

W ósmém niebie, gdzie się znajdują stałe gwiazdy, poeta będąc świadkiem tryumfu Jezusa Chrystusa, śpiewanego przez chóry błogosławionych, zapytywany jest przez Św. Piotra o *wierze*, przez Św. Jakóba o *nadziei*, a przez Św. Jana o trzeciej enocie teologicznej, o *miłości*. Następuje rozmowa z Adamem o grzechu pierworodnym—poczem on i Beatrycza wzbijają się ku dziewiątej sferze. Niebo otoczone tam kręgiem światła i miłości; zapelnia je tylko sam Bóg w swojej nieskończoności... Istność bozka objawia się poecie w trzech hierarchiach anielskich chórów otaczających ją...

Przybywają nakoniec do Empireju będącego zwykłym mieszkaniem Beatryczy; Dante przypatruje się tryumfom aniołów i dusz błogosławionych, z zachwyceniem widzi cuda dworu niebieskiego; a kiedy chce przewodniczki swęj pytać o znaczenie każdego przedmiotu—nie widzi jęj koło siebie—znikła! Na miejscu jęj stoi starzec podobny do duchów niebieskich, pełen powagi ojcowskiej i słodyczy, i odpowiada mu:

Od Beatryczy przychodzę jęj goniec,  
Aby twęj żądzy wskazać kres i koniec.  
Spójrz, gdzie najwyżej kołuje krąg trzeci,  
Tam ją zobaczysz, jak na tronie świeci,  
Gdzie posadzona jest własną zasługą.

Kochanek zanosi modlitwę do swęj pani, a ona uśmiechnąwszy się, znowu się zatapia w niewyczerpanym

zdroju szczęśliwości wiecznej. Starcem tym, mającym zastąpić Beatrycę, jest Ś. Bernard. On mu pokazuje tę stronę nieba, gdzie przebywają błogosławieni starego i nowego testamentu, a przywiódłszy ucznia aż do stopni tronu Bogarodzicy, błaga Królowej niebios, aby pozwoliła Dantemu oglądać majestat bożki—co już zamyka szereg widzeń Bożkiej Komedyi.

Oto suchy szkielec najbogatszej w świecie poetycznej kompozycyi...

O ile powabne jest i łatwe zaznajomienie się ze światem pieśni o Piekło, a w części o Czyśćcu, — o tyle pieśń o Raju przy swoim spokoju i ciszy uroczystej przerywaną niekiedy hymnami i rozmowami metafizyczno-mistycznymi—pieśń żeglująca jakby po morzu wielkiej światłości, tak napręży wszystkie władze umysłu, tak wysoko nastraja ducha, że prawie dostaje się zawrotu, olśnienia, właśnie jak kiedy gołem okiem kto patrzy w krąg południowego słońca... Kto nie jest dość spoufalony z bogactwem języka i stylu Dantowskiego, ten niepodobna aby sobie dał rady... Tłumaczenie tak nawet starannie wypracowane jak Korsakowe, nie jest w stanie zwalczyć olbrzymich trudności, ztąd pochodzących, że poeta, w przewidywaniu monotoni, jaka zagrażała przedmiotowi obracającemu się w świecie nadzmysłowych zjawisk, chciał go przystroić w najszczytniejszą i najbarwistszą szatę poetycznego języka. Nie jest to zatem poemat dający się czytać pobieżnie—wymaga on głębokiego zastanowienia się, i ma to do siebie, że za trud odpłaca. Są to perły lub dyamenty, które wylupywać trzeba z grubiej oprawy...

Jedno tylko dołożyć mam do ogólnego szkicu Bożkiej Komedyi. Żeby godnie ocenić i uszanować to największe arcydzieło nowożytnego świata, zapytajmy: czém był Dante? Oto nauczycielem swego narodu. Co dla niego zrobił? Oto pierwszy dał popęd do poznania i uprawy klasycznej literatury Rzymu, pierwszy ufundował językowo literacką jedność Italii, i na powszechną kulturę i umiejętność swego narodu nieskończony wpływ wywarł. Nietylko bowiem uczeni kształcili się na Bożkiej Komedyi, nietylko sztukmistrze aż po Michała Anioła szukali w niej natchnień,

ale i lud wszystek więcej się z niej niż z czego bądź nauczył. Dante naukę szkolną spopularyzował w tej poetycznej encyklopedyi; a chociaż uczony materiał nie jest tam podług metody i systematu rozgatunkowany i podzielony, jak w zwykłych encyklopedyach—ale popęd dany jest wszystkim skarbowi wiedzy, jakimi owe rozporządzały wieki, a popęd idący z wysokiego źródła, ubrany w powabne szaty poetycznych zmyśleń. Dla tego poeta wszędzie sięgnął, wszędzie się przecisnął, gdzie szkolny pedantyzm nie znalazłby przystępu... Wszakże niewielka byłaby zaleta Bożkiej Komedyi gdybyśmy nie jej nie przyznali więcej nad przymioty encyklopedyczne. Dla zawartych w niej podań, legend, wyobrażeń, a mianowicie dla jej politycznej, a głównie religijnej treści, Bożka Komedyja nosi na sobie piętno właściwe, odrębne, charakterystyczne, robiące ją epopeją opiewającą kończący się świat pewnych idei. W dziejach nierzadki to przykład, że duch konającej epoki raz jeszcze zbiera się i powstaje w obronie chylącego się państwa... W tym duchu i Dante wyruszył do boju. Acz olbrzym, nie zdołał już waląc się budowy podeprzeć, tylko na krańcach kończącej się epoki postawił monument, jakiego nie pokaże żadna literatura... *Divina Comedia*, to śpiew łabędzi, odśpiewany na pożegnanie wieków średnich, najszczytniejszych, jakie miała historia świata.

---

### III.

## WYCHOWANIE LUDU WIEJSKIEGO.

Mnogość pism ludowych. Niezawsze pisane słowo wystarcza. Czyn Ś. Franciszka. Jak autorowie pojmują popularność pisma? Jak lud wiejski ocenia książki? Oświecenie za pomocą dziennika. *Dzwonek*. Szkółki wiejskie. Nauczyciele świeccy i nauczyciele duchowni.

Nigdy tyle co dzisiaj nie zajmowano się pisaniem dla ludu, chociaż rzeczywiście trudno wiedzieć, jakie jest praktyczne zastosowanie tego wielkiego słowa. Jeżeli przeznaczeniem tych pism oświecać oglądających mieszkańców miast i miasteczek, rzemieślniczą klasę, toż sługi i czeladź domową, która ocierając się o dwór i plebanję, zaczerpnęła z jedyne go źródła oświaty, i po większej części umie czytać lub rozumie co jój czytają — to mogą się stać dość pożytecznymi, przez umiejętny wykład obowiązków stanu i zatrudnienia, przez umoralnienie i oświecenie w przedmiotach odnoszących się do życia i do wznioślejszych celów, ku jakim człowiek zmierzać powinien. Lecz w takim razie byłaby to za ledwo połówka tego znaczenia jakie do wyrazu *Lud* przywiązujemy; co się nie zgadza z intencją piszących w duchu ludowym, ci bowiem wyłącznie zdają się mieć na myśli lud wiejski: malują jego obyczaje, zatrudnienia, chwytają sposoby mówienia, wyszukują strony idealnie pięknych charakterów i szlachetnych postępów; słowem romansową sielanką chcą go nie tylko w oczach warstw wyższych, ale w jego własnych uznać. Nie ma nic w tém nagannego bynajmniej; ale też znówu nie ma nic tak godnego podziwu. Piśmiennictwu tylko przybywa nowy rodzaj,

tak samo jak przybył w epoce romantyzmu, gdy opiewano zamki, rycerze błędne, turnieje, olbrzymy i karły zaczarowane.

Utylitarna, praktyczna strona tych pism ludowych, w każdym razie najważniejsza, wydaje mi się być jeszcze bardzo wątpliwą.

Dla czego? Odpowiedź na to krótka: bo lud wiejski wzięty ogółem nie czyta, nie lubi czytać, nie chce czytać, nie czuje potrzeby oświecania się. Jest to zapewne stan tylko przechodni, odnoszący się do obecnego pokolenia, a w części i do pokolenia idącego po niem; nie widać bowiem, żeby około młodych latorośli więcej było pieczy, lub żeby mądra i głębsza myśl przewodniczyła wychowaniu ludu wyzwolonego z tyłowiekowej opieki. Surowizna naturalizmu zdaje się więcej przemagać niż kiedykolwiek. Wpływ zatem pism robionych wprost dla ludu, i tych które polecają go opinii, lub na nim opinię swoją gruntują, nie przechodzi po za sferę z wykłych czytelników. Wszystkie jednakże mają to dobrego, że zwracają nań uwagę, zniewalają zajmować się nim, aby się wcielił w ogół narodu, czyli mówiąc wyraźniej, żeby wszedł na drogę cywilizacji nowoczesnej. Sama myśl zwrócona ku tej stronie, daje rękojmię, że środki mogą się znaleźć skuteczniejsze, niż dotychczasowe, przez pismo.

Bywają położenia--osobliwie w chwilach przesilenia społecznych, kiedy dawne węzły osłabły lub się porwały,—że lekkim, niekosztownym środkiem, który może być skutecznym w normalnym stanie, niewiele da się wykonać. Dzielność wpływu pisanego słowa niezaprzeczona w naturalnym rzeczy porządku, staje się bardzo wątpliwą, kiedy ma iść w zapasy z surowcami żywiołami, które żeby w ład przywieść, czegoś więcej potrzeba niż drukowanej bibuły po najtańszej cenie. Zastanawiając się nad tém, zawsze mi staje w myśli ów średniowieczny, urodziwy, bogaty, wykształcony młodzieniec, co wziął za panią swoich tajemnych myśli *Uböztwo*, co ukochał ludzkość ukrzyżowaną, cierpiącą, wzgardzoną, i zrzuciwszy publicznie szaty swojego stanu, przywdział płaszcz żebraczy. Tłum widząc go przechodzącego boso, w biednym odzieniu, po placu miasta, którego

był ozdobą, poczytał go za szaleńca i ciskał nań błotem i kamieniami. A tymczasem robiąc się ubogim i zakładając zakon poświęcony dobrowolnemu ubóstwu, uświęcał ten stan najbardziej poniżony i wzgardzony między ludźmi, i pokazywał przykładem, że w nim można znaleźć spokój, godność i szczęście. Przez tę ofiarę ukoił nienawiści ubogich, godząc ich z majątynymi, i że tak powiem, zazdrość i lakomstwo w sercach podkopał. I tak wojna między tymi co posiadają, a tymi co nie posiadają, straciła swoją zaciętość, przez co wzmocniły się osłabione węzły społeczności chrześcijańskiej. Ów tedy szaleniec — a był nim Ś. Franciszek z Assyżu — stał się najgłębszym politykiem; bo kiedy Platon nie mógł znaleźć pięćdziesięciu rodzin gotowych przystać do jego idealnej Republiki, cichy sługa boży w ciągu lat dziesiątka liczył pięć tysięcy zaciężnych pod chorągiew tego szczytnego heroizmu, co w wieku niezgód i nienawiści umiał w ogniu miłości Boga zapalić miłość do ludzi.

Na wielkie choroby, wielkie lekarstwa; dla tego dałem ten przykład, żeby pokazać różnicę środków, a tém samém nie łudzić się wątpliwym wpływem pism popularnych na wychowanie i ukształcenie ludu wiejskiego. Co większa, odważyłbym się nawet utrzymywać, chociaż to na paradoks zarywa, że ten zwrot piśmiennictwa do popularyzowania się, więcej uszczerbku niżeli rzetelnej przynosi korzyści, przynajmniej dla literatury.

Rozumiem to w ten sposób:—Większa część piszących zasadza popularne pisanie na tém, aby okruszynki swojej wiedzy, swoich pojęć, rozrabiać w powodzi słów bez barwy i życia, w mniemaniu, że na tém zasadza się warunek jasności niezbędnój dla prostaczków. Ależ zaniedbane, nudne tłumaczenie się nie jest jasnością, jak również używanie sposobów mówienia tak zepsutych jak np. na Szlążku, nie robi ludowego stylu nader ponętym. Kto czytywał *Gwiazdkę Cieszyńską*, mógł się o tém przekonać. Nadto jeszcze wiele osób, nabrawszy mylnego przekonania, że dla ludu trzeba tak pisać jak się gada, chociażby od gadaniny puchły uszy, pisze co pióro przyniesie, nie zastanawiając się nad tém, że dla prostaczków, dla których jedna książka może wystarczyć na całe życie, trzeba by owszem ważyć każde słowo,

aby się nie stało gorszeniem, każdą myśl roztrząsać w sumieniu, aby była dobrą przed Bogiem i ludźmi, a udzielając wiadomości, wybierać takie, co dają i zewnętrzne i wewnętrzne światło, co prostują mylnie fakta i zdania, a pod żadnym warunkiem fałszywych nie rozszerzają. Nie radbym przytaczać przykładów i wytykać podobnych błędów, bo każdy światlejszy czytelnik, mający znajomość kraju i jego historii, sam z łatwością na nie napadnie, tak są uderzające. W krajach, gdzie wpływ popularnych książek i dzienników nie jest bez znaczenia, podniesionoby zaraz te niestosowności; u nas to uchodzi płazem, bo we wpływy tego rodzaju niewiele wierzymy, choć je popieramy. Najlepsze intencje mało tu pomogą, kiedy się rzecz rozbija o zupełnie inne usposobienie wiejskiego ludu; co pokazuje, że środek oświecenia go przez pismo, nie jest u nas tak praktycznym ani korzystnym jak gdzieindziej być może. Nietrudno tu o dowody, wszakże jeden przytoczę, bo mi się wydał bardzo gruntownym.

W okolicy górskiej, gdzie lud z przyrodzenia bystrzejszy, mający nawet wiele pociągu do porządniejszego życia, polerowniejszy, bo znający świat dalej niż po granicę wioski, przytém umiejący czytać, bo we wsi jest szkoła—znalazł się ksiądz interesujący się szczerze umoralnieniem i oświatą powierzonyj mu trzódki. Nie wątpię, że takich duchownych i takich dawnych dziedziców jak tam, nie brak po różnych stronach kraju, a chociaż nie siedzą gęsto, jednak tu i owdzie spotkasz człowieka, co myślą i sercem ogarnia tych maluczkich, aby w nich zaszcześcić miłość Boga i ludzi. Ów tedy ksiądz, pragnąc przyjść w pomoc swoim parafianom, przyjechał do Krakowa, wybrał u księgarza najpożyteczniejszych jakie sądził książek dla ludu, i z całym zapasem wziętym na kredyt, powrócił do domu. Co dalej się stało? powtórzę wyrazy jego listu: „Na kazaniu w niedzielę zapowiedziałem z ambony, że przywiozłem z Krakowa książek do czytania, a ktoby chciał takowe kupić, dostanie je po zniżonej cenie i z dogodną każdemu wypłatą. Było tam wiele książeczek przystępnych najuboższej kieszeni; wiedziałem z doświadczenia, że wieśniak tylko na książkę od nabożeństwa wyłoży większą sumę. Po nabożeństwie ze-

brał się u mnie ludek gromadnie, chwytali książki, syllabizowali i pobrali niektóre z tym dodatkiem:—Na borg, dobrodzieju, nie mamy przy sobie. — Dawałem chętnie, z przestroga, że niepoważaną przyjmę napowrot. Otoż po tygodniu, na następną niedzielę, odnieśli, ale nie pieniądze, tylko książki, mówiąc:—Nie ma tu w tém nic, szkoda kilku groszy, bo cóż to z tego?—Mocno skonfundowany, poodbierałem książki i westchnąłem, że ten sam lud, któremu wódka nie droga, chociaż dla niej rujnuje nieraz całe mienie, ten sam lud, gdy mu przyjdzie wydać kilka krajcarów za książkę budującą, skrytykował ją, że w niej nic nie ma. A jednak na każdym odpuszcie widzisz chłopków naszych oblegających stragany przekupniów i przepłacających takie ramoty, jak *Placz Ś. Ojców, Echo piekielne, Rozmowa Bartosza z gozałką*, i t. p.<sup>7</sup>

Cóżby o tém myśleć? Jakie wyciągnąć wnioski?—Oto, że nawet w okolicach, gdzie włościanie najbardziej są posunięci w oświacie, to jest umieją czytać i ruszać się,—nauczanie ich za pomocą książek znajduje opór w nich samych. Jeszcze nie doszli oni do tego, aby w rubryce ich wydatków mieściła się pewna kwota na książki, w czém nie są gorsi od wielu rodzin szlacheckich, gdzie ten artykuł nie stał się dotąd domową potrzebą. Jeżeli zaś, jak powiada ów duchowny, lubią nabywać u przekupniów niedorzeczne szpargały mające ustaloną wziętość, to w pewnym względzie naśladowują także klasę ucywilizowaną, która wielec smakuje w lekkim, często gorszącem piśmiennictwie francuzkiem.

Dla tych więc okolic, gdzie jest pociąg do kształcenia się między ludem wiejskim—a są to nieliczne oazy,—wydawanie książek popularnych i dziennika miałyby korzystne zastosowanie o tyle, o ileby takowe przychodziły za darmo. Ten rodzaj ofiary nie jest u nas rzadkością. Nietrudno znaleźć obywateli powodowanych żywą miłością wiejskiego ludu, zawsze gotowych obdarzać go dobrami książkami, z którychby się budował i oświecał w najniezbędniejszych rzeczach. Książka otrzymana darem, może rozbudzić potrzebę późniejszego nabywania książek.

Jak zaś dalece nie jest obca między nami myśl wychowania i wykształcenia wieśniaka do tego nowego okresu cywilizacji świeckiej, do jakiej przeszedł zbiegiem niezależnych od niego wypadków — mamy liczne dowody w ogłoszonych nagrodach za najlepsze książki popularne. Przed rokiem hr. Poniński oznaczył premium za napisanie popularnych dziejów; teraz znowu p. Michał Mrozowski ogłasza podobny konkurs o napisanie dziełka dla ludu. — Pierwsze zadanie rozwiązano, lecz czy w sposób odpowiedni? Nie umiem powiedzieć z tego jedynie względu, że nie wiem jaki skutek wywiera ta książka, czy ją wieśniak czyta z zajęciem, czy ją rozumie? Bo że jej nie kupi dla nieprzystępnej ceny, to więcej niż pewność. Pozostaje droga ofiary, o którą, jak mówiłem, nietrudno u nas.

Tutaj przychodzi mi jeszcze jedna uwaga co do praktycznego rozpowszechniania dobrych pism. Mam to przekonanie, że gruba księga, wymagająca wiele czasu, aby ją przeczytać, zawsze będzie dla klasy pracującej fizycznie, mniej dogodna niż krótki jaki traktacik dający się prędko skończyć i łatwo objąć. Głowy nienawykłe do myślenia niełatwo znoszą natłok faktów lub wyobrażeń przewijających się w książce, osobliwie historycznej; im potrzeba całości skończonej a prostej; jednej prawdy, któraby się zobrazowała, że tak powiem, w jednym rysie. Dla tego forma czasowego pisemka może byłaby stosowniejsza niż książka, zwłaszcza jeżeliby umiano zainteresować wieśniaka aktualnością, którą bardziej się interesuje, niżby się zdawało. Podczas przeszłorocznej wojny we Włoszech zdarzyło się, iż niektóre gminy zaprenumerowały sobie *Czas* i czytywały go przez ciąg trwającej kampanii. Pismo to niemające ani ceną, ani sposobem pisania pretensyi dziennika ludowego, było przecież w ręku wieśniaków, z tego jedynie względu, że opowiadaniem zdarzeń na polach bitew, gdzie walczyli synowie lub krewni naszych włoscian, pobudzało ich ciekawość. Na tej opierając się próbie, bo tu metoda doświadczalna więcej waży niż najpiękniej osnuta teoria — byłbym za formą małego dzienniczka, któryby żywotnych i bieżących pytań dotykał, nie pomijając i takich przedmiotów,

coby działały na uszlachetnienie uczuć, podniesienie myśli nad zwierzęcy poziom.

*Dzwonek* wychodzący we Lwowie, bez uprzedzenia nazwałbym najlepszym z pism, jakie były w rodzaju popularnym. Powiastki są tam krótkie, żywo opowiedziane, z sensem praktycznym; mogłyby one korzystnie wpływać na umoralnienie, gdyby mieć przekonanie, że się dostają do rąk wiejskiego ludu. Nierzadko też spotkać się tam z lepszą znajomością natury wieśniaka; jego wyobrażenia, wady, narowy, dobre i złe skłonności są żywcem pochwycone i sprostowane w sposób zrozumiały dla niego. Bywają tam i drobne wiadomości o przypadkach pożarów, o wdzięczności włościan ku dawnym panom, o zręcznych rzemieślnikach wiejskich i inne rzeczy bieżące. Czegoby życzyć należało, to dobrych rad gospodarczych, to zrozumiałych wyjaśnień niektórych rozporządzeń rządowych, między innymi wytlómaczenia znaczenia gminy i urzędnika jój—kiedy takowe nastąpi.

Wszystko to może zainteresować—a to najglówniejsze zadanie, aby znaleźć sposoby zainteresowania pogrążonych w ciemnej bierności. O każdym zaś przedmiocie należy dawać wiadomość zupełną i dokładną, a bynajmniej nie taką, jaka była *O chowie koni* p. Krzeczunowicza, gdzie redakcyja odesłała swoich czytelników do saméjże książki. Jeżeli to praktyczna książka, lepiej daleko było zrobić z niej dobry wyciąg.

Nie brak u nas, jak się pokazuje, chęci i sposobów dzielenia się z włościaninem wszystkimi zdobyczami umysłowemi, toż wyobrażeniami i uczuciami moralnemi, jakie wielowiekowa kultura rozwinęła w klassach wyższych. Upatrują tylko niedostateczność jedyne go środka najwięcej używanego, jakim jest słowo drukowane. Prawda, że ten środek ma za sobą praktykę w innych krajach uznaną; lecz co tam dobre jest dla ludu wiejskiego od dawna w innych warunkach i inaczej usposobionego, to u nas nie na wiele może być przydatnem; a ma to jeszcze do siebie, że pozornem zajęciem uwalnia niejako od użycia dzielniejszych i gruntowniejszych, a nawet naturze ludu wiejskiego odpowiedniejszych środków. Pochopne do pisania pióro naśliz-

gawszy się po papierze, jestże w stanie mierzyć się z pracą ustnego, praktycznego nauczania, jaka zawsze ciążyła na stanie duchownym, któremu winien lud nasz wychowanie swoje, robiące go najlepszym ludem, dopóki nie zmieniło się jego położenie? Można śmiało powiedzieć, że jeden tylko kościół zrobił naszego wieśniaka uległym, cierpliwym, bogobojnym, wierzącym; on utrzymywał w nim cnoty towarzyskie, on kazał szanować rodzinne związki, wpajał ludzkość, bojaźnią kar wiecznych powściągał namiętność i występne skłonności... W okresie wyzwolenia go z pod opieki dziedzica, tej cywilnej powagi, zachwiała się i powaga duchowna. Wpływ kościoła ustąpił przed świeckimi wpływy państwa... Biurokrata stał się jedyną powagą. Dziś w szkółce wiejskiej zamyka się przyszłość ludu; jak go tam wychowają, takim będzie...

Niedarmo szkółki elementarne poczytywano zawsze za najważniejszy przedmiot obchodzący zarówno ludzi stanu, jak tych, co mają pośredni lub bezpośredni wpływ na koleje społeczeństw. Jeżeli bowiem początkowe nauczanie jest dobrze kierowane, jeżeli religia i obyczajność mają tam przewagę, wyjdą z nich oświeceni i mniej występni ludzie, chociaż w skromnym swoim zawodzie zaledwie będą mogli zatrzymać tę odrobinę wiedzy, jaką w młodocianym wieku nabyli.

Jeżeli z trudnościami trzeba walczyć, aby szkółkę założyć i zniewolić wieśniaka do posyłania dzieci, to nierównie trudniejsze zadanie znaleźć zdolnych i w obowiązku sumiennych nauczycieli. Kto się temu z bliska nie przypatrzył, nie domyśli się nawet, żeby pokazywać litery, wykladać pierwsze zasady katechizmu i moralności, uczyć pisanie i rachunku było tak wielką rzeczą. Tymczasem codzienne doświadczenie przekonywa, że te szkółki pod opieką świeckich rządów rzadko gdzie odpowiadają swemu przeznaczeniu.

Nauczanie dziecka wymaga daleko więcej pracy, rozsądku, taktu, niż go mogą mieć ludzie oddający się stanowi nauczycielów wiejskich. Po większej części bywają to zdeperowane istoty, którym się nie powiodło w najskromniejszych zawodach, ekonomów, pisarzy gorzelanych i po-

kątnych, a nawet lokajów. — Pewnego razu spotkałem takiego nieszczęśliwego, jak stojąc przed gankiem, narzekał, że próbował różnych funkeyj, a nigdzie nie mógł zagrześć miejsca, chociaż ani pił, ani się dopuścił żadnego występku.—Cóż zrobisz z sobą? zapytałem.—Chyba pójdę na nauczyciela do szkółki; zdaje się, że to będzie właściwa dla mnie posada, bo już godzinami uczę chłopskie dzieci czytać i pisać, i dobrze mi idzie.—Patrząc w twarz jego obumarłą, napiętnowaną idyotyzmem, i na ten uśmiech głupkowato-melancholiczny, wdzięczący się do bakalarskiego zawodu, zadumałem się nad przyszłością całej generacyi wioskowój, którą ten człowiek wychowa, i przyszedłem do przekonania, że owa dziatwa pozostawiona matce-naturze, daleko lepiejby się wychowała. Dla tych to przyczyn większa część szkółek niezém inném nie jest, tylko zbiegowiskiem dzieci, które wrzeszczą, płaczą, czytają, piszą, ale się nie oświecają.

Wiemy jaka jest trudność w znalezieniu ludzi religijnych i moralnych w téj klassie, co się poświęca zawodowi nauczycieli elementarnych. Zazwyczaj kiedy wszystko inne zamknięte przed nimi, bakalarzują, żeby nie umrzeć z głodu. Gorszące życia przykłady wymowniej działają na umysły uczniów, niż najszcześliwiej aplikowane sposoby łatwego nauczania. Zresztą choćby taki nauczyciel dla własnego interesu, lub z obawy utracenia posady, odznaczał się gorliwością w przestrzeganiu porządku i w udzielaniu nauk, to prędzej czy później, kiedy się zabezpieczy w opinii, wziętość sobie pozyska, a i grosz jaki złoży, pofolguje i sobie, i dzieciom, i goniąc zyskowniejsze cele, szkołę zaniedba, a przynajmniej nigdy się na nie nie zdobędzie, coby wymagało jakiegokolwiek poświęcenia się dla niej; a właśnie żaden obowiązek tyle co nauczycielski, nie wymaga większych usiłowań, cierpliwości, pilności, chyba jedna piecza około chorych. Już poznano się na tém we Francyi i ucieczono się do jedyne go sposobu zaprowadzenia kongregacyj religijnych, mających na celu wychowanie i uczenie ubogich dzieci. Któż nie wie, że płaca nie jest dostatecznym środkiem do wzbudzenia w sercu człowieka odwagi oddania się zawodowi pełnemu trudów i przykrości? że do tego stanu potrzeba zaparcia się, nie ze światowych, lecz z nadziem-

skich płynącego pobudek? Kościół obfity w miłosierne zakłady, sam jeden potrafiłby wydać ludzi poświęcających się wychowaniu i uczeniu dziatwy wiejskiej. W dzisiejszym stanie społeczeństwa ani myśleć, żeby w innej jakiej klasie znalazła się dostateczna liczba nauczycieli wiejskich, co by umieli łączyć przymioty swjego stanu z nienagannym życiem i światłem uczuć chrześciańskich. Powierzając nauczycielstwo członkowi kongregacyi religijnej, nie ma obawy, aby młode serca skażone zostały niewiarą, lub zgorzone przykładami zepsucia i złych nałogów. Zakonnik podległy niezmiennej regule i władzy przełożonych, pilnowany przez swoich towarzyszków, zmuszony jest dobrze się prowadzić, nawet wtedy, gdyby nie słuchał przestróg własnego sumienia. Pod takim przewodnikiem i dziecko od lat najmłodszych przywyka uważać czynność nauczycielską nieodłączną od obowiązku religijnego, a przytém uczy się co mu wiedzieć potrzeba w jego zawodzie doczesnym, jak również zaciąga obowiązek czuwania nad dusznym zbawieniem. Błogie te zasady i nawyknięcia wpojone dziecku, choćby odbiegły w dalszym ciągu życia pod naciskiem namiętności i złych przykładów, choćby umilkł głos anioła lat dziecięcych, — w późniejszym wieku, po wielu doświadczeniach, na zgłiszczach namiętności, tćm pewniej puszcza dobre ziarna, raz w jego sercu zasiane.

Rzucilem tę uwagę o szkółkach elementarnych i o nauczycielach w tćj myśli, aby pokazać, od kogo zawisło przyszłe wychowanie i cywilizacya wiejskiego ludu. Jest to tak ogromne zadanie, że zadrukowawszy choćby największą ilość papieru i rozpuściwszy za darmo cały rozum najlepszych autorów, nie byłoby ono rozwiązane nawet w drobnćj cząsteczce. Czemu? Bo wrażenia, które prosty człowiek przyjmuje przez pismo, są przemijającćj natury; przeciwnie te, jakie wyciska na nim pierwotne wychowanie, zostają na całe życie. Bo nareszcie, na pisma bywają pisma. Moralizujesz, starasz się oświecić, przekonać, unieść ku dobru i enocie; już ci się zdaje, że masz czytelników po sobie,—kiedy ukazuje się przewrotne jakie pisemko podkopujące najświętsze zasady, a że tyle mieści się w niem bezczelności i złćj wiary, ile właśnie potrzeba, aby prostakom

głowę zawrócić—więc i robota twoja zburzona. Nie przeczę, pisane słowo mogłoby zbawienne przynosić owoce, prowadząc dalej dzieło pierwotnych szkółek—ale gdzie rękojmia, że wszyscy ci, co biorą pióro i piszą dla ludu, mają uczeiwe zamiary i głębokość religijnych przekonań? Obawa to nie-płonna, i niedaleko szukać dowodu: — dość wspomnieć ową kilkokartkową legendę latającą po odpustach i cudownych miejscach, która w szacie pobożnej modlitwy dawała absolucję na występki i zbrodnie. Zapewne zwierzchność każdego kraju duchowna i świecka czuwa, aby się coś podobnego nie działo—lecz złość ludzka ma zawsze swoje sposoby, które jednakowoż mniej byłyby szkodliwe, jeśliby znalazły odpór w umysłach religijnie oświeconego i wychowanego ludu.

---

## IV.

### Z ŻYCIA LUDU WIEJSKIEGO.

W pismach dla ludu przecucie jego przyszłości. Trudność znalezienia prawdziwego tonu. Niedowierzenie. Komornica, powieść W. Wielogłowskiego. Autor czerpał z rzeczywistości. Czy rzeczywistość, czy zmyślenie ma więcej uroku dla chłopca?

Od lat dziesiątka dają się postrzegać w utworach literackich częstsze i wyrazistsze niż dawniej typy wieśniaków, co z każdym rokiem tak przybiera, że już dziś chłop stał się niejako artykułem mody. Wiele do tego przyczyniła się kwestya włościańska, tak żywo agitująca się w prowincjach polskich pod rządem rossyjskim, a najwięcej stanowisko włościan w Galicyi nagle rzuconych na drogę polityczną, pozwalając przeczuwać przygotowującą się potęgę społeczną, jakiej dotąd w tym sensie nie brano w rachubę. Niepierwszy to raz zdarza się, że poezya lub romans wprzódycy przeczuja wpływ jakiejś potęgi politycznej, nim praktyczny statysta potrafi ją zdefiniować i uznać. Nie więc dziwnego to eksploataowanie chłopskiego żywiołu po naszych powieściach i romansach; duch czasu nie oddala nas, lecz owszem zbliża do rozwiązania owęj kwestyi mającej włościańskiemu stanowi przyznać wagę politycznego znaczenia w życiu. Nie przeszkadza to jednak, żeby przepaść dzieląca wykształcone warstwy od chłopca, nie pozostała na bardzo pługu niezapełnioną; obyczaj bowiem wiejskiego ludu, jego sposób myślenia zachowawczy, a nadewszystko zadowolenie ze swego stanu, niezazdroszczące innym stanom, są, że tak powiem, naturalnymi opiekunami wioskowego świata, który

przez te same przymioty daje mu pewną oryginalną odrębność, mającą dla nas taki urok świeżości, że po mocno korzenną i gorączkową literaturze romantycznej, nie gniewalibyśmy się, gdyby nam pozwolono zabawić się w towarzystwie istot nie tylko niesentymentalnych i nienerwowych, ale owszem przejętych do szpiku surowizną realizmu. Dotąd jednak w owych tak nazwanych powiastkach ludowych, najczęściej natrafialiśmy, obok niektórych rysów szczęśliwie zdjętych z natury, najfałszywsze malowidła charakterów i uczuciowego życia włościanina. Zazwyczaj w grubą jego powłokę ubierano idealnego człowieka natury, podług stariej recepty J. J. Russa, i do tego dodawano szczyptę krytycznych sarkazmów na społeczeństwo ucywilizowane. Niemaszce te produkcje, nacechowane więcej satyrą polityczno-socjalną, niż będące wynikiem sumiennych studyów świata chłopskiego, możnaby nazwać przechodowemi, a przynajmniej przygotowawczemi do prac w kierunku ścisłej wierności, niewykluczającej jednak niezbędnego artyzmu i uczucia w grupowaniu zdarzeń i cieniowaniu charakterów i postaci. To pewna, że chcąc chłopca malować jakim jest, trzeba się pozbyć dzisiejszej sentymentalności i uczuciowej romantyki, obcej mu zupełnie, jako istocie utworzonej z twardej i surowej materyi, a tym samym niemającej pojęcia o wyrafinowanych sprawach sercowych. Idealizm tu nie a nie nie popłaca, za to realizm górą; wszystko mu też poświęcić trzeba, nawet muzę poezyi, której piękne rączki i nóżki wypadnie nieraz powalać—gnojówką.

Gdyby autor wszczepiać chciał własne swoje uczucia i pomysły w czaszkę i serce chłopskie, niezawodnie zatarłyby najwyraźniejszą jego fizyognomię, która mieści się całkiem we właściwym stanowi jego obyczaju, a nie w indywidualnych uczuciach i pojęciach. Dążnościowy autor równieby chybił, jeśliby chłopca wystawiał w postaci miastowego proletaryusza ziejącego żółcią na władzę, organizm społeczny i na kościół; bo choć się takie egzemplarze trafiają pod słomianą strzechą, jednakowoż nie są one czysto chłopskiego ducha i obyczaju. Zazwyczaj bywają to istoty, co już przeszły przez czyjeś ręce; jak dukat oberznięty lub trzymany w kwasie, traci wagę i stempel właściwy, tak i chłop odrobiony

w pewnych celach, staje się prawdziwym kulfonem, jeśli nie parszywą owcą, zarażającą całą trzodę. Najniebezpieczniejsze, a głównie dla włościańskiego stanu zgubne, są te wszystkie usiłowania, co go chcą z właściwych karbów wyrzucić i zrobić z niego pół cywilizowanego miejskiego proletariusza. On, obdarzony od natury pewnym sprytem, nie ledwo szpakami karmiony, a zawsze dobrą porcją zdrowego rozsądku, za co nawet między intelligencją zyskał zaszczytny tytuł: rozumu chłopskiego, — od razu traci te przymioty, jeżeli go w obcy mu stosunek wpręgiesz, lub wywiedziesz na bezdroża, któremi nigdy z dziada pradziada nie chadzał. Sama natura chcąc go od tych zgubnych pokus wybawić i zabezpieczyć, dała mu, że tak powiem, szósty zmysł: *niedowierzania*. Czém macki dla niektórych zwierzątek, tém jest dla chłopa instynkt niedowierczy. Przymiot ten stoi na straży jego gatunkowości i robi jednolitość stanu, tworzącego kamienny fundament społecznego ustroju.

Podsadzać miny, burzyć tę posadę porządku, zawsze będzie dziełem niebacznej lekkomyślności, lub zdesperowanej słabości chwytającej się téj brzytwy. Przeciwnie, pojmować znaczenie tego stanu, umoralniać go, dawać mu poznać się w sobie i na sobie, oświecać w warunkach odpowiednich jego potrzebom, jest właśnie obowiązkiem ukształconych klass narodu. Obowiązku tego dopełnić można jedynie przez miłość wyłączną dobra wiejskiego ludu, ale miłość niezaślepiającą, ani interesowaną. Najpierwszą też regułą jest poznać chłopa jakim jest, i patrzeć nań nie przez niebieskie okulary filantropii, ani przez pryzmata godeł rewolucyjnych, a mianowicie owéj *równości*, której on ani pragnie, ani też praktykuje u siebie, jak to widzimy w Galicyi, gdzie przyszedłszy do udzielnéj własności, został względem wioskowego proletariusza od razu najtwardszym arystokratą.

Ciekawa ta strona natury ludzkiej, wszędzie jednokowa, czy w ciemnych, czy w inteligencyjnych warstwach, wystąpiła w całej szorstkości między wiejskim ludem, dając najwymowniejsze zaprzeczenie owéj wystawionéj teoryi o *równości* bezwzględnej, która dziś jeszcze tyle głów bałamuci, uchodząc za nowy wynalazek, chociaż filozofia prak-

tyczna ludu odwieczną ma na to ukutą formułkę: „Z Iwana nie będzie nigdy dobrego pana.” Psychiczny ten fenomen uderzył jeszcze przed lat dziesiątkiem autora znanej krotoczwili: *Chłopi arystokraci*. Śmiano się i gorszono z pani Koguciny; ale że chłop nie uczęszcza do teatru, moralnie został dla niego stracony... Tę samą myśl, lecz w formie powieściowej, trzymanej w tonie poważnej prostoty, przeprowadził W. Wielogłowski w *Komornicy* czyli *Tajemnicach wiejskiego życia*. Nie żartuje on bynajmniej z pychy panów gospodarzy i okrutnej ich zatwardziałości na nędzę i nieszczęście biednej komornicy, ale powołując się na święte zasady miłości bliźniego, na przykład moralny dworu, na nauki bogobojne kapłana, usiłuje oświecić umysły, zmiękczyć serca, do czego mu dopomaga sam zbieg wypadków sprowadzający Opiekę Bożką nad niedolą sieroty. Pomoc przybywa z nieba, kiedy jej ludzie dać nie chcą, — czyż to nie trafia się nader często w praktyce życia? Nędzarcz staje się bogatym, sierota znachodzi rodzinę, o której ani śniła, kaleka przytulającą go obcą litość, nad przepaścią stojący młodzieniec rękę nieznanego mu przyjaciela. Ten los opiekun, jak go nazywamy, jest to zawsze wysłannik Anioła Stróża, czuwającego nad niedolą człowieka, aby w nim nie gasła ostatnia iszka nadziei, a tém samém, aby się w umysłach nie krzewiła rozpaczliwa myśl fatalizmu, wyłęgła w szkole rozkładowych nauczycieli ludu, powiadających mu, że cnota i poczciwość koniecznie musi cierpieć na ziemi, i dowodzących przykładami, że tylko występki i grzech mają powodzenie. Pojmujemy zacząć dążność autora *Komornicy*. Wybrał on dwie istoty, dwie słabe kobiety, stojące na najniższym szczeblu hierarchii społecznej, i wypuścił na nie srogiego przeciwnika: złość i egoizm niedobrych sąsiadów... Jeżeli w oświeconych klassach nierzadko się zdarzają ofiary ludzkiej nienawiści i nieczułości — to w nieoświeconych dola takowej, ofiary byłaby o tyle straszniejsza, o ile brutalizm zepsutego moralnie chłopca przewyższyć może nawet wyrafinowaną tyranję cywilizacji... Jedyną obroną nieszczęśliwych komornic jest cierpliwość i religijne poddanie się, co także bywa jednym z szacownych przymiotów ludu wiejskiego; lecz gdy tego za mało na heroinę z pod strzechy,

żeby ją zrobić piękną moralnie i zainteresować jej losem wypadło ubrać ją w najrzadszy przymiot miłości, ale tej bożkiej miłości, co nie dość że każdą krzywdę odplaca przebaczeniem, ale jeszcze gdy łatwość odwetu sama się nasuwa, i to odwetu najściślej sprawiedliwego, nie śmie go użyć, owszem odpycha od siebie jak pokusę... Powie kto, że to heroizm przesadzony, niezgadający się z naturą naszą; być może, lecz to pewna, że tego rodzaju heroizmy nie raz trafiały się w tym ubożuchnym wieśniaczym stanie, nie czerpiącym znikąd światła, krom z bożkiej nauki kościoła, znikąd żywego przykładu, krom ze świątobliwego życia pobożnego kapłana.

Dopóki chłopca naszego nie powołano do odgrywania roli politycznej, dopóty światło kościoła było aż nadto wystarczające, aby mu dać chrześcijańską cywilizację, ze wszystkimi heroizmami i szczytnościami, do jakich gorąca i prosta wiara usposobić jest zdolna. Dziś już wołamy dla niego o więcej: nie światła, lecz umiejętności; nie byłoby wszakże mądrze zapominać w ferworze edukacyjnym, że umiejętność światowa, choćby siłą pary wbita mu w głowę, nie starczy za dobry wykład katechizmu, a co ważniejsza, nie potrafi tak prędko wyrobić obyczaju, dwóch dzielnych potęg, utrzymujących w karcach obowiązku rodzinę wieśniaczą. Nie przeczę, z odmianą powołania, potrzebna jest i zmiana wychowania, lecz tylko o tyle, żeby na starożytnym pniu wyrosłym z łona kościoła, świeżą zaszczyć gałąź, a raczej pod cieniem drzewa starożytnej wiary postawić figurę nowego obowiązku. Działając wyłącznie w jednym kierunku, wywołanym zmianą stosunków, można zepsuć to, co wiekami stało, a nie osiągnąć tego, co nazywamy przyszłością.

W całym tym ruchu zmierzającym do szerzenia oświaty popularnej, który się w ochotniczych komandytach pozakładanych dziś do pisania książek ludowych objawia, możnaby dojść do rezultatu, o którym się nie myślało. Prosty człowiek zaniepokojony szczyptą powierzchownej, ulamkowej nauki świeckiej, podrażniony cudami nieznanej mu wytwornej cywilizacji, popychany do postępu, czyżby nie mógł być wyrzuconym z właściwej kolei i znaleźć niezadowolenia ze swego stanu? Co większa, światowa umiejęt-

ność, niebacznie udzielana, nie mogłaby go ochłodzić dla praktyk religijnych, tém snadniej, że nowa ta powaga samym urokiem nowości rzucałaby cień na dawną mistrzynię? Zapewne ów wspomniany wyżej zmysł niedowierzania, właściwy chłopu, stoi na straży zarówno jego obyczaju, jak odziedziczonej po ojcach wiary, — ale i to wiadomo, że krzywa nauka dość łatwo się chwyta tych niedowierzających głów, byle za nią przemawiała doraźna praktyczność... Obudzić w ludzie wiejskim pożądlivość, osłabić fundamentalne pojęcie o własności obietnicami gruszek na wierzbie — sztuka to nie tak wielka, ale to pewna, że raz osłabiwszy jego organizm, nieprędko można znaleźć nowego organizatora.

Zrozumienie dzisiejszych reformatorów nie uznaje nawet pracy wieków; jeżeli bowiem coś stoi kilkaset lat i krzepko się trzyma, powinnyby imponować samą powagą dawności. Niech sobie fałsz od kogo chce wychodzi, byle nie od nas. Mędrzej też byłoby poznać do gruntu charakter i przynioty ludu, niż nie znając go dobrze, chcieć go przekształcić na podstawie fałszywych założeń. Dobry lekarz bez dyagnozy nie zapisze recepty. Stokroć też pożądanse byłyby studia nad ludem robione w różnych okolicach, ale studia sumienne i umiejętne, z pierwszej otrzymane ręki, a dające spostrzeżenia o jego sposobie życia, gospodarowania, rodzaju przemysłu, o stanie wyobrażeń religijnych i społecznych, stosunkach z władzami, z dworem i plebanem, z rodziną, czeladzią, sąsiadem, zgoła o jego wewnętrzném i zewnętrzném życiu, niż książki, których on nie czyta i nie rozumie. Mając takie dane, można nie na chybił trafił dojrzeć, czego i gdzie nie dostaje, a głównie nauczyć się, jakiej natury ma być ów pokarm, aby się w zdrowe soki przerobił. Z nauczaniem ludu wiejskiego niełatwa to sprawa, kiedy dotąd nikt się nie może poszczycić odpowiednią metodą. Zazwyczaj wyobrażenia i pojęcia warstw kultury miastowej, przelewane bywają w stan należący do całkiem innój formacyi. Cóż ztąd wynika? Oto, że albo nauki tej nie przyjmuje w siebie, albo też przyjąwszy, utracą na zawsze nieocenione przynioty swojego stanu.

Nie umielibyśmy powiedzieć, czy *Komornicę* W. Wielogłowskiego chłop czytać będzie i z tą samą ciekawością co my towarzyszyć jej sercem i wyobraźnią po tych kolejach niedoli i fortuny, przez jakie ją autor z taką prawdą prowadzi? Być może; powieść to nie obcy mu rodzaj; ale jego ulubiona powieść to bajka prawiąca mu dziwy o zaklętych księżniczках, o smokach pilnujących skarbów, o wyprawach po cudowną wodę życia; w jego powieści inne słońce, inne istoty, inne wszystko.

W *Komornicy* przeciwnie: najsurowsza rzeczywistość, na jaką codziennie patrzy. Kto wie, aktorowie może nie znajdą u niego łaski, choć sens moralny praktycznością swoją powinien go wzruszyć i skruszyć. Zaiste, trudna to rzecz ocenić ten plód znakomitego pióra, z punktu widzenia naszego chłopca; wielkie jest podobieństwo, że ciekawość jego tak samo od początku do końca pochwyci, jak naszą; ale zachodzi kwestya, czy wiejski realista mający czytanie za pracę, a nie wytchnienie, nie pogniewa się na autora za stratę kilkunastu godzin i w końcu nie powie: „Czegożem się dowiedział nowego? Takie Zośki, Józki, Piotry i Wojeichey znajdują się i w naszej gromadzie!”

W tych rzeczach praktyka tylko może nauczyć, co idzie na pożytek, a co obojętnie przechodzi. To pewna, że niech jedna książka się uda, a lud się do niej przywiąże, i na nią poprzestając, więcej skorzysta w pojęciach i uczuciach, niż gdyby go zasypano najrozmaitszej treści i wartości pisemkami. Człowiek przesycony ubiega się o nowość i szuka wzruszeń; chłop, trzeźwój i czerstwój natury, przywiązuje się do jednej książki, a nie będąc nerwowym, za wzruszeniami nie goni.

Są to wszystko uwagi nasuwające się, gdy przyjdzie pomyśleć nad oświatą ludu i nad książkami dla niego, a mianowicie gdy nam w ręce wpadnie taka książka jak *Komornica*, o której możnaby powiedzieć, że obok idei moralnie pięknej, wywijającej się z kompozycji, jest oraz najlepiej trafionym wizerunkiem chłopca. Charakterystyczny wizerunek wioskowego świata z taką świeżością zdjęty z natury, tak wierny w głównych rysach, tak starannie

wymodelowany w półcieniach, musi pobudzać do myślenia, a nawet modyfikować owe pojęcia, jakie się zrodziły w niejednej głowie patrzącej na świat wiekowy przez pryzmata postępowych teoryj lub idyllicznego sentymentalizmu. Z tej głównie strony *Komornica* jest największą nowością w naszej literaturze. Autor biorąc człowieka jakim jest, zapatrząc się na wypadki tak jak one idą w życiu, zastosować umiał do tego swój styl. Są tam miejsca niezrównanego mistrzostwa w obrazowaniu. Jak nieraz patrząc na malowidło jakiego znakomitego mistrza, zapytujesz sam siebie: czém on to malował, że nie znać pendzla? tak w niektórych ustępach *Komornicy* nie widzisz pióra, nie czujesz pracy autorskiej, tylko ci się zdaje, że jakiś rzeczywisty obraz przeciąga przed tobą. Dziwna naturalność i łatwość jednego rzutu. Przygody najpospolitsze, jak owo prosiątko ze złamaną nogą, rosną do wysokości katastrofy, mogącej zniszczyć egzystencję dwóch biednych kobiet, a chociaż w scenie tej nie ma nic a nic wyforsowanego na efekt, żadnej frazeologii, żadnych konwulsyjnych naprężeń, jednak scena ta wzrusza do głębi. Cały ustęp o wzięciu Józka w rekruty jaki prawdziwy! Heroina powieści Zośka, córka komornicy, zostaje narzeczoną Józka, syna bogatego gospodarza. Los uśmiecha się biednej sierocie! Lecz oto wybucha wojna we Włoszech, rekrut nakazany, i Józka powołano do asenterunku... Stary wieśniak nie żałuje grosza, żeby syna uwolnić, i wiejskim wydrwigroszom dobrze się opłaca za suppliki i reklamacje; tymczasem w urzędzie rozstrzyga się los bohatera romansu... Na ulicy o ścianę gmachu rządowego oparta stoi Zośka z Agnieszką... Ojciec tylko poszedł na wesele i oczekiwał wyroku...

„Wyrok ten władzy z ust do ust przebiegając, doszedł wkrótce do wiadomości wszystkich. *Józka wzięli!* głos się jakiś na ulicy odezwał, a ten głos jak zatruta strzała trafił w serce biednej Zośki... Agnieszka widząc, że Zośka nagle blednie i że na ulicy zemdleć może, czémprędzej ją w podwórze gmachu z pomocą innych kobiet zawiodła i wodą przy studni trzeźwi, zaklina i prosi, a ledwo się jęj docucić zdoła. Coraz większe zbiegowisko tę scenę otacza,

wszyscy pytają: „Co się takiego dzieje? i czego dziewucha tak strasznie lamentuje?”—a dwaj żołnierze stojąc przy bramie, śmiejąc się rzekną: „I moja Maryśka tak samo płakała, a w pół roku za mąż poszła,”—drugi zaś dodaje: „A moja aż do Wadowic za mną poleciała, a teraz ma innego.”

Z tego małego ustępu widzimy, że tu nie znać żadnej sztuki ani w stylu, ani w ekspozycji, raczej jest to relacya prosta, potoczna, skąpa w epitety, prawie sucha jak urzędowe doniesienie, gdyby co chwila nie spotykało się słowo z ciepłym uczuciem, lub jaki rys charakterystyczny szczęśliwie i w swoim miejscu użyty. Tajemnicy tej zawdzięcza *Komornica*, że się czytelnik przywiązuje do niej, i bez najmniejszego znużenia ani ekliwoci, przewraca kartkę po kartce do samego końca; a chociaż koniec zdaje się przewidywać z góry, doczyta go, dla tego, że nie spodziewa się znaleźć konwencyonalnego zakończenia. Ów brak konwencyonalizmu w książce Wielogłowskiego to jego najznamienitsza pisarska zasługa. Czerpiąc ze źródła życia, stał się oryginalnym i nowym... Kreacye jego: ta Zośka, ten Józek, owi kochankowie z pod strzechy, nie zajmują nas bynajmniej romansowością swoją, a jednak musimy się przywiązać do nich jako do istot pięknych duszą. Szczególniej Zośka, heroina wzięta z najniższego szczebla społecznej formacyi, jaką jest komornica, reprezentantka proletaryatu wiejskiego — to wielona poczciwość i cnota! Jednej rzeczy jęć tylko nie dostaje: namiętności. Cnota bez walki z namiętnością pozbawia się największego blasku i woni... Lecz ten delikatny zarzut, jakiby można zrobić autorowi, gdyby heroiną jego była osoba z innego stanu, ustępuje przez wzgląd, że w tej klasie ludzi rzadsza bywa walka z namiętnością, a częstsza walka z potrzebą życia... Niedarmo też nasłał autor tyle ciężkich katastrof na mienie i dobytek ubogich komornic... Z prób tych wyszły czyste i niezłamane, co na jedno wychodzi jakby z namiętnościami bój stoczyły. Romans chłopski, żeby miał swoją cechę, z innych musi się składać żywiołów niż romans *fashionable*. Samo odgadnięcie tej psychologicznej tajemnicy, naznacza utworowi Wielogłowskiego znakomite już miejsce między

oryginalnemi powieściami w naszej literaturze. Wszakże jeśliby chciał dalej obdarzać nas utworami podobnego rodzaju, niechby z góry postawił sobie pytanie: czy ma pisać dla klass oświeconych, żeby poznały chłopca, czy dla chłopów, żeby poznali siebie?—Zdaje nam się, że decyzya na jedno lub drugie nie będzie bez wpływu na kreacyę, i jak w jednym tak w drugim przypadku przyczyni się do zrobienia jój doskonałą.

## V.

# TEORYA SOCYALNA W KOMEDYI.

Żywiół socyalny. Niekonieczna komika. Ideał równości. Literatura mieszczańska. *Szlachectwo Duszy*. Tyrady. Tendencya psuje inne zalety. Niepretensjonalność komedyj Fredry. Komedia Kraszewskiego: *Stare Dzieje*. Myśl trafna, bo z życia wzięta.

---

Rzadkie to zjawisko w naszej literaturze — komedia, o którejby warto było coś powiedzieć. Nie skutkiem wyznaczonych nagród, ale popędem talentów pragnących myśl swą rozszerzyć w téj formie, niegdys używanéj tak dzielnie, póki ją romans ze stanowiska nie zepchnął—powstały: *Szlachectwo duszy* i *Stare dzieje*.

Pierwsza szczególnie komedia grana od roku wiele razy na teatrze warszawskim, miała tam niesłychane powodzenie, któremu wtórowała krytyka; o powodzeniu drugiej mniej wiemy z przyczyn, że przedstawiona na scenie żytomierskiej, ograniczyła się na miejscowym rozgłosie.

Jak jedna, tak druga poruszają się na polu kwestyj socyalnych.

Smutna to komika! ale cóż robić? żyjemy w epoce, w której nie można nawet zabawić się, żeby nie tracić o jaką kwestyę podającą w zagadkę cały nasz ustrój społeczny. Nie winować piszących; oni radzi nieradzi robią się wyobrazicielami swego czasu, którego główną chorobą jest ambicya, ale nie ta ambicya szlachetna i mężka, co sobie zakłada cel szlachetny i wszystkimi siłami idzie ku niemu, lecz pycha raczej nieokreślona, gorączkowa, zawistna, pragnąca wszystko pochłonać, zdobyć, w siebie wciągnąć, nie wiedząc nawet azali ta olbrzymia zdobycz zaspo-

koi jój pragnienia; pycha słowem napastująca nawet umysły wyższe, wybrańsze zdolności i zahartowane dusze. Przywara ta dotykająca całej generacji dzisiejszej, zasługuje może nietyle na potępienie, ile na litość, należy bowiem więcej do rzędu chorób niż występków, jeżeli zważymy na jak ciężkie męczarnie, na jakie moralne tortury wystawia się każda ambicya niemająca celu, przynajmniej wzniosłego i pożytecznego. Za jój poduszczeniem wrc ta wojna między społeczeńskimi warstwami, utworzonemi przez długie historyczne życie, i najczęściej wychodzi z tój warstwy, co się najmniej zasłużyła historyi. Stan średni, nadymający się częstokroć z osobistych przymiotów, które mu dały majątek, znaczenie w społeczeństwie i rozległe wpływy w interesach materyalnych, zdaje się zapominać, że te przymioty nie mogą się tak przekazywać na potomków, jak historyczne zasługi szlacheckich domów, z tój przyczyny, że żaden z tych przymiotów nie należąc do wyższego moralnego porządku, nie może tём samém służyć za związek tradycyjalny między jednym pokoleniem a następnymi. Honor, pobożność, sława rycerska, obowiązek poświęcenia się, dają się przeszczepić z duszy naddziada w duszę idących po nim pokoleń; nigdy zaś przez tradycję nie zaszczepi się w potomkach żądza zysku, wytrwałość w pracy i rachunkowość. Podrzędne te przymioty rozwinięte na uczciwym gruncie, mogą stworzyć familię,—i dawniej tak się działo, że podobne familie utrzymywały się długo, rosnąc w majątek i dobre imię, co pochodziło ztąd, że nietylko miały podania odnoszące się do handlu i przemysłu, ale i przekazywały sobie żywot skromny i cnoty domowe. Wtenczas to z bogactwem wiązało się znaczenie moralne; bogactwo było nietylko nagrodą, ale i przedstawicielem życia czynnego i cierpliwego. Dzisiaj wcale inaczej—fortuny spadają na dzieci bez obowiązków i cnót przywiązanych do stanu; że zaś nie bardziej nie psuje niż bogotwo nabyte nagle, więc się obudza pycha demokratyczna, niemogąca znieść nad sobą wyższości społecznej, należąc do innego porządku wyobrażeń. Na Zachodzie cały ruch socyalny wyszedł ze średniego, miejskiego stanu, z kąd przeniósł się do nas, z tą różnicą, że nie znalazłszy uorga-

nizowanego jak na Zachodzie stanu, poruszył tylko indywidualna, którym zasmakował racjonalizm, a szczególnie doktryna równości towarzyskiej, najjałowsza ze wszystkich doktryn, jakie kiedykolwiek wstrząsały światem; obudza bowiem tylko niesmak z położenia, w jakim tego lub owego Pan Bóg postawił, a nie uczy obowiązków moralnych, jakimi nie już wznieść się do rzędu historycznego stanu, ale swój własny stan uznać można. Ponieważ trzeba było koniecznie wynaleźć miarę, podług której nierówności towarzyskie miały się zrównać, wybrano sobie za ideał chłop, niewiedzącego nic a nie, że jest zbiorem doskonałości. Zazwyczaj najwięcej egzaltowali się nim ci, co właśnie najmniej go znali, bo najmniej zostawali z nim w styczności; ale że racjonalna teoria najlepiej dawała się w tym przypadku zastosować, więc na tym niby praktycznym polu, zaczęto podkopywać budowę społeczeńską, wyrzucając klasie historycznej, że nie ma prawa być czem jest, kiedy tak samo na świat przyszła, jak każdy chłop przychodzi, kiedy i u chłopca mogą być te same szlachetne uczucia i wniosłe myśli co i w najstarszym szlachcicu. Nikt o tym nigdy nie wątpił; z czegożby się rekrutował stan rycerski, jeśli nie z indywidualnych odznaczonych męstwem, nauką i zasługami około powszechnego dobra? Dla tego kiedy mowa o indywidualach, nie ma rozumną przyczyną przenosić zasługi i przynioty wyjątków na cały stan; ani z drugiej strony rzucać kamieniem na szlachtę, że się nie wyzuwa ze swoich tradycy, aby schłopic. Mniemam, że daleko mędrzej byłoby podnosić zalety każdego stanu, wystawiać jego obowiązki, jego posłannictwo, wpajać to przekonanie, że każde stanowisko socyalne da się uznać pracą, uszlacheić cnotami, że zamilowanie swego stanu więcej warte niż dobijanie się o równość w społeczeństwie, tak samo urojona, jak gdyby rolnik obrócił na to swoje gospodarze trudy, żeby mu wszystkie kłosa na łanie pod strzech rosły. Nowożytna pycha, nieprawo owoc z drzewa praw człowieka, wyrobiła tego ducha zawiści kłójącego jedne warstwy z drugimi. Dziś jeśli nie całkiem w rzeczywistości, to w literaturze naszej rozparła się wielmożnie owa pseudo-społeczna wiara, co pod płaszczykiem brater-

skiej miłości i równości, wypuszcza na szlachtę, jeśli nie chłopa, to Żyda lub Cygana, i zawsze tak szczęśliwie trafia, że nowi ci bohaterowie błyszcą szlachetnością, bystrym rozumem, uczuciem najdelikatniejszym, zgola przy ich wysokich przymiotach, stary potomek Lechity wygląda jak istny paryas. Zarzucisz krzywdę wyrządzoną stanowi i fałsz historyczny, odpowiedzą, że to się dzieje w najlepszej intencji, ku moralnej poprawie zepsutego potomka starożytnych rodów. Ależ takie cłłosty bez miłości, cłłosy zadawane zatrutą bronią, nie poprawiają nikogo, tylko osłabiają moralne znaczenie historycznego stanu, a w innych stanach wzbudzają jałową pychę i zawiść. To postępowanie naszych pisarzy nazwałbym istnem arabskiem lekarstwem dla koni; na wszelką bowiem chorobę używają tam ognia, i biedne zwierzę pieką rozpalónem żelazem, tak, iż w końcu pomimo rasowych przymiotów, ów orzeł stepu, ma gorszą minę niż fiakerska szkapa. Przewróćmy stosy powieści, komedyj, poematów, a wszędzie spotkamy jeden prawie temat: socyjalną walkę, tém gorszą, że nigdzie nierozstrzygniętą, a wszędzie tylko zaczepioną, zasiew bez przewidywania jaki zbiór będzie. Jest to charakter owój literatury mieszczańskiej grassującej we Francyi za Ludwika Filipa, która dziś przeniosła się do nas i zamieniła się prawie w jedyne źródło natchnienia piszących, tak dalece, że prawie wyrobiono sobie przekonanie, iż pisząc w tym duchu łączą przyjemność z pożytkiem, i spełniają wysokie kapłaństwo sztuki. Tymczasem kapłaństwa tam nie ma, gdzie fałsz zaśadą, a celem poróżnienie i zamęt wewnętrzny; co większa, mam to przekonanie, że nawet prawdziwy talent wprowadzony na to bezdroże, nie zdola się objawić w całej pełni, będąc zawikłany w formułkę społeczną całkiem negacyjnój natury. Traci on całą swobodę polotu, obserwuje w jednym kierunku i prędko zużywa się i wyczerpuje. Oklaski interesowanych nie są nieodwołalnym wyrokiem opinii; nie powinien zatem wyższy talent upajać się niemi, a tylko w sumiennem roztrząsaniu prawdy szukać swego kryterium.

Można sobie łatwo wyobrazić, jak niewesoła musi być komedia trącająca o socyalne trudności, zwłaszcza,

gdy odstępując od dawnéj reguły karcenia śmiechem obyczajów, bierze ze strony poważnéj swoje osoby, i traktując rzecz na seryo, rzuca niby wyrocznę budującego przykładu.

Taką komedią jest *Szlachectwo Duszy* p. Jana Chęcińskiego. Pomimo rzeczywistego talentu, z jakim napisana, mniej ona jest obrazem społeczeństwa naszego, a więcéj wymowną protestacją przeciw prerogatywie szlacheckiego urodzenia. Zadanie to sprowadzone całkiem na pole racjonalne.

Posłuchajmy treści:

Pan baron spodziewa się gości i każe przygotować obiad—wchodzi na to baronowa i dowiaduje się z niemalem zdziwieniem o gościach; był to bowiem ważny wypadek w rodzinie prowadzącej dom zamknięty. Jakoż szczegół ten daje powód do trafnie zawiązanéj rozmowy między baronem a baronową, w której pierwszy oznajmia jéj, iż postanowił wydać córkę Anielkę za mąż. Za kogo? Nie za księcia, nie za hrabię, nawet nie za barona jak on— a więc za szlachcica? I to nie—za człowieka z gminu. Baronowa wystawiona w charakterze zabitéj arystokratki, oburza się na ten projekt. Lecz baron tłumaczy jéj, że narzeczony Anielki jest synem ich sąsiada pana Wilczury, który acz z kmieciego stanu, dorobił się majątku, syna pięknie wychował, dał mu stan doktorski, że wreszcie Anielka kocha Czesława... Baronowa, której cała komika w tém się zawiera, że co chwila mówi: „Ach, zemdleję!” pragnie dowiedzieć się z ust córki, czy mogłaby zrobić tak poniżający wybór? Przywołana Anielka zapytana, czy może kochać Czesława? Odpowiada: „Mogę, mamó!” Tutaj baronowa nie rzuca jéj argumentami o przodkach, bo te dzisiaj uznane są za przesąd, za głupstwo, ale przedstawia nierówność wychowania i nawyknień:

„On swych pojęć, swych uczuć nigdy nie nastroi  
Do wysokości pojęć wyobraźni twojéj;  
Ty pójdiesz za szlachetném, on go nie zrozumie,  
Przypisze je dziwaectwu, wzniosłość uczuć dumie,  
Rzucać mu będziesz perły na uragowisko,  
Bo co nizko zrodzone, zawsze spadnie nizko i t. d.”

Na takie *dictum* Anielka broni się w ten sposób:

„Ja kochani rodzice sercem w serce patrzę;  
Tu na wsi ciągle prostym ludem otoczona,  
Gdzie uczucia swobodniej wybiegają z łona,  
Gdzie co w myśli to w mowie, co w sercu to w czynie,  
Często tyle zacności widzę, że w tój mierze  
Wpływowi urodzenia bynajmniej nie wierzę.  
Czyżby Bóg, znając względy nam podobnym winne,  
Dawał im inne dusze, a prostakom inne?  
Nie, każdy z jednakową idzie na świat boży,  
A jak się tu kieruje, czy lepiej, czy gorzej,  
Czy się uczuciem wzniesie, czy upadnie nizko,  
Na to pewnie nie wpływa ni herb, ni nazwisko...  
Wszak tego przekonania żaden głos nie zgłuszy,  
Że najpierwszém szlachectwem jest szlachectwo duszy  
A do niego otwarta dla każdego droga,  
Bo herb ludzie stworzyli, a dusza od Boga.<sup>7</sup>

Tyrada panny Anieli stanowi, rzec można, jądro pomysłu autora, na niej też moralność całej komedyi osnuta. Lecz słowa włożone w usta młodej wychowanej sielankowo panienki, a do tego patrzącej na świat przez pryzmat uczuć kochanki, nie wiem jak pogodzić z tą znajomością rzeczywistego świata i rzeczywistych ludzi, jakiej wymaga się po autorze komedyi? Rozmarzenie dziewiczego serca, a wytrawny pogląd głębszego obserwatora ludzkich stosunków, charakterów, wad, śmieszności—są to dwie odmienne rzeczy, niechodzące z sobą w parze. Tymczasem, jak widzimy, na tym pomysle będącym tylko piękną tyradą, zyskującą zazwyczaj oklaski, osadziła się cała sztuka w tém właśnie chybiona, że założenie wywołuje protestacyę. Niech przebaczy panna Aniela, ale to nie jest prawdą dowiedzioną, by między prostym ludem zawsze było to w myśli co w mowie, lub żeby wszystkimi tam uczuciami kierowała tylko święta wiara. Lubo wiemy z katechizmu, że Pan Bóg nie dał innej duszy dobrze urodzonemu a innej prostakowi,—jednakże nie możemy zaprzeczać patrząc w rzeczywistość, żeby tradycye przywiązane do rodu i nazwiska nie miały wpływu na człowieka i nie uspa-

sabiały go do spełnienia wielkich powinności, na obszernej scenie życia niż zakres, w którym się wieśniak obraca. Różność położen niepowinna się mierzyć jedną miarą. Każdy stan niechaj się mierzy tém, co najlepszego ma w sobie; inaczéj wywołuje się tylko bezowocna walka, poniżanie jednych przez podniesienie drugich, napad jakiegóś niesforsowanej jeszcze cywilizacyi racjonalnej na starą cywilizacyę chrześcijańską mającą za sobą ośniu wieków świadectwo.

Ależ wracam do treści. Baronowa usłyszawszy zdanie panienki, najnaturalniej nie chce zezwolić na ten związek, i błogosławieństwa odmawia. Baronowa nie jest tu wcale śmieszna, i autor dobry miał instykt, że ją śmieszna nie zrobił. Nie wiem czy znajdzie się w całej Polsce tak postępową szlachcianka, a jeszcze bardziej mieszczan-ka, któraby nie znając narzeczonego swéj córki, przyjęła z zimną krwią wiadomość, że pan naręczony jest synem spanoszonego chłopca. Czy przyjdzie kiedy do tego, że w podobnych okolicznościach matki będą zważały tylko na wzgląd moralny, nie dbając o względy zewnętrzne i przyzwoitości światowe? Nie wiem; chyba poezya *przyszłości* mogłaby nam tę zagadkę rozwiązać. Po indygnacyi baronowej Anielka ustępuje ze sceny. Zostają sami baronowstwo. Tutaj potrzeba było autorowi koniecznie osłabić powagę matki, i wziął się do tego w ten sposób, że wprowadził poufną małżeńską rozmowę, w której baron daje wcale niezachwycający obrazek swéj połowicy. Próżna, utratna, życiem nad możność zrujnowała majątek, najczulszą miłość małżonka płaciła obojętnością; on śmiertelnie chorował, ona balowała; zajęta sobą, nie pamiętała o własnej córce, która wyrosła i wychowała się jakby nigdy matki nie miała,—słowem dowiadujemy się z powieści barona, że baronowa istny potwór, z czego możnaby ten wniosek wyprowadzić, że wszystkie matki, które nie pozwalają na mezalians swych córek, są potworami. Koniec końców małżeństwo to wcale niebudujące. Żyją razem, lecz serca ich rozdzielone. Baron, jak powiada, wyleczony ze ślepej miłości, bierze jéjmość w karby, ucieka z Warszawy na wieś, gdzie chcąc ratować resztki fortuny, ogranicza się w wydatkach

a pracuje za dziesięciu—ale kto raz zabrnął w długi, ten niełatwo z nich wybrnie. Baron robi wyznanie swęj żonie, że nie mogąc już nic poradzić, będzie musiał z majątku ustąpić... Cios to okropny! Na to wszakże nie ma innego środka tylko połączyć Anielkę z Czesławem, synem Wilczury,— bo Wilczura ma pieniądze... Kwestya przechodzi na pole finansowe—baronowa zdaje się ulegać konieczności, jednak walczy z sobą: czy lepiej znosić nędzę, czy klejnot domu kazać mezaliansem? Bądź co bądź postanawia nie dopuścić tego związku...

W tém nadjeżdżają spodziewani goście na obiad, to jest stary Wilczura z synem Czesławem. Wilczura jest to sobie prosty, nieco rubaszny człowiek, trochę dumny z majątku, którego się dorobił, lecz najdumniejszy z syna, że się tak udał... Połączenie się z baronówną pochlebia mu, ale mu nie imponuje, bo jego Czesław skończony doktor, mógłby posunąć się nawet o królownę. Posłuchajmy jak rozumuje o tém małżeństwie, mówiąc do syna:

„Łatwiej być baronówną niżeli doktorem;  
Nikt od razu uczonym nie wpadł do kołyski,  
Tytuły po rodzicach to nietrudne zyski,  
Z niemi na świat przychodzą co godzina krocie,  
Tytuł zyskany pracą, grosz zebrany w pocie,  
To mi rzecz mosterdzieju, co uzacnia człeka...”

Otoż i nowy attak tak zwanęj intelligencyi na przywilęj urodzenia. Stary Wilczura chce dowieść, że pod każdym względem syn jego równy baronównie. Jest to nacisk, ile mniemam, nader zbyteczny—u nas bowiem instytucya szlachecka, najelastyczniejsza ze wszystkich podobnych instytucyj na świecie, łatwo wcielała w siebie każdego, co przyniósł z sobą imię zdobyte nauką, lub pięknymi obywatelskimi cnotami ozdobione; zasługa majątku jeśli mniej ułatwia zbracenie się, natomiast dostarczała sposobów podszycia się pod herb i imię, a w najgorszym razie, nabycia tytułu. Autor widocznie całą komedę napisał, aby okryć śmiesznością przywilęj urodzenia, i dla tego występuje niejako w imieniu nieuprzywilejowanych upomi-

nając się dla nich o równość w społeczeństwie. Nie sposób, żeby autor nie wiedział, że owa doktryna równości należy do złudzeń najoczywistszych, do rzędu tych sztandarów wywieszanych w pewnych widokach, aby je potem do kieszeni schować—zresztą chyba to go usprawiedliwi, że dał się uwieść owój doktrynie naszego znanego historyka, który wyrzekł: „Najlepiej będzie, jeżeli parobki żenić się będą z naszymi szlachciankami, a nasi panowie z chłopkami.” Do czego to wszystko zmierza? Oto do zajęcia stanu przeciw stanowi, co z missyą pisarza, poety wcale się nie zgadza...

Kiedy tak Wilczura z synem rozmawiają w domu barona, zjawia się hrabia Stefan. Czesław i on znają się, więc tytułem znajomości następuje poufna pogadanka, z której Stefan dowiaduje się, że Czesław jest narzeczonym Anieli. Niemałe zdziwienie. Tu zawiązuje się właściwa intryga; gdyż Stefan wyrozumiawszy, że Wilczura życzy sobie dla syna party bogatęj, wykrywa Czesławowi, iż baronowstwo są zrujnowani na majątku, co będzie zapewne w niesmak takiemu dorobkowiczowi jak Wilczura. Czesław przerażony w duchu tém odkryciem, które mogłoby zerwać związek z Anielą, układa plan i zapewnia Stefana, że jest bogatą, gdyż dowiedział się w banku o stu tysiącach na jęj rzecz złożonych. Usłyszawszy o tém Stefan, powiada mu, że odtąd ma w nim rywala, i zapewne szczęśliwego, gdyż Anielą zawsze mu się podobała, lecz potrzebując majątku, nie mógł starać się o jęj rękę; dziś ze zmianą fortuny pewnie ją otrzyma; zakłada się nawet z Czesławem, że dopnie swego. Ma się rozumieć, że odtąd chwiał się poczyną małżeństwo Czesława z Anielą. Stefan zawsze zostający w łaskach u baronowęj, choć lekceważony przez barona, pokazuje się dla nięj prawdziwą łódką zbawienia, gdy ją uwiadamia o owych stu tysiącach w banku i o zamiarze ożenienia się z Anielą. Niemily związek z Czesławem, na który prawie zezwalała z powodu ruiny majątkowęj, upada teraz. Baronowa czując pód sobą silniejszy grunt, zaczyna działać... Anieli łatwo wyperswadowano interesowną miłość Czesława, gdy wprzód nim o jęj rękę prosił, dowiadywał się w banku o stan majątkowy. Po-

wstaje ztąd niemałe zamieszanie; panna Aniela zimno przyjmuje Czesława; baron niby zakłopotany nie wie co to znaczy; baronowa z góry traktuje Wilczurów—słowem szala przechyla się na stronę rodowego przywileju. Lecz w końcu wydaje się cała intryga: owe sto tysięcy w banku złożone dla Anieli przez jakiegoś kuzyna jój, wielkiego kutwę, Radosta, pokazały się w końcu złudzeniem o tyle, że to właśnie Czesław je tam złożył, chcąc tym sposobem usunąć jedyną przeszkodę w otrzymaniu ręki Anieli. Baronowa spada ze swego rusztowania, Stefan zwiija chorągiewkę—pole otrzymuje Czesław i ojciec jego, który, gdy się intryga wydała, najszlachetniej ofiaruje pomoc pieniężną baronowi, aby go z trudnych interesów wydobyć—lecz i tu szczęśliwe odkrycie. Baron bowiem wyznaje, że tylko udawał zrujnowanego—w istocie zaś przyszedł do znacznych kapitałów, które przeznaczają na posag dla córki! Baronowa pokonana szlachetnością Wilczurów, daje błogosławieństwo narzeczonym, lecz wierna swój roli na stronie powiada: „Ale co świat powie!”

Cóż ma świat powiedzieć? Świat tak samo zrobi jak baronowa, i takich Wilczurów pełnych szlachetności, światła, wzniosłych sentymentów, dopuści do najlepszych towarzystw, wcieli do najwywilizowańszej warstwy narodu. Autor szczerze pragnął całe *odiosum* dumy rodowej włożyć na grzbiet mdlejącej baronowej; chciał zrobić z niej istotę o tyle śmieszna, o ile wzdarda godną — a właściwie gdyby parę śmieszności wyrzucić, przedstawił matkę, która nie znając narzeczonego swój córki, ani ojca jego, zżyma się na niestosowność tego związku z człowiekiem prostej kondycyi, i gdyby nie baron, który odsonił przed publicznością szkaradne strony swój połowicy, każdy przyznałby jój słusność. Owszem, może mimo woli autora, baronowa najlogiczniej trzyma się do samego końca komedyi; z poznaniem Wilczury i jego syna, jeżeli nie jest zaraz podbita rubaszością starego, to wina jój wychowania i nawyknień towarzyskich; lecz odkąd wystawiła na próbę charakter tak ojca jak syna — uległa, w braku szlachectwa rodu, przed szlachectwem duszy.

Charaktery w komedyi téj są dobrze postawione, odznaczone i utrzymane. Baron, rodzaj domowego Ludwika Napoleona, po ekscesach bezporządku sprawionego w majątkowych i małżeńskich interesach przez baronową, spełnia rewolucyę, ujmuje rząd domu w silne karby, pozwala małżonce mdleć, gadać i intrygować, ale mimo tego przeprowadza swój plan do końca. Mszcząc się niejako na świetnym towarzystwie warszawskiem, które przyprawiło go o ruinę majątku i podkopało szczęście małżeńskie, staje się wyznawcą zasad socyalno-postępowych, ale jako rozumny i praktyczny człowiek praktykuje, unikając wiatrem nadzianych deklamacyj. Aniela, niewinne i proste serce, odzywa się z sielankowém wyznaniem o idealnej doskonałości ludu, któreby mogło bardzo być komiczne, gdyby autor nie chciał go zrobić poważnym. Czesław, piękny, szlachetny charakter młodzieńca, nie wyjeżdża z teoryami o społeczeństwie; widać, że będzie umiał żyć po ludzku i po bożemu. Stary Wilczura zacyjny sercem, rubaszny w mowie, niczém nie zdradza swego pochodzenia; każdy wziąłby go za dobrze mającego się szlachcica z zaścianku, tak przynajmniej w powieściach i romansach malują ten typ narodowy; co tylko wskazuje w nim nową jakąś formacyę w duchu demokratycznym, to owe i tym podobne wyrazy wyrzeczone do baronowej:

Gdyby nowozrodzonych, jakie bądź ich miano,  
Jak przyszli na świat w jednej kołysce zmieszano,  
Nie wiem czyby dla pani był interes łatwy  
Rozpoznać baronowską od prostytutkij dziatwy,  
Choćby nawet przez szkieleko oprawione w złoto...

Zapewne, żeby trudność była nielada, jeśliby się zawód nowonarodzonych zamykał w kolebce; lecz gdy się inaczej dzieje, powyższe słowa Wilczury tehną pustą frazeologią. Żartowano sobie z tyrad Księżtwa Warszawskiego i z tych nieuniknionych rymów: Ojezyzna, blizna; wolności, ludzkości; tyrany, kajdany,—lecz dzisiejsze apostrofy w guście przytoczonych, nietylko nie ustępują tamtym pod względem szumu, ale moralnie wzięte są gorsze,

bo obalamująca słabe głowy pozorami jakiejś głębokiej prawdy...

Nigdy nie bylbym rozszerzał się nad tą stroną komedyi p. Chęcińskiego, jest bowiem takiej natury, że wartość odbiera pismom przeładowanym grubą dozą podobnej doktryny. Szczęściem w komedyi *Szlachectwo Duszy* doktryna gra rolę intruza zawadzającego niepotrzebnie. Rozprawiwszy się z nim, pozostaje utwór artystyczny pełny rzadkich przymiotów. P. Chęciński od razu dowiódł, że ma talent do dramatycznej poezji. Poznał tajemnice sceny, zawładnął językiem, który wszędzie jest łatwy i ożywiony. Szczególniej większa część pierwszego aktu rozwija się przeWybornie, intryga zawiązuje się w jednej chwili i tworzy nieporozumienie między stronami, które znowu z wielką prawdą umiał rozwikłać pod koniec. Ożywienie dialogu można mu policzyć do największych zalet; o dowcipny zwrot, lub trafne słówko, nietrudno u niego—ale o komikę, coby to obudziła wesołość serdeczną, o koncept, coby przeszedł na własność ogółu i powtarzany wywołał dobry humor i zamieniał się prawie w przysłowie... o to ani pytać.

Na komediach Fredry skończyła się prawdziwa komedia niepretensjonalna a karcąca, bez wysileni dowcipu a dowcipna, nie pusta i trywialna jak farsa Nestroja, a pobudzająca do śmiechu; pełna komicznego żywiołu, dawała tylko dobry humor i myśl pogodną, a bynajmniej nie poruszała jadów pychy i zawiści, nie jątrzyła jednych klas przeciw drugim, jak to praktykuje dzisiejsza płacziwa komedia...

Wspomniałem na początku o komedyi J. I. Kraszewskiego *Stare Dzieje* z uwagą, że się także porusza na gruncie socyalnym—to prawda, tylko między socyalizmem *Szlachectwa Duszy* a *Starych Dziejów*, wielka różnica. P. Kraszewski bystrym okiem obserwatora, przed którym nie uchodzą najprzelotniejsze drgnienia w naszym społeczeństwie, dostrzegłszy jaki popęd, poryw, lub dążność złą lub dobrą, słabą lub gorączkową, umie pochwycić ją na uczynku, przedstawić praktycznie, ożywiwszy postaciami, które odgrywają to samo w świecie fantazyi, co się odgrywa w rze-

cywistości, to jeszcze przynosząc w zysku, że kiedy w istotnym świecie dramat urywa się, rzecz upada—u niego dogonywa swojego kresu i zaokrąglą się w całość. W każdym jego utworze znajdzie się bodaj jedna postać, w której uosobił interes, zajęcie chwili. Jest to zatem pisarz socyalny, lecz nie na sposób owych, co przyczynają ludzi do prokustowego łoża, tylko prawdziwy dyagnosta swojego czasu, bada gdzie bije duch ukryty, szuka utajonych resztek życia, i chuchając na nie, rozgrzewając sercem, pragnie szczęśliwym zostać lekarzem...

Podobną drogą powstała i komedia: *Stare Dzieje*. Właśnie komitet do zmiany stosunków włościańskich zasiadł i radził o przyszłości. Autor chciał do niego przemówić w imieniu przeszłości, i obrał na to scenę, jedyną po ambonie trybynę.

Szczęśliwy pomysł do téj komedyi sam się nastreczył jako fakt powtarzający się często nawet za dni naszych, i to w prowincjach, gdzieby najmniej można go się spodziewać, bo na Rusi.

Ekonom czy rządcą, służy od lat wielu hrabiemu i gospodaruje w ścisłym znaczeniu, jakby na swoim. Hrabia zaś oddany nauce, sztukom pięknym, goniący za jakimiś wzniosłemi rojeniami, jak to nierzadko zdarza się między starą szlachtą niemogącą otrząść się z cywilizacyjnego duchowego posłannictwa, aby zamienić się w kolonistów i handlarzy,—powoli traci majątek, a w miarę jak go traci, niewierny sługa panoszeje. Koniec końców przychodzi do tego, że p. Bartłomiej Jaczeńko, rządcą dóbr ponabywawszy weksle hrabiowskie, zamyśla z folwarku przenieść penaty swoje w ściany pańskiego dworca. Żeby zaś ozłocić pigułkę, ośmiela się zrobić propozycję hrabiemu ożenienia swego synka z hrabianką, a przez ten układ, hrabiemu wolno będzie położyć kości w ziemi dziedziczonej od trzech wieków... Pocieszne to figury tych folwarcznych dorobkowiczów. Ojciec głupi a chytry jak lis, chce być zuchwałym i z góry traktować swego pana, lecz od młodu przywykły stać u progu i chwycić za stopki, nie może odegrać roli dóbr posiadacza. Syn, don Juan wiejski, zaprawiony na młodych, zepsuty w najgorszym

towarzystwie, jakże komicznie idzie w oświadczeniu do hrabianki! Niewyczerpane to motywa prawdziwie swojskiej komiki, których jednak Kraszewski zaledwie dotknął przelotnymi rysy. Wielka szkoda! Lecz zawsze tak bywa, ilekroć autor podda się naciskowi jakiegoś blizkiego celu i doraźnego zastosowania do okoliczności. W dzisiejszej postaci jest to zaledwo szkic komedyi; przy swobodzie myśli niekrepowanej dziennymi sprawami, byłby to najpiękniejszy, najoryginalniejszy twór dramatyczny.

Wyobrazić sobie łatwo, jak okropne jest położenie hrabiego, przeklinającego w sobie ten pociąg ku wyższym pracom, kiedy obowiązek dla dziecka i dla kraju nakazywał pamiętać o chlebie powszednim. Nierównie więcej cierpi Aniela—bo i za ojca, i za siebie. Zaręczona ze szlachetnym, lecz ubogim młodzieńcem, po oświadczeniach ekonomskiego synka, gotowa jest zrobić największe poświęcenie się i wyrzec się prawdziwej miłości, a rękę oddać temu, którym pogardza... Lecz jest Opatrzność czuwająca nad nieszczęściem, zwłaszcza jeżeli kto zasłuży na opiekę Opatrzności. Hrabia na nią zasłużył, był to bowiem najlepszy, najmiłosierniejszy pan dla poddanych; on ich osłaniał, on bronił zawsze przed drapieżstwem i tyranją Jaczeńki. Owoż gdy się dowiedziała gromada, że Jaczeńko ma zostać dziedziecem, a dawny dziedzic odarty z majątku ma ich opuścić—przejęta przywiązaniem do tego, co był ich ojcem, truchlejąca na myśl, że się dostanie w ręce twardego dorobkowicza, postanowiła między sobą złożyć się na sumę wartości majątku i ofiarować ją hrabiemu. Hrabia przyjął z wdzięcznym sercem ofiarę, lecz za to zniósł pańszczyznę, i grunta, na których siedzieli, oddał na wieczną własność...

Nie ma tu nie naciąganego do jakiejś postępowej teorii; rzecz dzieje się po prostu, jak nieraz zdarzała się w życiu, gdzie i takich ekonomów nietrudno znaleźć, i takie gromady się spotyka... Rys przywiązania naszego ludu do dawniej, zasiedzialiej na jednym miejscu szlachty, nie jest wymysłem fantazyi autora, ale prawdą pokazującą, jak silne były węzły tego społeczeństwa, które pomimo warstwowych nierówności, stało na daleko świętszych prawach ojcowskiej miłości i dziecięcego przywiązania, niż

prawo nowożytnego umysłu usiłujące zetrzeć wszystko w pył równości, aby każde indywiduum stało w egoistycznym odosobnieniu z prawami człowieka w kieszeni, bez żadnej potrzeby miłości i uszanowania tam, gdzie nie łączy przypadkowy affekt lub osobisty interes.

Szczere dzięki Kraszewskiemu, że dotknął tej pięknej strony ziemiańskiego żywota; a chociaż komedia jego wcale niewesoła, i prędziej łzę wycisnie niż do śmiechu pobudzi, z tém wszystkiém przez ten płatek błękitu, jaki nam wskazał na tle pochmurném, spływa więcej pociechy niż kiedykolwiek spłyne z rymów i nierymów pisanych na cześć bóstwa Równości.

---

## VI.

# POEZJA UKRAIŃSKA.

Prowincjonalizm w twórcach sztuki. *Powieść Ostatniego Torbanisty*  
Wacław Rzewuski. Postać ludowa. Śmierć tajemnicza. Prawdziwy  
obrazek ukraiński.

Otoż nowy produkt „Szkoły Ukraińskiej!”

Prowincjonalizmy zaczynają coraz odrysoвывать się na tle ogólném narodu. Czy to dobrze? Czy téj myśli nie pochwyci kto inny i nie skorzysta z niéj? Odpowie nam zapewne pan Michał Grabowski, który inaugurował szkołę ukraińską i bardzo cieszył się z niéj. Odkąd też postawił swoje twierdzenie, mnożą się coraz bardziej prowincjonalne utwory, których widok z góry przesywa dreszczem, i każe się obawiać potężnych nudów dla czytelników niebędących téj saméj parafii co autor.

Tak mię trapiła ta mania parafiaństwa, praktykowana w sposób ciasny, komerażowy i drobiazgowy, że niegdys w oburzeniu aż wypaliłem epigram:

Prowincjonalizm jakby w febrze zimnéj,  
Ciało schorzałe rozbiera do kości,  
Autorów nie stać na wspaniale hymny,  
Płodzą stek bajek, obrazów i złości,  
Co wszystko ma być w lokalnym kolorze,  
Czytaj ich w miejscu, za miejscem — broń Boże!

Czy i ten poemat ukraiński, który mam przed sobą, do téj malutkiej szkoły należy? Zobaczymy.

Czytam więc tytuł: *Powieść Ostatniego Torbanisty*, spisał Roman Szkarłupko.

Torbanista musi być koniecznie Ukraińcem, to już rzecz dowiedziona. Trzeba, jak widzę, zanurzyć się w tym żywiole hajdamaków, czarownic, upiorów, oczek czarnych, sobolich brewek, motornych mołojców i oczeretów! Zbyt to często powtarzana kąpiel—ale cóż robić! Jakiś nieznanany autor! Szkarłupko!!... To pseudonim... Bóg wie kto się ukrywa pod tém nazwiskiem fantastycznym... Mniejsza o to; dziś moda w literaturze przybierać pseudonimy, choć nieraz wymówione i właściwe nazwisko tyle znaczyłoby co pseudonim. Osobliwa skromność, czy pretensya? Czytajmy!...

Przeczytałem, i to bez odłożenia książki.

Twoja wygrana, panie Szkarłupko! Choć nie wiem kto jesteś, ale jednym skokiem, wcale niebezpiecznym, stanąłeś od razu obok Maryi, Zamku Kaniowskiego, Rusalek, a poemata Aleksandra Grozy przyćmiłeś żywością opowiadania, rysunkiem figur i tym urokiem, który jest własnością tylko przyrodzonego daru... a jeśli czego można ci zazdrościć, to, żeś umiał być samym sobą, czyli mówiąc dobitniej, żeś nie używał téj saméj maniery co twój poprzednicy.

Przystąpmy do treści:

*Powieść Ostatniego Torbanisty*, opisująca tajemniczy zgon Wacława Rzewuskiego, znanego w świecie uczonym z biegłości w literaturach orientalnych i podróży po Wschodzie, w obywatelskim z czynnego udziału w pracach Czackiego około podniesienia szkoły krzemienieckiej, z wychowywania stad dzielnych koni, nakoniec z patriotyzmu pełnego poświęcenia się,—pokazuje go jeszcze w stosunku do prostego ludu, który go znał, kochał, podziwiał, i nazywając Orłem-Atamanem, gotów był za nim iść w ogień. Jest to jedna z tych poetycznych postaci, co wśród prozy powszedniego życia ściągała na siebie oczy wyższych towarzystw, nierozumiejących jęj częstokroć, jako wykraczającej po za przyjęte reguły konwencyonalne. Tacy nazywali Wacława dziwakiem, ekscentrykiem, oryginałem, wyklinali go prawie ze swego koła, trwożni o własną moralność mogącą uleść wpływowi jego wyobrażeń i obyczajów orientalnych. To

pewna, że rozmówany w swobodzie synów pustyni, chciał ją przenieść na step Ukrainy, i hodując szlachetne Kohej- lany, otaczając się tłumem mołojców, dobrych do szabli i konia, prowadził prosty i obozowy żywot Beduina. Jeżeli tedy w jednej części społeczeństwa ówczesnego spotykał Waclaw oziębłość i pewne stronienie, za to między prostym ludem i dziarską młodzieżą używał niepospolitą wziętości. Co większa, instykt największego poety umiał go znaleźć w tłumie ówczesnych sław i znakomitości i unieśmiertelnić w pieśni. Farys—ów rycerz w puszczy wyzywający na rękę żywioly wstrzymujące pęd jego swobodny w nieskończoność— to Emir Tadz-Ulfehr... to uosobiony naród, palony pragnieniem swobody...

Fikeya, senne marzenie przyoblec się miało w rzeczywistość... Farys sam jeden łamie się z huraganem na stepie daszowskim i znika... O tajemniczym końcu dziwne biegają wieści... Sama tajemniczość, to już bogata kopalnia dla poetów,— a cóż dopiero poezya w czyn zamieniona, owa rozpaczliwa walka z przemagającą siłą, ów bohaterski zgon na polu bitwy, czy zgon przez zdradę... mniejsza o to, dość, że zgon godny rycerza... Odtąd ukraiński Emir często zjawia się snem naszych pieśniarzy, a wspomnienie o nim płacze się po strunach elegicznej lub bohaterskiej liry. Słowacki, Pol, Padura, Michał Budzyński i wielu jeszcze opiewało tę osobliwą postać, powlekając ją kolorytem wschodnim jak Byron swoich Giaurów i Konradów, a dając jej duszę którego z owych atamanów żyjących w dumce ukraińskiej i w dziejach Rzeczypospolitej.

Od wszystkich odrębną drogę obrał sobie autor *Powieści Ostatniego Torbanisty*: ojca Rzewuchę, Orła-Atamana, jak go pospołu z ludem nazywa, przeprowadza on przez wyobrażenia i przez usta gminu. Dziad torbanista, włączając się z siola do siola, z prężnika na jarmark, opowiada dzieje swojego niegdyś *bat'ka*, u którego we dworze był kozakiem. Wyrażenia się, język, pojęcia, uczucia ludu ukraińskiego wyczerpnięte na miejscu, użyczają oryginalnej barwy całej tej kompozycji, odznaczającej się wybornym rysunkiem charakterów i fizyognomij. W całej naszej poetycznej literaturze rzadko o utwór, któryby tak mało miał

naleciałości książkowych, któryby samorodnie powstał z soków rodzinnych, niż ta powieść torbanisty. Jest to prawdziwy *tour de force*, niełatwy do naśladowania, chociaż niezawodnie naśladowców porodzi i wyrodzi. Jest w tym utworze coś wyjątkowego, jak wyjątkowym był bohater. Tytu go śpiewało! nasz pseudonim jeden tylko umiał go skapać w poetycznym żywiole ludu, i w tym nie oddalił się od prawdy, bo ojciec Rzewucha był rzeczywiście z rodzaju tych bohaterów, co się dostają do pamięci prostego gminu i długo działać będą na jego fantazyę.

Treścią tego poematu jest miłosna intryga ze wszystkimi perypetyjami zazdrości i zemsty: miłość Orla-Atamana do ślicznej Ukrainki spotykająca się z miłością dworskiego kozaka. Walka nierówna — śmiałżeby sługa rywalizować z panem? Lecz namiętność nie zna się na tych socyalnych różnicach... Rozkochany kozak sięgający po pańską kochankę, zdruzgotany, zgina czoło pod twardym losem—ale w sereu poprzysięga zemstę...

Po nieszczęśliwej klęsce daszowskiej, Orzeł-Ataman uchodzi pogoni—i wtenczas to, jak cień chodzący za nim rywal, topi mu nóż w bezbronnej piersi... Wieść krążąca o zginieniu hetmanicza przypisywała zabójstwo łakomstwu chłopa, który postrzegł u niego złoto... Poeta lubo szlachetniejszą pobudkę wynalazł do zbrodni, nie ujął nic prawdziwie, a interesującą uczynił powieść. Vendetta ukraińska nie jest własnością obyczajów jak na Korsyce, ale może być we krwi, jeśli nie w tym stopniu co *Krwina* Słowian południowych, czarna jak przepaści skał Montenegrojskich, to w odpowiednim do melancholijnego stepu... Nic dziwnego. Lud żywszych namiętności ma w sobie materyał do katastrof tragicznych; a tych nie braknie w dziejach Ukrainy.

Cała budowa tej powieści składa się ze scen bardzo malowniczych, niewyszukanych, bo wziętych z rzeczywistości, a wysuwających się jedne z drugich. Nie przerywają jej toku żadne ustępy odrywające uwagę, czasami tylko miesza się liryczna przegrawka, jakby westchnienie wiejskiego rapsoda do lepszych czasów, co bezpowrotnie minęły, i dzielnych młojców, co śpią w mogiłach. Forma ta odpowiada całkiem naturze dumy ukraińskiej, w której naj-

czystsza epika nie obejdzie się bez lirycznej przygawki lub apostrofy. Poeta po mistrzowsku odgadł te tajemnice kompozycji gminnej, a odgadłszy, ma tę wielką zasługę, że nie zmanierował, niczego nie nadużył. Same nawet ruskie prowincjonalizmy, tak przeważnie wchodzące w skład jego dykeyi, od razu przyswojone zostały, bo nawet Mazur czytając je, z samego sensu odgadnie.

Poemat ten będąc zresztą wzięty ze świata ludu wiejskiego, musiał być trzymany w tym tonie, témbardziej, że to pieśni jarmarcznego dziada, który niegdyś służył za torbanistę przy Orle-Atamanie i był smutnym świadkiem jego zgonu. Kilku, lecz przepyszniemi rysami oddał on tę postać. Jest to, można rzec, pisany portret. Kto nie znał Wacława, wyobrazi go sobie; kto znał, przypomni, jakby żywcem przed nim stanął.

Oj—bo też łebski był ojciec Rzewucha!  
 Skoroś raz widział, poznałbyś go wszędzie:  
 Wąs zawiesisty od ucha do ucha,  
 Jak złota frendzla przy tureckim rzędzie,  
 Igrał się z wiatrem; nos kształtny choć duży,  
 Łukiem się zginał jak dziobek kobuzi;  
 Oko wypukłe, siwe, tak świeciło  
 Jakby płomieniem coś się w nim paliło;  
 Czoło wysokie, trochę w tył podane  
 W brózdki kłopotów drobno poorane;  
 I sam—nierosły—choć i niemaleńki,  
 Zresztą, do orła tak podobniuteńki,  
 Jak ot, dwie dłonie; z kąd mu też dawano  
 Czasami Orła-Atamana miano.

W opisach poeta celuje. Chatka Tatiany z fotograficzną wiernością skreślona.

Chatyna była, pamiętam jak dzisiaj,  
 Już podupadła: pokurezone ściany,  
 Poszycie z mierzwy, z wierzchu trochę błota;  
 Jak nieczesana dziadowska czupryna,  
 Pośrodku dziura na miejscu komina,  
 A w okolutko ni koła, ni płota....

Wewnątrz świetliczka ciasna, ale luba.  
 Jaka tam czystość! pod piecem kociuba,  
 Miotła, łopata, nadedrzwiami półka,  
 A na niej rynka i garnków dwie pary;  
 W kącie weretą zasłonięone nary,  
 Nad niemi woda święcona i ziółka.  
 Pod drugą ścianą czyściutka ławeczka,  
 Na stole kołacz, czareczka, flaszeczka,  
 A w samym kącie, gdzie lampa przyświeca,  
 Święty Mikołaj i Boża Rodzica....

Żywo to oddane, jakbyśmy własnymi oczyma patrzali  
 na stepową chatynkę...

Głęboka znajomość wyobrażeń ukraińskiego chłopca  
 przebija w rozmowie Lesia z Neczeporem w karczmie...  
 Z rozmowy wszechyna się spór, i może przyszyłoby do czubów,  
 ale wpadł asawuła Dubyna i krzyknął, że z rozkazu pań-  
 skiego mają wszyscy dworscy kozacy zebrać się w stajni  
 i co świt siedzieć na koniach.

Otoż i wyprawa! Stańli Ukraince w drużynie bratniej  
 z Lachami pod atamanstwem Orła-Rzewuchy.

Nazajutrz do świta,  
 W sawrańskim stepie stańła jak wryta  
 Na rażnych koniach kozacza drużyna,  
 Jak ciął dwie setnie; a każdego mina  
 Taka zuchwała i ostra mospanie,  
 Jakby sto dyabłów połknął na śniadanie!  
 W górze nad spisą, płateczek jak z tęczy,  
 A z boku szabla wyostrzona brzęczy.

Przyszli pod Daszów, a tam huczno i biesiadno, a ładu  
 za grosz, prawdziwe pospolite ruszenie pod osiwałym jak  
 gołąb wodzem... Kozaczy zastęp posuwa się pod Lewuchy  
 i tam spotyka się z wrogiem; już, już zwycięztwo po stronie  
 molojców:

Orzeł-Ataman na przedzie hasa,  
 Gdzie tnie bułatem, tam trup już leży...

Wtém krzyknął ktoś:  
 Panowie bracia co tchu do lasu!

Zupełnie jak sławne *biegajcie!* pod Lignicą... Zdra-  
dziecki ten okrzyk wyszedł z mściwych ust owego kozaka,  
któremu Ataman odkochał uroczą Pysię... Wszystko poszło  
w rozsypkę!... A gdzież Orzeł-Rzewucha?

Jak dziad obdarty, głodny, zadyszany,  
Calutki w ranach, krwią ciepłą zbryzgany,  
W nocy Rzewucha błądzi po dąbrowie...  
Nareszcie usiadł pod drzewem i płacze,  
Taj mówi do mnie: „Słuchaj-no kozacze,  
Ty mój jedyny, wierny torbanisto!  
Daj mi choć usta zmaczać wodą czystą...  
Darmo się krzepię i oczy przecieram...  
Tu mię coś pali... z pragnienia umieram...”

Torbanista poszedł nabrać dla niego wody—alić ledwo  
się oddalił, wypadł ktoś z krzaku i nóż utopił w piersi atamana.

Oto i koniec tęsknej powieści rycersko-gminnej, w któ-  
rą poeta chciał na dnie złożyć niby tajemnicę waśni brat-  
niej... My wszakże nie chcemy go pojmować z tej dro-  
biazgowo tendencyjnej strony, i całą sympatyę naszą odda-  
jemy rycerskiej postaci hetmanicza. Jak Farys tumany  
piasku, tak on porywał za sobą serca mołojców.

Parę porównań rażąco trywialnych mógł był autor  
wyrzucić lub przerobić; nie wytykam ich bliżej, albowiem  
czytelnik sam je znajdzie i osądzi. W ogóle *Pieśń Ostatniego  
Torbanisty* od razu zajęła stanowisko w naszej literaturze  
przez swą oryginalną świeżość, obiektywność scen i postaci,  
i tę męzką jędrność, jakiej coraz się pozbawiają nasi nowsi  
trubadorowie piejący o mglistych duchach snujących prze-  
znaczenia ludzkości, lub bryzgający apostrofami do czynu,  
kiedy się zdobyć nie mogą na dramata z akcją i na poc-  
mata z dramatem prawdy życia.

---

## VII.

# PRAWDZIWY WIESZCZ.

Przepowiednia Cazotte'a na wieczorze u pani Grammont. Wieszczość *Niebożkiej Komedyi*. Dramat odegrany w rzeczywistości. Następstwa fałszywego postępu. Opatrzność wyższa nad przeznaczenie.

Przypominam sobie, jak czytałem w Laharpie następujący szczegół, który mię mocno przeniknął, tém więcéj, że pochodził od człowieka napojonego niedowiarstwem, jak prawie wszyscy wyobraziciele wieku eneyklopedystów. Na kilka lat przed pierwszą rewolucją francuzką, świetny był obiad u księżny Grammont; sam wybór paryzkiego towarzystwa, najprzedniejsze dowcipy zbiegły się tam, jakby naумыślnie. Dobrém winem ożywiona rozmowa toczyła się o polityce, a mianowicie o zwyczajach filozofii nad religijnymi przesądami; ten i ów błogosławił wielkim pomysłem wywracającym stary porządek, a zwiastującym wiek złoty. Cazotte, znany autor kilku fantastycznych powieści, człowiek wielce poważany i głęboki, sam jeden milczał i pochmurny wzrok topił w kielichu wina; nakoniec jakby ockniony z letargu, ozwał się jakimś niezwycajnym głosem: „Cieszcie się moi panowie, wszyscy bowiem będziecie świadkami téj szczytnéj rewolucyi, którą z takiém upragnieniem wzywacie. Nietajno wam, że ze mnie kawąłek prozoka. Ty panie Condorcet skonasz na dnie więzienia; ty znowu—sam sobie zadasz truciznę; a ty panie... dasz głowę na rusztowaniu.”

— Ale jakąż to wszystko ma styczeńność—zawołano — z filozofią i panowaniem rozumu?

— Największą—odparł Cazotte—w imię filozofii, rozumu, ludzkości i wolności, spełni się to, com dla was przepowiedział; a spełni się dla tego właśnie, że sam tylko rozum bez wiary będzie miał swoją świątynię.

Tu nastąpiły zapytania obecnych osób o los, jaki ich ma spotkać; a każdy usłyszał mniej więcej krwawą wyrocznię.

W końcu sam Laharpe zagadł:—A mnież co czeka, panie Cazotte?

— Na tobie wielki cud się okaże—odrzekł zapytany:—przejdiesz przez dużo cierpień i zostaniesz prawym chrześcianinem.

— A z tobą samym cóż się stanie? — zapytało kilka osób niecierpliwących się, że im tak humory zasępił.

— Ze mną się stanie — odpowiedział — to, co się stało z człowiekiem, który w czasie oblężenia Jerozolimy zawołał: „Biada nad miastem, a nakoniec biada nademną „samym!”—gdy weń pocisk nieprzyjacielski śmiertelnym razem ugodził.

Powiedziawszy to, siwy jak gołąb starzec skłonił się całej kompanii i wyszedł...

Sześć lat nie minęło, a przepowiednie ziściły się... Miejsce Boga zajęła gilotyna.

Ktoby był powiedział, czytając przed kilkunastu laty *Niebożką Komedye*, że w tych nieznanych, tajemniczych postaciach: Meża, Pankracego, Leonarda, Przechrzyty, w tych chórach lokajów, rzeźników, chłopów, mieści się aż tyle prawdy; że ten piekielny dramat odegra się z piekielniejszą jeszcze ironią na téj właśnie ziemi męczeńskiej, co zdawało się, że powinna samych bohaterów i aniołów wydawać. Ktoby się był spodziewał!—Utwór ten pojawiwszy się, jak wszelka wielkość mająca prawo do długiego bytu, nie zrobił wrażenia, a przynajmniej, jeśli jakowe zrobił, to nizkie, lechące tylko próżną ciekawość; jedni bowiem rozpytywali: kto być może ten Henryk, kto Oreio, kto Pankracey? i podsuwali różne domniemane nazwiska politycznie głośnych osób; inni, niby uważniejsi na rzecz samą, wzru-

szali ramionami, jakby chcieli powiedzieć: „Nie rozumiemy do czego zmierza,”—tylko rewolucyjni socjaliści wyraźnie potępili dzieło, jako paszkwil przez arystokratę napisany. Tymczasem były to księgi sybillińskie, ciężarne chmurą klęsk; było to zwierciadło bliższej przyszłości, ku której w zaślepieniu wszystko gnało, nie przebierając w środkach mających doprowadzić do celu. Środki też stare i zużyte osiągnęły skutek, przed którym zadrżały sumienia; co większa, obróciły się przeciw samym działaczom, i w piersiach ich jak mordercze strzały uwięzły.

Tajemniczy ten dramat odgrywa się cały w przyszłości, na ostatecznej koźczyńie tryumfu nowych wyobrażeń i doktryn, a upadku dawnych, mających za sobą powagę i świętość Odkupiciela rodu ludzkiego. To też straszny jest obraz wyjących tłumów na zgłiszczach popalonych i zburzonych świątyn, straszny obraz społeczeństwa, co drugi raz zamordowało Boga, nie mogąc nic natomiast w czczości swój postawić, krom materyalnego bytu, krom urojonej równości majątkowej. Ostatni rycerz krzyża umiera—natomiast głowę podnosi arystokracya inteligencyi—przechrty się uwijają— a sam wódz tłumów na gruzach ostatniej warowni, koronującej jego zwycięstwa—pada przeszyty myślą: Chrystus zwyciężył!

Widzenie wieszca odsłoniło nam ostateczność następstw z taką prawdą, że gdyby nie nie wstrzymało ludzkości wciągnionej na pochyłość, po której się toczy, rozwiązanie musiałoby takie być, a nie inne. Jakim sposobem Opatrzność rozstrzygnęłaby lub rozstrzygnie ten dramat, nie wchodzić nam; niewidome są drogi Pańskie, po których się toczy ród człowieczy. Dla tego szukajmy tylko obrazów i scen odmalowanych duchem wieszczym na tle mglistego widzenia, a spełnionych przed oczyma naszymi, podobnie jak owa Cazotte'owa przepowiednia na wieczorze u księżny de Grammont.

Powiedzcie ciche zagrody wiejskie, patryarchalne schronienia, w których cieniu krzewiły się tak długo cnoty domowe, rosły bohaterzy poświęcenia się, powiedzcie przybytki narodowego ducha, co nie kupił się około brudów miast, ani czeptał pałaców, tylko oddychał powietrzem wsi

czystém i zdrowém i rodził czyste i zdrowe myśli, a proste, jak słowa pacierza i piosenka rozlegająca się echem błonia, i poetyczne jak powiastka przy kominkowym ogniu—powiedźcie, czy kości przodków waszych w stal okute, nie ruszyły się w grobach, czy wizerunki ich nie pospadały ze ścian, kiedy pewnej zimowej nocy—strasznój jak noc Makbetowa—spełniała się zbrodnia Kaima?

Dalój malarzu wieszczy! powiedz nam coś widział téj nocy:

„Tłumy stoją u bram, wśród wzgórz i osadzonych topoli...

„Jak oni czekają niecierpliwie, szemrzą między sobą, do wrzasków się gotują, wszyscy nędzni, ze znojem na czole, z rozczochranemi włosy, w łachmanach, ze spieczonemi twarzami, z dłońmi pomarszczonemi od trudu.—Ci trzymają kosy, owi potrząsają młotami, heblami — patrz— ten wysoki trzyma topór spuszczonej — a tamten stemplem żelaznym nad głową wywija... Kobiety przybyły także, ich matki, ich żony... Na ich włosach kurzawa bitéj drogi—na ich łonach poszarpane odzież—w ich oczach coś gasnącego, ponurego, gdyby przedrzeźnianie wzroku—ale wnet się ożywią—kubek lata wszędzie. — Niech żyje kielich pijaństwa i pociechy!

„Teraz szum wielki powstał w zgromadzeniu; czy to radość, czy rozpacz? kto rozpozna, jakie uczucie w głosach tysięcy? Ten, który nadszedł, wstąpił na stół, wskoczył, na krzesło, i panuje nad nimi, mówi do nich. Głos jego przeciągły, ostry, wyraźny,—każde słowo rezeznasz, zrozumiesz,—ruchy jego powolne, łatwe, wtórują słowom, jak muzyka pieśni... To ich wściekłość, ich kochanie; on obiecuje im chleb i zarobek—krzyki się wzbily, rozciągnęły, pękły po wszystkich stronach: „Niech żyje!—chleba nam chleba, chleba!..”

Przysłyszałeś się wieszczu! oni wołają: „Krwi nam, krwi, i jeszcze krwi!”—a nie chleba,—bo przecież cała Polska siedzi jak u Boga na łonie, na żywnój grzędzie. I oto idą ława, i białe dworce runęły pod tą powodzią zwierzęcej wściekłości, i odegrały się sceny, jakich próznobyś szukał na końcu wszystkich najkrwawszych tragedyj od czasu

Atrydów do tych, co je pokazują w teatrze przy Porte-St.-Martin...

A któż był ten mówca ludowy? Zwyczajny zapale-  
niec, półgłówek w dobrej wierze, który posadził ziarno grze-  
chu, zagrzebł w tajemnicy patryotycznej usługi, aż przy-  
szedł szatan, z boku przyglądający się głupiej robocie, od-  
rzucił ziemię kopytem, rozdmuchał żarzewie, i gdy rozgo-  
rzało jak grobowa pochodnia, oddał ją w ręce ślepego tłu-  
mu i rzekł: „Śmierć wszystkim, co nie w płótniance lub  
siermiedze...”<sup>7</sup>

Lecz to tylko przegrywka, jeden ustęp z komedyi, co  
potem równiejszym pochodem, przedstawi nam zniszczenie  
społeczeństwa i cywilizacyi jego, upadek świątyń, wyglu-  
zowanie wiary z serc, aż stanie nad kupą gruzów, na któ-  
rych tryumfujący tłum zawyje w rozpacz: „Daliśmy sobie  
Boga wolności, ale ten nie jest miłości Bogiem!”

Obaczmyż jak się to dążenie nowego świata objawia.  
Niech sam wieszcz mówi, bo on pochwytał ich głosy, ich  
namiętności, ich upragnienia; czyste pandemonium zbrodni  
i bluźnierstw.

Tu woła przechrzta: „Cieszymy się, bracia moi! nad  
kałużą krwi stoi dziś krzyż, wróg nasz, podcięty, zbutwia-  
ły, a jak się raz powali, nie powstanie więcej. Dotąd pa-  
ny go bronią...”

„Powrozy i sztylety, kije i pałasze, rąk naszych  
dzieło, wy idziecie na zatrąkę inn. Oni panów zabijają po  
błoniach, rozwieszają po ogrodach i borach,—a my ich potem  
zabijem, powiesim...”

Pogardzeni wstaną w gniewie swoim, w chwałę Je-  
howy się ustroją, słowo jego zbawienie, miłość jego dla nas  
zniszczeniem dla wszystkich...”<sup>7</sup>

Dzieła zniszczenia i nienawiści nie mógł autor w lep-  
sze ręce powierzyć; a czyż nie widzieliśmy wszędzie, we  
wszystkich rewolucyach, jak ten rodzaj ludzi wydawał  
najkrwawsze hasła, i jeśli nie szedł z piersią naprzód, to  
tylko z tój przyczyny, że tam pole walki i ofiary, a nie  
krzyku i intrygu...

Przejdźmy się z wieszczem po obozie, a że noc ciem-  
na, nie poznamy twarzy i postaci, a choćbyśmy i poznali,

nie z nich nie wyczytamy, tak podle, nikiemnem; dość głośno ich słyszeć, a dowiemy się co za jedni i czego chcą.

— „Chleba, zarobku, drzewa na opał w zimie, odpoczynku w lecie—Hura—Hura!

— Bóg nad nami nie miał litości—Hura!

— Królowie nad nami nie mieli litości—Hura!

— Panowie nad nami nie mieli litości—Hura!

— My dziś Bogu, królom i panom za służbę podziękujemy...”

Tutaj szalonym tańcem porwana prosta dziewczka cieszy się z dnia swobody:

— „Jużci ja myłam talerze, widelce szorowała ścierką, dobrego słowa nie słyszała nigdy — a dyc czas, czas, bym jadła sama—tańcowała sama—Hura!”

Owdzie pod dębem odprawuje swój konwentykel klub lokajów:

— „*Pierwszy lokaj.* Jużem ubił mojego dawnego pana.

— *Drugi lokaj.* Ja szukam dotąd mojego barona... Zdrowie twoje!..

— *Kamerdyner.* Obywatele, schyleni nad prawidłem w pocie i poniżeniu, glansując bóty, strzygąc włosy, poczułiśmy prawa nasze... Zdrowie klubu całego!

— *Chór lokajów.* Zdrowie prezesa—on nas powiedzie drogą honoru.

— *Kamerdyner.* Dziękuję, obywatela.

— *Chór lokajów.* Z przedpokojów, więzień naszych, razem, zgodnie, jednym wypadliśmy rzutem—salonów znamy śmieszności i wszeteczności. Vivat—Vivat!...”

Tu znowu przechadza się jakaś pani, zaczepmy ją: „Dobry wieczór pani!”

— „*Kobieta.* Cóż znaczy ten tytuł? zkąd się wyrwał? fe—fe! cuchniesz starzyzną.... Jestem swobodną jako ty, niewiastą wolną, a towarzystwu za to, że mi prawa przyznało, rozdaje miłość moją...”

— Towarzystwo znow za to dało ci pierścienie i ten łańcuch ametystowy...

*Kobieta.* Nie, te drobnostki zdarłam przez wyzwoleniem mojem z męża mego, wroga mego, wroga wolności, który mię trzymał na uwięzi..”

Pójdźmy dalej, i czytamy w tych znakach rozwiązanie sfinksowej zagadki.

Któż jest ten dziwny żołnierz, oparty na szabli oboiecznej, z główką trupią na czapce, z drugą na felcechu, z trzecią na piersiach? Czy to nie sławny Bianchetti, taki dziś kondottier ludów, jako dawniej bywały kondotieri książąt i królów?

— „Nad czém tak zamyślił się general?”

— *Bianchetti.* Widzicie obywatele ową lukę między jaworami—patrzcie dobrze—dojrzyjcie tam na górze zamek, doskonale widzę moją lunetą: mury, okopy i cztery bastiony.

— Trudno go opanować.

— *Bianchetti.* Chociażeście bracia moi w wolności, nie jesteście braćmi moimi w geniuszu... po zwycięztwie dowie się każdy o moich planach...”

Otoż i początek nowój arystokracji!

— „Co robisz pod tém drzewem biedny człowiecze? czemu patrzysz tak dziko i mdławo?”

— *Rzemieślnik.* Przeklęstwo kupcom, dyrektorom fabryki! Najlepsze lata, w których inni ludzie kochają dziewczyny, biją się na otwartém polu, żeglują po otwartych morzach, ja przesłęczałem w ciasnej komorze, nad warsztatem jedwabiu.

— Wychylże czarę, którą trzymam w dłoni.

— *Rzemieślnik.* Sił nie mam—podnieść do ust nie mogę—ledwo się tutaj przyczołgałem, ale dla mnie nie zaświta już dzień wolności. Przeklęstwo kupcom, co jedwab sprzedają, i panom, co noszą jedwabie! przeklęstwo—przeklęstwo!

— Umiera! Gdzież się podzieją teraz wasze wyrazy, wasze obietnice — równość — doskonałość i szczęście rodu ludzkiego?!...”

Ale jeszcze ostatni obraz i już dość tych widziadeł... Dante mógł wywołać czyscowe i piekielne cienie, kiedy

przy boku jego stał mantuański pieśniarz i krzepił mdlejącego na polu...

Orszak chłopów tu ciągnie.

— „*Chór chłopów.* Naprzód, naprzód pod namioty, do braci naszych—pod cień jaworów, na sen, na miłą wieczorną gawędkę—tam dziewczki nas czekają—tam woly pobite, dawne pługów zaprzęgi, czekają nas.

— *Głos jeden.* Ciągną go i wloką—zżyma się i opiera—idź w rekruty—idź!..

— *Głos pana.* Dzieci moje, litości, litości!..

— *Głos drugi.* Wróć mi wszystkie dni pańszczyzny.

— *Głos trzeci.* Wskrześ mi syna z pod batogów kozackich.

— *Chór.* Upiór ssał krew i poty nasze—mamy upiora—nie puścim upiora—przez biesa, ty zginiesz wysoko, jako pan, jako wielki pan, wyniesion nad nami wszystkimi. Panom, tyranom śmierć! nam biednym, nam strudzonym, nam głodnym, jeść, spać i pić. Jako snopy na polu, tak ich trupy będą—jak plewy w młockarniach, tak perzyny ich zamków—przez kosy nasze, siekiery i cepy, bracia naprzód!..”

W tych krzykach szalonej, rozpasanej wolności, w tych krwawych scenach, gdy jedna część społeczeństwa rzuca się na drugą, podobna stadu żarłocznych wilków, w tém pomieszaniu języków wołających: „Chleba, krwi, hulanki, pijatyki, rozpusty!” w tym podłym jęku żebrzącego o litość gnębiela, który nie miał nad nikim litości—ileż strasznej prawdy! Dużo jest takich, coby nie byli świadkami jednej podobnej sceny, jeśli nie mordy, to przynajmniej sejmikowych gwarów, kędy popisywano się z prawami człowieka, z równością majątków, z oswobodzeniem niewiasty z więzów matki i żony? A też wreszcie kluby lokajów i ekonomów są może wymysłem poety? bynajmniej! Przecież to nie tak odległe czasy, jak podobne głosy rozlatywały się po kraju, wołając: „Służby nie mamy, naganiać nie mamy kogo do pracy, a samym pracować się nie chce. Panowie muszą nam część gruntów ustąpić, domy pobudować, gospodarstwa pozakładać, ażebyśmy mogli żyć wygodnie, kiedy nam jedyny sposób do życia—kij—wytrącono z ręki!” A też

znowu inne domagania się wspólności łąk i lasów, ledwo nie całej własności prawego właściciela, budowane na jakimś urojonem prawie narodowości, które odwiecznego posiadacza nazywa przybylcem? Czémże to jeżeli nie objawem symptomatów przyprawiających wszelką cywilizację o upadek, jeśli nie początkiem téj ery chaosu, z którego już świat nie wybrnie? — bo jeden był tylko Zbawiciel, raz przyszedł, i już drugi raz nie zstąpi na ziemię... chyba na sąd ostateczny!

Optymista widzący wszystko w różowym kolorze, spodziewając się po każdéj burzy jaśniejszego słońca, wrzuci ramionami na te pesepne obrazy i powie: „Przesada, ostateczność! Przecież historia pokazuje nam i wojny chłopskie, i rzezie, i gwałty popełniane na własności prawem mocniejszego, nie wchodząc, czy ten mocniejszy zwał się baronem czy ludem — a mimo to społeczeństwo wyhulawczy się, poswawoliwszy, weszło w karby porządku, sprawiedliwości, szanowało powagę władzy, dało się powodować przepisom religijnym i moralnym. Prawda, o wielka! Ależ ta sama historia nie powiada nam, że wtenczas zerwały się wszystkie tradycje, że wszelkie powagi moralne upadły, że człowiek w pysze swój wypowiedział ostatnie słowo buntu przeciw Bogu i nazwał się Bogiem na ziemi... A tymczasem posłuchajmy słów wieszca, które wkłada w usta nowego arcykapłana:

„Stoim na rozwalinach starych kształtów, starego Boga. Chwała nam, bośmy członki jego rozerwali, teraz proch i pył z nich—a duch jego zwyciężył naszymi duchami—duch jego zstąpił do nieości...

„Świat nowy ogłaszam — Bogu nowemu oddaję niebiosy... Panie swobody i rozkoszy! Boże ludu! każda ofiara zemsty, trup każdego ciemiezcy, twoim niech będzie ołtarzem — w oceanie krwi utoną stare łyzy i cierpienia rodu ludzkiego — życiem jego odtąd szczęście — prawem jego równość — a kto inne tworzy, temu stryzezek i przeklęstwo...”

— Tu wieszcz przesadził! zawoła kto. Ludzkość się doskonali, postępuje, a zatém jakżeby mogła dojść do bydlęcej ciemnoty i osadzać na niebie jakiego Boga z woli

*ludu?!—*Ależ niestety! wieszcz prawdę powiedział: złapał on ideę *postępu* na gorącym uczynku, tak jak go dzisiaj mędrki pojmują, co krzyczą: „Postępu w fabrykach, w handlu, w naukach, wynalazkach, a tém samém w rodzinnych i społeczęńskich związkach, w rządzie, ustawach, a nawet dogmatach religijnych!” Ludzie poddawszy się raz téj chorobie wieku, cóż dziwnego, że w pysze swój mając się za małych bogów, *eritis sicut Deus*, zdetronizują starego Boga, a ogłosiwszy bezkrólewie, na wielkim wiecu ludzkości większością głosów, za zgodą obywateli, posadzą nowego na niebie elekta?

Postępową przyjąwszy raz zasadę, że wszelkie początkowanie musi iść z dołu, nie z góry, że jedyném prawem obowiązującym jest wola większości, jakżeby się zgodzić mogli na starego uzurpatora władzy niebieskiej?! Do takich i tym podobnych wypadków prowadzi chorobliwa idea postępowego doskonalenia się człowieka. St.-Simon powiedział gdzieś: „Złoty wiek nie jest za nami, ale przed nami,” i niedorzecznie powiedział, albowiem wiek złoty ani za nami, ani przed nami; tkwi on raczój w urojoném państwie marnych ambicj człowieczych. Ideał doskonałości na ziemi, należy do najdawniejszych marzeń społecznych; złudzenie to towarzyszyć będzie rodowi człowieczemu nawet do jego mogiły. Wpatrzmy się wyraźnie w pochod cywilizacyi, a przekonamy się, że ludzkość skazana jest istnieć pod rozmaitemi kształtami i nigdy ostatecznego celu nie osiągnąć, ponieważ cel ku któremu goni, leży za granicami warunku jój przechodniego bytu.

Wieszcz *Niebozkiej Komedyi* odsłonił nam to wszystko w żywych obrazach, którym dał ciało i życie upiora przyszłości. Ileż to razy w posepnych nocach zimowych tak przyjaznych dumaniu, spływały ku mnie te widziadła proroczych snów! Tutaj z głębi cieniów wychylały się mary czasów ubiegłych, białe jak marmurowe posągi, i uśmiechając się do mnie z wyrazem litosnej wzgardy, roniły mimochodem te słowa, co jeszcze w uszach mi dzwonią: „Umarliśmy za wolność, umarliśmy za ojczyznę; umarliśmy za religię, umarliśmy w posłuszeństwie moralnemu prawu!” Byli to albo męczennicy za wiarę z ewangeliczną

słodyczą w wejrzeniu, albo też rycerze ze spokojem i powagą w twarzy. Tamei w mniszycy odzieniach z krzyżem w ręku, błogosławią swoich morderców; owi z rozpiętym hełmem lub piersią na wskroś przesytą od kuli, mówią: „Giniemy za wiarę Chrystusa Pana, giniemy za ojczyznę!” inni z głębi ciemnie wołają: „Cierpimy za nią!” Ale wdzięczne te widzenia spędza tłum cieniów niespokojnych, ruchliwych, jakby polamanych burzą; są to cienie naszych współczesnych, które nie przestają powtarzać: „Umarliśmy pragnąc dogodzić naszym namiętnościom, umarliśmy goniąc za zdobyczą szczęśliwości ziemskiej; umarliśmy dla tryumfu pociechy nad powinnością...” Wtenczas to głąb ciemna rozszerza się w nieskończoność przedemną, i jakby na mappie widać różne kraje, a po nich smugi narodów, wszystkie zuśmicchem szaleństwa – z tłumów coraz gęściejszych koło mnie rozlega się chrapliwy hymn radykała; przed nimi uwija się geniuszek socyalny, machając kadzielnicą, z której wychodzi rozkoszny dymek, pożądliwość budzący... Odwróciłem oczy od dołu, kędy się snuły najdziwniejsze potwory, a wzniosłszy je cokolwiek wyżej, ujrzałem olbrzymią postać wieku. Nie był to ów niewyczerpany improwizator, umiejący tak wdzięcznie opowiadać czyny bohaterów, doznać tyle miłosnych intryg; ani ów sfluks sympatyczny, który niegdyś tyle zadawał zagadek ludziom, aby je rozwiązywali ku swój szczęśliwości i zbawieniu. O nie! on teraz stawiał zagadki, których sam nie uniał rozwiązać, a w jego wejrzeniu malowała się jakby nuda i zwątpienie, a usta jakby chciały powiedzieć: „Koniec wszystkiemu—wieczny odpoczynek staremu światu!”

A tymczasem, kiedym tak dumał, marzył i bolał, kiedy złowróżbe głosy przybiły mię do ziemi, świetlany anioł przemknął się po niebiosach pochmurnych i zawołał: „Nie smuć się, *życie potężniejsze niż śmierć, Opatrzność niż przeznaczenie... Porzućcie mary, a strumień życia wstąpi w was... Celem życia nie jest szczęśliwość ziemską!..* Ledwie te słowa zabrzmiały, nieskończona noc zdała się mieć ku końcowi... Brzask zorzy zazierał w okna, i straszdyła, widma, które jeszcze przed chwilą radowały się, że posiadają tę kupę gruzów, te na powal upadłe świątynie z krzyżami, te

godła instytucji społecznych, te domowe ogniska, kędy się tuliły świętości rodzinne, nagle spłoszone zaczynały pierzchać na strony, topnieć, i trącając się swemi szkieletami, przeklinać słońce i życie...

O! przepadajcie w czeluściach piekielnych, puszczyki nadęte mądrością, wilki drapieżne a radykalne, sroki gadaliwe, kruki wietrzące ścierw! Oby się już oczyściło powietrze z téj czarnej chmury, która służy za rydwan ognistemu widmu rewolucyi—oby znowu duch boży zstąpił na narody i rozlał na nie błogosławieństwa życia kwitnącego nadzieją, miłością i wiarą!...

---

## VIII.

### KS. ADAM CZARTORYSKI O NIEMCEWICZU.

Kto ma pisać dzieje? Obraz polski za Sasów, przez księcia generała ziem podolskich. Niemcewicz w sejmie czteroletnim. Niefortunny legitymizm Bartłomiejów Michałowskich. Okolicznościowość pism Niemcewicza. *Spiewy historyczne*. Biografowie drobiazgów życia.

*Żywot Niemcewicza*, pierwsze to obszerniejsze w ojczystym języku napisane dzieło, jakie wyszło z pod pióra dostojnego męża, znanego powszechnie z prac mających inną znowu doniosłość i znaczenie. Ze sfery czynnej polityki zstąpił tu do opowieści historycznej.

Pisać taki żywot, jedno jest co pisać historię epoki: raz, że Niemcewicz najdłużej był pośród nas jedną z żywych tradycyj i uosobnieniem świetnego okresu odrodzenia, poprzedzającego ostateczny upadek Rzeczypospolitój; po drugie, że komuż przystoi bardziej mówić o tej niewygasłego interesu przeszłości, jeżeli nie temu, co na nią z pewnej wysokości patrzył, w kolejach jój brał najbliższy udział?

Praca też ta przybrała zupełny charakter pamiętnikowo-historyczny. Autor *Żywota* na tle przypomnień skreślonych przez Niemcewicza, które dostarczyły głównego materiału, dotyka szczegółów, jakie mogły być opuszczone lub tylko pobieżnie napomknięte; a w wielu miejscach przed wytrawny sąd swój stawia niektóre historyczne momenta i pokazuje je w rzeczywistém świetle, z szerokim poglądem

prawdziwego męża stanu, ze ścisłością sumiennego świadka, lub inicjowanego w najważniejsze sprawy społeczne.

Jeżeli gdzie, to w tém dziele, widzę zastosować się dające правило, o które często w niniejszych poglądach potraçałem: że dzieje swoich czasów, a nawet i dawniejszych, najwłaściwiej mogą być pisane nie tyle ze źródeł erudycyi książkowej, ile ze znajomości dokładnej motywów i sprężyn poruszanych w tych sferach, kędy wstęp mają mężowie do wyższych powołań zawodów. Pisarz zajmujący takie stanowisko może nie zdobyć się na malownicze obrazki społeczeńskiego ruchu i życia, lecz da za to dokładną i trafną dyagnozę ogólniej chwili; z treścią, akcentem, hasłem inicjowany, ma pewne wytyczne i już się nie błąka ani w przesadnym ocenieniu sytuacji, ani w domysłach—lecz zdanie swoje formuje ściśle, nienamiętnie i nieuprzedzenie. Więcej mu bowiem idzie o danie prawdziwego wyobrażenia, niż o dogodzenie swoim sympatyom lub nienawisćciom.

W niniejszym *Żywocie*, przyznając, nietyle miała dla mnie interesu sama osoba Niemcewicza, zresztą dobrze znana z jego autobiografii, ile zdanie dostojnego autora w ocenieniu i charakterystyce zdarzeń ze świeższej i oddaleńszej przeszłości narodu. Sama osobistość autora musi rzucać mimowoli niejaki cień na główny przedmiot opowiadania: już to, że równie żywy udział wzbudza żyjąca jak należąca do wspomnień znakomitość i zasługa—już, że cały ziemski zawód Ursyna leży przed nami, jego myśli i wpływy z ostatniem uderzeniem pulsów skończone i pokryte grobowym całunem, z pod którego nie wygląda żadna brzemienna tajemnica... Co miał w głębi, co pod sercem nosił, wszystko powiedział za życia, a nam w sobie przekazał wzór obywatelskiego zawodu, posłusznego wciąż jednej myśli, gdziekolwiek ta uniesie, choćby na roztrzaskające skały. Szermierz jakich mało, pod wszystkimi znakami literackimi idący w zapasy z losem, nie zostawił po sobie dzieł zapładniających, bo te dwa godła: miłość i nienawiść, pod któremi życie wysłużył, w imię których rozsypywał wszystkie skarby duszy, zwały się tak z usposobieniem naszym, że już dziś same mniej ważą, jeżeli im nie towarzyszy gorąca wiara,

utrzymująca w próbach — i żądza szukania prawdy najczystszej, będąca przymiotem wyższości duchowej.

To pewna, że chcąc zrozumieć ducha półwiekowych naszych dziejów, uwaga musi się przydłużyć zatrzymać na Niemcewiczu; on bowiem patryotyczne i umysłowe kierunki jednocząc w sobie, najzupełniej czas swój wyobrażał.

Wprawdzie nie był on — jak pięknie mówi autor — na wysokim stanowisku Kościuszków i Poniatowskich; nie przodkował, ale był we wnętrzach, w sercu, w czuciach narodu; był typem serdecznego szlachcica polskiego. Uczeń, dworzanin, prawodawca, mówca, żołnierz, urzędnik, ziemianin, poeta, historyk, dla ojczyzny gotów na wszystko, we wszystkiem okazał się enotliwym, niezachwianym, ognistym. Czynnem, przykładem, technieniem niejako swoim ten znakomity i prawdziwy obywatel przeżył pięćdziesiąt świetnia zaszczytnie i z przewagą w ojczyźnie.

Niepotrzebnie też troszczy się autor i obawia, azali potrafi podolać trudnościom w złożeniu tego czynnego żywota, niosącego z sobą taką mnogość przedmiotów; najbardziej zaś niepokoi go skrupuł, czy zdoła bezstronnie ocenić koleje czasów zbyt blizkich, zwłaszcza gdy własne jego wspomnienia i powzięte od młodości (uprzedzone może) wrażenia, wciągną się do tego opowiadania. Otoż właśnie, to co wzniesła obawę autora, stanowi podług mnie największą tęj książki zaletę. Wspomnienia i wrażenia jego osobiste nie mogą być lekceważone, owszem przywiązujemy do ich powagi niemalże znaczenie; bo od kogoż się uczyć? od kogo oczekiwać światłego zdania, wyrobionego długą praktyką spraw gabinetowych i publicznych, jeżeli nie od męża, który im żywot poświęcił? O dorywczych polityków nietrudno, bo któż dziś nie politykuje? ale o zdanie wyczerpnięte z dokładnej znajomości obrotu polityki i dyplomacyi, z bliższego przypatrzenia się wypadkom i osobom działającym w rolach pierwszorzędnym, trudno u nas, przynajmniej o tyle, o ileby dawało pewne rękojmie ścisłej wiarygodności. Z tą myślą, z tém oczekiwaniem, wzięłem się do czytania *Żywota Niemcewicza*.

Autor zaczyna od lat dziecinnych Ursyna, i towarzyszy mu przez wszystkie życia i losu koleje do grobowej deski.

Malując stan kraju w połowie XVIII wieku, dotknął tylko jednej jego strony, to jest wychowania publicznego zostającego w ręku Jezuitów, o których dał sąd najbezsronniej-szy. Oddając zakonowi temu zasłużone pochwały, szczególniej Skardze, który proroczym duchem odgadł i wskazał drogi wiodące Rzeczpospolitą do zguby, robi wyrzut nader trafny szkołom jezuickim, że w praktykę nie zamieniły mądrych rad Skargi. „Żałować i dziwować się przychodzi” — mówi on — „że Jezuici kształcąc większą część młodzieży „polskiej, a kierując sumieniem rodziców, nie założyli sobie „za jeden z celów dawanęj przez siebie edukacyi, aby wpa- „jać podług ducha kościoła powszechnego w głowy i serca „swoich uczniów potrzebę rządu, porządku w kraju, a za- „razem obowiązek zgody między równymi, posłuszeństwa „dla wyższych, sprawiedliwości dla niższych, że tych zasad „przez katolicyzm poświęconych, bez których wkrótce inne „podpory moralności i społeczeństwa wątleją, nie potrafili „ustalić w narodzie, a przynajmniej przeszkodzić, aby one „nie zostały, na czas, prawie zupełnie przez Polaków za- „pomniane.”

Niemcewicz nie był u Jezuitów, lecz u kadetów, i temu zakładowi winien wykształcenie swoje na znakomitego oby-watela. Nie był to przypadek od indywidualności utalen-towańszej zależny, bo przerzucając ostatnie karty naszej historii, co chwila spotkać się można z jakim wychowań-cem korpusu kadetów. Kościuszko, Jasiński, Kniaziewicz, Kazimierz Sapięha, Michał Kochanowski, Sokolnicki, Rem-bielińscy, są to kadeckie imiona, świecące w boju i w trud-nych przeobrażeniach zużytego już organizmu Rzeczypospo-litéj.

Książę wyprowadzając na widownię Ursyna, o którym powiada, że był i prawodawcą, i mówcą, i żołnierzem, i urzęd-nikiem, i ziemianinem, i poetą, i historykiem, szkoda, że nie ukazał nam tła ówczesnej społeczności, choćby tylko dla kontrastu między wychodzącym z niej człowiekiem nowęj epoki a starym światem, który za sobą zostawiał. Działal-ność Niemcewicza, jego obywatelskość, talent nawet, byłyby na tém zyskały, bo farb i rysów na odmalowanie epoki saskiej nie byłoby złotemu i płynnemu pióru biografa za-

brakło. Najpewniej chęć ściśnięcia przedmiotu w najkonięczniejszą treść spowodowała to opuszczenie, któremu jednak tak łatwo zaradzić; dość bowiem otworzyć *Mysli o pismach polskich* skreślone ręką księcia generała ziem podolskich, aby znaleźć ten obraz, jakiego podług mnie w *Żywocie Niemcewicza* nie dostaje. Każdy rys wzięty tu z natury, na każdą ranę położony palec, bo piszący znał jeszcze te czasy i umiał na nie patrzeć tém bystrém okiem księcia kanclerza, co jedno z tego chaosu intryg i ciemnoty widziało sposób wyjścia.

Mam jeszcze i ten powód do przypomnienia owęj wybornéj charakterystyki, ażeby niejaką równowagę wprowadzić, a pojęcia o rządzie, społeczeństwie, oświacie za Sasów, tak przesadzone i zwiecznione przez zwolenników poetycznego soplicyzmu, a potem przeniesione na jakiś legitymizm, broniący niby praw kardynalnych, a właściwie starego nierządu — we właściwém świetle rozumu politycznego ukazać.

Posłuchajmy co mówi księżę generał ziem podolskich o stanie Polski przed Poniatowskim:

„W niedostatku przedmiotów, które zwykły podnosić umysły i rzeźwić chęci odznaczenia się odwagą, wymową, znajomościami w różnych częściach rządowych, kraj zostawał przez lat prawie 70 w zupełnej anarchii. Królowie przybywali do niego niechętnie co dwie lecie, przewidując to tylko z radością, że zerwanie sejmu (którego dojściem i poprawą na nim rzeczy zepsutych zatrudniać się nie przychodziło im na myśl) przyspieszy sposobność rychłego powrotu do ulubionych swych siedlisk dziedzicznych. W niedostatku, mówię, wzwyż wymienionych przedmiotów, musiała niechybnie zwracać się cała czynność w ludziach do osobistych widoków; zniknęły były objekta warte aby się człek szlachetnie myślący za niemi uganiał: wszystko więc zdrobniało, *ruchawość zajęła miejsce czynności, a próżność miejsce zaczęj ambicji*. Przeto stępały i uczucia prawdziwej sławy; duch pieniacki z towarzyszącemi mu subtelnosciami ogarnął umysły, nadpsuł i skaził charakter; wykret nazwano dowcipem, a nierzetelność obrotem. Że spraw publicznych już nie było, więc poszły w zapomnienie kształty poważne, w których prowadzonemi być powinny; poszły

w zaniechanie wiadomości sposobiące do czynnych urzędów, w których same tylko cienie pozostawały się, a sejmikowe intryki, prawnictwo, lub raczej pieniackie wykrety, nazwisko nosiły polityki. Ten zaś za głębokiego uchodził statystę, co znał przez jakie wybiegi można było sprawę w sądowych subselliach wykierować; a ten był miany za literata, co najlepiej umiał dekret lub tranzakcyę terminalnie napisać. Każdą rzecz, pojęcia nawet zagranicznej polityki, stosowano do form ratusznych...”

Obraz społeczeństwa tak kreśli:

„Rozsypani po kraju żyli ludzie w odosobnieniu jedni od drugich; dorywczowie i krótko widywali się; zgromadzali się jednak czasem w domach tych zamożnych, które dostatki, okazałość, przyrodzona niedawno jeszcze narodowi naszymu gościnnosć, związki popularności, nadzieje tego co nazywano promocyą, czyniły mniej lub więcej ludnemi. Znajdowały się takowe domy w każdym województwie, ziemi i powiecie, których wpływ obejmował obszerniejszy rozłóg. Każdy z tych domów służył komuś w tych okręgach za wzór; a promienie tego cyrkułu schadzały się w centralnym punkcie mieszkania wodza, albo wiele znaczącego członka tych partyj, na które kraj był rozerwany...

„Niepodobnem więc stało się ulanie charakteru pospolitego i narodowego, jednostajność i tęgość trzymającego...

„W tym stanie niewyraźnym trwała Polska aż do śmierci Augusta III, po której w nową postać przybrały się rzeczy. Nadzieje hurmem wylatując ze wszystkich kątów życzeń, imaginacyi i spodziewania, tchem swoim ożywiły naród tak dobrze jak na pół martwy. Porwał się z letargu, lecz to ocucenie temu podobne było zaiście, jakie następuje zwykle po rozmarzeniu snu długiego; zebrać się zarazem do kupy nie zdołał, ani też w jakikolwiek wprawić porządek tłumowi myśli i wyobrażeń z szumem uwijających się po głowach; przechodzić trzeba było przez wszystkie stopnie wąskiego odrodzenia, począwszy od dzieciństwa, i wszystkiego się prawie uczyć na nowo. W publicznych sprawach zatarte były ślady, tyle było zapomnianych rzeczy, które z gruzu oczyszczać doradzała sama potrzeba; stąpać przychodziło niepewną nogą i przyuczać się z wolna do tego rodzaju po-

rządnej czynności w ważnych zamiarach, do których władzę i sposobność odjęło było długie ich nieużywanie.”

Moralny ten obraz ówczesnej Rzeczypospolitej nader rzetelnie skreślony przez męża górującego światłem i stanowiskiem w narodzie, najlepiej kontrastem swoim objaśnia, czém była epoka Poniatowskiego, tak często lekceważona przez naszych pisarzy, i czém byli ludzie téj epoki, tak często miarą dzisiejszych pojęć mierzeni.

Dość powiedzieć, że gorzkie, pełne upokorzeń, intryg i walk domowych dni panowania tego króla, przygotowały dzieło świadczące o jego przymiotach i zdolności do rządzenia, kiedy potrafił z letargu saskiego przyprowadzić naród do takiego życia, jakie w ciągu czteroletniego sejmku rozwinął. Historia zarzuca królowi brak tęgości charakteru i ducha wojennego. Tych przymiotów nie miał; ale te, które przyniósł na tron z sobą, starał się zużytkować dla kraju. Słusznie też o nim powiedział poeta:

August raczył powszechniej światło rozprowadzić,  
I myśleć nas nauczył, i po trzeźwu radzić.  
I ta jest między nami najdzielniejsza młodzież,  
Co nosiła wojenną jego szkoły odzież.

Trudno zaprzeczyć: z jego szkoły kadetów wyszli najdzielniejsi ludzie. On ich wychował, aby ustawa konstytucyjna, która w lat dwadzieścia kilka dojrzała, mogła być przeprowadzona, a w razie ostatecznym obroniona orężem; z kadetów bowiem wyszli późniejsi generałowie i wodzowie.

Niemcewicz w czasie czteroletniego sejmku znalazł się na szczycie swój działalności, tak ustawodawczej i politycznej, jak literackiej. W mowach swoich w gronie sejmującym występował zawsze jako żarliwy przeciwnik anarchii, a zwolennik silnej narodowej władzy; bronił miast, ujmował się za stanem włościańskim, oskarżał intrygi zaprzeczanych partyj, i co chwila zagrzewał do czynnej pracy, zwłaszcza gdy poznał się na taktyce nieprzychylniej wszelkim naprawom, która wdając się w subtelne drobiazgi, marnowała drogi czas w postawieniu narodu na stopie obrony. W literackich pracach elektryzował umysły przedstawie-

niami komedyi *Powrot Posła* i dramatu *Kazimierz Wielki*, nie licząc mnogich artykułów rzucanych do *Gazety Narodowej*.

Autor trafnie dzieli czynność sejmu czteroletniego na trzy okresy. W pierwszym partya patryotyczna, do której Niemcewicz należał, była zupełnie pod wpływem pruskiego agenta, zręcznego Włocha Lucchezini'ego, podszezuwającego łatwowiernych i słabych do zerwania z opieką Rosyji. Skutkiem tego kierunku niepotrzebnie miotano obelgi na imperatorową Katarzynę. W drugim okresie patryoci otrzymawszy przewagę, znaleźli pośród siebie zgubnych przeciwników, zarody przyszłej Targowicy. W trzecim nareszcie strona patryotyczna, połączywszy się z królem, zamieniła się w rząd i siłę narodową.

W licznych przytoczeniach z mów Niemcewicza postrzegamy jego niezmordowaną czujność w ciągu tych trzech okresów sejmu ustawodawczego, a nadewszystko zwracamy uwagę na jego zdrowy sposób widzenia, zmierzający wprost aby istotę rzeczy popierać. Jak najrychlejsze uzbrojenie było treścią najważniejszych jego przemówień. Kiedy ciągle radzono o przepisach dla komisyi wojskowej i trawiono długie godziny nad każdym artykułem, zniecierpliwiony Niemcewicz tak się odezwał: „Gdyby sto razy, będę rzecz „jedną powtarzał, skoro ją znajdę potrzebną. Co wniósł „tyle razy marszałek konfederacyi litewskiej ksiązę Kazimierz „Sapieha, toż samo jest i mojem zdaniem. Na każdym sejmie „będziemy mieli czas obostrzać, poprawiać komisyę; „na tym uzbroić się należy. Gdy jeszcze raz walka nastąpi, „kogoż na odparcie nieprzyjacielskiej napaści poszlemy? „Wysyłamy posłów do dworów zagranicznych; jakąż kon- „syderacyę znajdują, kiedy 17 tysięcy wojska tylko okażą, „a 100 tysięcy na papierze? Utyskujemy na przemoc ros- „syjską; ja utyskuję na naszą nieczynność. Strzeżemy się „hetmanów; nie strzeżemy się nieprzyjaciół. Zrobiliśmy „pochwy, a miecza nie kupujemy. Stanowimy magistraturę „nad wojskiem, a o wojsku nie myślimy!”

Wyrzuty te stosowały się do własnej partyi, aby rozbudzić jój zmysł obywatelski i energię.

O przystąpieniu Stan. Augusta do patriotów tak autor mówi: „Szczerość i moc przychylnych nalegań, a przytém pęd niewstrzymany opinii publicznej przemogły nad wszelkie królewskie bojaźni i wahania, i Stanisław August, najprzód pokryjómu i do połowy, a potém głośno i zupełnie, razem ze wszystkimi, co mu byli obowiązani, rzucił się w objęcia prawych patriotów, tak, iż odtąd jedna myśl, jeden cel nim do linity kierowały. Stanisław August uszczęśliwiony powszechną miłością kraju, z radością ujrzał się połączonym z wielą tych, co byli przyjaciolmi i towarzyszymi jego młodości, i z tą większością narodu, co najgoręcej dbała o chwałę, godność i niepodległość swego króla. Ten zwrot szczęśliwy przypominał mu pierwsze dni jego panowania, gdy upokorzenie i klęski czoła jego jeszcze nie były skażyły i nie zasępiły. Widać też było na jego twarzy zadowolenie sumienia, spokojność i dumę dokonanego obowiązku. Stanisław August odżył był w tych czasach odnowioném istnieniem i innym się był stał człowiekiem.”

Złączenie się króla z narodem wydało ogłoszenie konstytucyi w dniu trzecim maja. Król przywołał do tronu senatorów i posłów, i zaczął odmawiać aryngę przysięgi na konstytucyę, którą czytał mu ksiądz biskup krakowski Turski, a nie łucki Dłuski, jak to mylnie powiedziano (na kar. 70) Gorzeński zaś biskup smoleński trzymał Ewangelię.

Kiedy w Warszawie ogłaszano dzieło jedności obywatelskiej i uszanowania władzy najwyższej — jednocześnie kilku magnatów założyło protest w Jassach.

Niezadługo potém, król z całą powierzoną sobie władzą i siłą przeszedł do tego obozu, nie spróbowałszy nawet żadnego ze sposobów oparcia się, jakimi rozporządzał. „Na niego więc — jak mówi autor *Żywota* — spada główna odpowiedzialność niedostąpionych oczekiwań, straconych pomysłów i doznanych klęsk. Przykro jest takie zdanie wyrazić o Stanisławie Augustcie, przypominając, ile pięknych przymiotów czyniło go godnym miłości i pochwał, ile wrócone krajowi oświecenie i nauki dawały mu prawa do wdzięczności powszechnej. Jego błędy i winy pochodziły jedynie z jakiegoś miękkości charakteru, niezdolnego podnieść się nad burze, które wciąż były w niego, a którym, wyznać

to należy, najstalszy umysł z trudnościami wydołał. Stanisław August chciał prawie zawsze dobrze czynić dla ojczyzny, choć tego nie potrafił wykonać i zmylił drogę do celu prowadzącą. Jego życzenia były szczerze, i nie można mu przypisywać złych celów.<sup>7</sup> W rzeczy samej, nieudolność króla w stanowczych chwilach, pochodząca z przyrodzonej słabości ducha, da się uniewinnić, choć była fatalną; ale inni nie znajdują usprawiedliwienia, mimo legitymistycznych teoryj wynalezionych przez pseudonima: Bartłomieja Michałowskiego et Comp.

Legitymizm ten, istny Pilat w *Credo*, zaczął od niejakego czasu wicherzyć po książkach i bałamucić zdrowe pojęcia. Zaczęło się to dość niewinnym sposobem od powiastek z czasów konfederackich, do których potem jak kwiatek do kożucha starano się przyczepić Targowicę, utrzymując, że jedna i ta sama myśl wywołała tak pierwszy objaw jak i drugi, chociaż konfederacja barska występowała przeciw Rosyi, a targowicka z nią na wspólną działała zgubę. Przy tak zestawionych wyobrażeniach, czynności sejmu konstytucyjnego musiały się objawić w czapce frygijskiej i z nożem jakobińskim,—słowo w słowo powtórzenie tój samej potwarzy. Dzisiejsza dążność nie ma wprawdzie tak złośliwych celów; ma tylko chyba trwogę przed sądem historyi, a może przed parciem wyobrażeń zacierających na zawsze te uroszczenia, jakieby można budować na dostojeństwach dzierzonych przez przodków, poczeiwie lub niepoczeiwie, ale zawsze dzierzonych.

Nie uszły uwagi dostojnego autora te oddziaływania przeciw czteroletniemu sejmowi, pomawianemu o fałszywość zasad i dążeń, a głównie że był płodem złowieszczęj cudzoziemszczyzny, —oddziaływania popierane od kilkudziesięciu lat przez mniemanych reformatorów, odstępujących od dawnych prawych obyczajów.

Mąż stanu, statysta, wreszcie naoczny świadek tego dzieła, ma tu niezaprzeczoną powagę; czuł to, gdy wyrzekł: „W badaniach historyi, świadectwo naoczne, póki możebne, jest najsilniejszym dowodem prawdy.” Od kogoż, jeśli nie od niego dowiedzieć się, czém był sejm *wielki*, a zarazem usłyszeć ważne argumenta, zbijające zarówno kłamliwą

teoryę tych odnowionych pseudo-legitymistów, jak rewolucjonistów pogrobowe rojenia stosowane do dziejów przeszłości.

Ten zarzut, że przewodnicy i kierownicy ówczesni narodu odstępowali od pamiątek i prawych obyczajów przodków — nie ma żadnej podstawy; albowiem nikt żywiżej od nich nie czuł, jakie szkody i zepsucie spadło na naród przez rozwolnione i zniewieściale naśladownictwo cudzoziemszczyzny. „Był to pęd nadany narodowi przez siebie samego. Wszystko, od wyższych klass zacząwszy, tchnęło samą polskością. Równie ważne jak potoczne codziennego życia sprawy, ustawy, urządzenia, obchody publiczne, jak zabawy, rozmowy towarzyskie, nareszcie powrót do narodowego stroju i do dawnych zwyczajów, wszystko dowodziło wówczas samych polskich uczuć, okazywało silne odżywienie czysto polskiego ducha...

„Poprawy—mówi autor dalej—których nagłą potrzebę klęski przeszłe aż nadto wskazywały, szczerpione na pniu polskim, na koronach narodowych, byłyby się sokami i kształtami polskimi rozwinęły, i gdyby Bóg wtedy był dozwolił cokolwiek więcej czasu na ich dojrzewanie, nie można wyliczyć i wystawić sobie, do jakiego stopnia pomysłności i postępu kraj nasz po swojemu i własnodzielnie byłby w krótkich latach doszedł.

„Wielki sejm, opierając się na czysto polskich pierwiastkach branych z czasów Kazimierza W. i Jagiellonów, otworzył przystęp do obywatelstwa klassom mieszkańców, któreby się wkrótce były uszlachetniły i do używania równych praw podniosły. Jakićmże czołem można tu znaleźć naśladownictwo spraw obcych i działań rewolucyi francuzkiej? Takie jednak było oskarżenie, powtarzane dotąd przy każdej sposobności, i to oskarżenie stało się teraz zarzutem także niektórych reakcyjnych pisarzy.

„Łatwo dostrzedz, jak mało znajduje się podobieństwa między postępowaniem naszego czteroletniego sejmu, a tém co się działo we Francyi lub jednocześnie w innych krajach rewolucyami wstrząśnionych. We Francyi wywracano, niszczone wszystko, tron, religię, obyczaje; tam rzeczywiście zrywano z całą złą i dobrą przeszłością, o żadnej nie chciano

wiedzieć. U nas, korzystając z doświadczenia, starano się wprawdzie poprawiać rzeczywiste błędy i zdrożności dopiero ubiegłych czasów, lecz szanowano, podpierano, podnoszono dawniejszą chwalebłą przeszłość, wracano do niej, starano się urzeczywistnić jej życzenia i zamiary. Tam ofiary i zrzeczenia się przywilejów działały się w gorączce, pod krzykiem i nożami grożącego tłumu. U nas bez żadnej trwogi, z własnej woli i przekonania, z pełnej ręki, z radością sere, owszem mimo przeciwnych nastawień cudzoziemców, wylały się wszystkie dary, zatrzymały się wszystkie nadużycia. Idąc za cudzoziemszczyzną wszelkiego rodzaju, znalazłoby albo despotyzm, albo anarchię; obu postanowiono ująć i we wszystkiem samęj polskości się trzymać, ale chciano razem porządku, sprawiedliwości dla wszystkich, ustalenia dzielności rządu, a przez to niepodległości kraju i t. d.”

Wtrąciłem ten ustęp zbijający tak dowodnie owe nie wczesne i nieuzasadnione zarzuty, miotane przez ludzi, którym się zdaje, że coś nowego powiedzą lub jasną pochodnię zapalą, jeżeli podejmą dawno przegrany i osądzony przed kratkami sumienia narodu proces. Jeżeli takie rehabilitacje wygasłego światka wyobrażeń najniebezpieczniejszą rolę odgrywały i odgrywają w polityce faktów, to nielepiej im się powodzi w teoretycznych marzeniach lub historycznych wywodach. Jakiś czas można tém mamić, zwłaszcza wezwawszy w pomoc poetycką fantazję walter-skocką; lecz i to się prędko przebiera. Jedni kopiując drugich, a raczej wszyscy czerpiąc z jednego źródła, dają w końcu napój bez barwy i smaku.

Od sejmów wielkiego naród wszedł w nową kolęję—strącony z niej został siłą. Nie idzie za tém, aby przez niego objawione zasady nie miały być wypływem jego ducha, pragnącego się odbić w nowym organizmie.

Autor *Żywota* w wielostronności swojej nie jest bynajmniej apologistą bezwzględny owęj epoki reformy; wskazuje bowiem, w czém było źródło nadwątlonego ducha. „Było w narodzie—mówi on—uszanowanie dla obrządków; nie było gorącej i prawdziwej wiary, która tworzy wielkie czyny i do nich prowadzi. Na Polskę znajdującą się w ta-

kiem usposobieniu, wionął zatruty wiatr francuzkiego filozofizmu. Zwyczajowe i drobne praktyki, obrane z głębszego dogmatów poznania, nie mogły mu się oprzeć; zmieszane owszem z zabobonami, jednały mu broń na siebie i przyczyniły się do zmniejszenia zbawienego i hartującego wpływu religii.. Wiara w Boga—mówi dalej—prowadzi do słusznej ufności w siebie: te dwa usposobienia idą zazwyczaj pospółem; bo kiedy człowiek nie ma zaufania w Opatrzności, wtedy musi je zasadać na poziomych względach, na obcej pomocy, nie zaś na własnej zasłudze, usiłowaniu i cnocie. Wiara, to jest nieograniczona ufność w Bogu, tworzy w człowieku tę wielką wewnętrzną siłę obowiązku, bez której samodzielności nie ma.”

Złote to prawdy i na wtedy, i na zawsze.

Niemcewicz po upadku konstytucyi napisał czułą elegię: *Wiosna*, oraz pełny dowcipu utwór krojem biblijnym, drukowany w Wiedniu pod tytułem: *Biblia targowicka*, w którym nie żałuje chłosty niecnym naczelnikom tego spisku.

Wypadki r. 1794 powołały go do czynnej roli z głębi Włoch. Jako adjutant Kościuszki walczył pod Maciejowicami i dalsze jego losy podzielał w Petersburgu, w podróży do Anglii i do Ameryki. Wszystko to szeroko i szczegółowie pozostawił Niemcewicz w różnych pamiętnikach swoich. W niniejszym *Żywocie* znajdujemy to samo, lecz tylko w główniejszych, charakterystyczniejszych rysach, zebrane i opowiedziane w sposób rzucający harmonijne światło na całą postać Ursyna. Różnorodny materiał stopił się pod wybornym piórem w posąg jednego odlewu. Nie przebiegam chronologicznym porządkiem tego zbyt znanego życia: idzie mi więcej o zdanie i sposób zapatrywania się autora, niż o szczegóły. Jakoż rozdziały poświęcone ocenieniu literackich prac Niemcewicza, będących, że tak powiem, wybitniejszą treścią jego zawodu, nie mogą być pominięte, raz, że długo jeszcze zostaną w ręku czytającego narodu, po drugie, że ustępy te może do najwyborniejszych i najżywiej malujących Niemcewicza policzyć odważam się.

Trafnie uważa biogra, że nie było rodzaju literatury, w którymby Niemcewicz nie był sił swoich próbował. Ody,

bajki, listy, tragedye, komedye, pieśni, badania historyczne, romanse, podróże, wszystko to znajduje się w jego dziełach. Dodam jednakże, iż z wyjątkiem niektórych bajek, wszędzie sposób traktowania jednakowy; wysłowienie się płynne, niekiedy dość żywe, lecz styl rzadko zastosowany do przedmiotu, a raczej przedmiot traktowany dorywczo, nie dozwalał mu zgłębić go jak należy, ani wyczerpać, przez co myśl toczyła się gładko, lecz po wierzchu, jakby nie dbała o jutro. „Okolicznościowość” była właściwą jego muzyką. Czy wierszem, czy prozą, najwięcej dla tego pisał, aby wyszydzić chwilową zdrożność, odeprzeć fałsz, zbić potwarz, zemścić się za krzywdę. Przymioty i czujność dziennikarza posiadał w wysokim stopniu, lecz nie miał takiego organu, tylko zastąpił go sobie przez książki, pisma ulotne, bajeczki.

Najznakomitszym jednak podług mnie przymiotem piarskim Niemcewicza był zadziwiający instynkt trafiania do potrzeb i serca narodu. Instynkta takie posiadają zwykle ci, co się wcielili w naród, żyją jego technieniem, podzielają z nim dobre lub złe koleje, i nosząc w duszy idealną jego doskonałość, cierpią ilekroć widzą, że jaka cząstka odrywa się lub zbacza, ciesząc, gdy ogół lub indywidua idą z nią w harmonii... Są to jakby mistrze dyrygujący orkiestrą... Lada fałszywy tonik, choć pokryty masą harmonijnych tonów, nie ujdzie ich baczności...

Sympatyczna ta własność w Ursynie podsuwała mu najszcześliwsze myśli, dawała w swoim czasie wpływ, jakiego inni zdolniejsi pisarze nie mieli. Dość wspomnieć pomysł napisania *Spiewów historycznych*. W owych czasach, kiedy one po raz pierwszy się ukazały, panowało takie przytępienie umysłów, taka obojętność dla literatury, że nie jestem w stanie wymienić żadnego a żadnego utworu, któryby choć cokolwiek poruszał oświecenijsze warstwy... Była to chwila pokongresowa, przynosząca nowy rzeczy porządek, który nie mógł jeszcze pogodzić ludzi ze świeżym upadkiem Napoleona. Świat był w odrętwieniu jakby dusza zeń uleciała,—i dla tego nie rozumiał, niezém się nie interesował, co nie mówiło o jednym człowieku... Takie ol-

brzemy zostawiają po sobie ogromną próżnię, której niełatwo czém napełnić... Otoż jeden Niemcewicz potrafił w tę czezość rzucić świat drogich bardzo wspomnień, spoetyzowanych, spieśnionych, malowniczych.

Po wszystkich dworach i dworkach, przy fortepianie i gitarze rozległy się te dumy gdziekolwiek żył nasz język, chociaż ani notaty prozą, ani wiersze, ani muzyka, ani ryciny nie miały charakteru popularnego, o jaki dziś się ubiegają piszący... *Śpiewy historyczne* przy braku piętna popularnego stały się modą, jedyną w swoim rodzaju, bo zbawienną. „Elegantki parafii — jak powiada autor *Żywota* — jak elegantki warszawskie, unosiły się nad śpiewami; nikt nie śmiał nie znać książki Niemcewicza i przyznać się do niezajomości dziejów swego kraju. Zdarzało się, że z salonów śpiewy zachodziły nawet do przedpokojów, nie tracąc przez to wcale na swojej świetniejszej wziętości... Nie można było pociągiem pióra więcej sprawić, usłużyć i zyskać pomysłniejszych skutków.” Po *Śpiewach* biograf przyznaje wiele zasługi Niemcewiczowi za jego *Panowanie Zygmunta III*, które liczniejszych znalazło czytelników, niż to samo panowanie napisane gruntowniej przez krytykującego go ks. Siarczyńskiego. To pewna, że Niemcewicz umiał odlewać swoje postaci historyczne i dawać im życie tak samo jak Liwiusz — czego znowu nie można powiedzieć o suchym lubo dokładnym badaczu. Czytelnicy nie pytali też o daty i źródła. Milój im było pogadać z ludźmi przeszłości wskrzeszonymi magicznym piórem Ursyna. Jednakże nawet i co do źródłowych badań, największa zasługa zostaje przy Niemcewiczu. Jego „Zbiór pamiętników historycznych” ze wszystkimi swemi niedokładnościami, posunął u nas naukę historyi ogromnym krokiem. Rozrzucone po archiwach, *sylwach rerum*, dyaryusze, dokumenta, korespondencye, pierwszy światu odkrył, jakby nową kopalnię, która miała dostarczyć najrozmaitszych żywiołów do odtworzenia w pamięci całej przeszłości. Kierunek historyczny, popularny w naszej literaturze winniśmy tylko jednemu Niemcewiczowi, — a ta zasługa zapewnia mu na zawsze niepoślednie w niej miejsce. Nie dotknąłem tu wszystkich tych kolei,

którymi przewijało się życie Niemcewicza, a które biograf objął w zupełności, poprzestając tylko na kilku szczegółach wybitniejszych, mających związek z kierunkami bieżących pojęć, czy historyczno-politycznych, czy literackich.

Nie miałem też zamiaru dawać stoliczkowego posążka lub popiersia, skopiowanego ze spiżowego posągu odlanego w dziele dostojnego przyjaciela i towarzysza wielu najcięższych chwil Ursyna... Takie bowiem „Żywoty” nie w streszczeniu czytać się powinny. Bez przesady powiem, że bieżąca literatura nie wydała od dawna nic bardziej skończonego i wytrawniejszego—a co najważniejsza, ton, w jakim ten *Żywot* napisany, ma tyle podniosłej godności, technie taką powagą, wpaja takie uczucia poszanowania dla zasługi, obudza tyle wiary w cnotę obywatelską, że nazwałbym go szczerzo-plutarchowskim, czyli najwłaściwszym ze wszystkich sposobów pisania żywota, bo biorącym człowieka nie z jego stron powszednich, drobiazgowych, ułomnych, ale ze wspaniałych stron publicznego życia. Co nas to obchodzi, że Niemcewicz ulegał tej lub innej słabostce, że tu lub owdzie skłócił się z kim, że tę potrawę lubił a tej nie lubił, miał swoje uprzedzenia do osób i rzeczy, takie śmieszności i małostki towarzyskie, takie kaprysy lub nawyknięcia? Z tych komerażowych ingrediencyj nikt pewnie nie uleje popiersia męża, aby potomni patrząc na niego, mogli powiedzieć: „Wstępujemy w jego ślady!”—jeśli co najwyżej, to można skleić takie pamiątniki, jakie o Niemcewiczu dało któreś pismo przed kilku laty. Czytając je, zdaje ci się, że ukochany sędziwy Ursyn dostał się pod stępę, która go podarła na szmaty,... zapewne dla łatwiejszego obiegu conceptów i anegdot, którymi tak dobrze zabawiać herbaciane towarzystwo... Owe pamiątnikowe notaty, listy, wyznania i mikroskopowa badawczość, całe te plotkarskie rupiecie niemających o czém pisać a roszczących sobie do tego prawo autorów, dla tego, że traf pozwolił im przechodzić tą drogą, którą znakomity człowiek przechodził,—wzięły sobie jakby za zadanie robić to samo z pamięcią górujących ludzi, co prostak ze statuetką z korynckiej miedzi, którą znalazłszy, stara się oskrobać z patyny. Jest

panująca dziś choroba równości, co żywych mierzy jakąś średnio proporcjonalną stopą miernoty gminnej — a umarłych skazuje na nicość...

Dzięki więc biografowi, że ukochaną postać Ursyna postawił na piedestale, z kąd się niełatwo da strącić... Takie żywoty dłużej trwać mogą, niż niejeden spiżowy posąg.

## IX.

# PAMFLET I PASZKWIL.

Zakon literacki. Literatura jest sama dla siebie, nie zaś narzędziem celów. Zbiegowstwo z pod jój sztandaru Paszkwilanci okradają poetów. Co rozumieć o społeczeństwie poddającym się temu terroryzmowi piór pokątnych? Adisson piętnuje paszkwilantów. Choroba moralna.

### I.

Nie można powiedzieć, że ruch polityczny objawiający się obecnie, pociąga za sobą większą żywotność i świeżość w utworach literatury. Ta ostatnia bowiem, wymagając spokoju i ciągłego przykładania się do pracy, nie może z ruchu tyle korzystać, ileby korzystała z porządnój, logicznie postępującój czynności organicznych żywiołów. Ruch ma zawsze w sobie coś gorączkowego, przypadkowego i dorywczego; czynność zaś będąca wynikiem refleksyi, mierzalnych badań i doświadczenia, rozwija się w postępowym porządku, nie lubi gwałtownych skoków, bo wiarę ma w siebie, bo czuje, że wyrabia trwały fundament, na którym geniusz szczęśliwy może zbudować swoje gmachy.

Jeżeli którakolwiek bądź cząstka pracy narodu zbierać chce owoc zasiewu, powinna więcej ufać gruntownie obmyślanemu działaniu, niż efemerycznym i powierzchownym popędem ruchu, który bywa prawie zawsze rodzajem przechodniój atmosfery, tworzącój, kiedy osiedzie na umysłach, prawdziwe *fata morgana*, a zatém oszukującój ogół co do wartości prawdy zamkniętój w puszczonej w obieg opiniach.

Tego więc słuhać co wiatr codzienny przynosi, budować na urojeniach i zachceniach ukutych w kuźniach namiętnój ciemnoty, jedno jest co abdykować z sumienia i rozumu—dwóch rzeczy, bez których nie może się obejść *mądrość, ta siła słabych*, jak trafnie wyraził się pewny filozof.

Zdawałoby się, że kiedy dziś chcemy, żeby ludzkość odgrywała rolę zbiorowój istoty, a naród występował jak jednostka z własnościami indywidualizmu, przymierze z mądrością wcale nie jest do pogardzenia. Mądrość, córka nauki, doświadczenia i dojrzałości, przydałaby się więcej niż kiedykolwiek, a przynajmniej wartoby jój cześć publiczną oddawać i prosić o dobrą radę w wątpliwościach co do ceny, wartości, użytku, niebezpieczeństw i pożytków w naszych przedsięwzięciach, dążeniach, zabiegach i robotach, a najbardziej o stałą miarę do znalezienia różnicy między złem a dobrem, godziwem a niegodziwem, prawdą a fałszem;—różnicę tę bowiem tak często zaciera ślepa namiętność, krzykliwa próżność i zła wiara sofistycznych wywodów, że nie o wiele chodzi, aby we wszystkim stracić miarę i wagę, jako łódź bez bussoli i steru oddana na fal igraszkę.

Zdarzały się nieraz momenta, że głos mądrości nie bywał słuchany, jak głos Kassandry;—zaszczyt to jednak przyniosło tym, co go podnosili w stanowczej porze, że ich wieszczona sprawdzały się, chociaż nierównie więcej przynosiło im pociechy spełnienie obowiązku przez okazanie odwagi cywilnej.

Jeżeli w ogóle jest to zadaniem mężów światłych, dojrzałych, używających poważnego wpływu bądź w kole rodzinnem, bądź towarzyskiem—to niezawodnie cięży ono na szafarzach pisma i słowa. Literatura, mająca być wyrazem wytrawnych myśli, czystych uczuć, niebiańskich natchnień i owego *lucidis ordo*, o którym mówi Horacy,—powinnaby w przypadkach zamętu pojęć i ogólnego rozstroju nie zbiegać ze swego stanowiska, ale owszem ścisnąwszy szeregi, tém silniejsze rozszerzać światło i przewodniczyć w trudnościach życia, a nie nasuwać nowych trudności, łączyć a nie rozdawać, goić a nie ranić, podnosić a nie zniżać, oświe-

cać a nie palić. Wprawdzie trafia się niekiedy, że piszący w tym duchu pozostają na chwilę bez wpływu i bez uznania — ale czyż tylko to dobre i godziwe, co natychmiastowy poklask zyskuje? Czy nie uczą tysiączne przykłady w dziedzinie cnót, zasług i wynalazków, dzieł sztuki, że choć współczesność nie zwróciła na nie uwagi, delektowały się nimi najpóźniejsze pokolenia?... To pewna, że literatura, ten najpiękniejszy wyrób ludzkiego ducha, ten kwiat ciągnący soki i pożywienie z nieba i ziemi, a zatém wiążący stworzenie ze Stwórcą, doczesność z nieśmiertelnością, ubliża sobie i więdnąć, odkąd staje się prostym pasorzytem zwierzęcych namiętności lub bezrozumném echem ich wycia.

Większa niż kiedykolwiek odpowiedzialność ciąży dziś na literaturze. Dawniej świat działał na książki, dziś książki działają na świat. Ta jedna uwaga wystarcza, żeby nie nadużyć daru słowa i nie uleść pokusie siania wiatrów po polu. Cóż łatwiejszego, niż nabrawszy w miechy pustych słów i frazesów, sypać nimi bez kontroli sumienia i rozumu, w oczy prostaczkom?

Jeżeli idzie o poklask chwili, to chwila zawsze jest krótką, a przeznaczeniem tworców ludzkiego ducha czyż nie jest życie w przyszłości?

Muzą naszą od wieków w nieprzerwanym ciągu była ojczyzna i miłość bratnia: pierwsza ze wszystkimi powodzeniami i klęskami, szczęściem i niedolą, rozpaczą i nadzieją — druga w ewangelicznym duchu nie znała różnic przed obliczem Chrystusa ukrzyżowanego dla zbawienia świata... Myśl narodowa była jakby jednym hymnem wyrażającym ogólną harmonię.

Ten a nie inny duch przenikał całą literaturę, wyciskał na niej swoje piętno.

To a nie co innego tworzy tradycję, z którą zrywać nie godzi się, choćby przyszło usłyszeć niewczesny wyrzut niepostępowości, wyrzut będący właściwie najzaszczytniejszém uznaniem, zwłaszcza gdy postępowość najczęściej za jedno biorą z nowatorstwem mody... Pisarze nasi biorąc za temat chłostanie cudzoziemskich obyczajów i obcego języka, nie uważają częstokroć, że bijąc na złe zewnętrzne, sami dali się zatruć na duchu, gdy sięją nienawiści,

za narzędzie wszczępienia swych mniemanych prawd i teoryj używają fałszu i potwarzy, a dla przekonania publiczności nie szcędzą paradoksów i sofizmów. Takie pisma — to istny kwas siarczany, najdzielniejszy środek chemicznego rozkładu.

Słusznie zauważał jeden znakomity publicysta niemiecki, że ilekroć przychodzi dziś na stół kwestya narodowa, w ślad za nią jak stado kruków zlatują się kwestye socyalne...

Gdzieindziej ma to swoją rozumną przyczynę; proces tych przeobrażeń może się odbywać bez przeszkody z użyciem wszystkich sił na pokonanie wewnętrznych niedogodności; — u nas przeciwnie, osłabia każde stanowisko, daje niepewność i trwogę, a siły paraliżuje. Zamiast otwartej pracy i czynności opartej na najświętszych prawach, przychodzi gorączka trawiąca, zużywają się siły, zużywają się ludzie — aż w końcu najżywotniejsze prawdy, najżywotniejsze interesa znikają z oka, a natomiast panowanie swe rozpoczyna ubezwładniający zamęt w uczuciach i myślach.

Literatura wierna tradycyi, powinna mieć cel wytknięty, zasady niewzruszone; inaczej zejdzie na podrzędne narzędzie pierwszej lepszej namiętności reformatorskiej. To pewna, że lada miłośniczek czynu nieinaczej uważa pisaninę drukowaną, tylko za coś, co służy jego celom, a pisarza za swego uprzywilejowanego historyografa lub laureata.

Tym sposobem a nie innym upadały literatury świata....

Tym sposobem i literatura francuzka znędzniała w wizerze wielkiej rewolucyi; — a jeśli na tle owęj epoki świecą dwa imiona: pani de Staël i Chateaubriand'a, to jedynie dla tego, że zostały przy tradycyi, że nie poszły w służbę Maratów lub Baboeufów.

Ze względu na położenie nasze, tak odmienne od wiewlu historycznych położzeń — wszelkie rozprzężenie, rozbitcie, luźność, wykopuje przed nami głęboką przepaść; przeciwnie reguła, zakon, daje siłę, wyjaśnia wzrok, pozwala się czuć w całości.

Zdawałoby się, że wyższość umysłowa ludzi działających piórem i słowem, powinnyby robić ich skłonnyimi do pozostania w regule tradycyi narodowej; w rzeczy samej, przewodnie gwiazdy literatury naszój zawsze trzymały się téj nici, i to właśnie nadało im tak wysokie stanowisko... Na nieszczęście jednak pod purpurową togę kapłaństwa literatury ciśnie się lada kaprys, lada fałszywe powołanie, i wojując piórem pod wezwaniem świetlanych duchów, używa ich złotego języka, żeby szermować fałszem i brudem...

Pod płaszczem poważnej literatury Kochanowskich i Skargów, pod okiem patrzącego z krainy duchów Adama, Zygmunta, Juliusza, nie godziłoby się kalać tyłu cudnych zabytków mowy ojców, tyłu niezrównanych kwiatów poezyi. Romantyzm źle rozumiany, ale nie przez mistrzów, tylko przez tych, co wszystko literą swych namiętnostek tłómaczą, dał powód do osłabienia reguły literackiego zakonu. Wydając wojnę pseudo-klassycyzmowi, urojono sobie, że tém samym trzeba wydać wojnę każdej regule, jako przeszkodzie hamującej polot orłów-geniuszów. Geniuszów jednak niewiele Pan Bóg dawał; ale za to zgraja najmniejszych zdolności, zupełnie jak na jakim feście publicznym, rzuciła się i połamała baryery... Raz poszedłszy tą drogą, nie się nie utrzymało, krom czelnego zuchwałstwa ciskającego się bezwzględnie na wszystko, co miało mu zawadzać w jego polocie.

Posłannictwo literatury, które w najczarniejszych dniach naszych skupiało w sobie wszystką żywotność całego narodu, niepowinno przecież ustawać, ani jój wolno pozbywać się wznosłego charakteru, wyszczególniającego ją między innymi literaturami świata.... Sztandar jój nie może być sztandarem swawoli, ani pokrywką dla kłamstw i złej wiary.

Jak złemu zapobiedz? Odpowiedź trudna — a i rada podobnie. Jeżeli opinia zdrowo myślącego i światłego ogółu nie zdobędzie się na potępienie nadużyć i wybryków, tedy poważnie myślące i głębiej czujące grono piszących, nie ma już gdzie appellować.

Rzeknie kto:—A więc niech dziełami swemi zagłuszają niesforne odgłosy...

Zapewne, sposób to najlepszy i najpraktyczniejszy—gdyby w tych popisach krzykliwej gawiedzi nie było czegoś ubezwładniającego i paraliżującego, czegoś wywołującego pogardę w każdym pojmującym wyższość swego powołania pisarzu... tém bardziej, jeżeli zobaczy, że publika nie tak źle przyjmuje płody plugawej rzeszy, kładąc je prawie na równiej szali z tworamii mającemi źródło w talencie, nauce i prawdach bożych.

Lękając się wszelakięj przesady, wyznając, że źle nie doszło jeszcze ostatnich granic; symptomata jednak dające się spostrzegać, nie świadczą o stanie zdrowia; z drugiej zaś strony nie widać zkądby miało przyjść lekarstwo, kiedy coraz więcej zdaje się słabnąć odwaga cywilna. Niechże przynajmniej jedna literatura nie da się obedrzeć ze swoich znamion, spędzić ze stanowiska, lub wtłoczyć w łóżę Prokrusta.

## II.

Jeżeli zdanie jakie wyrzeczone ogólnie i bynajmniej nie *ad personam*, wywoła protestacye w pewnych umysłach stronniczono-namiętnych, możnaby się założyć, że miało w sobie porządną ilość demaskującej prawdy i że trafiało w sedno.

Uderz w stół, a nożyce się odezwią; wypowiedz spokojnie i po prostu prawdę, a niezawodnie wywołasz odpowiedź wybiegliwą i grubiańsko-gorączkową, co ani jedno, ani drugie nie zbija potępiającego zdania, témbardziej gdy oczywiste fakta popierają takowe.

Miałem zawsze za zasadę więcej zważać na rzecz niż w osobistości uderzać—co mię dosyć różniło od tych, którzy o rzecz nie stoją, byle z osobistościami mogli harceować. Tacy to, znając ułomną stronę natury ludzkiej, rachują zwykle na skandaliczny komeraż—co zapewnia dorywczym ich płodom bodaj kilkodniowe powodzenie.

Jakoż wzięto sobie za maksymę eksploatować bogatą kopalnię obmowy i potwarzy; bo czyż doświadczenie nie uczy: Potwarzaj, potwarzaj, a zawsze coś przyłgnie do twe-

go przeciwnika? *Calumniare audacter, semper aliquid horet.*

Zapewne téj szlachetnéj maksymie mamy podziękować za liczne publikacye w roku przeszłym, sypiące się jak z rękawa pod różnemi nazwami owadów, dobrze charakteryzujących tych pism naturę. Jeżeli, jak Michelet powiada, za dawnych wieków wierzono, że Pan Bóg stworzył tylko zwierzęta, ptaki i ryby, a szatan chcący z nim rywalizować stworzył owady—tedy genesis nowéj kreacyi owadów nie insze ma źródło. O ile podejrzana jest czystość onego, nie chcemy powtarzać domysłów krążących w publiczności; domysł i plotka nigdy za dowód nie stoi; to jednak pewna, że pismka te hojnie rozrzucone i roznoszone, grzeszyły brakiem narodowój cechy i sprzeciwiały się własnościom polskiego obyczaju. Poszukajmy w całej przeszłości naszej i dawnéj, i świeższéj, czy karykatura kiedykolwiek kwitnęła u nas? Polak nigdy nie błaznował i nie drwił z siebie, mając to za ujmę narodowój godności i honoru; a chociaż śmiał się z karykatur niemieckich, w duchu się dziwił, jak można wystawiać się na dobrowolne pośmiewisko? Co się tycze paszkwilów, tych nie brakowało nigdy, jak nigdy nie braknie ludzi złych a nieodważnych, wołających szarpać cudzą sławę z ukrycia, niż występować przeciw nadużyciom i błędom z podniesioną przyłbicą.

Paszkwilów przecież nie drukowano; skrycie obiegały one w odpisach; cieszyły jednych, martwiły drugich, ale nie wywoływały publicznego zgorszenia, nie zatrwały życia rodzinom, zacisza domowego nie wystawiały na cenzurę i obelgę publiczną.

Owadowe pismka zeszłoroczne widocznie miały chęć naśladować *Puncha*, *Charivari*, *Kladderadacza*; wszakże nie mogąc się zdobyć na dowcip polityczny, a może też bojąc się zaczepiać władze, z któremi niebezpieczno żartować, zaprzęgly się w służbę brukowych plotek i obmów, i biorąc je za rzeczywistość, naruszały nietykalność domowego ogniska, przed którego progiem cofa się nawet władza umiejająca się szanować.

Naśladownictwo, jak wszelka kopia, licho wypadło. Intencya może była *pro publico bono*; skutek każe zapytać:

*cui bono?* Niepodobna przypuścić, żeby te pisemka pseudo-humorystyczne nie zmierzały do jakiegoś celu, bo przecież nie ma takiego złego, co by się nie podszło pod te lub inne, dobru pospolitemu zbawienne cele. Ale najświętszy cel nigdy nie uświęca złego środka. Aforyzm ten będąc ciągłym wyrzutem na ustach nowszej generacji, gdy chce potępiać stare dążności machiawelsko-obskuranckie, powinienby stać się jej zasadą. Tymczasem rozwolniony zmysł moralny, często nie przebierając w wyborze środków, pozwala domyślać się, że mu nie idzie bynajmniej o wyższe cele, że goniąc za chwilową zbobyczą, nie dba o następstwa; że przedrzeźniając ułomności i niedostatki (przedrzeźniający czyż są bez *ale?*) nasycy tylko osobistą nienawiść, mści się z zamaskowaną twarzą, a nie a nie nie przyczynia się do równania i łagodzenia z natury rzeczy nierównych i zajątrzonych stosunków.

Zdawałoby się, że hasłem całej tej pamfletowej agitacji systematycznie praktykowanej po naszych główniejszych miastach, był terroryzm przez opinię, rodzaj gilotyny bez noża. Krótka jednak karyera piórowych terrorystów przekonała, jak prędko sami się zużyli, aczkolwiek swobodnej ich praktyce nie stawiało na wstręcie, dopóki ograniczali się na szarpaniu bezbronnych niewiast i ludzi stojących za obrębem władzy. Zdanie Chateaubriand'a: *Cette espèce de despotisme n'a de raison de régner que sur les sociétés dégradées* — w tym przypadku nie da się jednak zastosować; bo przecież cierpliwa względność na podobne wybryki nie wynikała z cynicznej apatii, ale z chrześcijańskiego przebaczenia zbląkanym na fałszywe drogi. Wreszcie i sama publiczność zażyta z tej samej strony, która zwykle cieszy się upokorzeniem bliźniego, mogła się bawić jakiś czas temi plotkami i karykaturami, lecz w końcu spostrzegła się, że ta zabawka nie a nie nie fortytuje ogólnej sprawy narodu, owszem paraliżuje czynność, osłabia wiarę we własne siły, a na stanowiskach zostawia udzielnymi tych, których nie śmie obrażać bezkarnie.

Pojaw ten wywołany w niewłaściwym miejscu i czasie, a wyległy w kilku promykach wolności, od razu stał

się nadużyciem, a raczej przybrał cechy nietylko do kompozycji społecznej, ale i literackiej, gdy parodując styl i myśli najszlachetniejszych utworów literatury ojczyściej, na pośmiewisko je oddawał.

Powiadają niektórzy nieskrupulatni politycy, że w publicystyce wolno używać każdego sposobu dla zepchnięcia politycznych przeciwników, a więc pamfletu, paszkwilu, karykatury. Nie przeczymy; gdzieindziej się to praktykuje—ale czyż wszystko dobre co obce? Zresztą kogo tu spychać, kiedy wszyscy na jednym stoją poziomie? I w rzeczy samej polityka służyła tylko za płaszczyk owym różnorodnym pisemkom; właściwym ich celem był paszkwil, który nie da się nawet traktować jako plód literacki, tylko jako choroba moralna.

Dotąd, póki się grzech ten chował w granicach pisarniny pokątnej, nikt nań nie zwracał uwagi; teraz kiedy drukuje się i wchodzi w skład ogólnego piśmiennictwa, niemożna o nim przemilczeć, choćby dla użytku tych dobrodusznych, co nie czują następstw swawoli pióra. W Anglii, tej ojezyźnie pamfletu i karykatury, Addison przed półtora wiekiem ostro piętnował paszkwil i paszkwilantów. Jeżeli w niepodległym narodzie wywoływało to zgrozę oburzenia, to w naszym wywłać powinno tylko pogardę. „Nie nie znamionuje—mówi Addison—większej podłości charakteru, niż ciosy zadawane przeciw honorowi człowieka z ukrycia. Pamflet, blażeństwo napisane z ogniem i dowcipem, to jak zatruta strzała zadająca niezagojoną ranę. Drzę, ilekroć widzę ludzi złego charakteru, władających talentem ironii i sztuką zaprawiania wszystkiego jadem śmieszności. Dla nieludzkiej i dziedziałej istoty nie ma większej uciechy, niż ranić serce bliźniego, wnosić zamęt i smutek w rodzinne koła, familie wystawiać na pośmiej, a samemu siedzieć w kącie i napawać się krzywdą wyrządzaną publicznie. Jeżeli taki pamfleciarz obok dowcipu i charakteru ma jeszcze pociąg do występku, natenczas robi się z niego najniebezpieczniejszy potwór dla społeczeństwa. Najkrwawsze i najzjadliwsze jego elukubracye zawsze najprzód uderzą w ofiary najmniej zasługujące na to. Cnota, zasługa i godne szacunku przymioty staną się celem szy-

derstw i potwarzy. Trudno wyobrazić sobie, jakie złe może wyrządzić pocisk z ciemnego kąta, a jeżeliby można go czém uniewinnić, to chyba tém, że rany zadane przez niego są imaginacyjne, zostawiające po sobie smutek i wstyd w duszy ranionego. Przyznaję, że libella i paszkwil nie są przez się ani złodziejstwem ani morderstwem; lecz niejeden możeby oddał część mienia, a nawet życia, żeby nie być na przegierzu pośmiewiska i infamii. Zwłaszcza, że w tym razie stopień wyrządzonej obelgi nie mierzy się tém, co o nim mówi paszkwiliant, lecz tém, co obrażony sam czuje. Ci nawet, co okazują najzimniejszą krew na podobne skandale, nie są wolni od wewnętrznego niesmaku, jaki się w nich obudza. Dowód na cierpliwym Sokratesie, który przed wychyleniem pucharu cykuty, wszcząwszy rozprawę o nieśmiertelności duszy, rzekł do swoich: „Nie mniemam, aby nawet ów żartobliwy szyderca miał mi co przyganić, że w godzinę śmierci mówię o tym przedmiocie.” Stosowało się to do Arystofana. A chociaż powszechnie utrzymywano, że Sokrates obojętny bywał na pociski komika, a nawet do teatru chodził kiedy dawano sztukę parodującą jego filozofię, mimo tego czuł obrażę, i w godzinę śmierci odkrył, co go bolało....”

Co się mnie tycze, nigdy nie ufałbym człowiekowi podejrzanemu o bezimienne szkalowania; zdawałoby mi się, że szarpiąc cudzą sławę, gotów tak samo targnąć się na osobę i na majątek, gdyby zabójstwo i kradzież mogły się udać z równem bezpieczeństwem jak anonimy. Jest coś wielce okrutnego i nieludzkiego w zwykłym zachowaniu się takich autorów. Młoda dziewczyna, mimo swój niewinności, będzie wydana przez nich na pośmiech, za to np., że się tak lub owak ubiera, lub że jej rysy nie mają regularności antyku. Ojca rodziny okryje śmiesznością jaka domowa przygoda na jaw wydobyta; matkę spotka nieszczęście na całe życie za słówko wyłomaczone przewrotnie, lub postępek najniewinniejszy podający ją w podejrzenie. Słowem, złośliwi oszczercy rozjątrząją człowieka łagodnego, umiarkowanego, sprawiedliwego, drwinkując z jego przymiotów stanowiących jego zaćność. Takich to nadużyć dopuszcza się dowcip niehamowany sumieniem ani miłością

bliźniego. Wpadłszy na materyę o paszkwilu, nie mogą na zakończenie obrać trafniejszego porównania niż w bajce Rogera Lestrangé'a: *Dzieci i żaby*.

Bajki téj, znanéj wszystkim w wybornym przekładzie Krasickiego, nie potrzebujemy przytaczać; dość przypomnieć dwa ostatnie wiersze:

„....Chłopcy przestańcie, bo się źle bawicie:  
Dla was to jest igraszka, nam idzie o życie.”

Przypuściwszy, że od strzałów tępego i grubego dowcipu nikt nie umiera, — z drugiey strony nie usuwa to obawy o życie publiczne i domowe, zakwaszone obelgami, nie usuwa obawy o zgodę i miłość wzajemną, czyli o tę harmonię społeczeńską, przez którą dojść tylko można do wyższych celów. Rozstrój i rozkład w różny sposób praktykowany na téj wielkiey rodzinie, która się zowie narodem, właśnie najdzielniey dopomaga widokom nieprzyjaciół. Słusznie więc bajka przytoczona przez Addissona nagania rodzaj pustej zabawy:

„Dla was to jest igraszka, nam idzie o życie.”

Nie przeczymy bynajmniej, jak o wiele trudniejszą, mozolniejszą i wymagającą wielkiego zaparcia się jest praca połączeń, obopólnych ustępstw, porozumień się, zachęty do wytrwania w dobrém i pożyteczném. Niekażdemu chce się wziąć na barki brzemię obowiązku, bo o tém nie bębniają po gazetach, ani po miejscach publicznych; powabniejsze i łatwiejsze pole popisu następuje szermierka podejrzanéj wartości dowcipów. Ale czyż wszystko to, co łatwo przychodzi, co nie nie nie kosztuje, ma dla tego być dobrém i pożyteczném?

Nie mogąc dopatrzeć ani źdźbła korzyści moralnéj z onych pisemek, widzę w nich tylko gorączkowy paroksyzm, który minął czy w skutek zubożenia publiki sytých tych kwasów, czy wypróżnienia dowcipnego arsenału, czy też ocknienia się piszących? Nie szukam przyczyny, to jednak pewna, że źle ukazawszy światu prawdziwe swoje oblicze, samo się struło. Od paszkwilów kolportowanych

po ulicach, od karykatur urągających wspólnej niedoli, do wystąpienia z okrzykiem: Daj pieniądze! albo cię opiszę; daj pieniądze! albo sławę twych przodków, sławę twojej rodziny bez różnicy płci i wieku wystawię pod pręgierz opinii w bezimiennój broszurze,—przejście było nieuniknione i bardzo naturalne. Prąd tój literatury dałby się zamieścić w kategorii moralnej choroby, gdyby nie miał tak wyraźnych znamion skażenia charakteru narodowego, jak to niegdyś przepowiedział Trembecki:

Z czasem ci pisarkowie do tój dojdą mety,  
Że by w plecach braterskich topili sztylety...

1862.

---

## X.

# WYDANIE DZIEŁ DŁUGOSZA.

Postęp nauk historycznych. Zwichniona dążność. Mozoty towarzyszące wydaniu pisarzy średniowiecznych. Przedsiębiorstwo Aleksandra Przeddzieckiego. Czém był Długosz? *Liber Beneficiorum*. Klasztory w dawnéj diecezyi krakowskiej. Od ogólu zależy powodzenie wydawnictwa.

Przez ciąg kilku wieków kwitnienia i potęgi dawnéj Rzeczypospolitéj Polskiej, niewiele zrobiono dla historyi; bo nietylko wstrzymywano się z ogłaszaniem pism spoczywających w manuskryptach, lecz nawet oburzano się, kiedy prawdomowny historyk ujrzał światło dzienne; za to w ostatnich czasach, wśród straty politycznego bytu, dzieją się u nas na polu historycznéj nauki usiłowania i prace ludzi prywatnych, podejmowane takimi ofiarami i nakładem, jakie zwykle tylko monarszych dworów bywają udziałem.

Wzniosłe to i głęboko rozumne pojęcie obywatelstwa szukające żywotnych sil w kształceniu umysłu, w dobrych instytucyach, w szerzeniu zdrowych pojęć, w dawaniu budujących przykładów, nareszcie uczące poznawać siebie samych, społeczność i ziemię, na której siedzimy — doprowadziłoby zawsze do dobrze wyrachowanych celów, gdyby im częstokroć nie przeszkadzał poryw krótkowidzący, do czynów przedczesnych pochopny i niewiele troszczący się, jeśli widoki jego chybią, bo wyjście z chaosu zostawia

na głowie tych, co regularnym pracy organicznej przywyklić torem.

W smutnych przejściach dzisiejszej chwili, duchowa i umysłowa czynność w narodzie znowu zdaje się wracać do swoich, na jakiś czas wstrzymanych lub opuszczonych warsztatów; i znowu budzi się przekonanie tém silniejsze w skuteczność pracy, im zmarnotrawienie jej zasobów okazało się zgubniejszym. Nagłe przerwzenie się potęg wewnętrznych na zewnętrzne pole siły materialnej, nader wątpliwój, odniosło w zysku tylko zrujnowany organizm, niedaleki od zupełnej prostracyi, — gdyby znowu z drugiej strony nie przychodziła w pomoc wiara w świętość sprawy, pobudzająca do czynnego ratunku i przyłożenia rąk do powiązania zerwanych włókien i gojenia ran zadanych w ciele społeczném. Jeżeli kiedy, to dziś, umysły w ruch wprawione niepowinny się cofać przed ofiarami obecnego położenia, tém bardziej gdy doświadczyli, ile kosztują ustępstwa, i jak nieużytecznymi okazały się najzdrowsze zdania, kiedy im nie towarzyszy moc charakteru i przekonań, jak bezowocnymi dobre chęci, kiedy je siła woli nie poprze, jak wątłemi wszelkie organizmy oglądające się, z której strony wiatr wieje.

Z mocną wiarą w żywotność, wiele dałoby się ocalić, byle zrozumieć, gdzie leżą zasoby życia jeszcze nieużyte, i co ma być dalszego rozwoju podstawą? To jedna część zadania; druga jest dalszym ciągiem tego, co się już zrobiło w troskliwości o utrzymanie pewnego stopnia oświaty i kultury: przez wspieranie instytucyj, szanowanie zabytków, odgrzebywanie ich, wyjaśnianie domowych dziejów, zamilowanie religii, języka i literatury ojczyźnej, — zresztą wspomaganie talentów w różnych gałęziach umiejętności i sztuk pięknych, niemniej handlu i rękodziel, — zgoła, zasługą pracy zarobić sobie na prawo do życia. Rękojmia to najpewniejsza; horoskop mniej zawodny, niż wszelkie najśmielsze polityczne konjunktury, których szanse nawet przyjazne, niewieleby mogły pomódz pogrążonym w letargu niemocy, rozbitym, zrozpaczonym.

Kilka tych pobieżnych myśli, acz może czyjś rozumieniem przycepionych do małej rzeczy, natchnął widok

grubego tomu, jednego z ośmnastu mających tworzyć cały korpus dzieł Długosza.

Zastanowiwszy się uważnie, ile to mozolów, ile kosztów pociąga za sobą wydanie pism średniowiecznego autora, gdzie samo odcyfrowanie autografów, lub porównywanie rozmaitych kopij, należy do najzmudniejszych zadań, wymagających po pracownikach obszernej znajomości filologii, historii, geografii—łatwo pojąć, jak podobne przedsięwzięcia nietylko przyczyniają się do pomnożenia chwały narodu w przeszłości, lecz i w obecnej chwili świadczą o zdolnościach, usposobieniach i wytrwałości ludzi naukowych, odpowiadających tym sposobem na zarzut często robiony Polakom, że erudycją, ścisłością pracy i wytrwaniem, nie są w stanie sprostać uczonym Niemcom, Włochom, Anglikom i t. p.

Jeżeli żywsza krew słowiańska mniej skłania się do ślimaczęj sedencyi professorów z nad Sprei, nie idzie za tem, żeby nie była zdolna pokazać światu, jakich zasług męża miała w wieku XV, tym wieku, gdzie prócz jednych Włoch—protestujących grecko-rzymskiem odrodzeniem przeciw teokracji feudalnej wieków poprzednich, a tem samem ożywionych świeżym entuzjazmem dla literatury i sztuki starożytnej — inne kraje, mianowicie środkowej Europy, mniej porwane humanitarnym zwrotem, nie pokazałyby nikogo, któryby się mógł zrównać z Długoszem co do ogromu prac czerpanych, że tak powiem, z pierwszej ręki. Dzieła jego nie są to traktaty teologiczne, ascetyczne, tem mniej filozoficzne; natomiast jest w nich historia, memoriały o wypadkach współczesnych, żywoty świętych Korony Polskiej, monografie biskupów, heraldyka, nareszcie topografia kraju czyli tak zwana poliptycha. Wszystko obracające się w sferze domowej, praktycznej, chwytające—jakbyśmy powiedzieli dzisiejszym językiem—za rdzeń narodowego życia.

Takim był autor, uczony; jakim zaś był człowiek, duchowny, mąż stanu,—to znowu druga kategoria, mieszcząca go w rzędzie najznakomitszych ludzi, jakich miała Polska.

Żywot Długosza napisany ze źródeł, indywidualność jego wystawiona w tém świetle, jakie odbija się z pomysłów rzuconych przezeń na papier, z czynów i zajęć zachowanych w podaniach współczesnych -- mogłyby się stać ozdobą naszój literatury, zwierciadłem do wzorowania się młodzieży, jak trzeba służyć krajowi. Ogłoszenie wszystkich prac Długosza ułatwi to zadanie, i owa czcigodna postać wyraźniej odrysuje się na tle średniowiecznej Polski Jagiellońskiej, dopełniając Zbigniewa Oleśnickiego, który pod piórem znakomitego historyka zajął już pierwszorzędnę miejsce w galerii narodowych posągów.

Jak w każdym życiu niepospolitego męża, tak i w tém, zastanawia jeden rys głównie, będący cechą charakteru, talentu lub geniuszu. W Długoszu nie bardziej zdumieniem nie napelnia, niż ogrom pracy dokonanej przezeń. Te osmnaście tomów in 4-to grubych po sześćset i więcej stronic, jakie hr. Aleksander Przezdziecki staraniem swoim i kosztem wydać zamierzył, nie są bynajmniej alfą i omegą pracowitości Długoszowej; zresztą iluż go autorów prześcigło ilością ksiąg napisanych! Nie liczba, lecz jakość, lecz rodzaj obrobionego przedmiotu, świadczy o mniejszym lub większym trudzie. Historyk, żywotopisarz, topograf, wprzód długo gromadzi materiały, ocenia je, porównywa, sprawdza, nim siądzie do rzucenia na papier przetrwionej treści. W owym piętnastym wieku, nie było ani ksiąg drukowanych, ani bibliotek publicznych, ani stowarzyszeń naukowych; były za to archiwa koronne i prywatne, z których dostanie materiałów zawsze podlegało trudnościom, wymagając przerwania całych stosów, szukania bez pewności znalezienia. Opisanie kraju, a raczej stanu majątku kościelnego w dyecezyi, tak ogromnej jak ówczesna krakowska, nie mogło się odbyć inaczej tylko za pomocą wizyty dyecezyalnej, lub za dostarczeniem opisującemu dokładnych inwentarzów każdej parafii, każdego kościoła, klasztoru i t. p. Ileż to lat trzeba było na doprowadzenie tego opisu w całości i wypracowanie go własną ręką, jak świadczą niepodważane autografy Długoszowe w kapitule krakowskiej dotąd przechowane! Na tyle autorskich zatrudnień, mogących pochłonać czas całego życia, widzimy,

że niezmordowany ten pracownik dźwiga na głowie tyle jeszcze innych obowiązków przywiązanych do jego godności duchownej, do misyj dyplomatycznych, jakimi zaszczycało go zaufanie Kazimierza Jagiellończyka, lub Zbigniewa Oleśnickiego. Już go widzimy, jak jedzie na Węgry uśmierzać węgierskie swary po śmierci Władysława III poległego pod Warną—to w poselstwie do Papieża i Cesarza; to do Czech dla traktowania o pokój z Jerzym Podiebradzkim, to znowu popadającego w niełaskę u króla, godzącego na jego życie i majątek, w skutek czego zostawszy tulaczem, odbywa pielgrzymkę do Ziemi Świętej, a nieobecnością swoją trzechletnią dając uczuć królowi brak człowieka zdolnego do spraw politycznych, wraca do łaski, do zaufania, i odtąd bierze udział we wszystkich najważniejszych czynnościach korony, czy to prowadząc długie i zawile układy z Krzyżakami, czy mentorując oddanym pod swój dozór królewiczom, czy towarzysząc do Pragi młodemu Władysławowi obranemu na tron czeski, czy zawierając stały pokój z węgierskim Maciejem Korwinem zagrażającym wpadnięciem do Golski, czy wreszcie w ciągu tylu wielostronnych zatrudnień, budując z własnej kieszeni kościoły i klasztory, restaurując zrujnowane, zakładając bursy akademickie; zgoła wszędzie, gdzie potrzeba było dźwignąć coś, ubezpieczyć, obrócić na stały narodu pożytek — ręka i głowa Długosza nie umiały sobie folgować.

Umysł trzeźwy, spokojny a bystro obejmujący wielkie sprawy; czynność nietrzymająca się ograniczeń, a zatem umiejąca podolać wszystkim brakom dostępnym gospodarzemu oku; wiara we własną pracę, że na chwałę bożą i dla publicznego dobra podjęta, wyjdzie na pożytek ojezyny—oto wybitniejsze cechy tej średniowiecznej indywidualności jednego odlewu. Tacy ludzie jak Długosz, mogą być dziećmi tylko ezerstwych organizmów, rodzić się w społeczeństwie, które jak gmach dobrze postawiony, nie trzęsie się i nie rozsypuje za lada wiatrem... Tacy ludzie funkcjonując w porządnym składzie, idąc równym torem obowiązku i sumienia, znaczą wiekopomnymi śladami bytność swą na ziemi, pewni, że głos ciemnego tłumu nie

zpełnie i nie każe iść drogą przekonaniu przeciwną, z doświadczeniem i znajomością głównych spraw kraju sprzeczną, pewni nakoniec, że siejba ich przyjmie się i rozpleni, bo na ziarno czeka grunt uprawny, i nie będzie wprzód rozechwytane przez wrzaskliwe pasorzytne ptactwo, nim na ziemię upadnie.

Mając mówić o świeżo wydanym tomie dzieł Długoszowych, niepodobna było choćby mimochodem nie ugiąć czoła przed tą dostojną postacią. Długosz to promień z aureoli świecącej nad naszą przeszłością...

Dotąd — prócz dla małej liczby ludzi oddających się nauce, mianowicie badaniom historyi — dzieła Długosza były krajem nieodkrytym. Pisane po łacinie, wydane w jednej części, i to z grubemi zmyłkami, jeśli nie zaspakajały uczonych, tém mniej przedrzeć się mogły do szerszej publiczności, nieznającej języka.

Wiek nasz, wielki rozpowszechniacz, nie ma skarbu, którego by nie zmienił na drobną monetę publicznego użytku. Wynalazki, wyroby rękodzielnicze, dzieła sztuki i myśli, natychmiast przechodzą na własność ogółu, przybierając najprzystępniejszą formę, w czém od cywilizacji i światła wieków średnich zachodzi ogromna różnica. Kiedy tamte okrywała jakaś hieratyczna tajemnica, małej liczbie poświęconych przystępna — dzisiejsza czynność cywilizacyjna ciągle się na zewnątrz wylewa, przyznając sobie tém większą zasługę, im większa liczba z jej owoców korzysta. Wprawdzie jakoś nie zawsze bywa wytworna materialem i wykonaniem, za to ilość wszystko pokrywa, dogadzając większości.

To samo w literaturze. Zabytki rękopiśmienne, pierwotne edycje, pycha i ozdoba publicznych i prywatnych bibliotek, z białych stają się czarnymi, pospolitemi krukami... Środki do rozpowszechniania oświaty ogromne: za pomocą druku, litografii, promienia słonecznego. Wszystko staje się przystępne i zdaje się mówić do rodu ludzkiego: Doskonal się, korzystaj ze światła, abyś umocnił się w prawdzie i napróżno nie robił doświadczeń, kiedy byli już tacy, co zrobili przed tobą, z taką a taką korzyścią lub stra-

tą. Szczególniej nauka historyi nie powinna być stać się martwą literą dla rwących się do historycznego życia.

Zapewne tą powodowany myślą, a razem dbały o chwałę i zaszczyt narodu, hr. Aleksander Przedziecki, znany badacz zabytków dziejowych, przedsięwziął przed kilku laty zrobić wydanie wszystkich pism Długosza z tekstem łacińskim, sprostowanym podług autografów, z przekładem polskim. Przekład polski—oto jest co właściwie nazwać można spopularyzowaniem pism tego historyka XV wieku.

Całe wydanie obejmować będzie 18 grubych tomów in 4-to. Będą tu pisma w części znane już z dawniejszych, dziś rzadkich, lecz błędnych wydań; będą i niedrukowane dotąd.

Najważniejsze w tym zbiorze miejsce zajmuje Historia. Dotąd miała ona trzy wydania: jedno Herburtowe (niezupełne), drugie Van-Hyssenowskie, trzecie Mitzlera; ostatnie liczy się do rzadkości bibliograficznych. Jest zadaniem dzisiejszego wydawcy ogłosić tekst poprawny, do czego posłużyło mu odszukanie autografu Długoszowego. Przekład polski wykonywa prof. Mecherzyński.

Następnie wyjdą w oryginale i przekładzie: Żywoty arcybiskupów gnieźnieńskich, biskupów krakowskich, poznańskich, wrocławskich, kruszwickich i t. d., żywot Św. Stanisława i Św. Kunegundy, herbarz rodzin polskich, opis chorągwi krzyżackich, mowy i listy, nakoniec *Liber Beneficiorum*, czyli księga majątku dyecezyi krakowskiej, dotąd w rękopiśmie przechowywana w archiwum kapituły krakowskiej.

Ponieważ dzieło to może być uważane za źródło do badań naukowych pod względem statystyki, topografii, heraldyki średniowiecznej—przeto nie było potrzeby zajmować się jego przekładem, dla badacza bowiem owych czasów umiejętność łaciny jest nieodzownym warunkiem.

Oddany właśnie teraz na użytek publiczny tom 7-my wszystkich dzieł Długoszowych, jest pierwszym tomem owych *Libri beneficiorum* mających zająć trzy tomy.

Od tej księgi zaczął się ruch wydawnictwa, z tego mianowicie powodu, że manuskrypt z wielką starannością

przygotowany przez p. Szymona Dutkiewicza, nie stawiał żadnych przeszkód w rozpoczęciu druku.

Wyborne czeionki, prassy i wzdolnych pracowników zopatrzoney zakład typograficzny p. Kirehmajera w Krakowie w przeciągu roku ukończył druk trzech tomów. Sam widok tych ksiąg wydanych ze smakiem i poprawnością, przywodzi na pamięć najświetniejsze czasy Elzewir'ów, Ald'ów, Manucci'ch. Oby dzisiejsza technika, doprowadzona tak wysoko, rzeczywiście była odbiciem stanu kwitnienia materialnego i umysłowego kraju — jak niegdyś liche, na bibułach druki, bywały jego upadku zwierciadłem!

Że dotąd publiczność otrzymała jeden tylko tom *Liber beneficiorum*, pochodzi ze zwłoki, jaką pociąga za sobą robienie *indeksów*, czyli skorowidzów. Pracą tą zajmuje się umiejętnie i cierpliwie p. Teofil Żebrawski; o dokładnym jój wykonaniu można mieć pojęcie, rzuciwszy tylko okiem na *indeks* pierwszego tomu. Rzeczywiście największą rolę w tém dziele grają takie indeksa; bez tego przewodnika trzebaby się gubić w ogromie.

Tom, który mamy przed sobą, zaczyna się pięknym wstępem, czyli przedmową łacińską wysłą z pod pióra ks. biskupa Łętowskiego, z poglądem na różne wydania pism Długoszowych i na treść przedmiotów objętych w *Liber beneficiorum*.

Część niniejsza podaje opis majątku kościoła katedralnego, z jego prelaturami, kanoniami, prebendami, dziesięcinami i innemi posiadłościami. Następnie w drugiej połowie mówi o kollegiatach będących po za obrębem katedry krakowskiej, to jest: o sandomierskiej, wiślickiej, kieleckiej, kleparskiej, szkalbmierskiej, śto-michalskiej na zamku, sandeckiej, opatowskiej, Św. Jerzego na zamku, Św. Idziego pod zamkiem, tarnowskiej.

Również podaje wykaz dóbr kościoła gnieźnieńskiego, biskupstwa władysławskiego, płockiego i lubelskiego, położonych w dyecezyi krakowskiej.

Ważny pod względem topografii starożytnój Polski znajdujemy tu opis dawnój dyecezyi krakowskiej, która sięgała łuckiej i chełmskiej, i zajmowała część dzisiejszej wrocławskiej. Niemniej ciekawy wykaz klasztorów znaj-

dujących się w tej dyecezyi. Liczba tak męzkich jak żeńskich wynosiła w połowie XV wieku, kiedy Długosz sporządził ten opis, sześćdziesiąt dwa. I tak: Benedyktynów trzy: na Tyńcu, na Łysěj Górze i w Sieciechowie. Benedyktynek, w Staniątkach. Cystersów pięć: w Mohile, Jędrzejowie, Koprzywnicy, Wąchocku, w Szczyrzycu. Norbertanów cztery: w Brzesku (kolo Hebdowa), Sączu, Ibramowicach i Krzyżanowicach; Norbertanek dwa: na Zwierzyńcu i Busku. Kanoników Regularnych pięć: Bożego Ciała na Kazimiorzu, w Mstowie, w Kłobucku, w Kraśniku i Kochowie. Paulinów pięć: na Skałce, w Częstochowie, Pinczowie, Beszowie i Siennie. Kanoników de Saxia dwa w Krakowie i Sandomierzu. Bożogrobców trzy: w Miechowie, na Stradomiu Św. Jadwigi i w Bytomiu. Zakon Św. Brygidy męzki i żeński razem w Lublinie. Klarysek dwa: w Krakowie i Starym Sączu. Zakonu Św. Franciszka jedenaście: w Krakowie (Franciszkanie i Bernardyni), w Nowym i Starym Sączu, w Tarnowie, w Korczynie, Bytomiu, Zawichoście, Lublinie, Opatowie i Radomiu. Dominikanów ośm: w Krakowie, Oświęcimie, Opatowcu, Bochni, Żmigrodzie, w Sandomierzu (dwa), w Lublinie. Augustyanów cztery: Św. Katarzyny na Kazimierzu, w Olkuszu, w Książu i Pilźnie. Księży Marków dwa: w Krakowie na Piasku i w Jaśle. Benedyktynów obrządku słowiańskiego, czyli odprawiających wszystkie nabożeństwa w języku słowiańskim, jeden klasztor Św. Krzyża na Kleparzu.

Można powiedzieć, że z klasztorów XV wieku nie wiele ubyło, chyba z wyjątkiem jednych Benedyktynów i Bożogrobców. Natomiast przybyli: Jezuita, Reformaci, Kapucyni, Pijarzy; z zakonnice: Wizytki, Prezentki, Karmelitki, Felicjanki, Panny Miłosierne i t. p. Różnica jest tylko w liczbie zakonników i zakonnice, a nadewszystko w środkach utrzymania, coraz bardziej uszczuplanych przez różne zabory własności kościelnej.

O ówczesnych klasztorach właściwie traktuje w całej obszerności tom trzeci. Drugi czyni przegląd parafialnych kościołów w dyecezyi krakowskiej. Dla filologa i prawnika spotyka się tu niejedno ciekawe wyrażenie. Antoni Zyg. Heleel zrobił już uczoną glossę nad wyrazem *gonith-*

wa i ugiązdy; znajdzie się wiele jeszcze godnego zastanowienia dla badaczy przeszłości. Zresztą *Liber Beneficiorum* miała długi czas niemają w trybunałach powagę. Prawo z r. 1635 postanowiło: „*Libris Beneficiorum* dowodzić na dobra szlacheckie nie będą duchowni, krom samych dziesięcin.” Vol. Leg. III.

Tylko brak udziału w przedpłacie mógłby zwichnąć tak użyteczne przedsięwzięcie. Wydawca przywalony ogromem kosztów, zrażony obojętnością, musiałby wstrzymać pracę około przysposobienia rękopisów i prowadzenia druków. I znowu wytykanoby nam w oczy, że nie umiemy nie do końca doprowadzić. Wprawdzie okoliczności są tak nieprzyjazne, umysły tak ciężko przygnębione, że trudno spodziewać się, aby znowu znalazł się taki zapał jak na początku, kiedy szanowny Przeddziecki ogłaszał pierwszy swój zamiar monumentalnego wydania dzieł Długoszowych... Dziś nie zapał, lecz spokojnie wyrozumowany obowiązek obywatelski powinien przyjść w pomoc téj publikacyi, która jeżeli gdzie, to w świecie uczonym za granicą wyjedna przychylną opinię dla narodu, co miał takich ludzi jak Długosz, i co po pięciu wiekach umie cenić i czić ich pamięć.

1863.

---

## XI.

### LUD WIEJSKI, SANDECCZYŻNA I WOŁYŃ.

Moda fotograficznych portretów. Przez co mogłaby fotografia wznieść się do wysokości sztuki? Album krajowych widoków i charakterystyka ludu. Lud ze strony poetycznej lub szpetnej. Ścisłe studia nad ludem. Wzoru szukać w pracach badaczy natury. Czego nie dostaje naszym monografiom okolic? Sandecczyżna i Wołyń. Dziwne podanie o Zaslawiu

Nie mam nic przeciw temu, że fotografię policzono do rzędu najświetniejszych odkryć naszego wieku, tak obfitego w odkrycia; ale trudno się zgodzić na jej dotychczasowe zastosowanie, przynajmniej u nas. Produkować twarze i jeszcze twarze, wszystkie pretensjonalne i gapiowskie postaci, to przecież nie prowadzi do niczego, tylko do pomnożenia kopij i tak już licznych egzemplarzy wszelkiego rodzaju popolitości.

Dogadza to wprawdzie indywiduum, ale ani sztuce, ani umiejętności nie przynosi pożytku. A jednak ta bezcelowość, a raczej drobiazgowość celu, dała pochop sztuce fotograficznej, że się rozszerzyła w gwałtowny sposób, uzyskując wziętość, jakiej tylko używa najfanatyczniejsza moda.

Przejdź Galicyę w szerz i wzdłuż, nie znajdziesz większego miasteczka, żeby nie figurował w niém fotograf ze swoim aparatem, mniej więcej udoskonalonym, za którego

pomocą przekazuje niedalekiej potomności fizyognomie okolicznych i miejscowych mieszkańców płci obojg.

Za sto lat możeby ciekawa była ta galerya typów i strojów; ale co słońce zrobiło, to słońce może odrobić, i bodaj czy tych lat dożyją te wszystkie portrety; w miejscu półcieni, zostaną białe pola; mocny cień zmieni barwę, a kontury ulotnią się.

Niewiadomo dotąd, jak długie jest życie fotografowanego wizerunku, bo wynalazek jeszcze młody; to jednak pewna, że jak na obliczu człowieka, tak na jego kopii lata zostawiają ślady—milczenia.

Zapewne wiek wynalazków wynajdzie coś, żeby pierwotne rysy ustalić, lecz gdy nie wynalazł, fotografia koniec końców nie zasłużyła sobie na prawa być samą dla siebie, czyli fotografia nie jest dla fotografii.

A więc komuż ma służyć?

Oto, sztukom pięknym, których nie wysadziła z siodła, ani wysadzi, chybaży świat popadł w bezduszny realizm, i wyrzekł się wszelkiego ideału—a i w takim razie pendzel i dłото, prowadzone choćby najpłaściejszą myślą i uczuciem, miałyby przodek przed wynalazkiem Daguerre'a.

Jak rzekłem, fotografia ma inny cel, niż być samą dla siebie.

Gdyby nie portretomania absorbująca jej czynności, bo przynosi najprędszy zysk, szukałaby innych zajęć przynoszących ogólną korzyść. Cóż byłoby łatwiejszego, niż rozsyanym po kraju fotografom zbierać widoki zamków, kościołów, pomników i okolic mających wybitny charakter swojej prowincyi? Powstałoby ztąd pełne różnaitości album; miałbyś w jednym zbiorze fizyognomię Powiśla, Nad-sanu, Naddniestrza, Nadbuża, podolskich bezdrzewnych wyżyn upakarzająco smutnych, jarów czarownych jak ogrody Armidy, piaszczysto-lesistych płaszczyn ciągnących się długim pasem między Wisłą i Sanem a rzędem odziomków karpaccich; miałbyś całe Podgórze pełne najromantyczniejszych dolin, średniowiecznych ruin wieńczących szczyty, gotyckich kościołów i artystycznie skomponowanych pejzażów; a nakoniec Pioniny i Tatry, te dwa kaprysy natu-

ry, stworzone jakby dla uspokojenia nas w zazdrości o Alpy i brzegi Renu...

Takie album byłoby malowniczym opisem, geografią w obrazach, najpopularniejszą ze wszystkich, jakie napisa-no. A tak samo jak widok okolicy odbija się na szkle aparatu, mógłby odbić się i jój mieszkaniec, z właściwym sobie ubiorem, fizygnomią, wnętrzem mieszkania, przy weselnój lub odpustnój zabawie, przy robocie w polu, w podróży, na jarmarku, lub w pielgrzymce na miejsce cudowne...

Artyzm zależałby na trafném pochwyceniu zwyczajowój a charakterystycznój czynności człowieka — bo tylko o taki artyzm może się pokusić fotograficzne narzędzie głębszą kierowane myślą. Podobny zbiór, zapalając do poznania kraju i jego mieszkańców, przygotowałby bogaty materyał tak dla malarza, jak jeszcze więcej dla każdego, coby chciał zbadać lud wiejski we wszystkich jego odcieniach różnie miejscowych.

O zadanie to ledwo trącono u nas mimochodem.

Pieśń gminna, bajka, podanie, kilka rysów obyczajowych—ot i wszystko co zdobyto na ludzie naszym.

Żywiół to dla poezyi, i poezya zużytkowała go aż do przesytu, zaczawszy od nieśmiertelnój świeżości rusałczych dumek Bohdana, aż do sentymentalnych powiastek wioskowych Syrokomli.

Tylko z prozy rzeczywistego życia wieśniaka nader szczerze wydobyto okrucelny.

A jest to studyum godne zajęcia! studyum dziś może jedyne, w którém wszystko byłoby nowe, często niespodziane, a zawsze wielce użyteczne.

Dotąd lud wiejski brano albo z poetycznój strony, widząc w nim źródło najczystszych natchnień, nieprzygotowanych żadną nauką i sztuką, a improwizowanych na podobieństwo ptaka śpiewającego w lesie, i nazywano go ideałem natury dziewiczej, a w tój konsekwencyi strojono w przymioty, jakich brak wytykano w cywilizowaném społeczeństwie—albo też za pierwszym bliższém zetknięciem się przywalano ciężarom zarzutów równających go z bydłety.

Zdaje się, że jak jedna, tak druga metoda trąca o przesadę entuzjazmu lub rozczarowania. Zasłyszanych kilka piosneczek na weselu lub dożynku, pochwyconych kilka powiastek na wieczornicach, jak nawzajem rozbudzona dziakość we wzburzeniu namiętнім, nie dają jeszcze prawdziwego wyobrażenia o charakterze ludu wiejskiego. Trzeba z nim żyć, zyskać zaufanie i miłość; w każdej okolicznosci słuchać co mówi, jak sobie radzi, od jakich nie odstępuje wyobrażeń; a zebrawszy te wszystkie postrzeżenia miejscowe, można przyjść do poznania go w jednej wsi lub okolicy—ale jeszcze nie będzie to służyło za podstawę do ogólnej dyagnozy. Charakter wiejskiego ludu zmienia się podług miejscowości,—i stosownie do tego, jak jakie wpływy wycisnęły na nim piętno, — zmienia się jeszcze pochodzeniem swoim niebędącym częstokroć słowiańskiego szczeputu, zmienia rodzajem zatrudnień, zmienia bliskością większych miast lub traktów: inny w lasach, inny na górach, inny na stepie. Rozmaite pismo tej nieprzeczytanjej księgi wymaga, jak rzekłem, osobnych i rozległych studyów. Co dotąd zrobiono, niczém jest prawie; że niczém, przekonały niedawne, ciepłe jeszcze zdarzenia, inaczej bowiem nie zastosowanoby do niego owęj krwawej tyrazy:

„Kto się nie da nawrócić, da się zamordować.”

To pewna, że ci, co wzięli sobie za godło: „*przez lud dla ludu*,” i w imię jego harcowali piórem i czynem, najbardziej byli dalecy od niego i najmniej go znali. Namiętna wyobraźnia z kilku fałszywych lub urojonych danych tworzyła to, czego nie było. Jedno tylko umieli wszyscy powtarzać jak pacierz: *Lud jest bierny*—nie wiedząc czy nie chcąc wiedzieć, że *bierność* ta stosuje się nie do pierwszego lepszego inicjatora. Bierność ludu ma się tylko względem władzy, jakkolwiek ona jest, dobra czy zła; wszelki inny nacisk obrany z tej powagi, budzi w nim wstręt i niedowierzenie, tak samo jak niedowierzeniem odpłaca samęjże władzy, jeśli przekracza granice i chce go obdarzać mściwym łupem z cudzej własności. Lud przeczuciem pojmuje szczerą bezinteresowność. Kieruj nim, karz go, trzymaj w karbach, dla jego własnego dobra i po-

żytku,—zrozumie to i nakłoni się jak trzcina; lecz jeśli w zanadrzu chowasz myśl inną i pragniesz wyzyskać dla swoich celów, staje się trudnym, upornym, odepchnie wszystko, choćbyś najnamacalniejszą przedstawiał korzyść... Na umizgi filantropijne, na braterstwo chłopomanów, wzrusza ramieniem i czuje *podrywkę*...

Nie dziw dla czego ta osobliwa natura ludu, tak bardzo niecierpliwi gorąco kąpanych, że nie mogąc nie wskórać na tój drodze, zżymają się, i rzucając mu wzgardliwie wieczne potępienie, mówią: „To potwór! dawaj mu co chcesz i co nie twoje—weźmie, jako *bierna* istota, ale w zamian nie nie da.”

Chłopski rozum! warto go poznać z pierwszej ręki, z badań poświęconych mu wyłącznie. Niemożna powiedzieć, żeby literatura nasza osobliwie w ostatnich czasach, nie chciała zajmować się wiejskim ludem, na obszerniejszą skalę niż dotąd; było to jednakże zajęciem się więcej przy stoliku pisarskim niż na polu rzeczywistości. Ten i ów do myśli z góry powziętj tworzył sobie wieśniaka, dając mu albo moralne przymioty, albo wady, stosownie do tego, jakim go chciał nakarmić obrokiem. Taki morał niewiele znaczy, bo chłop go słyszy z poważnych ust kapłana na ambonie, a więc ani dla warstw oświeconych, ani dla niego nie jest nowością.

Inny tu rodzaj pracy potrzebny, a właściwie inna metoda.

Patrzmy na badaczów natury. Umiejętność ich nie chce poprzestać na odczytaniu od deski do deski Pliniusza, Lineusza, Buffon'a, Cuvier'a i dzieł tylu innych naturalistów. Doświadczenia i badania tych powag naukowych dają im wprawdzie podstawę, ale jeszcze nie robią samodzielnymi badaczami z pierwszej ręki; a o to właśnie idzie. Cóż więc robią? Ten i ów obiera sobie jakiś dział w nauce przyrody, i ograniczając się do jednego kraju, prowincyi lub okolicy, skrętnie gromadzi czy ptaki, czy owady, czy ryby, czy florę, czy skamieniałości,—a gruppuje je systematycznie, albo odkrywa nowe gatunki i odmiany, nieznane badaczom stron innych, albo zyskuje ogólny rzut oka, służąc do umiejętnych porównań i wniosków. Podobna dro-

ga daleko więcej upraktycznia naukę niż najlepsza książka, bo prościej i bliżej prowadzi do spostrzeżeń i często do nader ważnych odkryć, a zawsze daje pojęcie o bogactwach przyrodniczych tego lub owego kraju.

Jeżeli naturaliści z takim zapalem dobijają się o zyskanie jakiego rzadkiego ptaszka, motylka lub robaczka, jak np. pchły z niedźwiedzia, która ma być arcy trudną do złapania, gdyż ją trzeba łowić na żywym, i to w puszczy, niedźwiedziu;—to dla czegożby statystyk, ekonomik, etnograf, psycholog, geograf, w jednej czy w kilku osobach, nie mógł zdobyć się na taki sam naukowy zapal, w zbadaaniu usposobień, zwyczajów, obyczajów, wyobrażeń, pojęć, zgoła całego życia naszego wieśniaka. Nie przeczę, studyum to wymaga daru obserwacyi, trafności w porównaniu, bystrości w odgadywaniu tej wiecznej zagadki, którą jest człowiek—ależ z drugiej strony, zadanie to o wiele wdzięczniejszém i wznioślejszém być mniemam, niż policzenie piórek, nówek, rozków i tym podobnych charakterystycznych cząstek dających się dojrzeć ledwo przez mikroskop. Aby lud zbadać, wystarczą oczy umiejące widzieć i niespaczo-ny rozsądek.

Rzeczywiście studyum takie byłoby zbyt ciężkie dla jednego człowieka, gdyby je zamierzał wykonać w całej obszerności. Jednego życia byłoby może za mało. Podział tylko pracy zwyciężyłby następczające się trudności. Zresztą człowieka poznaje się najlepiej w długim z nim życiu, i każdy, kto zamieszkał w jednej okolicy, a starał się zbliżyć do ludu, o wiele łatwiejsze ma zadanie, niż ten, który przybywszy jak turysta, chciałby go poznać przelotem.

Od fotografii skooczyłem tedy do arcy poważnego przedmiotu. Przejście mogłoby się zdawać za nagłe i niestosowne; tymczasem jest między jedną a drugim taki związek, jaki zachodzi między wizerunkiem nieznanj osoby, a myślą silną się odgadnąć jej charakter, stopień wykształcenia, zdolności, złe lub dobre przymioty, a nareszcie koleje życia.

Typy wieśniacze pochwytnane na uczynku, nie mogłyby zaintrygować jakiego fizyognomisty-psychologa, coby so-

bie powiedział: W tych twarzach i postaciach to i to czytamy; sprawdzę na żywych, czy daleko odbiegłem od rzeczywistości?

Niemcy mają już w tym rodzaju tak wyborne i ścisłe studia, że na nich i polityk, i ekonomista, i filozof może dzierżyć swoje widzenia i formułować teorie.

U nas zadanie to najbliższej dotykałoby piszących monografie pewnych okolic lub prowincyj. Zamykać się w obrębie samej archeologii lub wywodów historycznych, jedno jest co dawać obraz przeszłości mniej więcej odległej, a rzeczywistość dzisiejszą pomijać. Aby z pierwszego się wywiązać, dość zwiedzić kilka kościołów, ruin zamkowych, a resztę zebrać z książek, dyplomów i archiwów, jeżeli takowe wpadną w rękę; wszystko zaś dopełnić hipotezami i analogiami, już to dla pokazania erudyceji, już żeby nadać pracy swęj tajemniczą ważność, jakiej w gruncie nie ma. Przeciwnie wierne przedstawienie rzeczywistości wymaga długoletnich poszukiwań, dokładnego poznania kraju lub okolicy, ciągłych obserwacyj i zespolenia się z życiem aktualnym. Książki niewiele tam posłużą, gdzie trzeba umieć czytać bez przewodnika w tych charakterach, jakimi każdy zakątek ziemi naszej bywa zapisany. Tego rodzaju studia stanowią dopiero rzetelną wartość każdej monografii; bo jakkolwiek historyczna przeszłość może bardzo obchodzić, nierównie więcej obchodzi teraźniejszość; tamta zawsze należy do kategorii wydatków niepowrotnych, druga majątkowy bilans przedstawia; zresztą trudno dziś dzwonić w naszą historyczność, kiedyśmy się z nią nielepiej obesli niż szpetnej pamięci Eulogiusz Schneider ze swoją kapucyńską rewerendą. Są to delikatne włókna, które porwawszy i poplątawszy, niepodobna ciągle nawiązywać, aby znowu oddać je na starganie. Kto wie, azali w tym smutnym losie, jaki spotyka tradycje, nie mieści się przestroga i bodziec? Pracując w teraźniejszości, czyż się nie pracuje na przyszłość?

Wracając do monograficznych opisów kraju, do których zmierzały w części te uwagi, mam na względzie szcze-

gólniej dwie monografie: jedną Szczęsnego Morawskiego *Sądeczyzna* (tom I w Krakowie 1863); drugą Tadeusza Jerzego Steckiego: *Wołyń* (we Lwowie 1864 r. tom I). Obu dwóch tych prac większej objętości i zakresu wyszły tylko pierwsze tomy, co nie pozwala wydawać o nich ostatecznego zdania, mianowicie o Sandeeczyźnie, której tom pierwszy poświęcony jest nader odległym badaniom plemion, jakie mogły przechodzić lub osiadać na tej ziemi sądeckiej, z czego wywiązały się archeologiczne hipotezy i analogie, niemniej i etymologiczne domysły, służące więcej za temat do dyskusji niż za niezbitą pewnik. W tej części najwięcej zasługują na uwagę wyliczone przez autora stare grody, uroczyska i zamki, których ślady znajduje albo w nasypach ziemnych, albo w resztkach ruin, albo w nazwach miejscowości. Dalej w przebiegu dziejów tej górskiej krainy, trzyma się przywilejów i nadań naszych książąt i królów, co doprowadza w tym tomie do Kazimierza W. włącznie. Niemożna więc powiedzieć na przód, jak autor skreślił stan obecny tej ziemi, i jak dalece wysłowici charakter i życie jej mieszkańców, bo przedmiot ten zajmie zapewne ostatnie tomy; jednak wnosząc z uspołobienia i zdolności obserwacyjnych autora, wypada oczekiwać od niego dokładnych studyów, a przynajmniej mających za sobą nowość pierwszego zniwa. Widząc wiele własnymi oczyma, gromadząc niepodejrzane szczegóły i daty, a porównyując je między sobą, można dopiero dojść do wiernego obrazu rzeczywistości, o którą dziś najwięcej chodzi. W studyach takich nawet przyzwoita przymieszka humoru, na jakim autorowi nie zbywa, nie byłaby rażąca; przeciwnie humorystyka niezawsze nadaje się do poważnej przeszłości, jeżeli chce się zapuszczać w przedpotopowe formacje, mogły, gruzy zameczysk i klasztorów i zbutwiałe pergaminy kronik i przywilejów.

O Wołyniu p. Steckiego można już teraz, lubo pierwszy tom mamy przed sobą, wypowiedzieć więcej stanowcze zdanie. Jest to praca ze wszech miar uszanowania godna, bo niemal w swoim rodzaju pierwsza. Prowincya ta należała do rzędu najmniej znanych w powszechności; dawał

o niej Aleksander Przedziecki i Kraszewski częściowe tylko opisy lub szkice, lecz nikt ogólnego nie wypracował obrazu pod względem statystycznym, historycznym i archeologicznym, jak to zamierzył wykonać p. Stecki. Jest to więc szacowny nabytek, któremu niedoskonałości, jakie się znaleźć mogą, należy wybaczyć, choćby przez ten wzgląd, że daje całość z pewnym systematem wypracowaną i obejmującą przedmioty i daty statystyczne, bez których opis kraju zawsze byłby niedostateczny. Znać z pracy tej, z jaką skrętnością autor gromadził materiały, z jakim zamiłowaniem przyglądał się historycznym zabytkom i z jakim usposobieniem patrzył na ludność wiejską. Gospodarka i ekonomistę mogą tu najwięcej obchodzić splawy rzek, gościńce (nader rzadkie) i zakłady fabryczne, które prawie wszystkie koncentrują się w Sławucie, majątności książąt Sanguszków. Można powiedzieć, że cały ruch gospodarczo-przemysłowy wychodzi z tego ogniska na resztę prowincyi, najgorzej położonej pod względem komunikacyj handlowych, a tém samém ogołoconej z łatwości pozbywania bogatej produkcji.

Każdy ustęp czyta się w tém dziele z ciekawością znachodzącą-swoje wynagrodzenie w wiadomościach trafnie wybranych i zestawionych z sobą, a mających przymiot nowości. Taki jest rozdział mieszczący charakterystykę Wołynia, a raczej jego topografię, razem z charakterystyką wołyńskiego Polesia. Niemniej zajmujące szczegóły zawiera: Oświata na Wołyniu, w której Krzemieniec gra główną rolę.

Wszakże rozdział obejmujący charakterystykę ludu wołyńskiego, pozwala twierdzić, że autor nie wyszedł w obserwacyach swoich po za obręb pieśni, obrzędów i niektórych rysów obyczajowych wspólnych Rusinom innych prowincyj. Są to powierzchowne tylko studia, ale bynajmniej nie niższe od wszystkich innych pism poświęconych temu przedmiotowi, i dla tego nie spotykamy się z rysami zdjętymi wprost z natury, któreby dawały do poznania, że autor przedmiotowi temu poświęcił się w inny, więcej badawczy sposób, niż jego poprzednicy szukający

pieśni i powieści, czyli materyału do swoich lub cudzych kompozycyj książkowych. Zapewne autor, układając swoje dzieło, nie przewidywał, w jak prędkim czasie zmienią się sceny widzenia, i do jakiej ważności przyjdzie żywił wiejskiego ludu. Podług jego własnych słów zdawałoby się, że to przeobrażenie społeczne, jakie zaszło u dołu, znajdzie w odwiecznym ustroju gminnego samorządu trwałą dla siebie podstawę i przyszłość wielce obiecującą. Oto co mówi: „Wszyscy we wsi naczelnicy rodzin stanowią gromadę, która razem zebrana rozstrzyga spory, wymierza kary, radzi w potrzebach całą wieś dotykających; z pośród siebie wybierają także zwierzchność wiejską, jak starostów, którzy czuwają nad porządkiem wsi, załatwiają wszelkie ze zwierzchnością styczości, pilnują naprawy dróg i t. d., starostę cerkiewnego, dwóch lub trzech dziesiętników i tyluż poborców, którzy wybrane ze wsi podatki do powiatowego miasteczka odwożą. Za wybraną tę z pośród siebie zwierzchność gromada przed właścicielem i rządową władzą jest odpowiedzialna. W ten sposób wszystko wspólnie i bez wielkich kosztów się załatwia, wszyscy stanowią jakby jedną wielką rodzinę, w której najuczciwsi i najzdolniejsi najwyższe stanowiska zajmują dopóty, dopóki na nich godnie się sprawują.” Ostatnie te wyrazy, jeżeli nie są upięknionym rysem, mogłyby dawać najlepszą wróżbę o samorządzie gminy, gdyby jęj pozwolono rozwinąć się i ukonstytuować w swobodnych warunkach; lecz któż nie wie, jakie wpływy paraliżują najlepsze nieraz skłonności ludu?

Po ogólnych opisach przechodzi autor do szczegółowego opisu powiatów. Tom pierwszy mieści opis powiatu Zasławskiego.

Zajmujące i pełne cudowności dał autor opowiadanie o skarbach w Zaslawiu. Nie jest to z dawnych wieków legenda, lecz fakt, na który patrzyło wiele osób. „Było to za życia księcia Janusza Sanguszki strażnika w kor., kiedy zjawił się w zamku zasławskim żebrak staruszek. Księżna strażnikowa, znana z dobroczynności, kazała go obdarzyć jałmużną. Przyjął ją żebrak z pokorą, lecz usilnie

domagał się pomówić z samą księżną, na co ta zezwoliła, a on tak zaczął: „Za miastem waszém księżno są stare mury, był to niegdyś przodków waszych zamek; nieprzyjaciel i czas zniszczyli go, pozostały jednak w zawalonych lochach wielkie i nieprzebrane skarby, a ja jeden wskazać potrafię, gdzie ich szukać należy. Za wczasu jednakże ostrzegam miłościwa pani, że jak prędko będziemy blisko celu naszych poszukiwań, Zaslów palić się zacznie, a nim robota ukończona będzie, spłonie on cały. Nie trwóście się jednak księżno, bo znalezione skarby we trzykroć wynagrodzą poniesione straty mieszkańcom; ja zaś będę w mocy waszój i za wszystko odpowiadam.” Księżna wróciwszy do gości, powtórzyła im słowa starca, ci zaś nalegali na nią, aby słów jego usłuchała. Naznaczono dzień do rozpoczęcia robot; komendant załogi wojskowej przydał nawet ludzi swoich dla tém większego pośpiechu w kopaniu. Szybko szła robota pod rozkazami żebraka, a księżna, goście zamkowi (pomiędzy którymi znajdowała się chorążyna Stecka niedawno zmarła) i połowa ludności z Zaslawia od rana oczekiwali już na miejscu. Pod wieczór u jednego z kopiących złamał się rydel na kamień natrafwszy. Obecni wydali okrzyk radości na widok pokazującego się sklepienia—lecz téj samój chwili jęknęły dzwony kościołów zaslawskich, i łuna pożaru pokazała się nad miastem. Zatrwożyli się obecni, i odbiegłszy poszukiwań, pośpieszyli na ratunek swoich domów; dążył za tłumem i tajemniczy żebrak, i cierpliwie oczekiwał końca przetrachu. Gdy pożar ugaszono, po kilku dniach znowu chęć kopania przemogła, i księżna w licznym orszaku udała się na miejsce skarbów. Tysiące rąk rzuciły się do rozpoczętój roboty; nie wyszło spłna dwóch godzin, gdy oczom ciekawych widzów ukazały się drzwi żelazne... lecz jednocześnie widok przerażający przerwał robotę. Zaslów na czterech rogach palił się! Jęk dzwonów pomieszany z krzykiem tłumów, napelniał powietrze. Wtém od miasta pokazał się orszak duchowieństwa z obrazem Bogarodziecy na czele, a upadłszy przed księżną na kolana, zaklinał ją o zaniechanie téj strasznej, z nieszczęściem tylu ofiar połą-

czonój igraszki. Dopiero wzruszający ten widok wtrząsnął i upokorzył umysły; tłumy padać zaczęły na kolana, wzywając u patronki swój ratunku — poczem wszystko rzuciło się ku miastu. Przy słabym ratunku pożar natychmiast się uśmierzył, — lecz żebrak znikł — i nigdy go odtąd już nie widziano.”

Zdarzenie to miało tylu świadków, że prawdziwości jego nie śmiano podawać w podejrzenie.

---

## XII.

### STAROŻYTNE I NOWOŻYTNE IGRZYSKA.

Gładyator umierający. Igrzyska rzymskie. Gdzie kwitnie dramat i dla czego? Entuzjyzm dla krwawych igrzysk. Przygoda Alipiusza. Kolosseum. Tegoczesne igrzyska. Era pokoju i wojna. Koszta wojenne Amerykanów północnych. Przeobrażenia się ich w Indyan. Stan kupiecki. Zła wiara.

Kto nie czytał bez wzruszenia tych cudnych kilkunastu zwrotek, które lord Byron poświęcił umierającemu gladyatorowi?

Domyślać się można, że sławna rzeźba starożytna, wyobrażająca tę scenę, którą poeta umieścił w środku Kolosseum, natchnęła go. Pierwszy też odgadł on w rysach umierającego gladyatora krew słowiańską: przed skonaniem oko jego zwraca się tam, daleko na wschód, i myśl leci nad Dunaj, do żony i dzieci, do łąk okrytych trzodami, do łąków pszenicznych... Biedny niewolnik!

Chrześcijańskie uczucie poety przenikło marmur i wcieliło się w serce i umysł gladyatora.

Dumny Rzym pogański używał widoku, ale się myślał nie wcielał w ofiarę tych igrzysk.

Była to okrutna zabawa, na którą oburzała się nie raz delikatniejsza dusza starożytnych poetów.

Jeden ustęp Amfiochia, przerażające daje malowidło walki człowieka z dzikimi bestyami; lecz jest to tylko zewnętrzne przedstawienie; co zaś czuje człowiek-ofiara, tego on zgadnąć nie umie. Pojęcie jego nie sięga za granicę cielesnego bólu.

Przypatrzmyż się scenie i entuzjazmowi widzów cyrkowych:

„Na te męczarnie patrzy tyle twarzy  
 Wesołych widzów;—a jeśli się zdarzy,  
 Że z paszczy zwierza umknie człowiek—syczą,  
 Jakby nie bestyi, lecz ich był zdobyczą,  
 Jakby na darmo te ławy zasiedli...  
 Lecz w nowym skoku gdy się zwierz poprawi,  
 Schwyci ofiarę, przysiedzie i dławi,  
 A ona z bólu po piasku się wije,  
 Pewnie litosną łzą oko nieczyje  
 Nie zajdzie. Owszem, jeśli krew potokiem  
 Lunie, tłum wyje, chłepce suchém okiem;  
 Bestye podżęga klaskaniem bez miary,  
 I woła dla nich o nowe ofiary  
 Rykiem fal morskich—aż szczęki się trzęsą,  
 Zgrzytem tygrysim na człowiecze mięso...

Po tój dyagnozie entuzjazmu publiczności, łatwo teraz zrozumieć, dla czego poezya dramatyczna Rzymian w tak ciasném obracała się kółku. Plaut, Terencyusz, Seneka pisali tylko dla wykwintnego towarzystwa. Komedye ich i tragedye znudziłyby na śmierć tę wielką publiczność, niekontentującą się scenami moralizującemi i filozofującemi.

Można też przyjąć za pewnik historyczny, że dramat tylko tam się w całej pełni rozwinął, gdzie lud interesował się teatrem. W Grecyi, Hiszpanii i Anglii dojrzał jak złoty owoc. Francya dopiero w nowszych czasach, kiedy gdzieindziej wyczerpała się wena — sama jedna prym trzyma na scenie. Włoch, nie mając dawnych *circenses*, woli patrzeć na koncepta arlekina i poliszynela niż na deklamacye i tyrady Alfierogo. W tym smaku do parodyi przebija się wewnętrzne niezaspokojenie, jakby żal instynktowy po tradycyi walk gladyatorów.

Nic dziwnego: nawykłym do korzennój strawy nie mogłyby smakować delikatne kąski. Czyżby krwawe tradycye igrzysk rzymskich miały we krwi pozostać, mimo kilkunastu wieków chrześcijaństwa i mimo tylu przeistoczeń plemiennych? Dla czegożby naród, co we wszystkich

rodzajach poezji najwyżej stanął—w tym jednym nie wzniósł się nad naśladowczą mierność? Zawsze to trudna do rozwiązania zagadka.

To jednak niezawodna, że urok, jaki wywierały igrzyska, przechodził wszystko co sobie wyobrazić można; było w nich coś demonicznego.

Opowiadanie Św. Augustyna jeszcze żywiej przekonywa o tém niż ów wiersz Amfilochia przytoczny powyżej. Mówi on o swoim przyjacielu, młodzienaszku Alipiuszu, który nawrócony do Chrystusa, w trzechsetnym roku udał się z Medyolanu do Rzymu. Przybywszy do wielkiej stolicy, zaznajomił się z kolegami szkolnymi, dzielił ich zabawy, i rad nierad dał się wciągnąć na jakieś bardzo ciekawe widowisko w Kolosseum. Uczynił to, żeby nie pogniwać na siebie swawolnych i złośliwych towarzyszków, ale w duchu postanowił sobie zamrużyć oczy i nie patrzeć na obrzydliwości krwawej bójki.

Udawało się to mu przez chwilę; lecz gdy tłum widzów sychnął krzykiem i oklaskami jakiemuś zręcznemu gladyatorowi, co uniknął ciosu przeciwnika, biedny Alipiusz mimowolnie otworzył oczy. Odtąd w nie się rozwiła mocne postanowienie, bo widowisko tak go zajęło, że nie mógł oczu oderwać od areny: owszem, co chwila rosło zajęcie, zapalał się, klaskał i krzyczał jak opętany, a raczej jak wszystkie widzowie, i odtąd stał się namiętnym igrzysk zwolennikiem.

Zapewne, kto dziś ogląda Kolosseum, ten przybytek dawnych walk, gdzie tylu Świętych zyskało palmę męczeńską, ten nie wierzy, aby takie morderstwa, bole i męczeństwa mogły dokonać się na tém miejscu, tak sielsko cichém, tak melancholicznie zadumaném...

Olbrzymią tę ruinę opisywali poeci i turyści we wszystkich żyjących mowach; najbardziej jednak malowniczy znajduję opis artysty, naszkicowany mimochodem.

„W szczybach murów otaczających arenę Kolosseum, siedzą pokutujące cienie... Nad nami unosi się jaskółka budująca sobie gniazdeczko, tam wysoko na oberwanym fryzie i na słupach najwyższego wału. O bo też tam, w górze wyborne powietrze! Kiedy się noc robi, przelatuj

tamtędy wrony i sowy. Tam gnieźdzą się i niosą stada dzikich gołębi, wzbijających się z tych zwałisk w błękitne obszary. Wszystkie siedzenia zarosły trawą i chwastem; całe nawet krzaki wyglądają z rozpadlin, tuląc do siebie kwiatki rozmaitej barwy... W miejscu tém nikt się nie domyśla, ilu ono krwawych scen bywało widownią, zwłaszcza wtedy, gdy gruzy te usypiają pod słoneczną kotarą włoskiego dnia. Lecz kiedy cienie nocy nadejdą, ciemne chmury zasuną horyzont, a wiatr zawyje po pustych galeriach i łukach, a nawałnica lunie na Kolosseum—wówczas pewien jesteś, że słyszysz szczełk mieczy gladiatorских i wrzask stutysięcznego tłumu w ryczącej burzy — a choć przecierasz oczy, przysiągłbyś, że widzisz, jak na pogruchotanych ławach długi szereg widm zasiada przyglądać się igrzyskom... Błysnęło! jakby się niebo otwarło do głębi — błysk czy piorun, oświecił ramiona krzyża sterczącego śród cyrku... To godło miłości i ofiary przywodzi cię do opamiętania się — i uspakajasz się w duchu, mówiąc: „Krwawych igrzysk już nie ma; krwawych igrzysk być już nie może.”

To prawda, świat chrześcijański czuje się w postępie, i niezawodnie brzydkoby się obszedł z antreprenem podobnych widowisk.

W jednej Hiszpanii płacze się jeszcze jakaś reminiscencya pogańska w walce byków z człowiekiem — ale człowiek prawie zawsze wychodzi zwyciężcą, i tylko biedne stare szkapy, którym niewiele dni życia zostaje, miewają rozpróte brzuchy...

Zresztą strona człowieka zawsze tu bywa mocniejsza, przez zręczność unikania rogów i pewność ręki w zadaniu śmiertelnego ciosu. Przeciwnie w dawnych igrzyskach, gdy przyszło borykać się z lwem, panterą lub tygrysem, nie pomógł krótki miecz, ani zwinność — prędzej tryumfował święty blask bijący od bezbronnej ofiary, której stopy lew lizał.

To też najbrzydliwszą charakterystyką dawnych *circenses* była z góry przez publiczność powzięta sympatya dla strony mocniejszej. Lwy, tygrysy, lamparty — mogły rachować na oklask; człowiek nigdy!

Ani przypuszczać, żeby kiedykolwiek miały się w cywilizowanym świecie odnowić takie igrzyska. Zarazby przeciw temu zaprotestowało delikatne uczucie nowożytnie.

Jeżeliby coś podobnego mogło się ponowić, w najgorszym razie, to w innej formie i na tak wielką skalę, o jakiej nie marzyli ani Grecy, ani Rzymianie.

Zmawia się naprzykład kilku potentatów rozporządzających mnogimi zastępy, i osaczywszy zbrojnymi ludźmi i okrętami jaki mały kraik niazawadzający nikomu, zmuszą go, że im się zda na łaskę i niełaskę...

A tymczasem inne potentaty — narody, siedzą sobie z założonemi rękami, niby Rzymianie w Kolosseum, i przypatrują się jak mocniejsi dławia słabszego...

Owdzie znów pół ludności morduje się z drugą polową, i spektatorowie siedzą i przypatrują się bratobójczej rzezi.

Tu znowu mocarz zdławił garstkę wołającą o sprawiedliwość dla siebie, i bez miłosierdzia wybija ją, jak pszczoły w wybranym ulu... i poprzysięga zagładę aż do imienia.

Spektatorowie okazują niejakię wzruszenie, i chcieliby się ująć za bezsilną ofiarę. Ale to tylko przypomnienie jakichś ewangelicznych wyobrażeń — więc wracają do obojętnej roli widzów.

Nie obraża to ich moralnego uczucia, bo niebawem sypną grzmot oklasków i oddadzą hołd mocniejszemu. Pokazuje to, że przychodzi moda na widowiska, o których tak mówi Trębecki:

...Słabego nie nie ubezpiecza:

Sprawiedliwość na końcu przemieszkuje miecza,  
A narody tém prawem rządzą się przez dzięki,  
Które im nadać raczą miedziane paszczęki.

W rzeczy samej, walki te mocniejszego ze słabym miałyby wielkie podobieństwo z igrzyskami w Kolosseum; zachodzi tylko różnica w ogromnych rozmiarach areny i w spektatorach, którymi są całe narody. Zresztą te same pasowania się z siłą lwów i tygrysów, ten sam krzyk roz-

dzierający duszę, to wicie się po piasku dławionej ofiary, kiedy zwierz ją przysiędzie i pazury w boku zatopi.

Amfilochius zapewne niechęący przewidział daleką przyszłość, która przecież może być terażniejszością wcale nie do pozazdroszczenia...

Ta dzisiejsza wojna północnych stanów Ameryki z południowemi rzeczywiście wygląda na ironię. W cóż się rozwiały owe republikańskie urządzenia, na zasadzie Pain'owskich *Praw człowieka*, mające zbawić ludzkość i zgotować jej raj na ziemi?! Sto lat minęło, a Zjednoczone Stany, rozwinąwszy się w olbrzymi przemysł, handel, dobrobyt, same się pożerają między sobą.

Szczególniejsze fatum! Potęga, co nie miała współzawodnika na półkuli nowego świata, a odosobniona położeniem nie obawiała się potęg starego — znajduje w samej sobie taki zaród choroby, jakiej podpadają wielowiekowe państwa.

Na czém skończy się ten bój olbrzymi? Różne mogą być hipotezy; to jednak pewna, że ani Kserkses, ani Napoleon nie zużyli na swoje wyprawy tyle rekwizytów wojennych, co Stany północne spotrzebowały. Ciekawy to regestr wydatków! W roku 1863 zakupiono 1,577 dział z odpowiednim przyborem, 1,082,841 karabinów, 282,389 sztuk karabinków i pistoletów dla jazdy, 919,676 mundurów, 94,639 siedel z rynsztunkiem. W ciągu roku wystrzelano 13 milionów funtów prochu, działa wyrzuciły 1,745,586 pocisków! Do tego dodać, że w roku 1837 dług narodowy Zjednoczonych Stanów całkiem był umorzony; a dziś dług ten urosł w bajeczne summy 1,222,113,569 dolarów!

To dopiero połowa: Stany południowe nie podały swego budżetu kosztów wojennych.

I taki bezprzykładny bój toczy się, kiedy koleje żelazne, telegrafy, parowce, wolność handlowa, kongresy przyjaciół pokoju, cesarstwo—to pokój, zdają się zapowiadać erę braterstwa ludów!

Możnaby z tego wyprowadzić wniosek, że wszystkie te podwaliny, jakie dziś kładą pod budowę nowego społeczeństwa, są z bardzo miękkiego drzewa, kiedy tak prędko gniją.

Ale wracając do Zjednoczonych Stanów, w ogóle zasypywano nas wystawianiem doskonałości ich rządu ogromem rozwoju krajowego bogactwa, szeroką wolnością panującą we wszystkich stosunkach towarzyskich; a choć czasami natrącano o potrzebie chodzenia do miejsc publicznych, a nawet na wizytę z rewolwerem, jednakowoż nie śmiło to świętego obrazu; z drugiej strony nie brakło i detraktorów, którzy w najobrzydliwszym świetle malowali ojczyznę Washingtona. Do tych ostatnich należeli najwięcej turyści, albo awanturnicy, albo też peregrynanci jadący z uprzedzeniem, — co wszystko nie dawało wielkiej rękojmi ich opowiadaniom, noszącym cechę ich powierzchownych postrzeżeń.

Świeża książka p. Douai'go o Ameryce, który jako naturalizowany obywatel Zjednoczonych Stanów, a przytém uczony człowiek, mógł robić gruntowne studia, rzuca wiele światła na ludność Unii. Co mówi, nosi cechę głębszego zapatrywania się i bezstronności niedającej się unieść namietnościom politycznym. Jest to psycholog, obserwator; a lubo przychylném okiem patrzy na wewnętrzne życie i stosunki społeczne północnych Amerykanów, więcej znajduje wagi jego zdanie niż z góry przyjęta zasada potępiania wszystkiego. Powiada on, że tak na północy jak na południu dwie tylko są partie: partya wykształcona i surowa. Zaprawdę, podział ten znalazłby się w każdym kraju; ale w Zjednoczonych Stanach tém bardziej zadziwia, że przy panującej tam równości nikomu niewolno mieć się za ukształcześniego od wielkiej massy ludności. Przeciwnie dotąd utrzymywano, że wszyscy Amerykanie są równo wykształceni. Pokazuje się jednak, iż wykształcenie nierówne bywa wykształceniu; blichtr często zastępuje istotę rzeczy. W przecięciu massa ludności Zjednoczonych Stanów więcej czerpie nauki niż w jakimkolwiek kraju europejskim, — ale nauka ta jest powierzchowna, jedynie na własny użytek w rękodzielniczych lub publicznych zawodach wyrachowana. Lud pragnąc nagle wzbogacić się przez naukę, śpieszy się i wszystko połyka, nie trawiąc. Nie tu nie dzieje się dla zaspokojenia wewnętrznych pragnień, przez które umysł się rozwija, a duch do samodziel-

ności dojrzewa. Po prostu nie jest to żadne wykształcenie, lecz tylko jednostronne podsyceenie czynności władz umysłowych.

O wszczepieniu i rozwinięciu szlachetniejszych uczuć serca, pojęć umysłu—nie ma tam wzmianki; dla tego pod tym względem lud to zupełnie surowy. Liczba osób oddających się naukom i sztukom nader tam szczupła, niektórzy z nudów bawią się tam w naukowość, aby sobie nadać pozór uczonych. Ta więc niegruntowność wykształcenia przezywia się niemal do nadania narodowemu charakterowi wybitnej cechy lekkomyślności.

Wprawdzie, powiada p. Douai, przeszkody do oddawania się wyższej kulturze w nowym świecie są stokroć większe niż w starym. Dla czego? Bo ciało ma do walczenia z wpływami klimatu i kraju, i potrzeba być potężnym duchem, ażeby się w Ameryce wyrobić na człowieka harmonijnie rozwiniętego. Co do kraju, jest on mordująco monotony, a zatem nie daje żadnych wrażeń, a umysł ciśnie do ziemi. Cóż do klimatu, ten znowu winien, że człowiek dojrzewa przedwcześnie. Nagłe zmiany powietrza poruszają nerwy; długo wiejące suche wiatry pobudzają wcześniej dzieci, a starszych pędzą do nadzwyczajnej czynności—tak, że doszedłszy lat czterdziestu, każdy organizm zniszczył się i przeżył...

W Ameryce nie ma prawdziwej młodości z ową niewinnością i swobodą igraszek dziecięcych i z poezją właściwą temu wiekowi—tak samo jak nie ma tam wiosny.

Widzimy z tych przytoczeń, że autor trochę za wiele przypisuje wpływom suchych wiatrów, a zbyt mało zasadom religijnym, w których powinno się wychowywać młode plemię—lecz naturalisci, do których zapewne i on się liczy, niżej kładą Ewangelię i kościół niż księgę natury...

Najciekawsze jednak są postrzeżenia jego co do wpływu klimatu na tę piękną rasę anglo-saksońską, z której składa się po większej części ludność Stanów Zjednoczonych. Powiada on, że cały skład ich i budowa ciała zmienia się coraz więcej. Jak u dzikich Indyan, postać ich wzdłuż się powiększa, przez co kości i mięśnie w wyższej części ciała bywają nierozwinięte i drobne; czaszka

przybiera kształt podłużno-owalny, i uciska części przednie i tylne mózgu, rozwijając środkowe, gdzie jest siedlisko rozumu i woli, kosztem tamtych komórek, gdzie mają przemieszkować wysokie myśli, szerokie poglądy i wielostronność. Czoło nad oczyma pozostaje dość szerokie, ale dolna część twarzy zwięża się coraz bardziej; ma to pochodzić stąd, że Amerykanin, ciągle robotą czy ręczną czy rozumową zajęty, nie ma czasu myśleć o jedzeniu. Szczęki więc i zęby, nie mając nie do roboty, drobnieją i chorują. Calkiem przeciwnie niż u nas, gdzie znowu organom żującym i łykającym nie dają odpoczynku, dla tego też pięknie bywają rozwinięte. Wszystko to nie—ale najgorszy horoskop stawia autor dla mieszkańców Zjednoczonych Stanów, że zagrożeni są bezpłodnością...

Lubo można być przeciwnikiem tych kranilogicznych teoryj, pewna wszakże, bo już i inni zrobili to postrzeżenie, że anglo-saksońska rassa zaczyna się przeistaczać powoli w indyjską, co jeszcze niekoniecznie pociąga za sobą upadek sił fizycznych...

Z téjże książki dowiadujemy się, że stronnictwo wykształcone zwykle mieszka na wsi, a miasta są siedliskiem surowej dzicy. Zapewne wypada to tak rozumieć, iż ludzie ze zdrowym instynktem, a raczej chcący go uratować od nacisków ulicy, schronili się w zacisze wiejskie, gdzie pracują nad pozbyciem się rządów owych wichrzycieli, co ten piękny i bogaty kraj wtrącili w bezdenną przepaść domowej wojny; lecz dotąd podobno nie znaleźli téj formuły czarnoksiężkićj, któraby położyła koniec zabawie.

Autor najbardziej oskarża stan handlowy, który do olbrzymich doszedłszy rozmiarów — jedynych w dziejach świata,—okazał się najgorszym obywatelem. „Wszystko szło mu jak z płatka—opowiada on—a jakże zużytkował swe fortuny? Czy może wspierał oświatę ludu, dopomagał usiłowaniam postępu? Czy starał się powściągnąć demagogię, znieść niewolnictwo? Czy podał rękę przemysłowi, aby przymnożyć wyrobów, a nie poprzestawać na tych, jakie były, i spekulować na podnoszeniu ich ceny? Czy robił co, aby zająć mocne stanowisko, żeby ograniczyć kredyt, zapobiedz szalonym spekulacjom, kryzysom finansowym i bankruc-

twom?" Nie, przeciwnie, popierał to wszystko, co dowodzi bezdenną lekkomyślnością, nieoglądania się na jutro i godną potępiania obojętności na los ojczystego kraju.

Wszystkie wielkie zakłady pieniężne, jak: banki, zabezpieczenia, kassy oszczędności, towarzystwa akcyjne, bywają administrowane najgorzej. Byle odbyć swoje posiedzenie, obrać urzędników, a nadto usłyszeć dość pomyślnie sprawozdanie dyrektora—o resztę nikt się przez cały rok nie troska. W skutek tego urzędnicy dopuszczają się najpotężniejszych kradzieży. Kassyer kolei żelaznej w Nowym Yorku, wydawszy za półtora miliona dolarów fałszywych akcyj, zmyka z łupem do Europy. Bank *Life and Trust Company* bankrutuje na cztery miliony, z bogaciwszy wprzód wszystkich swoich urzędników; z banku pensylwańskiego znika 700,000 dolarów. Lecz wypadki podobne tak się często zdarzają, że im się nikt nie dziwi; jest to chleb prawie codzienny. Od lat dziesięciu rok rocznie w Stanach Unii trafia się od 500 do 900 bankructw różnej natury; fałszywe bankructwo kładą tam na karb szczęśliwej zręczności, i takie fałszerza opinia nie pozbawia nadal kredytu.

Pisano jeszcze, że w czasie wojny toczącej się teraz, tak samo okradano armię w północnych Stanach, jak ją okradano w Rosyi podczas wojny w Krymie. Widać ze wszystkich tych postrzeżeń i studyów, że ta z osadników utworzona społeczność nie skonsolidowała się dotąd. Czy dopiero krew w domowej walce przelana, ma się stać tym cementem, który silniej sklei budowę? Być może. Jest w starych pieśniach serbskich podanie, że kiedy wznoszono mury miasta Szkodry, zabito na nich dziewięć, aby krew jój zapewniła im trwałość.

### XIII.

## BIOGRAFIE.

Atmosfera romansu — wpływ jego rozkładowy. Romans wciska się do biografii i pamiętników. Radziwiłł „Panie Kochanku“ w nowej postaci. Żywoć ks. Koźmiana biskupa kujawsko - kaliskiego. Rodzina Koźmianów. Maurycy Gosławski. Romantyzm w akcyi i proza w poezyi.

Przypatrując się książkom dziś wychodzącym, zdawałoby się, że literatura romansów i powieści już się przejadła. Romanse pojawiają się jeszcze od czasu do czasu, a choć usiłują przedstawiać sceny i postaci bardzo świeżej datty, więcej sprawiają niesmaku niż zadowolenia.

Wszystko też w rodzaju tym bywa przesadą: zamiast malować płomień, malują czelusę rozpaloną; a gdyby dzieje bohaterów i bohaterek mogły się zamienić w rzeczywistość, życie byłoby istnym wizerunkiem pickła.

Wprawdzie nie jest ono zbyt rajskie; jednakoweż dobra książka powinna być rodzajem balsamu dla duszy zbolalój, a nie jadowitym plastrem, który ranę rozognia.

Tragedya ma swoje nieszczęścia, lecz te bywają delikatnie utkane: zresztą należą do innego świata, a nade wszystko trwają krótko. W romansie usiłującym brać obrazy swoje z rzeczywistości, nieszczęście bywa uobecnione, żelazne, grubój roboty — i dla tego wstręt sprawia.

Lubimy katastrofy — ale nie lubimy tortur.

Ktoś powiedział: Życie ludzkie jest czarném płótnem przetkaném kilku białemi nitkami. Inny znowu: że jest bia-

lém płótnem, w które wmieszało się kilka czarnych nitok. Romans dzisiejszy snuje życie utkane z nici czerwonych i czarnych; samo złe tam panuje, a dla cieniowań bywa złe większe i mniejsze.

Wyobraźmy sobie zakątek ziemi, pożerający własnych mieszkańców; niebo bez gwiazd rozświecane błyskami piorunów; ląny spalone, nieożywione nawet rosą; słowem wyobraźmy sobie miedziany horyzont, o który najpiękniejsze rzeczy odbijają się hukami grzmotu—oto świat roman-su. Przebiegając te karty, czujesz wyziew jakiejś czułośćkowości niezdrowej i kłamanej. Młodość wygląda tam jak potępieniec piekielny, pożerany własnym płomieniem; piękność, jak ofiara pod nóż idąca; cierpienie nie ma odpoczynku; gorączkowy obłąd trwa bez przerwy; a sama nawet cnota, bądź przez to, co przechodzi, bądź przez uczucia, jakie wzbudza, ciągle jest kalana. O każdej heroinie romanu można słusznie powiedzieć: Jest to zdeptana róża.

Bywają książki wydające się w nieuniknioném następstwie gorszymi, niż są w istocie, jak znowu inne lepszymi, niż są. Te ostatnie dla tego, że wrażają pojęcie piękności, dobroci, doskonałości; tamte, bo nas przenoszą w takie sfery, gdzie panuje tylko pojęcie brzydoty.

Jeżeli zmyślenie, fikcja nie jest piękniejszą niż świat rzeczywisty, wtedy fikcja nie ma prawa do bytu. Wszystko to odleci kiedyś od prawdziwej literatury, jak plewa. Sztuka zapominając o dawniej przestrodze: „Po za świątynią i ołtarzem ofiarnym nie pokazuj jelit,” — wychodzi ze swych granic i goni do upadku.

Czyliż natura nie dała nam i tak już dużo namiętności? Romanse więc nierównie robią złego niż dobrego, jeżeli zamiast łagodzić namiętne burze, rozdmuchują je; zamiast ustalać charakter, zachwiewają go; zamiast wpaść mądre prawidła życia, w różowych kolorach malują żądź rozpasanie, rzucając dwuznaczny cień na umiarkowanie i zakon, dwa opiekuny życia.

Gdyby roman dzisiejszy nie miał pretensyi do skrupulatnej rzeczywistości miejsca, czasu, zdarzeń i osób—możnaby mu niejedną grzech odpuścić; ale on innej trzy-

ma się poetyki; zapamiętały realista, zbiera ciepłe jeszcze szpetności i dosadza fantazją, jakby niedość było goryczy i potworów zalewających ten padół!...

Trzeba przyznać, że ten rodzaj, poświęcony najglówniej bogini miłości, odstąpił za naszych czasów od swego celu, który mu się wydał zbyt blahym, a natomiast zaczął się nastrajać do innych humanitarnych widoków, aby w przystępnej formie popularyzować filozofię, ekonomię, sztukę, socjalizm i politykę. Czy mu się udało? trudno przyznać, bo fachowy człowiek każdą z tych nauk podaną w tym słodkim sosie, nazwie romansową; a i prostaczek, co tę łatwą spożyje strawę, choćby został filozofem, ekonomistą, estetykiem, socjalistą i politykiem romansowym, nie na wiele i sobie i komu się przyda.

Zawsze to pewna, że jakkolwiekbyśmy powstawali na ten rodzaj literatury, podkopać go nie zdołamy. Sama forma powieści odpowiada epoce, w której żyjemy—oto: do niczego nie obowiązuje; a nie obowiązując, ona podkopała właściwie wszystkie rodzaje i prawa tytu estetyk i poetyk od Arystotelesa i Horacego do pierwszego lepszego, co z katedry uczy prawideł. Niech więc kwitnie szczęśliwie, byle przynajmniej umiała trzymać się w granicach bezpretensjonalnych, i czerpać z czystych źródeł, a nie sadzić się na ową *puritas impuritatis*, która w klejnoty z poetów pozdzierane stroi potworne lalki swojej fantazyi, co nie przeszkadza, żeby nie miały być nicznośnie nudne, obrzydliwe lub śmieszne, jak szarlatan ustrojony w złocne łańcuchy i pierścienie.

Rzeczywiście romans nasz wywieszający niedawno coraz nowe żagle, pozwijał wszystkie, czy też mu je burza zerwała—dość, że się gdzieś schował w ciasną przystań i nie śmie wyruszyć na pełne morze. Wpływ jego atoli zakradł się do biografii, która jest dziś panującym rodzajem.

Mam przed sobą trzy książki — trzy żywoty trzech osób, należących każda do innej epoki.

Jedna z czasów konfederacji barskiej, druga z Księstwa Warszawskiego i rządów Konstantynowskich, trzecia z epoki powstania listopadowego.

Wybornie się nadarza! Otoż i będę mógł rzucić kilka rysów charakteryzujących każdy ten okres i w pewnym względzie zrobić to samo co Niemcewicz ze swymi Sieciechami.

Dyagnoza ducha czasu, zrobiona na pulsach ludzi, którzy żyli, myśleli, cierpieli i działali, w położeniach odpowiednich ich stanowi, powołaniu, edukacji, którzy szamotali się z losem w rozmaitych życia kolejach—więcej może rozświecić przeszłość, niż wszelkie rozumowania wychodzące częstokroć z nieugruntowanych założeń.

Myśl ta uśmiechała się do mnie.

Pamiętnik o księciu Karolu Radziwille, spisany podług archiwum nieświezkiego. A, tego mi trzeba! Książę Karol Panie Kochanku, to ostatni egzemplarz staropolskiego magnata. Ręka zawsze otwarta, serce złote, na ustach uśmiech dobroci lub jowialnego żartu, gotowy kord przy boku na obronę przyjaciół lub kraju, głowa do spraw publicznych nietęga, ale za to mogąca się mierzyć z najwytrawniejszym węgrynem. Zgoła typ popularności, gościnności, a i pańskiej powagi i ostentacyi.

Czytam przedmowę, a w niej wyliczenie dóbr i bogactw księcia Karola; uderza mię ta gwałtowna liczba 5,000 wsi i 1,290 miast składających jego majątek, razem ze stosownym dochodem 40 milionów złotych polskich rocznie. Sądziłem z razu, że to pomyłka pióra lub druku, bo przy takiej liczbie, szczególnież miast, cóżby na resztę Polski zostało? Idąc jednak dalej, natrafiam rozdział pod napisem: „Chatki Albańskie.” A więc się bliżej poznam z tą sławną Albą pod Nieświeżem? Autor opisuje założenie tego wzorowego siola i urządzenie jego, przypominające jakąś falansteryczną utopię czy robinsonadę. Ale mniejsza o tę sielankową komedię, którą każe odegrywać księciu Karolowi; najpociesniejsze jest wykopanie kanałów i założenie szkoły dla majtków, których liczbę podaje na 800 głów. Było tam czterech oficerów marynarki duńskiej i szwedzkiej, aby na bacikach kanałowych uczyli tych kadetów służby morskiej, „w celu, jak powiada autor, żeby marynarka polska mogła stanąć wkrótce na równi z ówczesnie w Europie istniejącą.” Za grubo to żart nawet na

samego „Panie Kochanku” a nie dopiero na opowiadacza jego historyi, przybierającego ton bardzo poważny, i wielkiego skrupułata nawet w najdrobniejszych szczegółach. Marynarka polska! to coś niesłychanego, zwłaszcza w czasach, kiedyśmy właściwie nietylko portu, ale nawet brzegu morskiego nie mieli; marynarka polska wyćwiczona na słodkich wodach i obeznana z burzami—w szklance wody! Żeby choć tę robinsonadę umieścił był autor na Trockiém jeziorze, nie byłby zrobił się tak śmiesznym, jak kiedy ją umieścił na wykopanych kanałach Alby. Ale ze wszystkiego pokazuje się, że kosztem księcia Karola chciał nas ubawić—szkoda tylko, że w sposób najnudniejszej gadaniny, jaka jest pod słońcem.

Pominąwszy najniesmaczniejsze brednie tój biednej imaginacyi, napastowanej snami marzycielów i awanturników zeszłego stulecia, co także chcieli zakładać po świecie wzorowe społeczeństwa i miasta, podług pewnych filozoficznych formuł — nie można bez wstrętu czytać drugiego rozdziału o podróży Stanisława Augusta do Nieświeża, gdzie co karta spotykasz się z grubemi kłamstwami. I tak podług autora pamiętnika, król był w Nieświeżu 1787 roku, w miesiącu maju i czerwcu, przez sześć tygodni; tymczasem, jak wiadomo, podróż tę 1784 r. odbył, kiedy jechał na sejm grodzieński; przybył 10 września i sześć dni bawił gościem u Radziwiłła, gdzie ucztował, przypatrywał się teatrowi i koncertom, a wreszcie odprawiał łowy — bynajmniej jednak nie bawił się lustrowaniem wojsk ordynackich i litewskich, a tém mniej manewrami i napadami nocnymi na fortece zdobywane przez niego na czele grenadierów.

Król nie był wojennego ducha, a przytém jak żyw nie widział nawet tak licznój armii, jaką autor pod Nieświeżem kazał księciu Karolowi zgromadzić. Ktokolwiek ma jakie takie pojęcie o stanie sił ówczesnych Rzeczypospolitej, czy odważyłby się przypuścić, żeby mogło wystąpić wojska ordynackiego 28,000 piechoty, 36,000 kawalerji i 13,000 artylleryi? Gdzież się to wojsko podziało, kiedy w sześć lat później na sejmie czteroletnim, mimo wszel-

kich usiłowań i wytyżeń, nie zdołano całej armii Rzeczypospolitej podnieść nawet do 60-ciu tysięcy?

Nie wiem doprawdy, na jaki pożytek wymyślono to kłamstwo? Czy żeby niewiadomym dziejów zaimponować? Rzecz ślizka: bo tém więcej dziwić się będą, jak mogła Rzeczpospolita przy takich siłach prywatnego obywatela upaść tak mizernie! Czy dla milój satysfakcyi pleceni jak w gorączce?

Równie pociesznym jest autor, kiedy wylicza generałów komenderujących temi wojskami. Fryczyński, kapitan Radziwiłłowskićj dragonii i komendant załogi w Żółkwi, został u niego naczelnym generałem; a co lepsza: ksiączę Józef Poniatowski, Madaliński, Dąbrowski, Sierakowski, Kniżiewicz, wszystko to u niego figuruje w randze generałów w r. 1784. Taka bezczelność w nadużywaniu nazwisk historycznych przechodzi granicę zwykłych kłamstw roman-sowych.

Lecz—wybaczywszy nawet to frymarczenie historyą—może kto powie: „Pobredził pamiętnikarz pamięcią, to prawda — wszakże natomiast mógł wybornie scharakteryzować społeczność ówczesną...” Dla czegożby nie! tego właśnie dokazał Henryk Rzewuski w Soplecy; — ale na to potrzeba znać i rozumieć tę społeczność, a on właśnie jakby na przekór, nie dbał ani o jeden rys prawdziwy.

Dość powiedzieć, że kiedy generalność konfederacka przeniosła się do Preszowa, on każe wjeżdżać do miasta księżnie Kunegundzie, matce Radziwiłła, na czele 400 amazońek i w towarzystwie pięciu jćj córek, na koniach przy pałaszach i pistoletach. Najpierw ksiączę Radziwiłł nie miał wtenczas matki, bo ta, nie Kunegunda, lecz Urszula Franciszka, z domu księżniczka Wiśniowiecka, spoczywała już w grobie od r. 1753. To może macocha? Macochą, a drugą żoną hetmana Rybeńki, jak nazywano ojca księcia Karola, była Anna Mycielska, wdowa po Leonie Radziwille, nie wojennego umysłu pani, która nigdy nie emigrowała do Preszowa, i nie umierała tam jak chce pamiętnik lubiący wyprawiać sute pogrzeby.

Tejże wagi jest poselstwo tureckie do księcia Karola, wysłane do niego od sultana z darami i kondolencyą. Ra-

dziwił! wyplacając się z długu grzeczności, nawzajem posłał swych generałów ordynackich z upominkami i komplementem do Jego Sułtańskiej Mości cesarza tureckiego, który tak się tém czuł ujęty, że posłów zaprosił nawet do swojej prywatnej galeryi obrazów, gdzie z podziwieniem oglądali wizerunki księcia Karola, jego siostri i t. p.

Czytając ten ostatni rys przychodzi na pamięć jowialne kłamstwa znanego marszałka na Podolu, który ze wszystkimi panującymi był w zażyłości, a od Ludwika Filipa odbierał wory z tytuniem tureckim. Ale te koncepta brał każdy za wyskok wesołego humoru; tutaj przeciwnie, wszystkie brednie mają pretensyę do historycznej prawdy, są obleczone w dykcyę poważną, naszpikowaną ciężkim morałem, rozpaczliwie nudzącą.

Jeżeli to ma być polski Müachhausen — to się weale nie udał; jeżeli pamiętnik na seryo — to nie ma czego zazdrościć ani temu, co go komponował, ani jeszcze mniej tym, co go drukowali dwukrotnie, i w piśmie peryodycznem, i w osobnej książce.

Być może, iż ta ramota zrobi fortunę? — *habent sua fata libelli*; dziś wszystkiego się spodziewać.

Dla mnie tylko stała się niespodzianka, że zawiódł Radziwiłł, który miał dostarczyć rysów na charakterystykę swojej epoki.

Idźmyż dalej z kolei. Oto żywot księdza Józefa Kozmiana biskupa kalisko-kujawskiego, skreślony piórem jego brata, znanego autora *Ziemiaństwa*, *Stefana Czarnieckiego* i *Pamiętników*. Sam pisarz jest już niemalą rękojmnią — i rzeczywiście, po przeczytaniu nie czujesz się zawiedzionym. Wszystko tu godne i budujące, tak osoba jak rysy obyczajów i zdarzeń krajowych, oddane przez współdziałacza, obserwatora i gorącego miłośnika rzeczy ojezystych, w stylu szerokim, jasnym, poważnym i pełnym owęj mękości, która bywa odbiciem się charakteru, oraz owęj jędrności, której udzielają klassycy starożytni.

Zarzucięby można, jak to sam autor przewidział, że biografia brata, przez brata napisana, ulega podejrzeniu o pochlebną stronność; lecz Tacyt także opisywał żywot teścia swego, Potocki Stanisław głosił pochwałę rodzonego

brata Ignacego — i oba zyskali wiarę, bo znając ich życie i prawosć, nie śmiano zaprzeczać i podejrzać. Jest wreszcie coś takiego w słowie płynącym z sumienia, co wiarę wzbudza; jak nawzajem, z kłamliwej duszy wychodząca najprawdziwsza prawda, spotyka niewiernych.

Autor nie pisał też panegiryku, tylko wśród wspomnień swoich, przywodzących publiczne wypadki z ostatnich przeszłego a początku bieżącego stulecia, wyprowadza na widok skromną, cichą i światłą postać kapłana, który acz nie zajmował wybitnego stanowiska w sprawach publicznych, miewał w nich udział, powoływany różnemi czasy zaufaniem obywateli lub rządu. W całym tym żywocie próżnoby kto szukał opisu jakiej wielkiej namiętności, nadzwyczajnych przygód, scen sejmikowych lub wojennych, a nawet anegdot malujących nieraz lepiej ducha pewnych epok, niż karty historyka; nie ma nic, co by przechodziło sferę zwyczajnego trybu życia człowieka poświęconego obowiązkom swojego stanu — a jednak całość ma żywy interes, porusza i wraża się w pamięć wizerunek dobrego kapłana, umiającego w najgorszych momentach pomieszanych wyobrażeń i manifestacyj anti-religijnych, utrzymać godność swego stanowiska na pasterskim urzędzie. Najwięcej zajmuje ta część żywota, kiedy ks. Józef Koźmian wstąpił na biskupstwo kujawsko-kaliskie, i miał do zgryzienia twardej orzech z duchowieństwem wyszłym z karbów karności kościelnej, i z partją hulaśliwą tak zwanych „Kaliszan”, co na tém zasadzała swój liberalizm, jak wszystkie namiętne stronnictwa, żeby cię potwarzy rzucić na każdego kto z nią nie trzymał. Podobna taktyka robi zazwyczaj prozelitów z istot lęklivego charakteru i niepewnych zasad, nieumiejących ani stać o swojej sile, ani bronić przekonań; liezebnie więc zawsze takie stronnictwo bywa silniejsze, i dla tego zamienia się samowładnie w areopag opinii. Szczęściem, że wyroki areopagu nie sięgają dalekiej potomości; bo gdy namiętności chwilowe ochłodną, górę bierze spokojny rozmyśl i równowagę przywraca. Znosił biskup kujawsko-kaliski w cichości sereca te wszystkie najazdy i przymówki, których mu nie żalowano, ale z toru swojego nie zбочył. Okrzyczany przez ma-

sonów za fanatyka, był tylko katolickim księdzem wielce wyrozumiałym na słabości ludzkie, a mimo tego pełniącym swój pasterski obowiązek sumiennie, bez mieszania się nie w swoje rzeczy. Że go pełnił dobrze, zostały po nim ślady w uporządkowaniu dyecezyi i zaprowadzeniu karności między duchowieństwem świeckim, a nawet i zakonnym; wiele przytém małżeństw niepoświęconych sakramentem, co było skutkiem kodeksu cywilnego pozostałego po czasach francuzkich, skojarzył przed ołtarzem, i dziś niejedne może dzieci błogosławią pamięć jego, że ich rodziców żyjących w nieprawym związku połączył ślubem kościelnym.

Mniej go zapewne bolały zajścia z osobami świeckimi, co przesiąknięte wolteryanizmem, nie mogły znieść pasterza pilnującego swego obowiązku; — więcej zapewne doznał przykrości w duszy, gdy zakonne duchowieństwo, któremu pragnął dogodzić, nabawiło go niemalego kłopotu. Biograf tak opowiada ten szczegół: „Władza wojskowa, której ministrem był generał Maurycy Hauke, szukając w Kaliszu na umieszczenie garnizonu budowli, dostrzegła w tém mieście pusty dawny klasztor i kościół, po uchylonych pozostałe zakonnikach. Rząd Królestwa na żądanie W. Ks. Konstantego wezwał biskupa do odstąpienia tych murów władzy wojskowej. Biskup nie mogąc wprost odmówić, szukał, naradziwszy się z kapitułą, środka, któryby mu dozwolił i opinii religijnej dogodzić, i nie narazić się rządowi. Klasztor ten opuszczony był obszerniejszy, piękniejszy w lepszym stanie od klasztoru OO. Franciszkanów. Wypadło więc z narady, aby tych zakonników z korzyścią dla nich do wygodniejszego i obszerniejszego przeniesć umieszczenia. Tę zmianę biskup nie bez trudności u Haukego wyjednał. Ale mnisi, niechętni biskupowi za jego częste wizyty i czujną straż nad ich regułą, oprzeć się umyślili, i skrycie wmówili w pospólstwo, że im z krzywdą religii kościół cudownymi obrazami słynący, z rozkazu biskupa na umieszczenie błagocestiwych czernców zabierają. W dzień na przeprowadzenie wyznaczony ogłosili pożegnalne nabożeństwo, na którym tłum zebranego ludu żarliwymi kazaniem do tego stopnia zapalili i wzburzyli, iż wraskiem i płaczem grozić zaczął, że wyrzucić krzywdy religii

i zakonowi nie dozwoli. Dla uniknienia gwałtu odstąpić trzeba było od zamiaru. Rząd sam się pierwszy do tego skłonił, ale tryumf ten opornego zakonu nieugiętemu charakterowi biskupa bolesny cios zadał. Bo gdy mnichy i pospólstwo zarzucało mu uległość obrażającą religię, W. Ks. Konstanty powziął podejrzenie, że władza duchowna pozornie posłuszna, a skrycie oporna, wyprawiła mu scenę, aby go w oczach katolickiej ludności ohydzić i od podobnych żądań odrazić.”

O jakże dziwną bywa nieraz logika opinii!—dawniej posądzała go o fanatyzm, a teraz o sprzyjanie prawosławiu.

Na pozór, powie kto, zwyczajny to żywot; ale nadzwyczajności trudno wymagać. Jeżeli duchowny stoi mocno przy wierze, naucza słowem i budującym przykładem, już odpowiada powołaniu — i sprawiedliwy nie rzuci na niego winy, że nie poszedł za tym lub za owym prądem politycznych wyobrażeń, które prędkiej i częściej ulegają zmianie niż wiekuiste prawdy kościoła.

Z tej strony szczególniej biografia ta, odświeżając pamięć zacnego pasterza, rzuca nowe światło na tę odznaczającą się rodzinę Koźmianów, która w ciągu lat kilkudziesięciu wydała ludzi obdarzonych cnotami obywatelskimi i znamenitym talentem pisarskim. Oprócz bowiem Kajetana—protoplasty ich w zawodzie literackim, zdobywającego sobie w początku tego stulecia kilku pysznemi odami miejsce w literaturze ojczystej, i do dni długich ostatka niewyczerpującego poetycznej weny—był literatem syn jego Andrzej przed niewielu dniami z cieniem ojcowskim w szczęśliwych sferach złączony. Kilka prac jego przysporzyło szacownego materiału do naszych dziejów. Między tymi: *Wyciągi Pietrowickie* i *Żywot Bartłomieja Nowodworskiego*. Największej jednak wagi nabędą kiedyś jego wspomnienia z życia towarzyskiego i literackiego Warszawy, z najbardziej ożywionego okresu. Młody, mający wstęp do najświetniejszych towarzystw stolicy, przytém z żyłką poetyczną i bystrém objęciem, umiejącém się orientować i zgadywać, a wrażenia w pamięci zachować,—mógł on lepij niż wielu innych przechować szczegóły charakteryzujące ludzi i epokę

przedrewolucyjną. Tém śmielój stawiam ten domysł, że już niektóre ustępy, wielce ciekawe, ukazały się przed laty po niektórych pismach.

Stratę ojca i syna, dotkliwą dla kraju, przyjaciół i literatury, łagodzi dwóch żyjących synowców ś. p. Kajetana, zaszczytnie znanych w piśmiennictwie. Jednym jest Stanisław, twórca kilku pięknych poezyj, tłumacz Szekspira i autor wybornych studyów o Anglii (\*); drugim, książdz Jan, młodszy brat poprzedzającego, założyciel i wydawca *Przeglądu Poznańskiego*, gorliwy i świątły kapłan.

Spodziewać się godzi, że piękne te wzory rodzinne przejdą tradycją i w młodsze pokolenie.

Trzecia biografia, jak rzekłem wyżej, miała mi dostarczyć rysu do nowszych czasów z powstania listopadowego i lat następnych.

Żywot Maurycego Gosławskiego służący za wstęp do jego rymotwórczych plodów, niedawno wydanych w *Bibliotece Pisarzy Polskich* Brockhaus'a,—żywot poety i żołnierza, wielce się nadawał ku temu. Czyliż zagadka owych chwil nie leżała całkiem w rozbudzonej romantyzmem uczuciowości i fantazyi młodzieńczej? Czyliż „Oda do młodości” nie była programem, który jeżeli się nie dał otwarcie i z urzędu przeprowadzać, niemniej zawsze gotów był wywiesić swój porządek dzienny?

Prąd ten śród regularnej wojny i władz zorganizowanych, nie mogąc wyjść na wierzch, pozostał w stanie tłumionych aspiracyj, wylewających się na zebraniach u Honoratki, lub w poetycznych apostrofach; po upadku zaś powstania, znalazł wolniejsze pole w ogólném rozbiciu, w żalu jątrzącym duszę i uspasabiającym do nieskończonych wyrzutów i obwinień—słowem, zajmował to najsmutniejsze w polityce stanowisko, którego wyznanie wiary zamyka się w tych słowach: „Inaczejby poszły rzeczy, gdybyśmy dowodzili, rządzili, ale nas nie dopuszczono.” Wiemy czém są owe: „gdyby, ale, może” pozwalają bujać fantazyi, rzeczystwój rękami nie dając.

---

(\*) Anglia i Polska, 2 tomy, w Poznaniu u Żupańskiego.

Takie mniej więcej usposobienie cechuje mąż Gosławskiego, przebijając się co chwila przez wulkaniczne wybuchy sercowej skłonności, bardzo nieszczęśliwej, bo kiedy przedmiot jego westchnień ma go rączką nagrodzić, on pała już ku innej.

Ale nie przekraczajmy porządku opowiadania.

Biografia Gosławskiego, umieszczona na czele zbioru jego rymów, w kształcie przedmowy, zamierzyła sobie rewindykować pamięć poety, zgasłego wcześniej i prędko zapomnianego. W takim przypadku nie skąpi się zwykle argumentów i kolorów, żeby wprowadzić nieboszczyka do świątyni sławy.

Jest to rzecz gustu lub sposobu popierania tej lub innej dążności—a zatem do pewnego punktu usprawiedliwiona. Wszakże jeden warunek niezbędny jest przy biografii: żeby o ile można zgadzała się z rzeczywistością prawdą. Cóż komu do biografii zmyślonej, lub niedokładnej? Oprzesz na nią swoje rozumowanie, wnioski, widoki, co do charakteru, talentu, wyobrażeń człowieka, którego postać chciałbyś zewnątrz i wewnątrz potomności przekazać,—a tymczasem pierwszy lepszy dokładniej świadomy szczegółów, albo osobę znający, zbije cię z tropu, i powie: Portret jest, lecz niepodobny;—lub: Autor się myli, to była inna historia.

Toż samo z Gosławskim: szczegóły jego życia, a mianowicie w ostatnich latach, wymagają sprostowania.

Opowiem je tu podług najwiarogodniejszej relacji.

List pani A. P. przytoczony w Żywocie, podaje prawdę co do tego: że skończył nauki w Krzemieńcu; że nie mając środków do niezależnego życia, przyjął obowiązek w domu państwa M. jako prywatny nauczyciel; że rozwinął w uczniach swoich uczucia, które ich na Sybir zawiodły; a w młodej panience ich siostrze, inne znowu uczucie—gorącej miłości dla siebie, któremu gdy się opierała matka niezważająca na ten związek, panna szukała leku w truciznie i omal nie przypłaciła śmiercią tej passyi. Gosławski chcąc zapewne zdobyć sobie jakie stanowisko w świecie, którego nie miał, zaciągnął się w Winnicy do rosyjskiego wojska, zbierającego się na Podolu, aby ruszyć na Turka.

Po skończonej kampanii, bynajmniej nie brał dymisji, tylko zostając ciągle przy sztabie Dybicza, gdy tenże w skutek wybuchu listopadowego otrzymał rozkaz wkroczenia do Polski, Gosławski w marszu zachorował powtórnie na dżumę, i jako chory zostawiony był w Tulczynie. Po przyjeździe do zdrowia, polecono mu udać się do armii Dybicza, i zawieźć główno-komenderującemu jakieś raporty i ważne papiery. Droga wypadła niedaleko majątku państwa M. Zboczyć widzieć się z panną, zapewnić ją o swoim przywiązaniu niezmiennem, a nareszcie ułagodzić jej patryotyczne sumienie dotknięte tą jego misją głośną w okolicy—było decydującym krokiem, nad którego spełnieniem nie wahał się ani chwili. Przerznął się więc przez tę część Podoia, jak był w mundurze rosyjskim, i w d. 3 kwietnia 1831 r. zajechał w gościnę do pana F. C., którego dom w obwodzie Czortkowskim, na galicyjskiem Podolu, liczył się do najprzychylniejszych sprawie powstania. W domu tym, gdzie umiał pozyskać dla siebie przyjaźń, bawił parę miesięcy, i następnie w towarzystwie kilku Podolan z rozbitego powstania Kołyski, niemniej oficerów z korpusu Dwernickiego, przedarł się do Warszawy, i w randze porucznika zaciągnął się do konnego legionu podolskich ułanów, którego formacją o własnym koszcie zajmował się Aleksander Wereszczyński.

Legion ten, tworzący się w Józefowie, musiał zamknąć się w Zamościu z powodu zajęcia województwa Lubelskiego przez rosyjski korpus Rüdigera. Pod koniec czerwca udał się tam Gosławski, i aż do samego końca wojny zostawał w załodze Zamościa, która dzielnie odpierając oblężenie, o dwadzieścia dni przedłużyła życie polityczne narodu. Zamość kapitulował 23 października. Generał Kajsarow dotrzymał wprawdzie warunków kapitulacyi, lecz potem nadeszły rozkazy z Warszawy zagrażające bezpieczeństwu więcej skompromitowanych. W liczbie tych był Gosławski, jako zbiegły z szeregów rosyjskich. Atoli szczęśliwy traf posłużył mu właśnie z téj strony, z której się miał najwięcej czego obawiać. Dwóch adjutantów gen. Kajsarowa poznało go; im więcej wypierał się ich znajomości, tém oni więcej robili mu przyjaznych oświadczeń, okazujących go-

towość pomocy. Przekonawszy się zatem o szczerości ich uczuć szlachejnych, przyznał się kto jest. Ich staraniu i protekcyi winien on, że mu wyrobili pasport do Galicyi pod nazwiskiem Maurycego Jasińskiego, a w dodatku ofiarowali w imieniu swego generała 200 dukatów, bryczkę i trzy konie. Gosławski czuł się winnym podziękować generałowi za ten szlachejny postępek: jakoż udał się z adjutantem do Kajsarowa, któremu wynurzył wdzięczność za otrzymany pasport, lecz ani pieniędzy, ani koni przyjąć nie chciał. Generał na to: „O pieniądze nie nalegam, ale od bryczki i konia nie odstąpię; musisz je przyjąć, lecaj jak ptaki — a takich ci właśnie potrzeba, jeżeli chcesz ujść blizkiego niebezpieczeństwa.”

Gosławski szczęśliwie przejechał granicę, i zameldowawszy się w Zaleszczykach, otrzymał pozwolenie przesiadywania w domu pana F. C., z którym go łączyła przyjaźń od pierwszej jego bytności zawiązana. Zachowując się spokojnie, otrzymał z czasem pozwolenie wyjeżdżania do sąsiednich cyrkułów, gdzie miał sposobność spotykać się z rozlicznymi rozbitkami powstania, znajdującymi wówczas przytułek po domach obywatelskich. Wziętość towarzysząca mu jako pocię, którego patryotyczne wiersze obiegały po rękach, była przyczyną jego zguby. Przybrane nazwisko Jasińskiego stało się prawdziwym sekretem komedyi; wszyscy wiedzieli, że to był Gosławski,—więc nie dziw, że i zwierchność dowiedziała się o tém, i to w chwili najściślejszych poszukiwań wychodźców wmieszanych do wyprawy Zaliwskiego. Gosławski lubo przeciwny tój wyprawie i naganiający jój lekkomyślność, nie uszedł podejrzenia powiększonego zmianą nazwiska. Znajdując się na przyjacielskiej zabawie w Jagielnicy, aresztowany został i zawieziony do Zaleszczyk, zkąd po kilku tygodniach badań odnoszących się do pasportu otrzymanego na obce imię, odstawiono go okutego w kajdany do kryminalnego więzienia w Stanisławowie. Zostając tam kilka miesięcy, zaraził się tyfusem od współwięźnia zapadłego na tę chorobę, i skończył krótki żywot w dniu 17 listopada 1834 r.

Jak się pokazuje z tój wiernój relacji, mylném jest co podał wydawca Brockhausowski o życiu Gosławskiego,

podług listów mniej świadomych jego biegu; mylném, że wystąpił z wojska rossyjskiego po ukończonej kampanii tureckiej; mylném, że go Podolanki wykradły z Żytomierza, że się dostał potem do Francyi i ztamtąd do Galicyi sekretnie z partyzantami powrócił. Co do tego ostatniego szczegółu, wiele osób było w błąd wprowadzonych przez to, że Gosławski bawiąc w Czortkowskiém wydał był w Lipsku *Poezye Ułana* (w r. 1833), i dla zmylenia poszlaku, datował każdy wiersz z innego francuzkiego miasta; co zaś do myśli prowadzenia partyzantki na lewym brzegu Zbrucza, od téj był zawsze daleki, i uważał ją za rozpaczliwe szaleństwo, mogące tylko sprowadzić najsrozsze prześladowania na prowincyę i tak srodze dotkniętą.

Lecz w całym tym rysie nie dostaje jeszcze jednego ustępu, malującego romansowo-romantyczne usposobienie poety. Wspomniałem już wyżej o gwałtownej jego miłości do panny M. i o trudnościach ze strony jój matki, które mogły przeszkadzać ściślejszemu związkowi, ale go nie rozerwały; albowiem panna M., dowiedziawszy się, że Gosławski przebywa w domu państwa C., zawiązała z nimi korespondencyę, która stając się coraz poufniejszą, ośmieliła ją do odkrycia im niezmiennych swych uczuć dla poety, a razem postanowienia przyjazdu do Galicyi w zamiarze wejścia z nim w związek dogonny. Pani C., pojmując trudne położenie młodej panienki przedzierającej się przez granicę, napisała jój, że wyjdzie naprzeciw niój do Husiatyna, zabierze z sobą, i odtąd będzie jój zastępowała miejsce matki. Panna M. z wdzięcznością przyjęła tę ofiarę, oznaczyła dzień swego przyjazdu, i wiedząc o smutném położeniu tułacza, przysłała narzeczonemu pewną sumnę dla wyekwipowania się i zrobienia interesu na dzierżawę...

Zdawało się, że żadna ważniejsza przeciwność nie stanie już na zawadzie téj kilkoletniej sere skłonności.

Tymczasem ktoś (ród nieproszonych ktosiów i anonimów nigdy nie zginie) napisał bezimienny list do panny M., ostrzegający ją, że Gosławski o niój nie myśli, bo kim innym zajęty. Relacya musiała być dość detaliczna i przekonująca, niedługo bowiem na ręce pani C. przyszedł od niój list do Gosławskiego, tehnący najwznieślijszymi uczuciami

cichego poddania się i heroizmu, który umie zrobić ofiarę ze wszystkiego, nawet ze wzajemności kochanka. Nie robiąc mu żadnych wyrzutów, wspaniałomyślna ręka napisała mniej więcej w tych słowach: „Ponieważ on z osobą, którą się zajął, może być szczęśliwszy, a że on i ta osoba nie mają utrzymania, ona zaś ma postanowienie wstąpić do klasztoru, więc się obejdzie bez majątku i przeznacza takowy Maurycemu.” Poeta nie przyjął ani nadesłanej na wyekwipowanie się summy, ani ofiary z całego posagu panny M.; natomiast napisał fantazyę *Banko*, będącą niejako obrazem jego żywota, a zarazem urągliwą satyrą na nieszczęśliwy upadek powstania, szyderstwem, często bezbożnym, z cnoty i miłości. Czując zapewne, jak się zammatwał w sprawach romansowych, a nie chcąc szlachetnej Zorze (pierwsza jego miłość) dać w sumieniu swoim tej przewagi, jakiej nabywała, wyrzekając się dla niego świata i mienia—uciekł się do persyflowania cnoty niby Brutus rzymski:

„Cnota fraszka, i próżne tylko jej nazwisko.”

Wychodząc z tego założenia, że głupie wyobrażenie cnoty zrobiło nieszczęście trzech istot: Zory, Laury (druga miłość) i jego samego, tak opowiada ten epizod:

„Nad Bohem...

Łza czysta i niewinna z pięknych oczu Zory

Płynie bez otarcia....

Jéj przeczcucia spełnione; doszły pewne wieści

O jego zmianie. Wierny przysięgom, nie sobie,

Zmienił serce, nie słowo. Jak kamień na grobie

On był wierny przeszłości, ale bez udziału

I bez współczucia patrzył na przyszłość jałową...

I jak pęgierz samotny tkwiło dawne słowo,

Przy którym powinności łańcuchem przykuty.

Te myśli wylęgnione w serca tajemnicach

Kryły się pod uśmiechem, co na jego licach

Z rozkazu jakby napis na grobowcu błyszczał,

Gdy przymus pierś mu targał i życie wyniszczał,

Nie ta była myśl Zory!...

Nie dla siebie kochała, nie dla siebie żyła,

W istnienie jego bytu swój byt zamieniła.  
..... Żadne ziemskie technienia  
Nie zmaciły na chwilę jój serca bez skazy,  
W którym nie było ani zażalenia,  
Ni żółci, ani zemsty...  
Ona dla jego szczęścia i jego się zrzekła..."

Promienista jój dusza zgasła dla świata; miała uciec za klasztorną kratę.

Dotąd poeta wiernie opowiedział dzieje swego serca;— ale chcąc się usprawiedlić, a raczej odjąć wszelki urok poświęcenia się szlachetnej istocie, dodaje ironicznie, że klasztor nie na wieki ją zamknął—, „w pół roku poszła za mąż...”

Gosławski pisał pod wpływem byronicznego sceptycyzmu i ironii, i miał się to za Manfreda, to za Larę, to za Korsarza, a był tylko sofistą usiłującym usprawiedliwić przed sobą i przed światem te prądy, w jakie go pędziły uniesienia namiętnie.

Należał on w ogóle do tój szkoły romantycznej, co paliła ofiary bezwzględnemu bożyszczu namiętności, a która była niejako przeciwstawieniem dawniej teorii, zalecającej walkę powinności z namiętnościami i utrzymującej zwycięstwo przy pierwszjej. Niemożna zgadnąć, czy żyjąc dłużej, byłby pozostał przy tych pojęciach, które tak wybujały u romansopisarzy francuzkich, że zyskały im nazwę literatury szalonej—czy też byłby się zatrzymał w surowych wyobrażeniach narodowego zakonu?

Z tych wierszy, które ukazały się w edycji lipskiej, mimo wysokiego znaczenia przypisanego im w przedmowie, można tyle wnioskować, że Gosławskiemu nie brakło wewnętrzznego ognia, a właściwie młodzieńczej energii, która jednak bądź jak bądź częściej psuje niż naprawia pióro, podobnie jak silenie się na wysoką nótę psuje głos najlepszy. Umieć oszczędzać siły, głosu, talentu, dowcipu, jest to powodować się użytecznymi prawidłami sztuki, i jedyny to sposób dojścia do doskonałości. Prawdziwa moc nie leży w szamotaniu się; silne mięśnie nie dają jeszcze talentu. Podobnie jak pogodne oblicze oświecone spojrze-

niem pozwalającym przenikać w głąb duszy miłe sprawia wrażenie na naszych oczach i umyśle, tak samo utwór poety tchnący spokojem umiarkowania przykuwa na zawsze czytelnika. Nie mówię tu wszakże o umiarkowaniu wynikającym z oschłości serca i ubogiego umysłowego funduszu bo to nazywa się jałową niemocą,—ale o tém umiarkowaniu, które umie dobrze gospodarzyć obfitością przyrodzonych i nabytych nauką skarbów. U Gosławskiego postrzegać się daje wielki niedostatek tój ekonomii; twory jego robią efekt ogromnego wichru szumiącego po stepie. Nie możesz spojrzeć ani na okolicę, ani na ludzi, ani na niebo, ani na żadną rzecz, żeby ci ten wichur nie zasypał oczu piaskiem i co chwila nóg nie podcinał. To wichur namiętności, wypuszczony jak z dwóch worów Eola: jeden z nich ma siedlisko w sercu, a drugi w głowie poety. Serdeczne sprawy mieszają się tam ciągle ze sprawami świata, ale wszystko w sposób zbyt oklepany i bardzo mało urozmaicony. Około kilku myśli, czy wyobrażeń, obraca się jego cały świat:

Furażerka na bakier, wąż w górę, pałasze  
Brzęczą przy bokach, koń dzielny,  
W sercu dziewczę...

Może to rozgrzać, zająć—ale i wyczerpać, a w końcu spowszednieć, jeżeliby poeta nie myślał zaopatrzyć się w fundusz na dłuższą drogę.

Być może, iż Gosławski z czasem byłby pomyślał o bogatszych zasobach dla swój Muzy; ale wtedy, kiedy pisał, niemal przyznawał się do tój frakecy samorodnych poetów, co występowali z teorią nader wygodną, twierdząc, że poeta niepowinien niczego się uczyć, tylko słuchać natebnień własnego ducha, a od wszelkich książek stronić, bo te psują oryginalność.

Była to całkiem owa recepta, którą Goethe zamknął w jednej części swego epigrammatu:

...Do żadnej szkoły nie należę,  
Mistrzom nie ufam i w książki nie wierzę;  
Co mi tam Grecy, co mi tam Rzymianie!  
Wszelka nauka to naśladowanie.

Na nieszczęście owa oryginalność wychodziła na bardzo małą rzecz, bo na ustawną parafrazę myśli i obrazów pożyczonych u którego z pierwszorzędnych poetów ojczytych swojego czasu. Szcupły kapitał prędko się wydał, i najczęściej nie pozostało nic, tylko ciągle brzdąkać na jednej strunie. Nie wątpimy, że Gosławski byłby z czasem poszedł drogą rzeczywistego kształcenia się, a pozbywając się pasorzytniej bujności, byłby zyskał na mierze i wadze, a najwięcej na owęj umiejętności chwytania stron życia dopatrzonych okiem poety, czytania w duszach i wsłuchywania się w głosy własnego serca, ale nie te, które podnosi krew wzburzona gorączką.

Czytając pozostałe po nim płody, podziwiasz strzelistość i ciągłość téj lejącej się lawy; to tylko cię dziwi, że ta lawa nie pali.

Miałaby to być sztuczna kompozycya? maniera z góry powzięta?

Takby się zdawało, jeśli pieśni jego mogły przebrzmieć tak prędko.

Seweryn Goszczyński umiał trafne znaleźć słowa na ocenienie jego płodów; powiada on: „Gosławski wybrał sobie opiewać rodzinne Podole. Nie mamy nic przeciwko podobnym chęciom, ale potrzeba zachować najgłówniejszy, wyraźnie dziś uznany warunek poezyi—prawdę; a Gosławski wpadł na drogę owych francuzkich romansistów, idealizujących nad zakres człowieczeństwa swoje bohaterki. Ktoś w pomienionéj przedmowie broni Gosławskiego i powiada, że krytyk nie znał, kiedy to pisał, późniejszych jego utworów, jak: *Renegata*, *Banka*. Być może, że nie znał, ale to nie przeszkadza, żeby i tym utworom nie miało braknąć owego warunku, o którym wspomniał — to jest **prawdy**.

Bądź jak bądź, żywe iskry talentu wróżyły w nim niepośledniego pisarza, lecz wczesna śmierć nie pozwoliła mu dojrzeć.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.



# SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM.

## V a r i a.

|                                            | <i>Str.</i> |
|--------------------------------------------|-------------|
| XIII. Kazimierz Pułaski w Ameryce. . . . . | 1           |
| XIV. Książę Karol de Ligne. . . . .        | 36          |
| XV. Wierszokleta starój daty. . . . .      | 72          |
| XVI. Niewiasta homeryczna. . . . .         | 91          |

## Roztrząsania i poglądy literackie.

|                                                    |     |
|----------------------------------------------------|-----|
| I. Dramat historyczny. . . . .                     | 121 |
| II. Dante i jego Komedya. . . . .                  | 148 |
| III. Wychowanie ludu wiejskiego. . . . .           | 181 |
| IV. Z życia ludu wiejskiego. . . . .               | 192 |
| V. Teorya socyalna w komedyi . . . . .             | 202 |
| VI. Poezya ukraińska. . . . .                      | 217 |
| VII. Prawdziwy wieszcz. . . . .                    | 224 |
| VIII. Ks. Adam Czartoryski o Niemcewiczu . . . . . | 236 |
| IX. Pamflet i paszkwil. . . . .                    | 253 |
| X. Wydanie dzieł Długosza. . . . .                 | 265 |
| XI. Lud wiejski, Sandeccyzna i Wolyń. . . . .      | 275 |
| XII. Starożytne i nowożytne igrzyska. . . . .      | 287 |
| XIII. Biografie. . . . .                           | 297 |





36900/  
12.